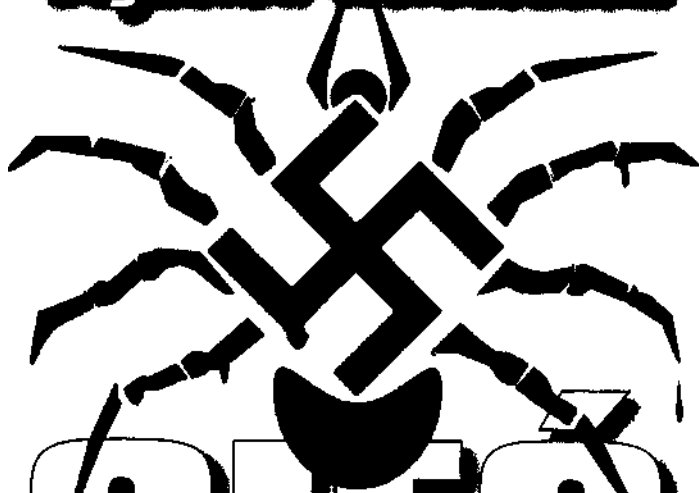


Bogusław Wotoszański



SIEC
OSTATNI BASTION SS

Spis treści

12 kwietnia 1945 r., przełęcz Brenner.....	7
18 kwietnia 1945 r., dacza w Kuncewie.....	14
18 kwietnia 1945 r., lotnisko Croydon.....	18
21 kwietnia, Hochenlychen	20
24 kwietnia, Londyn.....	30
24 kwietnia, zamek Fürstenberg.....	34
25 kwietnia, godzina 22.00, okolice Fürstenberg.....	39
Godzina 00.00, zamek Tzschocha	46
27 kwietnia, Bletchley Park.....	56
27 kwietnia, Atlantyk.....	63
27 kwietnia, Marklissa.....	65
28 kwietnia, Bletchley Park.....	75
28 kwietnia, „Eight Belles”	77
29 kwietnia, Normandia.....	82
2 maja, Atlantyk.....	94
3 maja, Łubianka	97
5 maja, tajny ośrodek MI-6.....	104
8 maja, Atlantyk.....	118
10 maja, Beer.....	122
10 maja, lotnisko Northolt.....	130
10 maja, szpital w Legnitz	132
11 maja, Koburg	135
11 maja, bezpieczny lokal w Bad Kudowa.....	145

14 maja, U-234 oddaje się do niewoli.....	152
14maja, Radstadt, kwatera Skorzenego.....	155
15maja, okolice Radstadt.....	159
17 maja, granica	163
17 maja, Koburg.....	170
20 maja, Lauban, mieszkanie jubilera.....	174
20 maja, bunkier.....	182
20 maja, Normandia.....	191
20maja, zamek Książ.....	198
21maja, LeśnaM.....	202
21maja, więzienie w Salzburgu.....	208
22maja, granica	211
23maja, więzienie w Salzburgu.....	230
23 maja, gabinet Aarona.....	234
23 maja, zapora nad Kwisą.....	242
23maja, zamek Książ.....	261
24maja, wzgórze nad Kwisą	269
26 maja, wyrzutnia Mimoyeques	274
26maja, Łubianka	283
27maja, bunkier.....	290
27 maja, Norymberga.....	303
27maja, Książ.....	308
28maja, lądowisko w okolicy Czochy.....	314
27 lipca 1948 r., obóz w Darmstadt	322
10 września 1948 r., przełęcz Brenner.....	326
Grudzień 1989 r., Tel Awiw	331
Drogi Czytelniku!	335

12 kwietnia 1945 r., przełęcz Brenner

-Tędy, mister, tędy. - Włoski żołnierz, który zapewne znał tylko te dwa słowa po angielsku, wskazywał na wąską ścieżkę biegnącą stromo pod górę. Dwaj mężczyźni, który wysiedli z zabloconego samochodu, posłusznie skierowali się w tę stronę. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, jak śnieżna i sroga może być wiosna w górach, gdyż mieli na sobie jesionki i półbuty, już przemoczone, zanim wsiedli do samochodu, który przywiózł ich na przełęcz Brenner. Skórzane zelówki ślizgały się po ubitym śniegu, więc posuwali się ostrożnie, zapierając się bokami podszew, co zwiększało przyczepność, ale wymagało sporo wysiłku, podobnie jak chwywanie gałęzi drzew rosnących po bokach. Z wyraźną ulgą stanęli na niewielkiej polanie, jaka powstała po wycięciu drzew, których poobcinane pnie leżały w sagach z boku.

-Kontrwywiad to psia służba - mruknął starszy, otrzepując zmarznięte ręce ze śniegu.

-Będzie jeszcze gorsza, gdy zaczniemy schodzić - drugi mężczyzna rozejrzał się wokół.

Trzej włoscy żołnierze przeszukiwali teren, ale bez większego entuzjazmu. Oficer siedzący na sągu drzew na widok przybyłych zeskoczył na śnieg i podszedł szybko.

-Major Mario Sebastriani - przedstawił się. Mówił płynnie po angielsku. - Oficer łącznikowy wywiadu.

-Major Felix Cowgill, kontrwywiad... - starszy wyciągnął rękę na powitanie - a to... - Nazwisko wypowiedział bardzo niewyraźnie. Włoch nie powinien wiedzieć, że stojący obok niego to James

Jesus Angelton, który przyjechał do Włoch, aby działać tam jako oficer amerykańskiego kontrwywiadu. - Kiedy to się stało?

- Dziś o świcie. Szli stamtąd - Sebastriani wskazał na górę. - Przeszli przez przełęcz Brenner. Niedaleko stąd znaleźliśmy obozo wisko, w którym spędzili noc. O świcie podjęli wędrówkę. Zeszli na

szosę i zmierzali prawdopodobnie do Trentino. Ale mieli pecha. Za uważył ich patrol. Nie chcieli się zatrzymać i zaczęli uciekać. Jeden został ranny, zanim dotarli do lasu. Zwieźliśmy go do szpitala. Dru gi zginął-tutaj...

Obrócił się i podszedł do zwłok przykrytych zielonym brezen-tem. Odchylił róg. Cowgill też podszedł blisko i pochylił się, aby przyjrzeć się twarzy zabitego. Pd^hwili wyprostował się i spojrzał porozumiewawczo na towarzysza. Można było odnieść wrażenie, że rozpoznał zabitego, ale nic nie powiedział na ten temat.

- Znalaziono przy nim to. - Sebastriani sięgnął do kieszeni i wy ciągnął niewielkie pudełko obszyte płótnem. Cowgill rozdarł nitki szwu i wyciągnął plik kartek starannie złożonych we czworo. Były za szyfrowane, ale na jednej znajdowało się kilka zdań po niemiecku.

„Przekazujący te dokumenty ma wszelkie pełnomocnictwa do rozmów w sprawie «Brennstoff B»”.

Podpis był nieczytelny, ale zapewne dla człowieka, który ode- brałby ten plik, stanowił wystarczający dowód autentyczności. Cowgill schował starannie papiery do wewnętrznej kieszeni.

-Ilu ich było? - zapytał majora.

-Pięciu. Na dole został ranny przewodnik - powiedział Se- bastriani. - Znam go, bo wykonywał niektóre prace dla mnie, jak byłem w partyzantce. Nazywa się Roberto Guliano. Miał dobre kontakty z Niemcami. Nie wiedziałem, że teraz zajął się bardziej dochodowym interesem.

-Jak bardzo?

-W plecaku miał czternaście złotych dwudziestodolarówek. Zakładam, że to zaliczka za przeprowadzenie tych ludzi przez góry i dalej do Trentino. Tam zapewne przejęliby ich inni. A tego - wskazał na zwłoki - nie znam.

-To znaczy, że trzech uciekło.

-Tak, poszli w góry, ale bez przewodnika daleko nie zajdą. Za- błądzą i zamarzną albo ich złapiemy.

-Wolałbym, żebyście ich złapali. - Cowgill odwrócił się do Angeltona.

-Nic tu po nas, zjedziemy na dół, do szpitala, pogadać z tym rannym - powiedział tamten, co Cowgill przyjął z ulgą. Cienkie podeszwy jego półbutów nie dawały żadnej ochrony przed zimnem. Przystępowanie z nogi na nogę niewiele pomagało i zaczynał się obawiać, że odmrozi stopy.

-Zna pan wygodniejszą drogę na dół? - Cowgill zwrócił się do Sebastrianiego, który pokręcił głową, nieudolnie usiłując nadać swojej twarzy wyraz współczucia i przejęcia losem oficerów, którzy mieli pokonać pięćdziesięciometrowy odcinek stromej ścieżki.

Pierwszy przewrócił się kapitan, a tuż za nim poleciał Cowgill, co okazało się rozwiązaniem praktycznym, gdyż już bez większych sensacji pokonali pozostałą drogę na jesionkach.

- Od razu tak trzeba było. - Cowgill wstał i otrzepał płaszcz ze śniegu.

Angelton podniósł się z trudem. Dla niego upadek okazał się dość bolesny.

Z wyraźną ulgą doszli do samochodu, dużego humbera snipe'a pomalowanego w ochronne wojskowe barwy. Kierowca najwidoczniej przewidując, że wrócą zziębnięci, nie wyłączył silnika, więc z radością zanurzyli się w ciepłym wnętrzu.

-James, ja go rozpoznałem - pierwszy odezwał się Cowgill, który zsuł przemoczone buty i pochylony masował zziębnięte stopy. Siedzący obok niego Angelton znajdował się w nieco lepszej sytuacji, gdyż najwyraźniej skóra jego butów była lepiej zabezpieczona przed wodą. Czując, jak napływa ciepło, oparł się wygodnie i zapalił papierosa. Od 1943 roku służył w amerykańskim kontrwywiadzie, a oddelegowany do Londynu poznał tam Feliksa Cowgilla. Spotkali się ponownie we Włoszech, dokąd Angelton został skierowany na wiosnę 1945 roku.

-Ktoś ciekawy? - zapytał.

-Bardzo. - Cowgill też rozparł się wygodnie.

-Jedziemy do szpitala w Mezzolombardo. Wiesz, gdzie to jest?

- zapytał kierowcy, który skinął głową i wrzucił bieg. Manewrując ostrożnie na ośnieżonej drodze, zawrócił w stronę miasta. Najchętniej wróciliby do niewielkiego hotelu na przedmieściach

Trentino, gdzie zatrzymali się poprzedniego wieczoru, ale zdawali sobie sprawę, że rozmowa z rannym przewodnikiem może dać wiele ciekawych informacji.

- To niski rangą, ale ogromnie ważny gość od Kaltenbrunera, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy - powiedział Cowgill. - Już to oznacza, że mamy do czynienia z bardzo ważną sprawą. Nazywał się Eibistahl.

Zerknął na Angeltona i widząc, że ten zmarszczył brwi, jakby poszukiwał w pamięci informacji na temat tego człowieka, dodał szybko tonem, w którym zabrzmiała nuta wyższości:

-Nic ci to nie powie. - Bez wątpienia kontrwywiad amerykański musiał jeszcze dużo nauczyć się o Europie. - To facet od specjalnych zadań, pozostający w cieniu. Dzięki temu żył. Do dzisiaj. Chcieliśmy go zlikwidować wcześniej. Przygotowaliśmy dwa zamachy w Warszawie, ale zawsze uchodził cało. Aż trafiła go zabłąkana kula.

-Tak mu było pisane...

Zamilkli obaj, rozumiejąc, że doszli do tematu, o którym włoski kierowca nie powinien wiedzieć. Z zadowoleniem dostrzegli pierwsze zbudowane z szarego kamienia domy Mezzolombardo. Cowgill obiecał sobie, że znajdzie czas, żeby zwiedzić to urokliwe miasteczko, ale po porannej wyprawie w góry uznał, że najpierw musi kupić wygodne buty.

Szary budynek szpitala oznaczony wielką białą flagą z czerwonym krzyżem mieścił się w samym centrum miasta, dokąd dojechali po kilkunastu minutach. Bez kłopotów dowiedzieli się, gdzie leży ranny przewodnik, ale opatrywano mu ranę, więc usiedli na twardych krzesłach na korytarzu.

- Powiesz mi więcej o tym Eibistahlu? - Angelton znowu sięgnął po papierosa. Zdawał sobie sprawę, że informacje od Cowgiila mogą mieć duże znaczenie dla jego kariery w kontrwywiadzie. Wojna dobiegała końca, acz Niemcy mocno trzymali alpejskie pogranicze Bawarii i Włoch. Wielu amerykańskich generałów nazywało je Alpejską Redutą, gdzie rzekomo resztki SS i Wehrmachtu przygotowywały się do długiej obrony. Angelton nie wierzył w istnienie tej twierdzy. Bliższy był przekonaniu, że utrzymywanie pogranicznego rejonu ma na celu ułatwienie ucieczki dziesiątkom

tysięcy ludzi, którzy nie powinni dostać się w ręce aliantów, oraz wywóz tysięcy ton dokumentów i urządzeń technicznych. Uznawał też, że poznanie tras przerzutowych i kryjówek na terenie Włoch będzie jego głównym wyzwaniem, jako szefa miejscowego oddziału kontrwywiadu. Jeszcze niewiele wiedział na ten temat.

-Uważam, że był człowiekiem do specjalnych poruczeń Kaltenbrunnera, a może nawet samego Himmlera. Takim, którego nie widać, nie słycać, a jest piekielnie skuteczny - zaczął Cowgill. -Zwróciłem na niego uwagę w 1943 roku i udało mi się zgromadzić wiele ciekawych informacji. Tylko nie pytaj, w jaki sposób.

-Właśnie to mnie interesuje - mruknął Angelton. - Może dobijemy jakiegoś handlu?

-To już lepiej. To powiem ci: kochanka, sposób stary jak świat. Ale wiele nas kosztowała.

-Opłaciło się?

-Tak - skinął Cowgill. - Od niej wiem, że Eibistahl przed oblężeniem Breslau przyjechał tam z polecenia Himmlera. Gdy Rosjanie podeszli do miasta, przeniósł się do Hirschbergu*. Działał bardzo intensywnie.

-Wiesz, nad czym tak pracował?

-Nie. Ale powiem ci tak: droga prowadząca przez góry zaczyna się nie w Alpejskiej Reducie, gdyż obydwaj w nią nie wierzymy, lecz na Dolnym Śląsku. To jest wyzwanie!

-Mamy z tym pewne doświadczenia. - Angelton uznał, że też może przedstawić osiągnięcia wywiadu amerykańskiego. - Specjalna grupa TICOM dowodzona przez komandora Compaigne'a dotarła tam w poszukiwaniu maszyny deszyfrującej „Ryba miecz” i ostatecznie ją zdobyła. Za dwa lata ta maszyna wstrząśnie światem!

-Ciekawe - mruknął Cowgill. Nie zdradził, że wiele wie o tej akcji, a słowa Amerykanina nasunęły mu projekt, który postanowił starannie przemyśleć.

-Wiem, że działał tam polski agent o pseudonimie „Granit”. Był dobrze umieszczony w najtajniejszym ośrodku... - Angelton

* Obecnie Jelenia Góra.

przerwał, zerkając spod oka na Cowgilla. Sprawdzał, jakie wrażenie zrobiły jego słowa na Angliku. Ten musiał przyznać, że nie doceniał kolegi. Jak na kilkanaście miesięcy spędzonych w Europie wiedział bardzo dużo.

Przerwali rozmowę, bo z pokoju zabiegowego dwaj sanitariusze wynieśli nosze z rannym. Po chwili w drzwiach stanął lekarz uprzedzony już o wizycie dwóch facetów z kontrwywiadu.

- Możecie z nim porozmawiać - powiedział niechętnie. - Nie dłużej niż parę minut. Ma paskudną ranę nogi. Chyba ją amputujemy

Odwrócił się na pięcie i odszedł szybko w głąb korytarza.

Guliano leżał już w separacie pilnowany przez amerykańskiego żołnierza, który na widok legitymacji Angeltona wstał i wyszedł z pokoju.

-Jesteśmy z kontrwywiadu. Musimy zadać ci kilka pytań - zaczął Cowgill.

-Nic nie wiem. Nic nie powiem. Jestem ranny. - Roberto odwrócił głowę do ściany. - Dajcie mi spokój!

-Posłuchaj, Roberto. - Cowgill pochylił się nad nim. - Lekarz powiedział, że amputują ci nogę. W tym szpitalu na pewno to zrobią. Ale my możemy przenieść cię do amerykańskiego szpitala w Rzymie. Tam mogą uratować twoją nogę. No jak? Mamy wyjść?

Roberto uniósł głowę.

-Poczekajcie! - zawołał szybko. - Co chcecie wiedzieć?

-Na pewno słyszałeś rozmowy ludzi, których prowadziłeś. O czym rozmawiali?

-Wystrzegali się mnie, ale słyszałem, że rozmawiają o specjalnym transporcie. Coś, co pozostało w jakimś zamku. Nie pamiętam nazwy.

-Tzschocha? - podsunął Cowgill.

Roberto pokręcił głową.

-Fürstenberg?

-Być może. Brzmiało podobnie.

-Co to za transport?

-Nie wiem, nie wiem. Prawdę mówię...

-Słyszałeś coś o „Brennstoff B”?

Roberto po chwili zastanowienia pokręcił przecząco głową.

- Dokąd ten transport miał trafić?

- Spieszyli się, bo przerzut miał nastąpić przez przełęcz Brenner. Do Wenecji.

Zamknął oczy. Widać było, że rozmowa go wyczerpuje.

- Dziękuję ci, Roberto - powiedział Angelton. - Idę teraz za dzwonić w sprawie przewiezienia cię do amerykańskiego szpitala.

Wyszli po cichu, dając znać żołnierzowi, który czekał na korytarzu, że może wrócić do pilnowania rannego więźnia.

-Potwierdzają się moje przewidywania - odezwał się Cowgill, stając przy oknie.

-Mówisz o Dolnym Śląsku?

-Tak. Tam jest początek drogi, która, jak słyszałeś, biegnie do Wenecji. Tylko nie wiemy, co tą drogą ma zostać przewiezione.

-Masz pomysł? - Angelton znowu wyjął papierosa.

-Za dużo palisz. - Cowgill spojrział na niego z wyrzutem, ale ten nie dał się odwieść od przyjemności wciągnięcia dymu. - Pomysł? Mam - dodał po chwili Cowgill. - Jest człowiek, który tam działał.

-„Granit”? - Angelton wypuścił kłęb dymu, co spotkało się z wyraźną dezaprobatą lekarza idącego do izolatki rannego.

-Tak. Nazywa się Jorg, Martin Jorg. Polski szpieg, doskonale zakamuflowany jako oficer Abwehry, kryptolog. Rozpracował „Rybę miecz” i oddał w nasze ręce.

-To nie ma nad czym się zastanawiać.

-Jest nad czym. Poza mną nikt mu nie wierzy. Działał poza strukturami.

-Co to znaczy?

-Tuż przed wojną, gdy nasz dzielny premier Chamberlain trząsał portkami na myśl, że można narazić się Hitlerowi, i blokował wszelkie inicjatywy, utworzyliśmy, poza wiedzą rządu, tajną organizację. Na jej czele stanęła bardzo dzielna kobieta.

-Joanna - dodał Angelton, co nie wywołało zdziwienia Cowgilla. Zdawał sobie sprawę, że wiedza amerykańskiego kolegi pochodzi od Campaigne'a.

-Tak. Ona utrzymywała bezpośrednią łączność z „Granitem”.

-To masz gotowy projekt.

-Tak.

- Przyznasz, że przyczyniłem się do jego powstania?
- W jaki sposób? - Cowgill był wyraźnie zdziwiony.
- Podsunałem ci pomysł.
- Ach tak, oczywiście, drogi Jamesie - przytaknął Cowgill.
- No właśnie. To znaczy, że zakończyliśmy nasz układ handlowy.
- Cowgill spojrział na niego pytająco.
- Ty mi powiedziałeś o kochance Eibistahla, a ja ci podsuną
łem projekt wykorzystania Jorga. Czyli jesteście kwita.
- Cowgill uśmiechnął się. Stanowczo nie doceniał Amerykanina.

18 kwietnia 1945 r., dacha w Kuncewie

Stalin odsunął papiery, jakie rozłożył na blacie wiklinowego stolika na tarasie dachy w Kuncewie, i wygodnie rozparł się na fotelu. Wiosenne słońce przebijające się przez zieleniejące gałęzie brzoź świeciło mocno, dając miłe poczucie ciepła.

-Gorąco, jak na kwiecień - powiedział.

-Koba, może wody... - Ławrientij Beria, siedzący w fotelu naprzeciw, pochylił się, gotów w każdej chwili sięgnąć po karafkę stojącą między kartkami, gdyby tylko Stalin wyraził taką chęć. Wyciągnął głowę, co nadawało mu wygląd drapieżnego ptaka siedzącego na gałęzi i wypatrującego zdobyczy.

Stalin, jakby nie słysząc propozycji, uniósł nogę i zsunął but, czarny z wysoką, pomarszczoną cholewą, co najwyraźniej przyniosło ulgę jego stopie, gdyż natychmiast, zapierając palce o obcas, zsunął drugi. Grube bawełniane skarpetki wciągnięte na nogawki szarych spodni pozwijały się, ale nie zwracał na to uwagi. Rozłożył się na kanapce. Była trochę za krótka, nawet jak na jego niski wzrost, więc ugiął jedną nogę, a drugą przekrzywił i ułożył tak, że stopa pozostała poza wiklinowym obrzeżem kanapy.

Zestarzał się - pomyślał Beria.

Wojenne lata odcisnęły ogromne piętno na Stalinie. Przygarbił się, posiwiiał, poruszał się wolniej, jakby z wysiłkiem, stał się jeszcze bardziej podejrzliwy i nieufny.

- Wody? Nie... - mruknął Stalin.

Sięgnął po jedną z kartek, jakie zostawił na stoliku, i podniósł wysoko, aby padało na nią jak najwięcej światła. Za osiem miesięcy, w grudniu 1945 roku, miał skończyć sześćdziesiąt sześć lat, ale niechętnie zakładał okulary, nawet w otoczeniu najbardziej zaufanych ludzi. Nikt nie powinien wątpić w jego orli wzrok.

Beria dostrzegł, że Stalin wpatruje się w tekst, ale nie czyta go. W istocie jego zainteresowanie skupiła biedronka, która wylądowała na górnym brzegu kartki, złożyła skrzydełka i szła po krawędzi.

-Wiesz, jakie to niezwykle... - odezwał się Stalin po chwili. Beria podniósł wzrok.

-Co „niezwykłe”?

-Biedronka - odparł Stalin i zajął się przekrzywianiem kartki, aby lepiej zaobserwować powolny chód owada. Zapadło milczenie.

-A co w niej niezwykłego? Kropki?

Beria był trochę zaniepokojony, że nie nadąża za myślą Gospodarza.

-Takie maleńkie stworzonko, a natura dała mu wielką siłę. Wielką, Ławrientij. Pancierz dobrze ją chroni przed mniejszymi wrogami, a kolor przed większymi...

-Czerwony? - Beria znowu wyciągnął głowę, aby lepiej widzieć biedronkę na kartce.

-Ten kolor, dla ptaków, na przykład, oznacza, że biedronka jest trująca, więc jej nie dziobią. Boją się...

-Ciekawe - przytaknął Beria. - Nie wiedziałem.

-.. ale jest inny owad. Taki podobny do osy - mówił dalej Stalin. - Nieduży. Wbijają żądło w miejsce pod pancierzem biedronki i, za jego pomocą, do wnętrza ciała wprowadza jajo. I już. Biedronka sobie lata... - machnął kartką, aby spędzić owada, i przez chwilę obserwował jego lot - a w niej rozwija się larwa. I powoli zżera biedronkę. Od środka. Potem wychodzi na zewnątrz. Mądre to...

Beria nie odzywał się, czekając na dalszy ciąg rozważań. Stalin podniósł się z fotela i przeszedł kilka kroków w skarpetkach, jakby po to, aby poczuć ciepło oddawane przez kamienie tarasu.

- Naród jest zmęczony wojną - powiedział niespodziewanie. - Nie zgodziłby się, aby teraz skierować broń przeciw sojusznikom.

- Koba, osiągnęliśmy wszystkie cele! Nasze wojska lada dzień zdobędą Berlin. Straty - ogromne, ale od początku istnienia państwa radzieckiego nie zyskaliśmy tak dużo. Koba, tobie udało się zrealizować cele wielkiej rewolucji!

Beria podniósł się i obciągnął koszulę, która zebrała się w wielką fałdę nad paskiem.

-Będziemy coraz silniejsi, a Zachód będzie słabł - dodał, podchodząc do Stalina. - Umocnimy się na terytoriach, które nam przypadły. Z Niemiec już zaczęliśmy przywozić fabryki. W Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, w Bułgarii stłumimy reakcję w ciągu dwóch, trzech lat...

-Nie! - Stalin zaprzeczył tak kategorycznie, że Beria nie śmiał się odezwać. - Nasz kraj zniszczony. Europa zniszczona, głodna, a Ameryka rozkwitła. Żołnierzy stracili mało, a rozwinęli gospodarkę i naukę. Roosevelt nie był głupi, godząc się na oddanie nam Polski, Czechosłowacji i innych państw. Za pięćdziesiąt lat, gdy mnie już nie będzie, stracimy nad nimi kontrolę. Wymkną się. On to przewidział. A co to jest „pięćdziesiąt lat”...

-Ale do tego czasu, Koba, wygramy wojnę z imperialistami!

Stalin nie odezwał się. Pochylił się nad stolikiem i wyjął papieros z drewnianego pudełka, na którego pokrywcę namalowano ośnieżone szczyty Gruzji. Beria wiedział, że papierosy tam przechowywane były specjalnie wytwarzane dla Gospodarza. Sięgnął po zapalki, aby podać ogień, ale najwidoczniej Stalin nie miał ochoty zapalać papierosa, gdyż tylko obracał go w palcach, nie zważając na płonąca zapalkę.

- Nie, wojny nie będzie, bo beze mnie ją przegracie. Nie wolno czekać.

Wreszcie pochylił się w stronę Berii, który natychmiast potarł drugą zapalką o draskę. Stalin zaciągnął się, ale krótko, płytko. Wiedział, że papierosy mu nie służą.

- Twoi ludzie mają działać jak ten owad - powiedział cicho. - Wbić żądło pod pancierz i złożyć jajo, które pewnego dnia rozsadzi kapitalizm...

Beria słuchał uważnie, aby nie uronić ani jednego słowa. Znał dobrze rozmowy ze Stalinem, niby nieoficjalne, po kolacji w kremlo-wskim apartamencie albo na werandzie daczy w Kuncewie. Niby

nic, ot takie sobie gawędzenie przy winie, a po kilku dniach Koba pytał: co osiągnąłeś w sprawie, o której mówiliśmy? Masz już wyniki? A Beria musiał natychmiast przypomnieć sobie, do czego Stalin nawiązuje, i odpowiedzieć. Zbyt długie wahanie, nieprecyzyjne odpowiedzi Wódz gotów był uznać za sabotowanie jego planów. I zemścić się.

Tym razem jednak nie potrafił zrozumieć, do czego zmierza Stalin. Wbić żądło i rozsadzić kapitalizm? A co w tym nowego? Od wielu lat służby rekrutowały do szpiegowskiej współpracy ludzi na najwyższych stanowiskach. W każdym państwie tworzyły wielkie siatki szpiegowskie, kontrolowały związki zawodowe, partie komunistyczne. I to jeszcze mało? Cóż więc miało być żądłem?

Nalał z karafki wody do szklanki i wypił szybko, jakby uznał, że poprawi w ten sposób jasność umysłu. Wołałby, żeby to była wódka, ale przy Stalinie nie śmiał zażądać przyniesienia alkoholu. Nie mówił nic, czekając na dalsze wyjaśnienia.

-Esesmani! - powiedział po chwili Stalin. - Amerykanie nie rozumieją, jacy to zbrodniarze, więc nie brzydzą się nimi, nie każą wieszać albo zamykać, jak my. A odwrotnie: traktują ich jak sprzymierzeńców, najtwardszych antybolszewików. Rycerzy antyrosyjskiej krucjaty. Hołubią bandytów ze służby bezpieczeństwa i gestapo, bo ci zakładali siatki szpiegowskie na naszym terenie, bo rozpracowywali podziemie w Polsce, bo znają komunistyczne organizacje na Zachodzie. Amerykanie liczą, że wykorzystają ich kartoteki, konfidentów i wiedzę. Dobrze, niech ich chronią! Niech ich hołubią! A esesmani będą nam służyć! I pewnego dnia zeżrą biedronkę, od środka.

-Koba, to jest wielkie przedsięwzięcie! - wykrzyknął Beria, choć wciąż nie rozumiał, dlaczego esesmani mogli być bardziej skuteczni niż szpiedzy lub komuniści działający na Zachodzie pod jego dyktando.

Stalin nie odpowiedział. Wrócił na kanapkę, poprawił poduszkę i zamknął oczy. Powoli zapadał w popołudniową drzemkę starego człowieka.

Beria odchylił głowę i rozparł się wygodnie na wiklinowym fotelu. Patrzył z nienawiścią, którą pozwalał sobie uwidocznic tylko wtedy, gdy miał pewność, że Stalin śpi, gotowy na drgnienie powiek Wodza, zanim ten otworzy oczy, zmienić wyraz twarzy.

Wreszcie podniósł się z fotela, miękko, ostrożnie, starając się nie dopuścić, aby zaskrzypiały wiklinowe witki, i po cichu poszedł w stronę tarasowych drzwi. Postanowił zadzwonić na Kreml, aby jak najszybciej dostarczono mu ostatnie meldunki wywiadowcze z Dolnego Śląska. Uważał, że tam znajdzie sposób na realizację wielkiego planu. Zastanawiał się nad kryptonimem nowej operacji. „Biedronka” wydawał mu się zbyt entomologiczny.

Żądło! - pomyślał i uznał, że to dobry kryptonim dla operacji rozsadzania kapitalizmu od środka.

Stalin otworzył oczy i popatrzył przez chwilę za odchodzącym Bierią. Potem odwrócił głowę i ponownie zamknął oczy.

18 kwietnia 1945 r., lotnisko Croydon

Martin Jorg przysunął się bliżej prostokątnego okna samolotu, który gwałtownie tracił wysokość, zbliżając się do lądowania. Z chmur wyłaniały się domy londyńskiego przedmieścia: równe rzędy identycznych kamieniczek, szarych, jakby pokrytych popiołem. Okrążali je szerokim łukiem na wysokości dwustu, trzystu metrów, aż w oddali zza kępy drzew wyłoniła się murawa lotniska Croydon.

Lot z Niemiec był jedynym czasem spokoju, jakiego zaznał od chwili ucieczki z zamku Tzchocha*. Wszystkie wydarzenia: wyjście tajnym lochem z zamku, wysadzenie generatorów w elektrowni zasilającej podziemne laboratoria, ucieczka przed Rosjanami, postrzał w udo, spotkanie z Globckem i odnalezienie „Aparatu”, wydawały mu się tak odległe, jakby minęły miesiące.

Samolot uderzył o murawę lotniska z takim impetem, że wydawało się, iż roztrzaska golenie podwozia. Najwyraźniej za jego sterami siedział pilot wojskowy, który nie zwykł zwracać uwagi na komfort pasażerów. Przy schodkach dostawionych do drzwiczek

* Obecnie Czocha.

dakoty stało dwóch żandarmów, którzy na widok Jorga wyżej unieśli karabiny Lee-Erfield i jednoznacznym gestem skierowali go do samochodu, który stał z boku. Wewnątrz siedział milczący kapitan, który zdawał się zupełnie nie interesować współtowarzyszem podróży. Jorg odnosił wrażenie, że oszczędni Anglicy wykorzystali jeden samochód, żeby ich obu przewieźć z odległego lotniska do centrum Londynu. Sytuacja wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy wjechali w ponurą uliczkę kończącą się wielką blaszaną bramą w szarym murze z cegieł, nad którą górowała wieżyczka z reflektorem. Wtedy kapitan podał przez okno dokumenty wartownikowi. Nie był więc przypadkowym pasażerem. Milczący strażnik zaprowadził Jorga do pokoju, w którym okna nie miały krat, ale wszystko przypominało, że znajduje się na terenie więzienia. Drzwi, masywne, pomalowane olejną farbą, najpewniej przeniesiono z pobliskiej celi, choć nie było w nich judasza. Metalowe łóżko z siennikiem przykrytym kocem, stolik, taboret, półka na osobiste drobiazgi, sedes w niewielkiej wnęce zasłoniętej wzorzystą tkaniną - bardziej przypominało to celę niż pokój mieszkalny. Wrażenie było tym bardziej uzasadnione, że po północy gaszono światło. Jorg zdawał sobie sprawę, że wrócił po pięcioletniej służbie w Abwehrze. Anglicy mogli się więc obawiać, że jest podwójnym agentem.

Rozłożył na półce drobiazgi, jakie przywiózł ze sobą z Niemiec. Czuł, że w tym pokoju spędzi co najmniej parę dni. Przy okazji wyjmowania mydelniczki i szczoteczki do zębów zauważył, że jego plecak został zrewidowany, gdyż rzemień ściągający jedną z kieszeni był zawiązany inaczej, niż zwykł to robić. Dopiero w tym momencie poczuł, że sytuacja, w jakiej się znalazł, może być bardzo poważna.

Odstawił plecak i rzucił się na łóżko, postanawiając szybko zasnąć, ale w pokoju unosił się tak natrętny zapach pasty wtartej w deski podłogi, że po chwili wstał i podszedł do okna, aby je otworzyć. Mosiężna klamka kręciła się wokół swojej osi i nie udało mu się podnieść dolnej części ani opuścić górnej. Za to zauważył, że na dole biegła ścieżka, którą przechadzał się wartownik.

I tak zostałem wrogiem imperium - powiedział do siebie i wrócił na łóżko. Nie mógł wykluczyć, że sfabrykowano przeciwko niemu oskarżenia, tak poważne, że groził mu sąd wojenny, a może

i wyrok. Choć szybko odpędził tę myśl, uznając, że zapewne sąd weźmie pod uwagę zeznania Joanny, Natalii, Czernego i zasługę, jaką było zdobycie „Aparatu”, to jednak niepokój pozostał. Jak bowiem wytłumaczyć, że zamiast eleganckiego oficera, który stojąc przed schodkami samolotu, uściśnąłby mu rękę i powiedział „Wykonał pan dobrą robotę. Jutro stanie pan przed naczelnym dowódcą”, czekało na niego dwóch żandarmów, a pierwszy nocleg wypadł w więzieniu? Na szczęście zmęczenie wzięło górę i senność pozbawiła go dalszych męczących rozważań. Było to jedyne sensowne zajęcie, jakie mogło mu zająć czas pierwszego wieczoru w Londynie.

21 kwietnia, Hohenlychen

Nikłe światła, jakie rzucały reflektory przysłonięte parcianymi kapturami, prześlizgnęły się po tralkach dużego tarasu i oświetliły szerokie schody z piaskowca, który zszarzał pod śniegiem i deszczem.

Wieczór był wyjątkowo wietrzny i chłodny, więc wysoki esesman, który z trudem wysiadł z małego wojskowego kiibelwagena, nasunął kaptur, aby ochronić się przed rześistym deszczem. Niezatrzymywany przez warty, najwyraźniej poinformowane o jego przybyciu, wbiegł na taras i skierował się do bocznych drzwi, które otworzyły się, jakby uruchomione tajnym mechanizmem. Było to mylne wrażenie, gdyż tuż za nimi stał oficer, który nie wyszedł na zewnątrz, uznając najwyraźniej, że deszcz zaszkodzi jego wymuskanemu mundurowi.

Na widok wchodzącego stanął na baczność, podniósł rękę w hitlerowskim salucie tak energicznie, aż Skorzeny uśmiechnął się pod wąsem. Nie lubił tych lalusiów ze sztabu, którzy przez wiele lat służby w SS nie odważyli się pojechać na front, gdyż uważali, że to zbyt niebezpieczne.

- Reichsführer oczekuje pana w salonie - powiedział esesman, opuściwszy rękę. - Proszę o płaszcz.

Odebrał pelerynę i sam skierował się gdzieś do wnętrza budynku, w którym ostatnio często przebywał Heinrich Himmler.

Było to sanatorium w miejscowości Hohenlychen położonej sto kilometrów na północ od Berlina, gdzie dowódca SS przyjechał nie po to, aby podreperować zdrowie, lecz znaleźć schronienie. Okazały dom, z wielkim czerwonym krzyżem na dachu, położony w rozległym parku, nie był atakowany przez alianckie bombowce.

- Skorzeny! - Himmler, widząc wchodzącego, odwrócił się od kominka. Najwyraźniej ucieszył go widok wielkiego esesmana.

Wyciągnął rękę na powitanie z taką serdecznością, że Skorzeny poczuł się nieswojo. W czasie poprzednich spotkań dowódca SS zachowywał się bardzo oficjalnie, jakby był zazdrosny o sławę, jaką przyniosły Skorzenemu uwolnienie Mussoliniego, a później wprowadzenie syna węgierskiego dyktatora Horthyego i opanowanie budapeszteńskiego zamku.

- Reichsführer, melduję się.

Skorzeny wciąż stał na baczność, co wprawiało w zakłopotanie Himmlera. Był dużo niższy od rosnącego esesmana, więc wolałby, aby olbrzym jak najszybciej usiadł. Wskazał na fotel i sam wrócił do kominka poprawić drwa.

- Jak droga? - rzucił przez ramię.

- Bez incydentów, ale w dzień nie odważyłbym się jej odbyć. Himmler przez dłuższą chwilę wydawał się całkowicie pochłonięty układaniem drewna, jakby zapomniał o obecności gościa.

- Tak, oni panują w powietrzu, a ten wstrętny grubas Göring uważa, że to przejściowe! Dureń! Tutaj jest spokój, jak w Berlinie przed wojną - odezwał się wreszcie.

Skorzeny uprzejmie skinął głową. Uznał, że nie wypada mu potwierdzać uwagi, która trąciła malkontenctwem. Znowu zapadła cisza, do czasu aż Himmler odstawił szczypecę i usiadł w fotelu, wciąż jednak wpatrując się w ogień płonący na kominku. Był wyraźnie w melancholijnym nastroju.

- Ta wojna jest przegrana - powiedział, nie odwracając głowy od płomieni. - Wczoraj byłem u Hitlera. Składaliśmy mu życzenia urodzinowe pod wielkim rumowiskiem, jakim jest Kancelaria Rzeszy. Pamięta pan, jak wyglądała pięć lat temu?

Skorzeny ponownie skinął głową. Himmler nie oczekiwał odpowiedzi.

- Nie mam złudzeń - mówił dalej Himmler. - Za miesiąc, najpóźniej za miesiąc, będziemy musieli skapitulować.

Skorzeny nie odezwał się. Zaczynał rozumieć, że Reichsführer SS otrzymał nowe wieści z frontu, które pozbawiły go wszelkiej nadziei na honorowe zakończenie walk i uzyskanie zgody aliantów na rozejm. Zapadła cisza, którą przerywał tylko trzask płonących drzew.

- Aksmann rozmawiał z panem? - Himmler zmienił ton głosu. Wyglądało jakby otrząsnął się z przygnębiającego nastroju, jaki niesła świadomość bliskiej kapitulacji. Skorzeny ponownie skinął głową, potwierdzając, że kilka dni wcześniej szef niemieckiej młodozieży przekazał mu polecenie przystąpienia do organizowania oddziałów partyzanckich.

Na twarzy Himmlera pojawił się wyraz niezadowolenia.

-To głupota, z wojskowego punktu widzenia, zgadza się pan ze mną?

-Partyzanci nie wygrywają wojen - odpowiedział wymijająco Skorzeny. Wciąż nie mógł się zorientować, do czego zmierza Himmler.

-Tak, ma pan rację, Skorzeny. To dziecinada, ale odnoszę wrażenie, że Hitler tracąc zdolność kierowania państwem, chętnie daje posłuch pochlebcom, którzy przychodzą do niego z nierealnymi pomysłami.

Po raz pierwszy Skorzeny słyszał tak otwartą krytykę Führera. Zawsze uważał, że Himmler jest bezgranicznie wierny i oddany Führerowi, zwłaszcza że podkreślał to przy każdej okazji.

-Niech pan słucha uważnie. - Himmler wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Potwierdzam rozkaz zorganizowania Werwolfu. Ale tylko jako zbrojnego ramienia naszej organizacji esesmanów. Nie będziemy tracić sił i ludzi na wysadzanie mostków czy strzelanie zza winkła do amerykańskich żołnierzy. Mamy ważniejszy plan, którego realizacja jest już bardzo zaawansowana.

-Reichsführer, przepraszam, ale muszę zadać podstawowe pytanie. Jaką rolę pan dla mnie przewiduje?

Skorzeny był ostrożny. Niepokoiły go słowa Himmlera. Doszukiwał się w nich zapowiedzi zamachu stanu, a on nie miał zamiaru kłaść głowy na katowski pień i to w samym końcu wojny. Zapisał się w historii jako bezwzględny wykonawca najtrudniejszych rozkazów i chciał, aby tak o nim mówiono.

- Niech pan się nie obawia. Nie mam zamiaru naruszać pana legendy. - Himmler zorientował się, jakie obawy skrywa pytanie Skorzenego. - Wprost przeciwnie. Potrzebna jest mi pana sława i pana charyzma.

Himmler podszedł blisko i pochylił się nad fotelem Skorzenego. Ten usiłował wstać, ale Reichsführer położył mu rękę na ramieniu.

-SS poniosło wielkie straty w tej wojnie, bardzo wielkie. Polowa walecznych poległa... - przerwał, aby stworzyć wrażenie, że jest wzruszony, mówiąc o śmierci tak wielu żołnierzy jego czarnej gwardii. - Zakończenie działań wojennych wpłynie na tych wspaniałych ludzi bardzo demoralizująco. Potrzebny jest ktoś, komu będą ufać. A pan jest jednym z nich! Oczekuję od pana bezgranicznego zaufania do moich planów. Gdy wskażę drogę, musi pan nią pójść, nie pytając, dokąd ta droga prowadzi. Czy jest pan gotowy?

-Tak jest! Ale...

-Nie będzie to droga, która splami pana honor. - Himmler znowu wyprzedził zastrzeżenia Skorzenego. - Nie będzie to droga zdrady Führera i Rzeszy. Zapewniam. Choć czasami może pan odnosić takie wrażenie.

-Tak jest. - Nic innego poza potwierdzeniem rozkazu nie przychodziło Skorzenemu na myśl. - Nie wydaje mi się możliwe, abym zdołał dorównać pana charyzmem, Reichsführer!

Te słowa mocno trąciły pochlebstwem, ale najwyraźniej sprawiły przyjemność Himmlerowi. Nikt nie mógł odebrać mu zasługi uczynienia z SS największej siły w Trzeciej Rzeszy. Stał na czele tej formacji w 1929 roku, gdy liczyła niespełna trzystu członków, a trzy lata później, zanim jeszcze narodowi socjaliści sięgnęli po władzę, miał już pod swoimi rozkazami ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi i ta liczba stale wzrastała. A potem SS opanowało całe Niemcy. Honorowe tytuły otrzymywali najwybitniejsi naukowcy i najważniejsi politycy. Policja i wszystkie tajne służby podlegały jemu. A siłę SS uzupełniły fanatyczne, świetnie uzbrojone i wyszkolone oddziały Waffen-SS, które w szczytowym okresie liczyły blisko milion żołnierzy. Potęgą policyjną i militarną SS szła w parze z potęgą gospodarczą tej organizacji. W obozach koncentracyjnych, administrowanych przez SS, siedemset tysięcy więźniów wynajmowano

niemieckim koncernom, zarabiając krocie na ich niewolniczej pracy. A w samym końcu wojny Himmler przejął kontrolę nad produkcją rakiet i nowych rodzajów broni stanowiących największą tajemnicę Trzeciej Rzeszy. Brakowało mu tylko władzy, którą wciąż dzierżył Hitler. Ale Führer, dotknięty chorobą Parkinsona, zżerany narkotykami, które obficie aplikował mu doktor Theo Moreli, był wrakiem człowieka. Był tylko zanikającą legendą, którą ostatecznie miała zniszczyć kapitulacja.

- Skorzeny, chcę panu coś wyjaśnić. - Himmler usiadł naprzeciw Skorzenego i pochylił się. Zaczął mówić szeptem, jakby obawiał się podsłuchu, co Skorzenemu wydało się śmieszne. Nie przyjął myśli, że w siedzibie szefa policji i wszystkich tajnych służb mógł być podsłuch. Wkrótce zorientował się, że zduszony głos był tylko zagranem, mającym nadać szczególne znaczenie słowom Himmlera.

- Wojna, która się kończy, była wojną idei. Przegraliśmy ją, gdyż nie przewidywaliśmy, że dwa przeciwstawne systemy, czyli kapitalizm i komunizm, mogą zjednoczyć się przeciwko nam! To jak połączyć wodę i ogień! A tak się stało! Wie pan dlaczego?

Skorzeny nie odezwał się, gdyż zdawał sobie sprawę, że to retoryczne pytanie, na które Himmler nie oczekiwał jego odpowiedzi.

-Bo Roosevelt uważał, że dla przyszłego świata większym zagrożeniem jest brytyjski kolonializm niż rosyjski komunizm! I zniszczył kolonializm. Tak, zniszczył! W ciągu kilku lat brytyjskie, francuskie, holenderskie, hiszpańskie i diabli wiedzą jakie inne kolonie będą łamać się jak spróchniałe gałęzie.

-My, na szczęście, nie mieliśmy dużo kolonii - odezwał się Skorzeny. Uznał, że wypada coś powiedzieć, ale Himmler machnął zniecierpliwiony ręką.

-Co powstanie w ich miejsce? - Himmler wstał. Po chwili odpowiedział na swoje pytanie. - Miliardy, tak, miliardy sfrustrowanej biedoty w Afryce i Azji. Kolorowej hołoty, pozbawionej kultury, bo kolonializm jej nie stworzył. I to będzie nasze wojsko! - zakończył podniosłe.

Skorzeny patrzył na niego ze zdziwieniem. Po raz pierwszy widział Himmlera, który zawsze robił na nim wrażenie wyważonego urzędnika i sprawnego administratora, jak staje się ideologiem.

Uniósł wysoko brodę i wsunął obydwie dłonie za pas. Bez wątpienia była to poza, jaką podpatrzył u Mussoliniego. Milczał długo, jakby chciał, aby jego słowa właściwie wybrzmiały w niewielkim pokoju.

- Jest mi więc pan potrzebny jako mój przedstawiciel, który nie tylko przywróci esesmanom wysokie morale, ale również potrafi żelazną ręką chwycić za gardło przywódców tej kolorowej hołoty wyzwolanej spod kolonializmu i kierować nią, w moim imieniu!

Boczne drzwi otworzyły się i stanął w nich Standartenführer SS Rudolf Brandt, adiutant, którego Skorzeny widział już wcześniej wiele razy. Słyszał też, że ten drobny mężczyzna zasłynął podczas przeprowadzania eksperymentów medycznych na więźniach, chociaż z wykształcenia był prawnikiem, nie lekarzem. Brandt skinął głową w jego stronę i podszedł szybko do Himmlera. Pochylił się i zaczął relacjonować szeptem jakąś sprawę, która musiała być ogromnie ważna, gdyż Himmler zagryzł usta i słuchał, nie przerywając. W jednym momencie tylko spytał:

- Eibistahl?

Brandt skinął głową.

-Możemy mówić otwarcie. - Himmler wskazał na Skorzenego i wyjaśnił: - Zginął nasz wysłannik do Włoch. Dowiedzieli się czegoś? - zwrócił się do Brandta.

-Z tego co wiemy, zastrzelono go, gdy uciekał przed patrolem, ale schwytali przewodnika. Jest ranny.

-Zlikwidować go za wszelką cenę. Włoska trasa musi pozostać tajemnicą!

-Tak jest! Mam jeszcze jedną informację. Niestety złą. -Brandt ponownie się pochylił, chcąc zrelacjonować sprawę tak, żeby Skorzeny tego nie słyszał. Mówił szeptem i musiały to być naprawdę złe wieści, gdyż Himmler zmienił się na twarzy.

-Melmer? - zapytał w pewnym momencie, na co Brandt odpowiedział skinieniem głowy.

Skorzeny znał to nazwisko. Hauptsturmführer SS Bruno Melmer nadzorował przepływ kosztowności „rekwirowanych”, jak to określano, w obozach koncentracyjnych na konto SS w Reichsbanku i ze względu na jego szczególne zasługi konto nazywano jego nazwiskiem.

Brandt wyjaśnił coś, co jeszcze bardziej poruszyło Himmlerem. Zerwał się z fotela.

- Dopuszciliśmy cywilów! - krzyknął. - To takie mamy efekty! Brandt, jutro chcę mieć dokładny raport! A winni muszą zostać ukarani z całą surowością!

Brandt, który najwyraźniej przekazał już wszystkie wieści, zaśladował i wyszedł szybko z salonu. Himmler stał jeszcze przez chwilę, jakby rozważając, na ile może wtajemniczyć Skorzenego, aż uznał, że powinien to zrobić.

- Brandt przyniósł mi wiadomość, że Amerykanie odkryli skarbiec w kopalni potasu w Merkers - powiedział. - To trzysta kilometrów na południe od Berlina.

Widząc po minie Skorzenego, że sprawa nie jest mu znana, usiadł na swoim miejscu i zaczął relacjonować.

- Po amerykańskim nalocie na rządową dzielnicę Berlina na początku lutego, gdy uszkodzeniu uległa siedziba Reichsbanku, Hitler zgodził się na wywiezienie wszystkich zasobów tego banku. Ukryto je w kopalni w Merkers. Złożono tam około stu ton złota, poza tym miliard marek w różnych walutach i kosztowności z depozytów. Nie stety do tajnej operacji dopuszczono cywilów. Bank wysłał tam swojego głównego kasjera. Poza tym ktoś wpadł na pomysł, aby w tej kopalni złożyć dzieła sztuki z Muzeum Narodowego. Przyjechał więc dyrektor muzeum. A na domiar wszystkiego do rozładunku używa no więźniów i robotników przymusowych, których pozostawiono przy życiu! No i proszę! Na efekt nie trzeba było długo czekać!

Himmler zakończył relację okrzykiem. Najwyraźniej wzburzyło go wspomnienie tak wielkiej straty. Milczał przez chwilę, starając się uspokoić.

-Zostanie pan ze mną na kolacji?

-Z przyjemnością, Reichsführer.

- Tak sądziłem. Przedstawię panu założenia mojej gry.

Wskazał na drzwi, jak należało się spodziewać, prowadzące do jadalni.

Był to niewielki pokój, pośrodku którego stał owalny stół z dwoma krzesłami. Poza nimi nie było tam nikogo, nawet kelnera. Himmler wskazał krzesło i sam usiadł naprzeciw. Nie odzywał się. Najwidoczniej wciąż rozważał wiadomość, którą przyniósł Brandt.

Wreszcie podszedł do telefonu stojącego na niewielkiej konsoli pod ścianą.

- Niech przyjdzie Brandt - powiedział po drwili i dodał: - Do łóżcie dla niego nakrycie.

Wrócił do stołu.

- Ta wiadomość jest dla mnie wstrząsem. Na szczęście straty majątku SS nie są duże. Myślę jednak, że możemy to obrócić na naszą korzyść.

Skorzeny spojrział na niego zdziwiony.

- Sto ton złota to bardzo duża strata dla Rzeszy - wypowiedział słowa, które nie znaczyły nic.

- Tak, w istocie - zgodził się Himmler - a wie pan dlaczego?

Skorzeny wzruszył ramionami. Odpowiedź wydawała mu się oczywista, ale Himmler na nią nie czekał.

- Wszyscy patrzą na złoto jako na drogocenny metal, z którego wyrabia się pierścionki i wybija monety. Błąd. Złoto ma większą wartość. Czy pan wie, że ma niemalże dwukrotnie większą gęstość niż ołów?

Skorzeny patrzył zaskoczony, nie rozumiejąc, o czym mówi Himmler.

- Jest najlepszym na ziemi zabezpieczeniem przed promieniami. Dwukrotnie lepszym niż ołów.

Nie wyjaśniał dalej, co ma na myśli. Tym bardziej że w drzwiach stanął Brandt, którego najwyraźniej nie zdziwiło nagłe zaproszenie na kolację. Pod pachą trzymał czarną teczkę, w której, jak należało się spodziewać, były dokumenty związane z niefortunnym depozytem w Merkers.

-Brandt, stratę musimy zamienić w sukces - powiedział Himmler. Zamilkł na chwilę, nie chcąc nic mówić przy kelnerze, który wniósł krzesło i zaczął rozkładać nakrycie.

-Jak nazywa się ten kasjer z Reichsbanku? - podjął Himmler, gdy tylko kelner zamknął za sobą drzwi.

Brandt otworzył teczkę i przez chwilę przebiegał wzrokiem różne dokumenty, aż znalazł nazwisko, o które pytał Himmler.

-Werner Veick, główny kasjer wydziału dewiz Reichsbanku.

-On był przy ukrywaniu złota w Merkers?

-Tak jest. - Brandt znowu zerknął do dokumentów. - Ponad ośmiu tysięcy sztab złota.

Himmler przygryzł wargi. Najwyraźniej bolała go ta strata. Wiedział, że była to własność Reichsbanku, ale wolałby ją widzieć w rękach SS.

-Gdzie jest teraz Veick?

-Zapewne wrócił do Berlina. Sprawdzę to, Reichsführer.

-Jak najszybciej. Ten Veick musi jutro rano oddać się w ręce Amerykanów. Zaaranżuj, aby przebiegło to sprawnie. Ma zdradzić jakąś kryjówkę, w której złożono depozyty Reichsbanku.

Brandt spojrział zdumiony na Himmlera.

-Przepraszam, Reichsführer... - powiedział niepewnie, jakby chciał sprawdzić, czy się nie przesłyszał. Himmler nie zwrócił na to uwagi.

-Zakładam, że kasjer może mieć inne plany, ale już pana głowa w tym, żeby zastosował się do naszych życzeń. Ma rodzinę?

-Tak jest.

-No właśnie, proszę ich aresztować i poinformować, że wypuścimy jego żonę i dzieci, gdy uzyskamy potwierdzenie, że wykonał, sumiennie i z pełnym poświęceniem, nasze polecenia.

Himmler ponownie wstał i zrobił kilka kroków po pokoju. Sko-rzeny zauważył, że spacerowanie ułatwiało mu koncentrację.

- Oczywiście, Veick może tylko potwierdzić to, co już Amerykanie wiedzą w sprawie Merkers, ale to dobrze ich do niego usposobi. Jeszcze większego zaufania nabiorą, gdy wskaże im inną kryjówkę. A wtedy zdradzi im to, w co chcemy żeby uwierzyli...

Brandt zerknął na Skorzenego, ale uznając, że skoro szef mówi w jego obecności o takich sprawach, to może posunąć się dalej.

-Czy ma pan na myśli konkretną operację? - zapytał.

-Tak, Dolny Śląsk. Tam mamy wartość istotną dla stworzenia Czwartej Rzeszy!

Himmler powrócił do stołu. Rozłożył białą płócienną serwetkę na kolanach. Najwyraźniej przemyślał jeszcze jakieś szczegóły planu, ale uznał, że będzie czas na omówienie go. Podniósł głowę i poprawił okulary.

- Brandt, nie możemy zwlekać. Niech pan natychmiast zała twi sprawę oddania się Veicka w ręce Amerykanów i wraca do nas. Omówimy szczegóły rewelacji, które ma zdradzić.

Skorzeny przysłuchiwał się rozmowie zaskoczony, że Himmler dopuszcza go do operacji, która powinna pozostać ścisłą tajemnicą SS. Rozumiał, że w jakiś sposób sam zostanie do niej włączony, i odczuwał z tego powodu ogromną satysfakcję. Był człowiekiem łaśnym na zaszczyty, ciągle szukającym poklasku, a wiedział, że zbliżający się koniec wojny przekreśli szanse na dalsze jego sukcesy. Wyjdzie z niewoli po dwóch latach i wróci do zawodu inżyniera. Może otworzy warsztat naprawy maszyn. Ta wizja przerażała go. Tymczasem rozmowa z Himmlerem dawała mu nadzieję, że może odgrywać istotną rolę w powojennych czasach.

- Widział pan wyścigi psów? - Himmler zwrócił się do Skorzeno-
nego, gdy tylko Brandt wyszedł z jadalni.

Skorzeny, nieco zdziwiony pytaniem, przytaknął.

-Te mądre zwierzęta biegną co sił za pluszowym zającem ciągnionym przez maszynę. Amerykanie też są mądrzy. Bardzo mądrzy, ale głupiejają, gdy zobaczą zająca.

-Czyli sto ton złota. Ale to wielki majątek, Reichsführer. Czy ten zając nie mógłby być tańszy?

Himmler wydał pogardliwie wargi.

- Nie ma już czego żałować. Sto ton złota przepadło, boli mnie to. Ale gdybym miał budować Czwartą Rzeszę, mając tylko sto ton złota, to wołałbym przegrać to w kasynie.

Sięgnął po kryształowy dzwoneczek stojący na stole i poruszył nim kilka razy, wzywając kelnera.

Skorzeny rozsiadł się wygodnie. Kolacja zapowiadała się nadzwyczaj ciekawie. Zaczynał rozumieć, że w planie Reichsführera przewidziana jest dla niego ważna rola. A to mogło oznaczać, że nie skończy w amerykańskim czy radzieckim obozie dla jeńców wojennych, lecz może zostanie ministrem wojny...

- Skorzeny, jeszcze jedno chcę panu powiedzieć.

Himmler zawiesił głos, aby nadać swoim słowom szczególne znaczenie. I jak zwykle zniżył głos.

- Niech pan nigdy, powtarzam: nigdy, nie wierzy w pogłoski o mojej śmierci. No, prosit!

Podniósł kieliszek wina.

24 kwietniu, Londyn

Jorg oparł głowę na dłoniach. Czuł się bardzo zmęczony. Jak długo trwało przesłuchanie? Nie miał zegarka, a jedynie mógł ocenić, że na twardym krześle siedział od kilkunastu godzin, z krótką przerwą na obiad, który przyniesiono do tej sali i podano mu na cynowych talerzach przy stoliku w rogu. Traktowano go uprzejmie, acz w każdym słowie i geście angielskich oficerów kontrwywiadu czuł, że jest podejrzany. A co najmniej, że sprawił im kłopot, przyjeżdżając do Anglii. Kiedy wreszcie oficer w mundurze kapitana marynarki wojennej po raz kolejny zapytał go o nazwisko prowadzącego go oficera z polskiego wywiadu, Jorg wstał i pochylił się nad stołem.

-Panie kapitanie, może pan nie pamięta, ale w ciągu sześciu dni zadawał mi pan to pytanie szesnaście razy. Za każdym razem odpowiadałem uprzejmie, rozumiejąc, że ma pan kłopoty mentalne. Teraz mówię dość!

-Niech pan się nie unosi. - Anglik powiedział to spokojnie, jakby rozumiejąc, że przesłuchiwany może być już znużony i zdenerwowany. - Kapitan Szczęsny Rozłucki, który, jak pan twierdzi, wymyślił akcję podsunięcia pana *Niemcom*, *nie żyje*. Zginął w nieokreślonych okolicznościach.

-Mogę tylko powiedzieć, że był doświadczonym oficerem. Ale nie jedynym, z którym pracowałem w polskim wywiadzie.

-Major Chomicki, z delegatury polskiego wywiadu w Gdańsku, którego pan wymienił, nie żyje. Zamordowany przez Niemców w czasie przesłuchania w gestapo w 1939 roku. Możemy przyjmować, że nie wytrzymał tortur i wiele wyjawiał...

-Jeżeliby tak było, to już dawno zostałbym aresztowany przez gestapo!

Anglik patrzył na niego ironicznie. Jorg rozumiał, że argument, którego użył, nie miał sensu. Oni mogli przyjmować, że tak się właśnie stało: hitlerowski kontrwywiad wykrył go i zmusił do współpracy.

- Zginęli dwaj inni. Krótko mówiąc: nikt z oficerów, którzy znali szczegóły pana misji, nie przeżył wojny. Czy w tej sytuacji wy daje się panu dziwne, że staramy się wyjaśnić pana działalność?!

-Byli jeszcze trzej.

-Podał pan ich pseudonimy, nie nazwiska. A takie nie istnieją w żadnych dokumentach.

-Czy to dziwne, że ukrywali swoją tożsamość przede mną, skoro wysyłali mnie do wroga!

-Utrzymuje pan, że przekazywał meldunki wywiadowcze od 1940 roku. Nie istnieją w archiwach wywiadu. W jaki sposób pan je nadawał?

Zaskoczyło go, że pytają o Joannę. Wiedział, że kierowała organizacją, która nie podlegała bezpośrednio wywiadowi angielskiemu ani polskiemu. Jednakże przez cały czas współpracy z nią odnosił wrażenie, że Secret Intelligence Service wiedziało o jej działalności, choć oficjalnie się do tego nie przyznawało. Było to rozwiązanie wygodne dla tajnych służb w demokratycznym państwie. <

-Przypominam, że zeznaje pan przed komisją, wobec której jest pan zobowiązany... - kapitan podniósł głos, uznając, że Jorg nie chce odpowiedzieć na jego pytanie.

-Jako świadek czy jako podejrzany? - przerwał mu Jorg. - Nie zostałem o tym poinformowany, więc niech pan się nie powołuje na przepisy prawa! To sąd kapturowy! W dodatku wobec polskiego oficera, który nie podlega waszym rozkazom!

-Panie majorze Tarnowski... - teraz wstał cywil, jedyny w składzie przesłuchującej go komisji.

Wydawało mu się, że słyszy obce nazwisko. Tak długo przygotowywał się do zmiany osobowości. Całymi godzinami wpatrywał się w fotografie rodziców Martina. Studiował ich postacie, sposób trzymanie rąk prawdziwego ojca Martina, zamordowanego w 1934 roku w czasie „nocy długich noży”. Znał każdą zmarszczkę na twarzy Gertrudy Jorg, kobiety o miłej powierzchowności, pochodzącej z dobrej mieszczańskiej rodziny. A potem, przez pięć lat, musiał ciągle przypominać sobie te informacje, na wypadek gdyby znalazł się w katowni gestapo. Nie doszło do tego, ale pozwoli przeistoczyć się w innego człowieka, Martina Jorga. I był nim przez pięć lat służby w Abwehrze. Teraz miał z powrotem stać się Janem Tarnowskim.

- Odmawiam odpowiedzi - przerwał cywilowi, zanim ten za dał pytanie.

-Hauptmannie Jorg vel majorze Tarnowski, ponownie przywołuję pana do porządku! W przeciwnym wypadku...

-Pan się myli! Zdecydujcie się, czy jestem niemieckim jeńcem, czy polskim oficerem podejrzanym o zdradę. A ja czuję się jak uprowadzony przez bandytów dla okupu!

Anglik nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zamierzał coś powiedzieć, ale Jorg nie dopuścił go do słowa.

- Trzymacie mnie tu prawie od tygodnia, chociaż w teczkach przed sobą macie zeznania wszystkich, którym ufacie, poczynając od komandora Compaigne'a i majora Czernego, których sami wysłaliście do Tzschochy!

Anglik spojrział na Jorga z 'zainteresowaniem. Ten zrozumiał, że popełnił błąd, wspominając o akcji, o której brytyjskie tajne służby mogły nie wiedzieć. Za późno już było, aby się wycofać.

-Przesłuchujecie mnie po kilkanaście godzin dziennie...

-Co znaczy: „których wysłaliście do Tzschochy”? - przerwał mu kapitan.

- Rozumiem, że nie potraficie odtworzyć przedwojennych wydarzeń, ale te sprzed paru tygodni powinny być dla was całkowicie jasne! - Jorg mówił szybko.

-Powtarzam pytanie - Anglik nie dawał się zbić z tropu. - Co znaczy...

-A ja odmawiam odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania! Jeżeli dopiero po sześciu dniach odnaleźliście coś ciekawego, to znaczy, że mam do czynienia z grupą najbardziej niekompetentnych śledczych, jakich zdarzyło mi się spotkać! W dodatku nie wiecie, o co macie mnie pytać!

-Nie ma pan prawa!

-To powiedzcie, jakie mam prawa! Odmawiam dalszych zeznań i udziału w przesłuchaniach, albo przedstawcie mi zarzuty i określcie mój status! Możecie mnie wsadzić do aresztu albo wysłać do batalionu karnego.

Członkowie komisji spoglądali na siebie. Chyba rozumieli, że przesadzili z wielodniowym śledztwem, które nadszarpnęło i tak skołatanę nerwy człowieka wracającego zza linii frontu po tygodniach niezwykłego napięcia i walki. Wstali i zaczęli składać dokumenty. Jorg wrócił na miejsce. Przez chwilę był sam, aż w drzwiach

stanął angielski żołnierz, gestem dając znać, że gotów jest odpro-
wadzić go do pokoju.

Następnego dnia Jorg obudził się o siódmej, stwierdzając ze
zdziwieniem, że pozwolono mu spać dłużej niż w ciągu ostatnich
dni, gdy budzono go przed szóstą. Ledwo opłukał twarz, gdy do
drzwi rozległo się pukanie, co zdziwiło go jeszcze bardziej. Zwy-
kle strażnik bez pytania o zgodę otwierał drzwi. Po chwili stanął w
nich cywil, z którym stał się poprzedniego dnia. Gładko uczesany,
z krótko przyciętym wąsem, w marynarce zapiętej na wszystkie
guziki bez wątpienia był oficerem, choć ukrywał swój status.

-Mogę wejść? - zapytał uprzejmie, wciąż stojąc na progu.

-Oczywiście - Jorg wysunął taboret spod stołu - niech pan
siada.

-Przyszedłem pana przeprosić - powiedział przybyły, otwiera-
jąc papierośnicę i kierując ją w stronę Jorga. Ten pokręcił
głową.

-Jestem James Cowgill, szef kontrwywiadu.

-Tak sądziłem - mruknął Jorg.

-Pana wybuch był nie na miejscu, chociaż rozumiem zmęcze-
nie i stres. Ale niech pan postara się nas zrozumieć.

-Jeżeli macie podejrzenia, to przedstawcie je!

-A mamy!

-Zaciekawia mnie pan.

-Wiemy, że Rosjanie byli informowani o tym, co dzieje się w
Tzschosze.

-Globcke, czyli szef służby bezpieczeństwa w zamku Tzscho-
cha, powiedział mi, że jego zastępca Beer był rosyjskim
szpiegiem.

-O, to ciekawe. Nie mówił pan nic na ten temat.

-Bo nie pytaliście.

-Bo nas interesował pan. Plany, jakie z panem wiążemy, wy-
magają pełnej, absolutnej pewności. Wejdzie pan do kręgu, do
którego wstęp mają tylko najbardziej wybrani.

-Teraz ja powiem, że to ciekawe. Słucham...

-Za wcześniej, żeby je wyjawiać. Musimy mieć pewność co do
pana przeszłości, a ta tonie w mrokach.

-Od tego zależało powodzenie mojej misji, którą realizowałem
od 1939 roku. Dziwi pana, że polski wywiad trzymał to w
tajemnicy, nawet przed wami?

Cowgill rozejrzał się po pokoju.

-Niezbyt tu komfortowo - zauważył.

-To się nazywa angielskie poczucie humoru.

-Nie, wstęp do prośby, aby zebrał pan swoje rzeczy...

-Nie będzie kłopotu. Nawet się nie rozpakowałem.

-Tym lepiej, szybciej będzie pan w hotelu. Wynajęliśmy dla pana pokój w „White House”. Dobry hotel. Proszę odpocząć, a jutro wyjedzie pan do Bletchley Park.

-Gdzie to?

-Niedaleko. Potrzebują tam pana.

Cowgill wstał i wyciągnął rękę. W tym geście był moment zahamowania. Nie był pewien, czy Jéfrg nie zachował urazy za nieprzyjazne przyjęcie w Anglii. Ten jednak podał mu dłoń tak naturalnie, że major się uśmiechnął.

24 kwietnia, zamek Fürstenberg

Wąskie wykute w skale przejście raptownie zmieniało się w szeroki betonowy tunel. Najwidoczniej wykonano go niedawno, gdyż w wielu miejscach pozostały deski szalunku, a ze ścian wystawały pręty zbrojeniowe pozostawione do związania z inną konstrukcją. Było nieprawdopodobieństwem, żeby powstała. Budowniczowie nie mieli już czasu i wszędzie widniały oznaki zbliżającej się ewakuacji. Trudno się było temu dziwić, gdyż wojska radzieckie szturmowały Berlin. Na Dolnym Śląsku oddziały feldmarszałka Ferdynanda Schórnera zatrzymały Armię Czerwoną, ale nikt nie wątpił, że ta tama runie lada tydzień pod naporem silniejszego wroga.

Brigadeführer Josef Spacil podniósł kołnierz płaszcza. W podziemiach panowała temperatura dziesięciu stopni, a wszechobecna wilgoć sprawiała, że zimno było szczególnie dokuczliwe.

- Daleko jeszcze? - zwrócił się do idącego pół kroku za nim Sturmbannführera SS Sebastiana Wolfa, ponurego oficera o krótko przyciętych jasnobłond włosach, bezbarwnych oczach i twarzy ze śladami po ospie.

- Dochodzimy, Brigadeführer - odpowiedział Wolf.

Dobrze znał podziemia zamku Fürstenberg*, służył bowiem w miejscowym oddziale Sicherheitsdienst od 1942 roku, gdy tylko zapadła decyzja o upaństwowieniu posiadłości wielkiego rodu Hochbergów - dwaj synowie zerwali z nazistowskimi Niemcami i wstąpili do alianckiego wojska. Co prawda od kilku dni Wolf przebywał w zamku Tzschocha, dokąd oddelegowano go po tajemniczym odjeździe tamtejszego szefa ochrony, ale słysząc, że w Fürstenberg będzie Josef Spacil, natychmiast tam przyjechał. Znajomość z tak wysokim i wpływowym urzędnikiem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy wydawała mu się potrzebna i intrygantna. Wojna się kończyła, a on, oficer z takim oddaniem służący Rzeszy, nie miał odznaczeń, którymi mógłby się chlępić. Uznał, że przejście pod rozkazy Spacila umożliwi mu zdobycie upragnionego orderu.

Minęło ich kilkunastu żołnierzy, których obecność zdawała się niepokoić Spacila. Zerknął za nimi niechętnie. Był zły, że nie przyjechał z większym oddziałem ochrony osobistej, ale liczył na miejscowych esesmanów. Tymczasem po przyjeździe do Fürstenberg przekonał się, że załoga SS liczyła zaledwie piętnastu żołnierzy, w dodatku, jak ocenił, niezbyt skłonnych do walki.

Minęli boczny tunel i doszli do skrzyżowania, z którego w prawo i w lewo biegły odgałęzienia. Spacil ponownie z niepokojem zwrócił uwagę na kilku żołnierzy, zajętych zwijaniem linii telefonicznej. W oddali dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu zmierzających w ich stronę.

-To oni - mruknął Wolf. - Gerlacha chętnie bym powiesił.

-Wolf! - upomniał go Spacil.

-To zdrajca.

-Lepiej pomyśl, jak ich stąd bezpiecznie wywieźć.

Dwaj mężczyźni byli już zbyt blisko, aby Wolf i Spacil mogli kontynuować rozmowę, więc zamilkli, oczekując spotkania.

- Jestem doktor Karl Gerlach - przedstawił się wyższy. - A to profesor baron von Weizsäcker.

* Obecnie Książ.

Spacil spojrział na niego uważnie. Sądził, że spotka naukowca dużo starszego, a tymczasem stał przed nim trzydziestolatek o bezczelnym spojrzeniu. Nie podobał mu się ten mężczyzna.

-Brigadeführer Josef Spacil - przedstawił się - przyjeżdżam z Berlina.

-To musiała być trudna wyprawa. Rosjanie doszli już do bram miasta - zauważył Weizsäcker.

Spacil zmarszczył brwi, gdyż słowa naukowca zabrzmiały jak kpina.

- Wiem, gdzie są Rosjanie, ale nie jestem tu po to, aby dyskutować sytuację strategiczną - powiedział oschle. - Chcę sprawdzić przygotowania do przejścia „Brennstoff B” przez SS. Nie traćmy czasu.

Obrócił się, aby pójść w kierunku, z którego przyszli dwaj mężczyźni. Przyjmował, że ruszą za nim, ale oni pozostali na miejscu, jakby zaskoczeni słowami Spadla.

-Przepraszam, Brigadeführer, nic nie wiem o przejściu przez SS - odezwał się Gerlach. - Muszę zadzwonić do Berlina, a to w obecnych czasach może potrwać.

-Pan chyba słyszał, że SS przejęło wszystkie tajne projekty i podlegają one Obergruppenführerowi Hansowi Kammlerowi - powiedział zaczepnie Spacil. Szybko jednak doszedł do wniosku, że spór z naukowcami nie jest najlepszą drogą wypełnienia jego misji. - Dobrze, niech pan się upewni. Obergruppenführer jest w Pradze.

-A dlaczego mielibyśmy dzwonić do Kammlera? - odezwał się drugi naukowiec. - W naszych sprawach decyduje marszałek Rzeszy Hermann Göring.

Spacil zatrzymał się i odwrócił. Wydawał się zdziwiony uwagą. Powoli podszedł do Gerlacha. Był od niego dużo niższy, więc zadął głowę, aby patrzeć naukowcowi wprost w oczy.

-Chyba się przesłyszałem - powiedział groźnie. - Dość tych przekomarzań. Nie po to tu przyjechałem. Natychmiast wskazać, gdzie jest „Brennstoff B”, i przystąpić do przekazania całej dokumentacji! To rozkaz!

-Pan wybaczy, ale nie jesteśmy pana podwładnymi. - Gerlach nie wydawał się przestraszony zachowaniem Spacila.

-Powiedziałem: to rozkaz! - krzyknął Spacil rozsierdzony uporem dwóch cywilów.

-Niech pan nie krzyczy - spokojnie odpowiedział Weizsäcker. -I wyjdzie stąd.

-Wolf! - krótki okrzyk, wydany przez człowieka nienawykłego do najmniejszego oporu, wydawał się jednoznacznym rozkazem zastrzelenia naukowca, który ośmielał się zachowywać tak bezczelnie.

Spacil spodziewał się, że usłyszy szcęk przeładowywanego pistoletu, którego lufa znajdzie się przy czole naukowca, ale nie takiego nie nastąpiło. Zdziwiony spojrział przez ramię. Wolf najwyraźniej nie miał zamiaru wydobywać broni, a jedynie wskazał głową na dwóch żołnierzy, którzy stojąc niedaleko i obserwując sytuację, zsunęli z ramion pistolety maszynowe i trzymali je gotowe do strzału.

Tak, popełnił błąd, że liczył na te oferty z załogi SS zamku Fürstenberg i nie zabrał swoich ludzi. Przekonywał się, że tu rządził ktoś inny, a jego rozkazy mogły być tylko śmiesznymi okrzykami. Inna sprawa, że przyjeżdżał z Bawarii, gdzie nadzorował ukrywanie skarbów Banku Rzeszy, więc trudno byłoby mu podróżować z plutonem SS.

Ponownie przysunął się do Gerlacha.

- Powieszę was obu, i to wkrótce - wycedził przez zęby i odwrócił się. Każda chwila spędzona w tym tunelu powiększała jego kompromitację.

Nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę, z której przyszedł.

- Sierżancie - usłyszał głos Gerlacha - proszę odprowadzić pana generała na górę. I dopilnować, żeby nie zabłądził.

Odchodził pokonany w starciu z dwoma cywilami. On, Spacil, który decydował o życiu i śmierci tysięcy ludzi. Był najbardziej zaufanym człowiekiem Heinricha Himmlera, któremu dowódca SS powierzył zarządzanie gigantycznym majątkiem. To on decydował o złocie obozów koncentracyjnych i był jedynym, który znał wszystkie skrytki, w jakich składano walutę, sztaby złota i depozyty Banku Rzeszy. A tu, w ciemnych i zimnych podziemiach, dwaj cywile kazali mu się wynosić!

Postanowił, że natychmiast zadzwoni do Himmlera i zamelduje o niespodziewanej obstrukcji, z jaką spotkał się ze strony tych

łobuzów. A może zebrać esesmanów i uderzyć na garstkę rezerwistów, którzy ochraniaли „Brennstoff B”? Ta myśl wydała mu się szczególnie interesująca. Natychmiast złamałby opór i okrutnie ukarał tych, którzy mu się przeciwstawili.

- Wolf... - odwrócił głowę do idącego tuż za nim Sturmbannführera. - Ilu ludzi mamy na górze?

Nie zwalniał kroku.

-Piętnastu, ale bez rozkazu z Berlina nie wolno mi ich wprowadzać do podziemi - pospiesznie wyjaśnił Wolf.

-Ja ci to rozkazuję! - niemalże krzyknął Spacil.

Wolf nie odważył się odezwać, choć widać było, że nie miał ochoty wykonać rozkazu. Na szczęście dla niego wyszli przez wąskie pancerne drzwi zamykające wejście do podziemi od strony zamku i zaczęli wspinać się po prowizorycznych drewnianych schodach, które w istocie były szalunkiem przygotowanym do utworzenia betonowej klatki schodowej. Nie należało sądzić, że kiedykolwiek powstanie, gdyż na tym placu budowy nie było widać żadnego robotnika ani narzędzi.

-Brigadeführer... - Wolf odważył się odezwać, gdy na górze stanęli przed drzwiami do zamkowego korytarza. Żołnierz otworzył je i gdy tylko przeszli, zamknął z głuchym szcękaniem pancerza uderzającego o metal framugi.

-No... - Spacil sięgnął po papierosa. Wciąż był wzburzony oporem naukowców.

-Tam na dole jest całkiem silny oddział saperów, dwa plutony. Szanse, że moi esesmani ich pokonają, są żadne, tym bardziej że musieliby szturmować podziemia. Poza tym... - zawahał się, ale dodał szybko - jak im wytłumaczyć, że mają strzelać do niemieckich żołnierzy? I to kiedy Rosjanie są pod bokiem.

Spacil przygryzł ustnik papierosa. Zdawał sobie sprawę, że daje się ponieść emocjom. Przyznawał rację Wolfowi, ale nie mógł wyjechać z pustymi rękami.

-Co proponujesz? - zapytał po chwili, gdy przemyślał sytuację.

- A wiesz przecież, że jeżeli dopuścimy do ewakuacji, to „Brennstoff B” wymknie nam się z rąk. Na zawsze!

-Konwój wyjedzie stąd jutro lub pojutrze. Będę to wiedział, gdyż muszą przejechać przez bramę, gdzie straż pełnią moi esesmani.

Wolf mówił półgłosem, jakby zdradzał szczególnie ważną tajemnicę.

-Chcesz uderzyć na konwój? - Spacilowi wydawało się, że odczytuje myśli Wolfa, ale ten pokręcił głową.

-Eskorta nie będzie silna, ale mają samochód pancerny i kilkunastu żołnierzy. Wdawanie się w bitwę może być ryzykowne.

-Co więc...

-Zdradzimy Rosjanom trasę, aby zablokowali przejazd.

-Wolf, chyba oszalałeś. Chcesz zniszczyć „Brennstoff B” czy oddać Rosjanom?

-Nie widzę innego wyjścia.

-Nie rozumiem twojego planu. Możesz jaśniej?

-Rosjanie wyślą patrol, aby przechwycić konwój.

-A jak wpadną w ręce Rosjan?

-Nie obawiam się tego. Konwojem będzie dowodził major Karp, a to doświadczony oficer. Nie dopuści do utraty ładunku.

-Chodźmy stąd. - Spacil rzucił niedopałek i skierował się do wyjścia. Nie miał zamiaru przebywać dłużej w zamku, gdzie przyjęto go tak niegościnnie. Chciał spokojnie przemyśleć propozycję Wolfa, która wydała mu się ciekawa, choć bardzo ryzykowna.

25 kwietnia, godzina 22.00, okolice Furstenberg

Major Otto Karp podniósł do oczu lornetkę. Z miejsca, na którym zatrzymały się samochody, widać było całą dolinę i wioskę dobrze oświetloną promieniami księżyca. Niewielka, licząca kilkanaście domów z czerwonymi dachami, położona między drogą a rzeczką, nad którą przerzucono malowniczy ceglany mostek. Wszystkie okna były ciemne, co go nie dziwiło. Mieszkańcy uciekli przed frontem, który zatrzymał się ledwie dwadzieścia kilometrów od ich wsi zapomnianej przez Boga.

Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Minęła dwudziesta druga, co oznaczało, że plan wyprawy realizowany jest z nadzwyczajną punktualnością. Czekał na sygnał, który miał pojawić się

w ciemności. Litera „M” nadana alfabetem Morse'a oznaczała, że zwiadowcy zbadali teren i nie znaleźli nic niepokojącego.

Obejrzał się. Za jego transporterem stały cztery ciężarówki z wyłączonymi reflektorami. Nie miał pojęcia, co przewoziły w długich i wąskich skrzyniach, ale to nie była jego sprawa. Miał dostarczyć ładunek w całości lub zniszczyć go, gdyby zostali okrążeni przez Rosjan.

- Jeżeli ładunek wpadnie w łapy Rosjan, zostanie pan powieszony. Jeżeli zniszczy pan ładunek, rozstrzelamy pana.

Te słowa Brigadeführera Josefa Spadla wciąż brzmiały mu w uszach. Nie miał wątpliwości; że ten człowiek nie rzuca słów na wiatr.

- Mówię to - ciągnął Spacil - żeby zdawał pan sobie sprawę, iż ponosi pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo ładunku. Jest on cenniejszy niż życie pana żołnierzy i nas wszystkich!

Karp nie odzywał się. Co mógł powiedzieć, słysząc tak niedorzeczny rozkaz, wydany jemu, staremu żołnierzowi, który przez trzy lata walczył na froncie wschodnim, aż ranny pod Lublinem został odesłany na leczenie i rekonwalescencję do Bad Kudowa. I pozostał tam, gdy okazało się, że dowództwo ma dla niego wiele zadań do wykonania na miejscu. W połowie kwietnia dowodził konwojem jadącym z zamku Tzschocha do zamku Furstenberg. Nigdy nie dowiedział się, jak Rosjanie wytropili ich w środku nocy i przysłali trzy szturmowiki. Latały nad nimi, walać z działek i karabinów maszynowych, rzucając bomby i wystrzeliwując rakiety, aż wszystkie ciężarówki wraz z ładunkiem zamieniły się w płonąca stertę. Gdy skończył się nalot i ci, którzy przeżyli, układali na poboczu drogi ciała poległych, podszedł do jednej z ciężarówek, która dziwnym trafem nie stanęła w płomieniach, choć bomba eksplodowała obok, wyrzucając w powietrze kilka skrzyń. I zobaczył stary zardzewiały silnik, który wypadł na szosę. W pozostałych skrzyniach też było nic niewarte żelastwo. Cała operacja była więc oszustwem, ale nie zdołał wyjaśnić, kto i dlaczego wysłał jego żołnierzy, aby konwojowali skrzynie ze złomem. Wtedy zginęło ośmiu jego ludzi.

W ciemnościach zamigotało światło latarki nadającej sygnały Morse'a. Karp ponownie zerknął na zegarek. Mieli czas, nie musieli się spieszyć. Odwrócił się do siedzącego za nim porucznika.

-Wyślij patrol dwóch ludzi, aby podeszli pod wieś. Sześciu niech idzie z pancernymi dwięściami metrów do przodu i ubezpieczy drogę. Kierowcy pozostają w wozach. Reszta niech uzupełni paliwo w ciężarówkach. Potem nie będziemy się zatrzymywać.

-Tak jest.

Patrzył, jak porucznik przechodzi do końca transportera i zeskakuje na asfalt. To też był doświadczony żołnierz, który zdawał sobie sprawę, że cała operacja jest bardzo ryzykowna, a to oznaczało, że nie można pozwolić sobie na pośpiech. Trasa, jaką wyznaczono konwojowi, biegła wzdłuż krętej linii frontu i w wielu miejscach zbliżali się na pięćset metrów do tyłów niemieckich linii obronnych. Karp nie miał pojęcia, w których miejscach linie te są najsłabsze i gdzie należało się spodziewać wypadków wrogich oddziałów.

Zsunął się na fotelik obok radiotelegrafisty.

Młody chłopak, najwyraźniej pierwszy raz biorący udział w misji bojowej, zerkał na niego co chwila, odnajdując uspokojenie w pewności starego frontowca. Widząc pytający wzrok majora, pokręcił głową. W eterze panowała cisza. Z dowództwa nie nadchodziły żadne ostrzeżenia. Ale czy można temu wierzyć? Sytuacja zmieniała się tak szybko, że w sztabie z trudem nadążano z nanoszeniem jej na mapy.

Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów i z satysfakcją stwierdził, że jest prawie pełna, co oznaczało, że przy oszczędnym paleniu starczy mu na dwa, a może nawet na trzy dni.

Było cicho. Front milczał, jakby obydwie strony zmęczone krwawymi walkami w minionych dniach postanowiły odpocząć tej nocy. Jedyne ze wsi dobiegało szczekanie psów. Widocznie ściągały tam z całej okolicy, aby znaleźć resztki jedzenia w śmietnikach. A może pozostawili je właściciele, którzy nie mogli zabrać psów na tułaczkę, w jaką sami wyruszyli.

Wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Mieli jechać do świtu, a potem ukryć pojazdy w lesie, aby przeczekać dzień, gdy ryzyko wykrycia ich przez wrogie samoloty było zbyt duże. Z nastaniem zmroku ruszyliby dalej, z każdą godziną oddalając się od frontu, więc zmniejszając niebezpieczeństwo napotkania nieprzyjacielskiego oddziału. Jednakże Karp nie mógł pozbyć się dziwnego uczucia niepewności. Tak jak wtedy, gdy prowadził konwój z Tzsochoy. Towarzyszył mu niepokój, a nawet

lęk, który nagle zmaterializował się, gdy na nocnym niebie zobaczył flary i szturmowe samoloty. Czy to możliwe, że sytuacja się powtórzy?

-Starzeję się - powiedział do siebie. Radiotelegrafista zsunął słuchawki na skronie i spojrzał na niego pytająco.

-Nic, synu - Karp poklepał go po ramieniu - mówię, że czas kończyć wojaczkę.

I wtedy usłyszał ten dźwięk. Tak odległy, że zrazu zdawało mu się, iż we wsi uruchomiono traktory.

Podniósł się z fotelika. Dolinka oświetlona księżycem była tak samo spokojna i sielska jak w momencie, gdy lustrował ją przez lornetkę kilka minut wcześniej. Tyle że dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Nie mógł się mylić. Doskonale wiedział, co oznacza metaliczny chrzęst na tle głuchego pomruku, który czasami nasilał się, gdy czołg forsował przeszkodę.

Podniósł lornetkę i skierował w stronę, z której dochodził niepokojący hałas. Początkowo nie dostrzegał niczego, aż po chwili pojawiły się ogniki. Rozpoznawał je doskonale: szpary reflektorów czołgowych przysłonięte parcianymi kapturami, aby dawały mniej światła, które mogłoby przyciągnąć samoloty.

- Raz..., dwa..., trzy... - liczył czołgi T-34 wyłaniające się z leśnej przecinki.

Wyjechały na pole pod lasem i, znajdując tam wystarczająco dużo miejsca do rozwinięcia szyku, ustawiły się jeden obok drugiego.

Karp oceniał odległość. Były oddalone o dwa, może dwa i pół kilometra. Za kilka minut mogły zbliżyć się do nich na odległość strzału. Dopiero po chwili dostrzegł, że na pancerzu każdego z nich siedziało sześciu żołnierzy. Pochyleni kryli się za wieżyczkami, najwidoczniej obawiając się, że we wsi mógł być jakiś oddział.

Czołgi nie zdołałyby przejechać przez mostek, zbyt wąty, aby wytrzymać kilkudziesięcotonowy ciężar, ale rzeka nie była szeroka, choć wezbrała w wiosennych roztopach. Nie mógł wykluczyć, że rosyjscy czołgiści dowiedzieli się od jeńców, gdzie jest bród, i tamtędy zamierzają przedostać się na drugą stronę.

- Samochody, wycofać się za zakręt! - krzyknął w stronę żołnierzy, którzy też usłyszeli czołgi, więc szybko kończyli tankowanie i mocowali kanistry lub wyrzucali je do rowu.

Postanowił nie ruszać swojego samochodu pancernego, lecz pozostać na pozycji jak najdłużej, aby osłaniać odwrót ciężarówek. Niewiele zdziałałby przeciwko czołgom, mając jedynie karabin maszynowy, ale liczył, że wozy pancerne pozostaną z tyłu, jako stanowiska ogniowe, a do ataku ruszą piechurzy. Tych powstrzymałby przez kilka minut, zanim ciężarówki nie oddaliłyby się na bezpieczną odległość.

Czołgi stały nieruchomo, jakby prowokując do ataku tych, którzy ukrywają się między domami. Karp zrozumiał, że boją się pancerfaustów, prostej, lecz nadzwyczaj skutecznej broni, miotającej pociski, które wystrzelone z odległości kilkudziesięciu metrów przebijały pancerz każdego wozu bojowego. Chcieli więc wyciągnąć strzelców spomiędzy chałup i dlatego czekali, stojąc dwieście metrów od najdalej wysuniętego domu. Żołnierze zeskoczyli z pancerzy i stanęli z tyłu, chroniąc się w cieniu czołgów, a jednocześnie osłaniając je przed ludźmi, którzy z granatami lub pancerfaustami chcieliby podejść na odległość strzału.

Karp nie miał wątpliwości, że był to oddział zwiadowczy, który przedarł się przez jakąś lukę i penetrował teren, starając się zebrać wiadomości na temat ukształtowania linii obronnych. Tak sądził, gdyż przez głowę mu nie przeszło, że wróg dowiedział się o przejeździe jego konwoju i przygotował zasadzkę. Odwrócił się.

Ciężarówki, jedna po drugiej, zachowując szyk, cofały, aż po chwili skryły się za drzewami i tam zawracały, przygotowując się do ucieczki.

-Panie majorze, jakie rozkazy? - Do transportera podbiegł porucznik.

-Zostaw tutaj żołnierzy z pancerfaustami do czasu całkowitego wycofania konwoju. Weź karabin maszynowy. Jak Rosjanie uderzą, to zatrzymajcie ich tak długo jak tylko się da. Potem spieszcie stąd.

I natychmiast pomyślał, że nikt z tych, których pozostawiał, nie miał szansy, aby się stąd wycofać. Wojna, cholerna wojna.

- Tak jest! - Porucznik zasalutował. On też miał pełną świądomość, że otrzymał rozkaz, którego wykonanie oznaczało śmierć dla niego i kilku ludzi, oddanych pod jego komendę. Nie mogli zwać ciężyc w starciu z trzema czołgami i osiemnastoma żołnierzami

wroga. Mogli jednak zatrzymać ich na niedługi czas. Nie należało sądzić, żeby radziecki oddział zechciał ścigać uchodzący konwój, wiedząc, że odgłosy bitwy ściągną w to miejsce większe siły.

Karp pochylił się i klepnął kierowcę w ramię. Ten uruchomił silnik, którego warkot wydał się Karpowi hukiem przewalającym się nad doliną i alarmującym Rosjan. Ci, zamknięci w stalowych pudłach czołgów, których silniki czyniły wystarczająco dużo hałasu, z pewnością nie słyszeli odgłosu transportera. Podobnie jak i piechurzy, którzy stali obok warczących maszyn. A jednak musieli bardzo uważnie obserwować okolice, gdyż ledwo transporter wyjechał na środek drogi, czołgi ożyły. Wieżyczka jednego z nich obróciła się w jego stronę i u wylotu lufy ukazał się ognek. Po chwili dobiegł stamtąd odgłos strzału i nad głowami przemknął z gwizdem pocisk, który strącił czubek sosny i eksplodował gdzieś wysoko. Ogniki pojawiły się w lufach dwóch innych czołgów. Byli za daleko, aby celnie strzelać. Czołgiści mieli tego pełną świadomość, gdyż po chwili czołgi ruszyły wolno, kierując się na lewo od mostku. Żołnierze biegli tuż za nimi, najwyraźniej by ochronić je przed pancerfaustami.

Wiedzą, gdzie bród - pomyślał Karp.

Kierowca jego transportera pancernego, zręcznie manewrując na wąskiej drodze, wykonał już pełny zwrot i dodał gazu. Z rur wydechowych buchnął kłęb niebieskich spalin, gąsienice szarpnęły i SdKfz 251 szybko wtoczył się na wzniesienie, gdzie na poboczach czekały ciężarówki. Karp uniósł się tak, aby widzieli go kierowcy, i zatoczył ręką koło, dając im znać, że mają podążać za nim. Z daleka dobiegł odgłos długiej serii z karabinu maszynowego i narastającego huku czołgowych silników. Najwyraźniej sforsowały bród i wjechały na drogę. Tam powinny się zatrzymać, aby ogniem dział i karabinów maszynowych wspierać atakującą piechotę.

- Nawiąż łączność - powiedział do radiotelegrafisty.

Do tego czasu zachowywali ciszę, aby uniknąć namierzenia przez wroga, ale teraz, gdy zostali wykryci, nie miało to już znaczenia.

Podłączył kabel swoich słuchawek do radiostacji.

-Ja orzeł, słucham cię sokół - usłyszał po chwili.

-Sokół, zostaliśmy zaatakowani przez trzy rosyjskie czołgi

-zameldował Karp. - Kontynuowanie misji niemożliwe.

Odbiór.

-Ja orzeł, jakie jest zagrożenie dla ładunku? Odbiór.

-Na razie - żadne. Wycofujemy się w bezpiecznej odległości od sił nieprzyjaciela - odpowiedział Karp. - Czekam na rozkazy. Odbiór.

- Postępujcie według wariantu „R”. Powtarzam, wariant „R”.
Potwierdź.

- Potwierdzam, wariant „R”. Bez odbioru.

Przesunął przycisk wyłączający mikrofon. Co oznaczał wariant „R”? Przed wyruszeniem w drogę nikt mu o takim rozwiązaniu nie powiedział. Domyślił się, że wskazówki zostały zawarte w kopercie, którą doręczono mu już po wyruszeniu z Furstenbergu. Odjechali od zamku na pięć kilometrów, gdy dogonił ich motocyklista i wręczył mu zalakowany dokument. Zdziwiło go, że nie otrzymał go w zamku, ale w bałaganie, jaki wytwarzał się w dowództwie wobec bliskości Armii Czerwonej, wszystko było możliwe. Uznał, że ktoś w ostatnim momencie przypomniał sobie o rozkazie.

Otworzył raportówkę i wyjął brązową kopertę z dwiema pieczęciami na rogach. Rozkruszył lak i rozdarł papier. Przysunął się bliżej lampki przymocowanej do radiostacji i zaczął przeglądać kartki wypełnione maszynowymi znakami. Tekst był zaszyfrowany, ale na jednej z kartek znalazł kilka czytelnych linijek.

Wariant „R”: Nadać na częstotliwości 105 MHz: „Hasło sokół 7-05, podajcie cel”. Potwierdzenie: „Zrozumiałem, jastrząb 12-05” i nastąpi podanie kodu celu. Odczytać nazwę z dołączonej kartki kodowej. Postępować według wskazań. Rozkaz niezwłocznie spalić.

Trącił radiotelegrafistę.

- Nadaj na częstotliwości 105 MHz - podsunął mu kartkę.

Słyszał, jak chłopak wywołuje odbiorcę i po chwili wymawia kod.

Z daleka dobiegały strzały karabinowe i głośniejsze wybuchy czołgowych pocisków. Walka trwała, ale po tych odgłosach zorientował się, że czołgi zatrzymały się poza zasięgiem pancerfaustów i niszczyły stanowiska jego żołnierzy. Od czasu, gdy stamtąd odjechali, minęło osiem, może dziesięć minut. Niebo rozświetliło się na moment, a po chwili dobiegł go głuchy odgłos wybuchu. Najwyraźniej któryś z żołnierzy zakradł się z pancerfaustem blisko, na dwadzieścia-trzydzieści metrów, i trafił czołg, który eksplodował.

Karp uniósł się, aby lepiej widzieć niebo. Nad drzewami unosiła się poświata płonącego czołgu. Strzały cichły. Prawdopodobnie pozostałe czołgi rozjechały stanowisko karabinu maszynowego, ale nie ruszyły w pościg za ciężarówkami, lecz obawiając się, że za zakrętem mogą być kolejne stanowiska pancerfaustów, wysłali piechotę na zwiad.

- Panie majorze, podają kod: „Beatę Ram 123”.

Karp odszukał szybko na kartce podane wyrazy i cyfry. Oznaczały Tzschochę koło Marklissy. Rozłożył mapę i odnalazł miasteczko, którego zakodowaną nazwę podano w radiowym rozkazie. Byli w odległości czterdziestu dwóch kilometrów. Przejazd powinien zająć im godzinę.

- Kieruj się na Marklissę, a potem trzy kilometry do Tzschochy - powiedział do kierowcy.

Godzina 00.00, zamek Tzschocha

Syrena na wielkiej zamkowej wieży i sygnalizatory alarmowe w korytarzach zabrzmiały tuż po północy. Esesmani z załogi Tzschocha byli już przyzwyczajeni do życia w stałym napięciu w ponurej twierdzy. Alarm nie dziwił nikogo, choć wywoływał wyraźnie wyczuwalny niepokój. Zagrożenie, że wojska radzieckie, zatrzymane pod Lauban*, przełamią kruchą linię frontu i szybko podejść do zamku, było aż nadto prawdopodobne. Można też było się spodziewać, że wróg przerzuci oddział dywersyjny i spróbuje niespodziewanego ataku, choć wysokie kamienne mury zamku dawały obrońcom dobrą ochronę nawet przed pociskami artyleryjskimi dużego kalibru.

Tej nocy alarm przebiegał inaczej niż podobne wydarzenia, które wielokrotnie miały miejsce w minionych tygodniach. Cała trzydziestoosobowa załoga SS została skierowana na dolny dziedziniec, gdzie podoficerowie sprawdzili, czy wszyscy stawili się na

* Obecnie Lubań.

apelu. W tym czasie kilkunastu cywilnych pracowników zgromadziło się w sali jadalnej, której okna wychodziły na jezioro, a grube kraty uniemożliwiały wychylenie się i dojrzenie czegokolwiek innego poza taflą połyskującą między gałęziami drzew odbitym światłem księżyca.

Można było odnieść wrażenie, że nadszedł czas ostatecznej ewakuacji tajnej placówki, na co wszyscy czekali od kilku dni i przyjęliby taką wiadomość z zadowoleniem. Wiedzieli, Obersturmbannführer Hans-Jacob Globcke, dowódca ochrony, opuścił zamek kilkanaście dni wcześniej. Co prawda starał się stworzyć wrażenie, że wróci za kilka dni, ale nikt w to nie wierzył. Wyjechał właściciel hrabia Gutschow i jego piękna córka Anna Maria. A tuż potem nastąpiły dwa wypadki dezercji, jak oceniano. Do zamku nie wrócił Untersturmführer Beer uważany z najbardziej zaufanego człowieka Globckiego. Kilka dni później zniknął kryptolog kapitan Martin Jorg i mimo intensywnych poszukiwań w okolicy nie udało się go odnaleźć. Plotki, jakie szybko rozeszły się wśród załogi zamku, mówiły o odkryciu w jego pokoju dobrze zamaskowanego wejścia do lochu prowadzącego nad jezioro, co potwierdzał fakt, że patrole z psami przeszukiwały brzegi, ale szybko i o tej sensacji zapomniano. W zamku pojawił się nowy dowódca: Hauptsturmführer SS Sebastian Wolf, pospiesznie i w nieznanym sposobie awansowany do stopnia Sturmbannführera. Niewiele się odzywał, a wydawało się, że bezustannie szuka pretekstu, aby kogoś powiesić. W istocie już trzeciego dnia, na wieść, że burmistrz pobliskiego miasteczka przegonił chłopców z Hitlerjugend, którzy chcieli tam budować gniazdo oporu, kazał go sprowadzić do zamku. Na dolnym dziedzińcu zebrał całą załogę i osobiście kopnął stołek, na którym postawił burmistrza ze sznurem na szyi przywiązany do belki pomostu. Potem przez trzy dni nie pozwolił usunąć zwłok, aż gwałtowny protest lekarza obawiającego się zarazy skłonił go do wyrażenia zgody na pochówek.

- *Abteilung! Achtung!*

Dowodzący oddziałem odwrócił się w stronę schodów, którymi zszedł Wolf w skórzanym płaszczu narzuconym na ramiona. Często tak chodził, demonstrując pewną nonszalancję, na którą nie pozwalał żadnemu z podwładnych.

Stanął w połowie wysokości schodów i odczekał, aż Untersturmführer złoży mu meldunek o stanie oddziału.

-Oddział ma zabezpieczyć drogę na odcinku trzech kilometrów w stronę Marklissy! - odezwał się Wolf. Mówił matowym głosem, w którym co chwila pojawiały się wysokie tony, gdyż chciał być dobrze słyszany.

-Za pół godziny nastąpi przejazd konwoju o szczególnej wartości dla Rzeszy. Na trasie przejazdu nie może być nikogo! W przypadku zauważenia człowieka - strzelać bez ostrzeżenia. Żołnierze, którzy nie wykonają rozkazu, zostaną surowo ukarani! Konwój zatrzyma się w zamku dla uzupełnienia zapasów. Powrót do zamku na mój rozkaz! Wykonać!

Rozumiano, że konwój dotrze do zamku, aby przeczekać dzień, i z nastaniem nocy wyruszy w dalszą podróż.

Wolf ze swojego miejsca na schodach obserwował, jak esesmani w kolumnie dwójkowej wymaszerowali przez bramę dziedzińca na wąski kamienny pomost prowadzący do niewielkiego placu, na którym czekały ciężarówki, aby ich rozwieźć na posterunki wzdłuż drogi prowadzącej do Marklissy.

Gdy umilkł warkot i wiatr rozwiął chmury niebieskich spalin, przez chwilę słychać było kroki dwóch patroli wysłanych nad jezioro i szczekanie psów tropiących, aż w zamku zapanowała niezwykła cisza. Cała załoga została skierowana w teren. Nikt nie miał prawa obserwować tego, co się wydarzy na dolnym dziedzińcu.

Wolf odsunął rękaw płaszcza i zerknął na zegarek. Dochodziła pół do pierwszej i za kilkanaście minut powinien usłyszeć warkot ciężarówek konwoju najeżdżających od strony Marklissy. Zapewne już zbliżały się do miasteczka, choć musiały ominąć je dużym łukiem, gdyż rynek był zapełniony transportami rannych i wozami uchodźców, a więc konwój musiałby wzbudzić zainteresowanie, czego należało za wszelką cenę uniknąć. Wszystko przebiegło zgodnie z jego planem. Rosjanie, powiadomieni o trasie i godzinie przejazdu konwoju, wysłali silny patrol, ale Karp, jak na doświadczonego oficera przystało, zdołał ominąć tę przeszkodę i po odczytaniu rozkazu, który Wolf dla niego przygotował, zmierzał wprost do jego zamku. Bez wątpienia Brigadeführer Spacil,

powiadomiony o sukcesie operacji, kazałby odznaczyć Wolfa. Ale nie będzie o tym powiadomiony!

- Inżynierze Traube! - Wolf odwrócił się i krzyknął w stronę drzwi prowadzących na niewielki dziedziniec aa szczycie schodów. Po chwili stanął w nich niski człowiek w szarym fartuchu na rzuconym na wymięty brązowy garnitur. Chłód kwietniowej nocy sprawił, że na dłonie założył wełniane rękawiczki bez palców. Stał lekko pochylony, jakby chciał zademonstrować, że słucha uważnie i gotów jest wykonać każde polecenie.

- Tak jest, Sturmbannführer...

Wolf podszedł do niego powoli.

- Konwój będzie wkrótce - powiedział. - Przewożą osiem skrzyń.

Traube skinął głową i uśmiechnął się.

-Przygotowałem miejsce dla dwunastu. To arcydzieło sztuki inżynierskiej! - odezwał się przymilnie. Wciąż zachowywał się jak pies, który przyniósł upolowaną zwierzynę i oczekiwał pochwały. Wolf usiadł na niewielkim murku biegnącym wzdłuż schodów i wyjął papierośnicę.

-A kości były? - zapytał, gdy wypuścił dym.

Najwyraźniej nie interesowała go gotowość Traubego do przedstawienia założeń projektowych i szczegółów wykonania. Bardziej frapowała go legenda.

-Kości? - Traube nie rozumiał, o co pyta Wolf.

-Kości, piszczele, czaszki. No, to wszystko po wrzucanych tam kobietach.

-A, studnia niewiernych żon - uśmiechnął się z ulgą. - Nie, nie, to legenda, albo i nie legenda, ale woda wypłukała szczątki. W każdym razie nie znaleźliśmy.

-Dobrze.

Wolf wyrzucił papierosa, choć zapalił go przed chwilą, co w ostatnich dniach wojny, gdy tytoń był szczególnie cennym towarem, wydawało się wielkim marnotrawstwem. Widać to było w oczach Traubego, który miał ochotę natychmiast schylić się po niedopałek, ale pomyślał, że zrobi to później.

Wolf poprawił płaszcz i ruszył w stronę drewnianych drzwi zamykających przejście w murze. Gdy się zbliżył, furtka otworzyła się,

popchnięta przez stojącego tam żołnierza. Był to jeden z czterech, jakich Wolf przywiózł ze sobą, najwyraźniej traktując ich jak ludzi szczególnie zaufanych, wykonujących każdy jego rozkaz. Pozostali, ze szturmowymi pistoletami maszynowymi w dłoniach, stali przy grupce ośmiu jeńców radzieckich siedzących w kucki przy ścianie. Ta pozycja, wydawać by się mogło, bardzo niewygodna i męcząca, im nie przeszkadzała. Kiwali się lekko, całkowicie obojętni, choć było skutkiem zażycia barbituranu, jaki kazał im podać wieczorem. Nie spodziewał się, aby ci żołnierze, wzięci do niewoli pod Lauban, gotowi byli do stawienia oporu czterem uzbrojonym esesmanom, ale bał się Rosjan. Co innego więźniowie trzymani w obozach, gdzie każdy dzień głodu zabierał im Tsily i wpędzał w całkowitą apatię. A ci jeszcze kilkanaście dni temu walczyli, mieli broń, byli silni. Obawiał się, że w jakimś szaleńczym odruchu zechcą podjąć samobójczą próbę uwolnienia się, co mogłoby spowodować niepotrzebne kłopoty.

Podszedł do studni, której kamienna cembrowina była częściowo rozebrana. Spojrzał pytająco na Traubego. Tamten wzruszył ramionami.

- Średniowieczne partactwo. Cembrowina zwięzła się ku górze i mielibyśmy kłopot. Odtworzymy i zamaskujemy w ciągu jednego dnia, tak że nikt nie pozna - wyjaśnił.

Narastający, dobrze słyszalny w nocnej ciszy warkot samochodowych silników dał znać, że konwój zbliża się do zamku. Wolf zerknął na zegarek.

- Punktualni - mruknął.

Zaczynało go ogarniać podniecenie, jakie odczuwał już od paru godzin, ale dopiero teraz przybierało pełną postać. Mógł to porównać do spotkań ze swoim kochankiem, siedemnastoletnim żołnierzem, którego nie było już od kilkunastu dni i o którego szczerze się martwił.

Serce przyspieszało bicie na myśl, że ładunek ciężarówek za kilka godzin zniknie w podziemiach i on będzie jedynym znającym ten sekret. On, wcielenie boga Odyna. Tak uznał już dwa lata wcześniej. Było to w Fürstenbergu, gdy runął strop chodnika i przygniotła go masa kamieni. Zobaczył wtedy Odyna, jak wyszedł z ciemności, wielki, brodaty z włócznią w ręce, i powiedział

„Uratuję cię, gdyż jesteś mną!". I tak się stało. Wydobyto go żywego spod zwałów kamieni, choć w tym samym chodniku zginęło czterech żołnierzy i kilku więźniów. Mimo to długo pozostawał nieufny wobec cudu. Zastanawiał się, czy widzenie nie było halucynacją umierającego człowieka, a ratunek - czystym przypadkiem. Wtedy został odkomenderowany do Tzschochy. Wieść o przeniesieniu nasunęła mu natychmiast skojarzenie, że bóg prowadzi go do Walhalli. Wciąż nie mógł uwierzyć, że właśnie jemu przypisano tak niezwykłą rolę na tym świecie. Aż na ścianie niewielkiego dziedzińca przy zamkowej studni zobaczył na płycie piaskowca wyryty celtycki krzyż. Ukłąkł i rozplakał się. Potem kazał sobie wytatuować na piersiach taki krzyż, aby dawał mu siłę i wiarę. Od tego czasu nie żałował żadnego ze swoich żołnierzy, wierząc, że śmierć jest przejściowym stanem do czasu, gdy walkirie zbiorą ich ciała.

Narastający odgłos silników wskazywał, że ciężarówki mijają kamienny pomost i lada moment wjadą na dolny dziedziniec. To wyrwało go z myśli o tym, jak szybko Odyn wprowadza go do swojego świata mocy.

Skinął na esesmanów, którzy szturchnięciami kolb zmusili jeńców do powstania. Sam ruszył na spotkanie konwoju.

Pierwszy wjechał samochód pancerny, który zatrzymał się z boku bramy, dając drogę ciężarówkom. Tylne drzwiczki otworzyły się i na ziemię zeskokczył major w czarnym mundurze pancerniaka.

- Major Otto Karp - przedstawił się, gdy Wolf podszedł do niego. - Wykonuję rozkaz doprowadzenia do was konwoju.

Wolf skinął głową

- Proszę tu zostać. Tylko ciężarówki mogą tam wjechać - wskazał na bramę prowadzącą na dolny dziedziniec.

Samochody, jeden po drugim, przejechały pomostem do bramy i zniknęły w jej czeluści. Warkot umilkł. Znowu powróciła niezwykła cisza kwietniowej nocy. Tym bardziej niesamowita, że po raz pierwszy od dłuższego czasu walki na froncie ustały. I w tym Wolf też dopatrywał się znaku od Odyna.

-Ilu ma pan ludzi? - zapytał.

-Sześciu zostawiłem do powstrzymania Rosjan. Wątpię, żeby przeżyli. W konwoju pozostało czterech, oprócz kierowców.

-Niech pan tu zaczeka. Zaraz zajmą się panem.

-Wolf odwrócił się i wszedł na kamienny pomost, aby obserwować rozładunek skrzyń. Były długie i dość wąskie, co wynikało z zaleceń Traubego, który zmierzył średnicę studni. Każdą niosło czterech jeńców. Stawiali ją przed studnią i przystępowali do zawiązywania lin i opuszczania skrzyni do wąskiego otworu studziennego za pomocą wielokrążka przymocowanego do kamiennej belki wystającej ze ściany budynku. W tym czasie czterej pozostali wracali do samochodu po kolejną skrzynię. Inżynier Traube wszystko perfekcyjnie przewidział i zorganizował. Bez hałasu, szybko i sprawnie skrzynie były opuszczane w czeluść studni mającej blisko trzydzieści metrów głębokości.

Szkoda takiego fachowca - pomyślał Wolf. Ale nagle otrząsnął się. Nie lubił chwil, gdy wracała ludzka słabość, której Odyn by mu nie wybaczył. Pochylił więc głowę, jakby przepraszając boga.

Gdy wszystkie skrzynie opuszczono w głąb studni, jeńcy ponownie usiedli pod ścianą. Zamarli w bezruchu, jakby nie rozumiejąc, co się wokół nich dzieje. Środek, który otrzymali wieczorem, wciąż działał.

Wolf wszedł na obrzeże cembrowiny i, podtrzymywany przez jednego z esesmanów, postawił nogę na wąskiej ławeczce zawieszanej na linie biegnącej do wielokrążka. Pod nim ziała trzydziesto-metrowa czarna czeluść, w której na samym dnie widać było mdłe światło zawieszanej tam żarówki. Ten widok nie wywoływał strachu. Ponownie narastała fala podniecenia, niemalże seksualnego. Czuł, że Odyn otwiera przed nim nowy krąg wtajemniczenia, którego władcą miał pozostać tylko on. I był szczęśliwy, jak człowiek spełniony, otwierający opakowanie podarunku.

Skrzypnęły koła i linka naprężyła się. Dwaj esesmani zaczęli powoli opuszczać go w głąb studni. Ogarnęła go wilgotna ciemność przesycona stęchlizną i chłodnym powiewem idącym z dołu. Podniósł głowę i zobaczył, jak szybko maleje otwór nad nim.

Buty zanurzyły się w płytką wodę. Zsunął się z ławeczki i w samą porę przytrzymał się linek, gdyż nogi rozjechały się na miękkiej wapiennej glinie pokrywającej dno studni.

- Ostrożnie! Tu jest ślisko! - usłyszał głos Traubego, który ostrzegł go zbyt późno.

Inżynier stał pochylony pod ścianą i trzymał akumulatorową latarkę, najwyraźniej już wyładowaną, gdyż świeciła mdłym światłem.

- Tutaj - powiedział Traube, oświetlając ścianę. - Tutaj, proszę spojrzeć...

Światło padało na kamień, różniący się od innych o tyle, że wystawał bardziej o kilka centymetrów.

- To jest arcydzieło sztuki inżynierskiej i budowlanej - mówił Traube, wskazując na kamień. - On jeden trzyma całą konstrukcję. Gdy go się wybiję, ściana runie, zawałając wejście do komory, ale pozostanie szczelina dla wody.

Wolf skinął głową. Spieszyło mu się do podziemnej komnaty, zachwyty inżyniera go nie interesowały. Niski chodnik po kilkudziesięciu metrach obniżał się i skręcał w lewo. Dalej zwężał się na tyle, że mogli tamtędy przecisnąć się dwaj ludzie niosący wąską skrzynię, aż niespodziewanie zamieniał się w komnatę długości kilkunastu metrów.

- Jesteśmy trzydzieści trzy metry i dwadzieścia centymetrów pod płytą dziedzińca - wyjaśnił Traube postępujący krok w krok za Wolfem.

Przez środek pomieszczenia biegł wąski strumień wody, który wpadał do szczeliny u dołu przeciwległej ściany.

- Pozostawiłem koryto i ujście, aby w przypadku osunięcia się ściany woda nie zalała tego pomieszczenia - informował Traube. Wciąż zachowywał się jak człowiek chępiący się swoimi osiągnięciami i oczekujący pochwał. A może, nieświadom tego, co go czekało, chciał uniknąć losu, jaki miał go spotkać?

Skrzynie ustawione przez jeńców spoczywały na drewnianych podporach chroniących je przed wilgocią. Wolf pomyślał jednak, że po zamknięciu tej komnaty i tak wilgoć będzie się tutaj zbierać.

-Otwory wentylacyjne - wyjaśnił Traube, jakby domyślając się, co zaniepokoiło Wolfa.

-Dokąd to prowadzi?

-Kilkanaście metrów niżej jest grotta. Można powiedzieć, zapasowe wejście...

-To wszystko, inżynierze, co chciał mi pan pokazać?

-Tak, wspomniałem, nieprawdaż?

Głos zamarł Traubemu na ustach. Wolf uderzył go nożem tuż poniżej mostka. Poczuł ciepło krwi przez ciekłą rękawiczkę i przez chwilę pożałował, że jej nie zdjął, ale natychmiast odegnał tę myśl. To była krew ofiarna. Złożył tego zdolnego człowieka w ofierze.

Wyszarpnął bagnet, wpatrując się w gasnące oczy Traubego, który bezgłośnie poruszał ustami, jakby się modlił, i wreszcie upadł wprost do koryta strumyka, który specjalnie pozostawił. Woda, znikająca między skałami, zabarwiła się na czerwono.

Wolf zawahał się, czy nie uderzyć ponownie, aby mieć pewność, że Traube nie żyje, ale wnet przegnał tę myśl. Nawet jeżeli w tym człowieku pozostała jeszcze jakaś iskierka życia, to zgaśnie po krótkim czasie, gdy się wykrwawi. Póthylił się i wytarł bagnet o połę marynarki Traubego. Ruszał się jeszcze, ale Wolf już nie zwracał na to uwagi. Podniósł latarkę i ostrożnie, aby nie poślizgnąć się na zmurszałych kamieniach, zaczął wspinać się do wyjścia, aż doszedł do wystającego kamienia. Sięgnął po inny, leżący obok, przygotowany do tej operacji i zaczął wybijać wystający głaz. Po raz pierwszy bał się, gdyż pomyślał, że Traube mógł być na tyle przebiegły, iż spodziewając się śmierci, przygotował zasadzkę i osuwającą się ścianą przysypie jego zabójcę.

Wapienna skała zaczęła się kruszyć, aż rozsypała się całkowicie, uwalniając kamienną lawinę w odległości kilku metrów od Wolfa. Instynktownie cofnął się pod ścianę, patrząc, jak skalny gruz zasypuje wejście do podziemnego korytarza. Gdy pył opadł, w świetle latarki zobaczył, że na samym dole pozostała szczelina, w której zniknęła struga wody.

- Biedny Traube - powiedział na głos. Ale nie czuł żalu, że musiał go zabić.

Ławeczka była na swoim miejscu, więc dał znać latarką, że gotów jest wyjechać na górę, i usiadł jak mógł najwygodniej. Po chwili esesmani zaczęli wyciągać go z dusznej i wilgotnej czeluści. Wracał do rzeczywistości, ale przepełniony świadomością, że jest w tej chwili strażnikiem świętego sekretu, który powierzył mu sam Odyn.

Dziedziniac, pomijając dwóch esesmanów, którzy pomogli mu zejść z prowizorycznego wyciągu, był już pusty. Jeden z żołnierzy wskazał głową w stronę furtki.

Wolf zeskoczył z cembrowiny i ruszył w tamtą stronę. Misja, którą mu powierzono, musiała być wypełniona do końca. I choć całkowicie polegał na swoich czterech żołnierzach, to nie czułby się w porządku, gdyby nie miał pełnej świadomości, że tylko oni znają tę największą tajemnicę. Wyszedł na schody i spojrzał na dziedzińiec. Dwaj esesmani wpychali na ciężarówkę ciało ostatniego jeńca zawinięte w brezent. < Na kamieniach widać było jeszcze kałuże krwi, jakie powstały po podcięciu im gardeł. Odwrócił się i spojrzał na stojącego za nim żołnierza.

- Bez kłopotów?

Tamten skinął głową, potwierdzając, że wymordowanie ośmiu jeńców przebiegło gładko i bez oporu z ich strony.

- Zawieźcie ich nad jezioro i wrzucicie do wody przy tamie - po wiedział Wolf. - A tamci?

Myślał o Karpie i jego żołnierzach.

-Czekałem na rozkaz.

-Rozstrzelać!

Pomyślał, że powinien już zdjąć rękawiczkę, która, nasączona krwią Traubego, przywarła do dłoni. Gdy wchodził na schody prowadzące do zamku, usłyszał kilka krótkich serii z pistoletów maszynowych. Jego żołnierze dokonali egzekucji.

Otworzył drzwi do gabinetu na drugim piętrze. Przed nim urzędował tu Obersturmbannführer Hans-Jacob Globcke i Wolf uznał, że nie ma co się wysilać na urządzenie nowej kwatery. Jedyne wstawił wygodną kanapę, na której spał.

Zrzucił płaszcz i podszedł do telefonu. Przez kilka minut czekał na połączenie z Furstenberg, aż usłyszał głos Spacila. Miał czas, aby przemyśleć, jaki meldunek powinien nadać. Rozważał przez moment, czy nie poinformować Brigadeführera, że ładunek został zniszczony w czasie bitwy z czołgami, ale szybko odrzucił tę myśl.

-Ptaszek jest w klatce - powiedział.

-Gratuluje, Wolf! Czy zabezpieczył pan tajemnicę?

-Tak jest. Brigadeführer, może pan być spokojny. Całkowicie spokojny.

-Stopień zabezpieczenia ładunku? - dopytywał się Spacil. -Wie pan, myślę o jakimś przypadku, fatalnym zbiegu okoliczności albo poszukiwaniach.

-Brigadeführer, dotarcie do ładunku przez kogoś, kto nie zna planów, wymaga wysadzenia zamku. Proszę być spokojnym.

-Dobrze. Teraz niech pan słucha. W Tzschocherze nic po panu. Otrzyma pan rozkaz wyjazdu. Wtedy pozna pan kierunek. Nie chcę nic więcej mówić przez telefon.

-Tak jest.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Podszedł do barku stojącego pod ścianą i nalał kieliszek koniaku. Nigdy nie lubił tego trunku, ale od dnia, w którym zajął miejsce Globckiego, uznał, że nie wypada, aby dowódca ochrony zamku pił gorszy alkohol.

Usiadł za biurkiem, na któryto stał posążek skradającego się tygrysa. Pomyślał, że powinien znaleźć posążki kruków lub wilków.

- Tak, Hugin i Munin - powiedział do siebie, ale natychmiast porzucił tę myśl. Były to kruki Odyna, więc przywłaszczenie ich mogłoby wywołać gniew boga! Niech zostanie tygrys - uznał i po stanowią zabrać posążek ze sobą, wyjeżdżając z zamku.

Wystarczyło, że bóg oddał mu swoją włócznię Gungnir, przynosząc zwycięstwo stronie, po której walczyła.

27 kwietnia, Blechley Park

Martin Jorg przeszedł zwirową alejką wokół stawu i zatrzymał się przed ławką tuż nad brzegiem. Każdego wieczoru, gdy tylko odstawił kule, starał się odbywać krótkie spacerki, licząc, że zraniona noga szybciej wróci do zdrowia. Pocisk przeszył mięsień i nie wyrządził poważniejszych szkód, ale zanieczyszczona rana goiła się powoli, a ból pojawiał się często i niespodziewanie, sygnalizując, że rekonwalescencja będzie trwała jeszcze długo. Martwiło go to tym bardziej, że chciał jak najszybciej, pod byle pretekstem wyruszyć do Niemiec. Przede wszystkim po to, aby szukać Afgana. Był mu to winien. Nawet, jeżeli miałby odnaleźć jego grób. Anna Maria?

Usiadł na brzegu ławki, uważając, aby nie urazić rany na udzie. Spacer, choć trwający niecały kwadrans, zmęczył go i czuł, że nie starczy mu sił na powrót do pokoju. Spojrzał na zegarek, aby ustalić, jak długo powinien odpoczywać. Dochodziła jedenasta. O tej porze niewielki park otaczający wiktoriańską willę i szeregi baraków tajnego ośrodka kryptologicznego był pusty. Z rzadka tylko można było dostrzec patrol przechodzący wzdłuż ogrodzenia.

Tego wieczoru zaprzętała go inna myśl, która pojawiła się, gdy tylko odłożył dokumenty, które przeglądał każdego dnia, a które dostarczali mu technicy obsługujący „Aparat”. Zauważył, że Brytyjczykom nagle zaczęło się spieszyć. Mógł tylko się domyślać, że liczba depesz wysyłanych z radzieckiej ambasady w Waszyngtonie, a przechwytywanych przez stację nasłuchową w Bletchley, gwałtownie wzrosła, co mogło oznaczać, że radzieccy szpiedzy mają szczególnie dużo do przekazania do Moskwy na temat amerykańskich prac nad bombą atomową. Nie dziwił się, że możliwość odszyfrowania tych depesz wydała się Brytyjczykom darem nadzwyczaj cennym i przymknęli oko na to, że jest Polakiem, a w dodatku oficerem wywiadu, który przez wiele lat działał w Niemczech. Szef ośrodka komandor Edward Travis przyglądał mu się bacznie, gdy spotkał go po raz pierwszy na schodach pałacyku, w którym mieściły się biura ośrodka. Odezwał się wreszcie, jakby chciał go ostrzec:

- Musi pan zrozumieć, że znaczenie tego ośrodka jest wręcz poszukiwał przez chwilę odpowiedniego słowa- ...monumentalne! Tak, monumentalne! Proszę się nie dziwić, że nie wierzymy tu ni komu!

Jorg uśmiechnął się na wspomnienie niedawnych przeżyć, gdy na początku lutego stawił się w zamku Tzschocha przed szefem ochrony Hansem-Jacobem Globckem. Tamten podchodził do niego z taką samą nieufnością.

-Panie komandorze - powiedział Jorg - nie ja się tu napraszałem, ale zostałem odkomenderowany przed wywiad Polskich Sił Zbrojnych na prośbę - zaakcentował to słowo - władz brytyjskich! Powiem, że mam inne plany, które jako żołnierz musiałem odłożyć. Jeżeli więc pan ma zastrzeżenia...

-Ależ, kolego... - Travis podszedł bliżej, wyciągnął rękę, jakby na zgodę, i mocno uściśnął dłoń Jorga. Nie znaczyło to, że od tego

momentu obdarzył go całkowitym zaufaniem. Jorg odnosił wrażenie, że gdy stawał się o szóstej rano do pracy w gabinecie w baraku, za którego ścianą zamontowano „Aparat”, był bacznie obserwowany. Nigdy nie zdarzyło się, aby zostawiono go samego. Nawet kwaterę przyznano mu z sympatycznym Irlandczykiem, gdyż podobno na terenie ośrodka nie było wolnych pokoi.

-A tak na marginesie - Travis nie odmówił sobie drobnej uszczypliwości - poinformowano mnie, że przyjeżdża major Jan Tarnowski, a pan przedstawił się jako Martin Jorg. Jak to jest naprawdę?

-Przez sześć lat byłem Martinem Jorgiem. Przyzwyczaiłem się...

-No widzi pan, panie majorze, wszystko trzeba wyjaśniać.

-Jesteśmy przecież w ośrodku kryptologicznym...

Co mogło wywołać niepokój tego dnia? Od rana przeglądał kilkadziesiąt depech wysłanych z radzieckiego konsulatu w Nowym Jorku i ambasady w Waszyngtonie. W jednej pojawił się pseudonim „Tom”, jaki nie występował w żadnym z dotychczas odczytanych szyfrogramów. Nic to nie znaczyło, gdyż zazwyczaj radzieccy szpiedzy używali kilku pseudonimów równocześnie lub co pewien czas zmieniali je. Mógł być to nowy informator pozyskany przez radziecki wywiad. Nie to musiało wzbudzić niejasne podejrzenie, że depecha jest szczególnie ważna i jest w niej coś zagadkowego, a on jest blisko rozwiązania tej zagadki. To tak jak nieoczekiwane spotkanie na ulicy z człowiekiem, którego twarz była znajoma, a nie dało się ustalić, skąd.

Pamiętał treść. Napis wykonany kopiaowym ołówkiem na górze kartki wskazywał, że depecha została nadana w Ambasadzie Radzieckiej w Waszyngtonie 23 kwietnia 1945 roku.

„Tom przekazał wiadomość, że wywiad brytyjski powiadomił Amerykanów o rejsie niemieckiego okrętu podwodnego U-234, który wyszedł z Kristiansand, Norwegia, 15 kwietnia i kieruje się do Japonii. Brytyjczycy są szczególnie zainteresowani ładunkiem”.

„Tom” musiał więc być informatorem dobrze umiejscowionym w amerykańskim Biurze Służb Strategicznych, skoro dowiedział się o depeszy nadesłanej do Stanów przez wywiad brytyjski. Czyżby to było tak szczególnie ważne? Depesze, które dotychczas odczytywał Jorg, zawierały informacje o amerykańskich badaniach

nuklearnych wykradanych przez radzieckich szpiegów. Dlaczego nagle w tym strumieniu pojawiła się wiadomość o niemieckim okręcie podwodnym? Dlaczego Brytyjczycy ostrzegali Amerykanów, że U-234 wyszedł z norweskiego portu? Należało założyć, że każdego dnia kilka okrętów podwodnych wychodziło w morze, i nie był to powód, żeby informować o tym Amerykanów.

Nie. Nie te okoliczności zwróciły jego uwagę, choć nie należało ich lekceważyć.

Wyjął z kieszeni opakowanie papierosowych bibulek. Obracał je przez chwilę w palcach. Niespodziewanie powróciło wspomnienie spotkania z Natalią w restauracji hotelu „Pod Jeleniem” w Marklissie, gdy podała mu opakowanie papierosowych bibulek.

Uformował bibulkę i wsypał na nią tytoń.

Pod odszyfrowanym tekstem depeszy było kilkanaście zdań, których nie udało się odczytać, więc pozostały mieszaniną cyfr i liter. Przejrzał je pobieżnie, jako materiał, nad którym należało jeszcze pracować. A może tam było coś zastanawiającego, co zwróciło jego uwagę, choć zlekceważył ten sygnał?

Nowa myśl sprawiła, że wsypał tytoń z powrotem do pudełka i zmiażdżył bibulkę. Podniósł się zbyt gwałtownie, co uświadomił mu ból w zranionej nodze. Odczekał chwilę, aż przejdzie, i kuśtykając, ruszył w kierunku baraku numer cztery. O tej porze pracowali tam tylko dyżurni segregujący depesze, jakie napływały ze stacji nasłuchowych.

Otworzył drzwi do swojego gabinetu, oddzielonego przeszkloną ścianą od drugiego pokoju, gdzie nad stertą papierów siedziała Kathleen, piegowata Angielka, która od czasu do czasu rzucała krótkie spojrzenia spod grzywki opadającej na czoło. Najwyraźniej Jorg podobał się jej, ale była zbyt nieśmiała, aby zaznaczyć to w bardziej oczywisty sposób.

Ładna - przyszło mu do głowy, ale nie miał ochoty robić nic więcej. Był w wyraźnie złym nastroju, który wywoływała paskudna angielska pogoda i dokuczająca rana.

Ciekawe, czy ta ślicznotka dostała od Trávisa polecenie pilnowania mnie - pomyślał z niechęcią.

Wyjął z sejfów grubą teczkę z ręczną adnotacją „dekrypty” i szybko odnalazł depeszę, o której myślał.

„Tom” informuje, że wywiad brytyjski powiadomił Amerykanów o rejsie okrętu podwodnego U-234, który wyszedł z Kristiansand, Norwegia, 15 kwietnia i kieruje się do Japonii. Są szczególnie zainteresowani ładunkiem okrętu.

Z dalszej części tekstu, która stanowiła mieszankę liter i cyfr pozbawionych sensu, wyłaniał się jeden wyraz „Brennstoff B”. Nic mu to nie mówiło, ale pojawiała się niejasne przeczucie, że gdzieś spotkał się z tym określeniem. Próba odtworzenia sytuacji, w której mógł słyszeć lub widzieć ten wyraz, wydawała się jednak zbyt męcząca jak na tak spóźnioną porę.

Trzeba być wariatem, żeby o północy przeglądać teczkę dekryptów - powiedział do siebie. Zamknął ją i rzucił z trzaskiem na biurko.

Widocznie zbyt głośno, bo Kathleen podniosła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem. Najwyraźniej dziwne zachowanie Jorga ośmieliło ją, gdyż nacisnęła klamkę i weszła do jego pokoju, co wprowało go w jeszcze gorszy humor. Zupełnie nie miał ochoty opędać się przed zalotami piegowatej Angielki.

- Cześć, Jan - powiedziała od progu. - Widzę, że przeglądasz dekrypty. Zwróciłeś uwagę na numer osiem?

Właściwie nie było to pytanie, lecz stwierdzenie, jakby wiedziała, że ta właśnie depesza o niemieckim okręcie podwodnym powinna go zainteresować.

Wzruszył ramionami, dając znać, że nie uważa tego za sprawę istotną w środku nocy. Wstał i podszedł do sejfu, aby zamknąć w nim teczkę.

Ładna - znów pomyślał o dziewczynie. I natychmiast przyszło mu na myśl, że zachowuje się wobec niej jak gbur.

-Przepraszam - odwrócił się. - Dokucz mi noga i dlatego nie jestem zbyt towarzyski.

-Zauważyłam. A co się stało?

-E, nic takiego. Pamiątka z wojny - mruknął niechętnie i natychmiast uśmiechnął się, gdyż znowu pomyślał, że staje się gburem.

-Myślałam, że przyszedłeś pracować, dlatego zwracam ci uwagę na ten dokument. Sama go opracowywałam. Ale masz rację, to może poczekać do rana.

-Co znaczy „opracowywałam”? - Nagła myśl podsuwała mu rozwiązanie. Czekał na odpowiedź.

-No, tłumaczyłam i szukałam dokumentów powiązanych z tym tekstem...

Jorg otworzył szafę pancerną i wyjął ponownie teczkę. Nie zważając na ból, podszedł szybko do stołu i rozłożył kartki.

- Brennstoff! Brennstoff!

Powtarzał do siebie, co najwyraźniej spłoszyło Kathleen. Była przyzwyczajona do dziwactw kryptologów, ale ten Polak zachowywał się jeszcze bardziej oryginalnie niż oni. Najpierw kuśtykał po pokoju i mówił, że jest w złym nastroju, bo boli go noga, a potem podskakiwał dookoła stołu i gadał do siebie po niemiecku.

Zamknęła drzwi i wróciła do segregowania dokumentów, które umieściła w metalowej puszcze poczty pneumatycznej i wrzuciła do rury, skąd z sykiem sprężonego powietrza pojemnik wędrował do miejsca, które pozostawało tajemnicą.

- Kathleen! - Jorg zastukał w szybę, jakby zapowiadając, że wejdzie do jej pokoju.

Gdy tylko wszedł tam, od razu przysunął sobie krzesło i z wyraźną ulgą usiadł. Ból w nodze ponownie dał o sobie znać.

-Rosyjski szpieg w Stanach dowiaduje się, że wywiad brytyjski nadesłał depeszę informującą o rejsie U-234. Zgadza się?

-No tak - skinęła głową, trochę zdziwiona. Usiadła naprzeciw.

-Oczywiście wywiad brytyjski mógł dowiedzieć się o tym od swojego szpiega w Kristiansand, który zaobserwował wyjście okrętu z portu - mówił dalej Jorg. Był wyraźnie ożywiony.

-To oczywiście - przytaknęła Kathleen.

-Ale wówczas nie wiedziałyby, że okręt przewozi „Brennstoff B”, bo skąd miałby wiedzieć, co jest w ładowni! Możemy przyjąć nawet, że ładunek był tajemnicą dla załogi. Wiedzieli to tylko ci, którzy wysyłali okręt: dowództwo Kriegsmarine i dowództwo flotyli w Kristiansand. Zgadza się?

Kathleen nie odpowiadała. Jorg już zaczynał rozumieć, że nie może odpowiedzieć na jego pytania ani potwierdzić toku rozumowania.

- Proste: wywiad brytyjski potrafi odczytywać niemieckie depesze, bo tylko z nich mógł dowiedzieć się, co jest w ładowniach okrętu! Czyż nie tak?

Kathleen patrzyła na niego bez słowa. Wreszcie wstała.

-Będziesz musiał pójść z tym do komandora Tralisa - powiedziała sucho. - Zrób to rano, ale jutro jest sobota. Może zaoszczędzisz komandorowi kłopotów w weekend?

-Kłopotu odpowiedzi na pytanie o działalność ośrodka Bletchley Park?

Zaczęła uprzątać biurko, dając znać, że skończyła pracę i wybiera się do domu.

- Kathleen, może pójdziemy na wino? - zapytał nagle.

Podniosła głowę i spojrzała na niego jakby zdziwiona, że nie odda je się kontemplowaniu bolącej nogi ani rozważaniom o treści depezy.

-Teraz, o północy? - wreszcie uśmiechnęła się, najwyraźniej rozbawiona nagłą propozycją, która musiała jednak sprawić jej przyjemność.

-Jutro jest sobota, może do pubu? - Nic innego nie przyszło mu do głowy.

-Świetnie! - Kathleen odpowiedziała w sposób wskazujący, że spełniło się jej ukrywane marzenie. Tak odebrał to Jorg. Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Wstał z krzesła.

- To o siódmej?

Zastanowiła się przez chwilę.

-Może parę minut później, o siódmej umówiłam się z moim chłopakiem na przystanku, a droga do pubu zajmie nam parę minut. Fajnie, że się poznacie.

-Ja też się cieszę - Jorg usiłował zachować uśmiech, ale czuł, jak znika z jego twarzy i przeradza się w paskudny grymas.

-Powiedz mi jeszcze, dlaczego zwróciłaś uwagę akurat na tę depezę - zmienił temat, aby nie ciągnąć rozmowy o niefortunnym zaproszeniu.

-Dobrze - odparła po krótkim zastanowieniu - powiem ci, ale bez dalszych wyjaśnień. Wiemy, że tłumaczyłam depezę z dowództwa flotylli okrętów podwodnych w Kilonii zawierającą rozkaz wyjścia w morze dla dowódcy okrętu U-234. Pomyślałam, że może to być coś szczególnie ważnego.

-A to dlaczego?

-Bo rzadko się zdarza, że okręt podwodny zabiera na pokład dwieście czterdzieści ton ładunku! Ale nie znam się na tym, więc

napisałam raport i odeślę go jutro, a tobie zwróciłam uwagę na dekrypt z „Aparatu”, bo może uda ci się odczytać coś więcej.

-Dziękuję - skierował się do drzwi, ale zatrzymał się po kilku krokach.

-Zacznę nad tym pracować. Gdyby to było coś ważnego, to nie będziesz miała za złe, że jutro mogę się spóźnić na to spotkanie w pubie z twoim chłopakiem?

-Ależ oczywiście, że nie, przełożymy to na inny dzień. Praca najważniejsza!

Jorg wolał się nie zastanawiać, czy kpiła, czy też rzeczywiście tak uważała. Znalazł powód, żeby wycofać się z niefortunnej randki i z tego był najbardziej zadowolony.

- Co za dzień - mruknął do siebie. Pomachał Kathleen i wrócił, kulejąc, do stołu w swoim pokoju.

27 kwietnia, Atlantyki

- Peryskop w dół! - kapitan Martin-Heinrich Fehle złożył uchwyty błyszczącej metalowej rury i odsunął się o krok, gdy za szumiały silniki elektryczne opuszczające peryskop.

Zerknął jeszcze na mata siedzącego obok przy pulpicie echosondy, ale ten zsunął słuchawki na skronie i pokręcił głową, dając znać, że nie odbiera żadnych niepokojących sygnałów. Nic nie wskazywało, że gdzieś w pobliżu może czaić się aliancki ścigacz lub niszczyciel.

- Trym plus pięć, wynurzenie na sterach! - rozkazał Fehle. Sięgnął po kurtkę sztormową, którą powiesił na oparciu swego fotela.

Okręt podwodny U-234 lekko przechylił się, unosząc dziób, i po kilkunastu sekundach wypłynął na powierzchnię. To był nowoczesny podwodny stawiacz min typu XB, który ledwo po zwozowaniu i zakończeniu morskich prób wrócił do stoczni w Kilonii, gdzie usunięto tory minowe, wstawiając w to miejsce ładownie, w których okręt mógł przewieźć dwieście czterdzieści ton ładunku.

Dodatkowe zbiorniki na olej napędowy, wodę i żywność dla załogi znacznie zwiększyły jego zasięg, pozwalając okrętowi odbyć sześciomiesięczny rejs, a więc mógł dotrzeć do najdalszych portów na kuli ziemskiej

- Zapisać w dzienniku... - Fehle odwrócił się do trzeciego oficera, który stanął tuż za nim. - 27 kwietnia, godzina dwudziesta trzecia... - spojrzął na duży zegar wiszący wysoko w centrali - ... dwie. Wynurzenie dla przewietrzenia okrętu i naładowania akumulatorów. Planowany pobyt na powierzchni - dwie godziny.

Był to stały rytm rejsu, który rozpoczęli 15 kwietnia 1945 roku w norweskim porcie Kristiansand. Każdej doby przez dwadzieścia dwie godziny płynęli tuż pod powierzchnią, wystawiając nad wodę chrapy, rury doprowadzające powietrze do wnętrza okrętu i do silników, co chroniło okręt przed wykryciem przez wrogie samoloty, a nocą wypływali na powierzchnię na dwie godziny.

Odwrócił się i schwyił za poręcz drabinki prowadzącej do luku wyjściowego. Wspiął się kilka stopni i sięgnął do koła uruchamiającego zasuwę kłapy zamykającej wyjście na pomost bojowy. Ubóstwiał ten moment, gdy okręt wychodził na powierzchnię. Przez szczelinę otwieranego włazu wlewała się woda, która nie zdążyła spłynąć z pomostu, i wpadało ostre morskie powietrze. To była świadomość życia.

Struga wody rozpląnęła się na krawędzi kaptura i opryskała twarz. Sprężyny uniosły klapę włazu, aż zablokowała się na automatycznych zaczepach. Podciągnął się i postawił stopę na śliskim drewnie podłogi pomostu. Tuż za nim wychodzili marynarze wachtowci i Karl Ernst Pfarg, drugi oficer o chłopięcej twarzy, na której, mimo dwutygodniowych wysiłków, nie pojawił się nawet cień zarostu.

- Jakież wiadomości z Niemiec? - Fehle odłożył lornetkę.

Niebo i morze były spokojne. Nic nie zdradzało niebezpieczeństwa, ale nie ufał wrażeniu spokoju. Wiedział, że wrogi samolot może pojawić się nagle, oświetlić okręt snopem światła ze specjalnych reflektorów podwieszonych pod kadłubem i rzucić bomby. Co prawda U-234 był na tyle nowoczesną jednostką, że został wyposażony w urządzenie wykrywające fale radaru, gdyby omiotły go w czasie rejsu na powierzchni, i mógł w ciągu pół minuty skryć

się na głębokość dwudziestu metrów, ale Fehle wołał bardziej ufać swojemu wyczuciu.

-Nic nowego. Berlin broni się. Liczą na odsiecz - wzruszył ramionami Pfarg. Teraz on podniósł lornetkę, aby obserwować horyzont. Niebo było bezchmurne, błyskające światłkami tysięcy gwiazd.

-Kapitanie, mamy taki zapas żywności, że powinniśmy zacumować w jakimś ciepłym porcie na Pacyfiku - Pfarg mówił żartobliwym tonem. - Wojna się kończy...

-Chcesz uciec od Elizabeth? - Fehle udął, że jest rozgniewany tą propozycją. Chłopak miał wkrótce zostać jego zięciem.

-No nie, żartowałem - Pfarg wycofał się szybko, niepewny, na ile poważne jest pytanie kapitana, przyszłego teścia.

Fehle uśmiechnął się, choć doskonale wiedział, że nie był to żart. Słyszał, jak oficerowie z jego załogi rozmawiają szeptem o tym, jaki sens ma dalsza walka, skoro Niemcy leżały w ruinach, a Rosjanie okrążyli Berlin. Udawał, że tego nie słyszy. Tylko on wiedział, że oni, marynarze z tego okrętu, nie będą kontynuować walki, a ich rejs lada dzień dobiegnie końca.

Oficjalnie mieli podążać na południe, aby po okrążeniu Przyładka Dobrej Nadziei przepłynąć na Ocean Indyjski, dalej na Pacyfik i zakończyć długą wyprawę w Japonii, dokąd miał dostarczyć tajny ładunek. Takie były oficjalne założenia.

-Zostaniemy na powierzchni dwie godziny, potem wracamy pod wodę.

-Tak jest! - Pfarg uniósł dłoń do daszka.

Fehle odwrócił się i chwytając oburącz za boki drabinki, zjechał na dół. Postanowił zamknąć się w swojej kabinie i przestudować mapy. Do spotkania na Atlantyku pozostały jeszcze trzy dni.

27 kwietnia, Marklissa

Odległy warkot samochodowego silnika najwidoczniej spłoszył mężczyznę stojącego w podcieniach rynku, gdyż nerwowo cofnął się i ukrył za kolumną. Poprawił kołnierz szarej jesionki,

z którego zwisały nitki po oderwanych karakułach. Wolał nie manifestować swojej zamożności w czasach, gdy wojenna nędza obejmowała niemalże wszystkich Niemców. Poza tym nie chciał zwracać uwagi na siebie w obcym miasteczku. Mieszkał w odległym o dwadzieścia kilometrów Lauban, gdzie jeszcze do niedawna prowadził sklep jubilerski. Aż pewnego dnia na początku kwietnia przyszedł cywil, któremu towarzyszył gestapowiec, postawili na ladzie duże metalowe pudło i kazali zapakować najcenniejsze rzeczy z gabloty za pancernym szkłem. Dali pokwitowanie i zabrali kasetkę, twierdząc, że złoto i biżuteria zostaną ukryte w bezpiecznym miejscu, a otrzyma je z powrotem w odpowiednim czasie. Początkowo sądził, że to urzędowy rabunek, ale po rozmowach z kilkoma bogatymi ziemianami, którzy przed wojną byli jego dobrymi klientami, przekonał się, że rzeczywiście władze przygotowując się do ewakuacji, starały się zabezpieczać majątek co zamożniejszych obywateli.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Łącznik spóźniał się pół godziny, co w wojennych miesiącach nie powinno wzbudzać niepokojów. Niewiele o nim wiedział. Miał to być wysoki mężczyzna w krótkim kożuszkuprzepasanym wojskowym parcianym pasem. Mógł powiedzieć: „Dawno się nie widzieliśmy, panie Horst”, ale nie było to pewne. Informator uprzedził go, że hasło może nie dotrzeć do łącznika, więc nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie wypowiedział żadnego.

Odgłos kroków w uliczce wpadającej do rynku ponownie zaostriżył czujność Horsta. Ujął obydwoma rękami teczkę i przycisnął ją do piersi, jakby chciał uchronić przed wyrwaniem w razie nagłego napadu. Powinien wziąć ze sobą pistolet, ale obawiał się go bardziej niż zawartości teczki. Ostatecznie policjanci w razie kontroli pewnie nie poznają się na wartości jajka, które owinął w szary papier, a widok pistoletu, którym i tak nie wiedział, jak się posłużyć, mógłby wzbudzić ich podejrzenia.

W nikłym świetle jedynej latarni, jaka świeciła się na rynku, dostrzegł wysokiego mężczyznę w krótkim kożuszkuprzepasanym pasem. Odetchnął z ulgą i wysunął się z cienia. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale pomyślał, że tak należy się zachować w tej niecodziennej sytuacji, która napawała go lękiem.

Mężczyzna na jego widok zatrzymał się. Kiwnął głową, co Horst uznał za znak. Hasło nie padło, ale informator uprzedzał go, że to nic nie będzie znaczyło.

- Jestem Horst Stienert - powiedział, jakby chciał sprowokować tamtego do podania hasła.

Mężczyzna ponownie skinął głową. Jego twarz wynurzyła się z cienia. Miał mocno sklepione łuki brwiowe, które rzucały cień na oczy, nadając mu groźny wygląd. Stienert wzdrygnął się. Po raz pierwszy poczuł, że zaplątał się w grę, o której nie miał pojęcia. Uwierzył ludziom, którzy kazali mu to robić, że nic złego go nie spotka. Spodziewał się, że będą go ochraniać. Tymczasem znalazł się sam w nocy w podcieniach rynku z mężczyzną, który budził strach. Rozejrzał się, licząc, że może kryje się gdzieś jego obrońca, gotów w razie potrzeby przyjść z pomocą.

-Czeka pan jeszcze na kogoś? - zapytał mężczyzna. Mówił z wyraźnym rosyjskim akcentem, co jeszcze bardziej spłoszyło Stienerta.

-Nie, nie. Tak tylko patrzę, czy ktoś nas nie śledzi - wyjaśnił szybko. Wolał nie denerwować nieznajomego.

Poczuł się całkowicie bezbronny. Zastanawiał się, czy nie rzucić teczek i nie uciekać, ale powstrzymał się. Szybko ocenił, że nie uciekłyby daleko, zważając, że nieznajomy może mieć pistolet. Jedyne, co mu pozostało, to uwierzyć, że ta przygoda zakończy się dla niego szczęśliwie.

-Niech pan idzie ze mną - odezwał się wreszcie mężczyzna. Wskazywał dłonią uliczkę, z której przyszedł, i ruszył pół kroku za Stienertem. Najwyraźniej chciał mieć go na oku, co pogłębiło niepokój jubilera.

-Mam na imię Karl - powiedział mężczyzna, gdy przeszli kilkadziesiąt metrów. Jego rosyjski akcent, który początkowo tak spłoszył jubilera, wydawał się działać uspokajająco. Przed wojną miał kilku klientów z rosyjskiej emigracji. Oni mieli na względzie tylko wzbogacenie się i zawsze byli lojalni wobec partnerów w interesach.

Minęli hotel „Pod Jeleniem”, ciemny i pusty, i poszli prosto, co wywołało nową falę obaw. Horst wiedział, że w tym kierunku, kilkaset metrów dalej, w jednopiętrowej willi była siedziba gestapo.

Zerknął podejrzliwie na Karla, ale ten nie miał w sobie nic z gestapowca. Wyglądał raczej na żołnierza, który wiele lat spędził na froncie, aż ostatecznie, z pewnych powodów, jak na przykład odniesienie rany, został zwolniony z wojska i zajął się dochodowym interesem.

-Dokąd idziemy? - zapytał, jakby inne wyjaśnienie, niż że do budynku gestapo, mogło go uspokoić.

-Zaraz - burknął Karl. Zatrzymał się i zaczął rozglądać się po okolicznych bramach, aż dostrzegł samochód osobowy w jednej z nich. Podniósł dłoń i wykonał przyzywający gest, co najwyraźniej było umówionym sygnałem, gdyż, zawarczał silnik i błysnęły reflektory zasłonięte kapturami z niewielkim otworami. Karl chwycił Horsta za rękę i puścił dopiero, gdy czarny adler zatrzymał się przy nich, a ktoś z zewnątrz otworzył przednie drzwi.

-Wsiadać - wydał rozkaz. Lekko popchnął Stienerta, a widząc, że ten wsiada bez oporu, otworzył tylne drzwi.

Za kierownicą siedział młody chłopak w wojskowej czapce i mundurze Wehrmachtu bez odznak. Nie reagował na obecność Horsta i gdy tylko zamknęli drzwi, nacisnął gaz i ruszył szybko. Musiał dobrze znać Marklisse, gdyż w niewielkiej smudze światła padającego z zakrytych reflektorów bezbłędnie odnajdywał drogę w ciemnych, wąskich uliczkach.

Horst, czując, że obok Karla jeszcze ktoś siedzi na tylnej kanapie, usiłował odwrócić głowę. W tym samym momencie poczuł, jak w szyję wpija mu się rząd drobnych stalowych zębów nanizanych na linkę, którą napastnik zarzucił mu z tyłu. Na szczęście podniesiony kołnierz uchronił go przed poważniejszymi ranami, choć w kilku miejscach niewielkie ostrza przebiły materię płaszcza i rozciąły skórę.

- Nie, Karl! - usłyszał głos drugiego mężczyzny, twarde, jakby wydający polecenie psu.

Ucisk zelżał. Horst schwycił się za gardło, rozmazując krew na kołnierzyku koszuli. Tak się przeraził, że nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku na znak protestu.

-Może mieć broń, muszę go obezwładnić - odezwał się Karl, **jakby** się usprawiedliwiając.

-Nie tak mocno, bo się wykrwawi - rozkazał mężczyzna.

Za oknem widać było budynek gestapo. Stienert dostrzegł wartownika stojącego w świetle lampy nad bramą. Wydawało mu się, że na widok czarnego adlera podniósł rękę do daszka. Czyżby chciał zaszalutować przejeżdżającym? W tym samym momencie na głowę naciągnięto mu worek śmierdzący owsem.

Samochód skręcił w prawo tak gwałtownie, że rzuciło go na drzwi. Uderzył się boleśnie o klamkę i wtedy uzmysłowił sobie, że wciąż przytrzymuje kurczowo teczkę. Dziwne, że mu jej nie zabrali. Może nie wiedzieli, co w niej jest, albo tak byli pewni władzy nad nim, że nawet go nie zrewidowali.

Droga biegła stromo pod górę. Przez kilka minut jechali szybko szosą, aż wreszcie samochód zaczął zwalniać. Najwyraźniej szukali w ciemnościach odpowiedniego miejsca. Stienert poczuł wilgotny chłód jakby ciągnący znad wody i pomyślał, że jadą malowniczą drogą, którą dobrze znał z niedzielnych wypadów nad jezioro utworzone przez zaporę na Kwisie. To wrażenie pogłębiło się, gdy wyraźnie zwolnili, co wskazywało, że wjechali na tamę i po kilkudziesięciu metrach skręcili w lewo. Jak pamiętał, była tam brukowana droga prowadząca w dół do budynku elektrowni za tamą. W istocie głuche dudnienie opon samochodu po kocich łbach i wyraźnie odczuwalny spadek terenu potwierdziły jego przypuszczenia. Był zadowolony, że tak łatwo identyfikuje trasę, ale po kilku następnych minutach pogubił się. Odniósł wrażenie, że znowu jechali pod górę wąską krętą drogą biegnącą wśród krzaków, gdyż słyszał szorowanie gałęzi po karoserii. Samochód podskakiwał na wybojach, aż zatrzymał się gwałtownie. Drzwi otworzyły się i mocne ręce szarpnęły Horsta za ramię, zmuszając do wyjścia. Potem ktoś ujął go za łokieć i, nie zdejmując worka z głowy, prowadził po wyboistej ścieżce, przy której rosły kolczaste krzaki, co odczuwał po bolesnych ukłuciach kolców, z łatwością przebijających cienki materiał spodni. Skrzypnęły metalowe drzwi i poczuł chłód betonu. Drzwi zamknęły się z głuchym odgłosem pancерnej płyty uderzającej o metalową framugę. Prowadzący go mężczyzna zatrzymał się, aby zdjąć prowizoryczny kaptur, i popchnął Stienerta w stronę drzwi po prawej stronie niskiego korytarza oświetlonego lampami przytwierdzonymi do ścian co kilkanaście metrów. W zatęchłym powietrzu betonowego korytarza unosił się fetor jakby przepełnionej kanalizacji.

Horst rozejrzał się lekliwie. Pamiętał podobny odór podczas eks-humacji ciał ludzi pomordowanych pod Lauban przez żołnierzy radzieckich. Czyżby znaleźli się w podziemnym cmentarzu? Nowa fala strachu ścisnęła mu serce.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, które najwyraźniej służyło za melinę, gdyż pod ścianą stały dwa metalowe łóżka zastłane wojskowymi kocami, a na niewielkim kwadratowym stoliku o pajęczych żelaznych nogach stało kilka puszek konserw i blaszana miska. Nie było tam lamp elektrycznych, więc Karl zdjął ze ściany lampę naftową, zapalił ją i postawił na blacie. Dopiero wtedy Horst, wciąż stojący pośrodku komory, mógł przyjrzeć się drugiemu mężczyźnie, który dotychczas trzymał się za jego plecami. Był wysoki i tęgi, z gładko ogoloną głową, o wyrazistych mocnych rysach. Nie odrywając oczu od Stienerta, wysunął taboret spod stolika i usiadł ciężko, jakby zmęczyła go nocna wyprawa. Wyjął z kieszeni białą chusteczkę i przetarł łysinę. Horst dostrzegł wtedy, że mężczyzna poci się, jakby po wielkim wysiłku. Przez długą chwilę panowała cisza, aż łysy schował chusteczkę do kieszeni i podniósł głowę.

Karl wyszarpnął teczkę, którą jubiler wciąż kurczowo przyciskał do piersi, odłożył ją na stół i szybko przejrzał jego kieszenie.

- Panie Stienert - łysy zwrócił się do Horsta. - Jest pan jubilerem z Lauban, nieprawdaż? - bardziej stwierdził niż zapytał.

Horst przytaknął skwapliwie.

-Co pan miał dać człowiekowi, z którym umówił się pan na rynku?

-Bizuterię. Dużej wartości...

Horst uznał, że wiedzą o nim zbyt dużo, aby kłamać. Zerknął na Karla, który otworzył teczkę i wyjął z niej jajko Faberge owinięte w szary papier oraz woreczek z brylantami. One przykuły jego uwagę, a czując pod papierem obłóć jajka, uznał, że jubiler zabrał ze sobą kolację, więc wrzucił je z powrotem do teczki. Bardziej interesował go płócienny woreczek mocno zawiązany rzemieniem. Obrócił go i rozsypał na stole brylanty. Zajaśniały tysiącem iskier, odbijając światło lampy. Patrzył na nie urzeczony jarzącym się bogactwem.

- Cholera, to musi być ze sto karatów!

Łysy wstał i podszedł do stołu. Zdawało się, że brylanty go nie interesują, lecz uwagę przyciągnął woreczek. Podniósł go, aby lepiej widzieć napisy wytłoczone na płótnie.

Stienert głośno przełknął ślinę.

-Oszukał pan władze niemieckie - mówił łysy, jakby z wyrzutem. - Miał pan zapłacić za fałszywe dokumenty stwierdzające, że jest pan robotnikiem przymusowym. To tak na wypadek gdyby zagarnęli pana Rosjanie. Nie mam o to pretensji. Ale dlaczego za te dokumenty chciał pan zapłacić kradzionymi brylantami?

-Jak to: „kradzionymi“?! - Horst postanowił się nie przyznać.

Łysy podszedł bliżej.

- Panie Stienert - powiedział niemalże dobrodusznie - niech pan nie kłamie, bo będziemy musieli pana męczyć.

Karl, jakby na potwierdzenie tych słów, wydobyl z kieszeni linkę z metalowymi zębami rozpiętą między dwiema krótkimi drewnianymi rękojeściami. Podszedł do stołu i przesunął linką po krawędzi blatu. Zęby wcięły się w drewno z zadziwiającą lekkością.

-Najpierw odetniemy panu palce u rąk. A wtedy powie pan wszystko. Nie lepiej pozostać w całości? - Łysy zaśmiał się. - Powtarzam pytanie: dlaczego kradzionymi brylantami? Kto je panu dał?

-Mogę trochę wody? - Stienert poczuł, że jego usta są tak suche, iż język przykleja się do podniebienia.

Karl podsunął mu manierkę.

-Dwa dni temu przyszedł do mnie mężczyzna, prosząc o sprawdzenie autentyczności dwóch brylantów.

-Miał coś jeszcze?

-Tak, kilka sztabek złota. Też chciał sprawdzić, czy nie oszukane.

-Jak wyglądał?

-Blondyn, średniego wzrostu...

-Cechy szczególne? Blizna, znamię...

-Miał niewielką bliznę na policzku. O tak, w poprzek - Horst pokazał palcem.

Łysy spojrzał na Karla.

-I... dalej co?

-Brylanty i złoto były autentyczne.

- Nie zapytał pan, skąd je miał?

Horst wzruszył ramionami. Ponownie sięgnął po manierkę z zimną wodą.

- Teraz ludzie często przynoszą precjoza. - Głośno przełknął duży łyk wody. - Na chleb, na łapówki. Nie warto nawet pytać.

- Ale tutaj jest kilkadziesiąt brylantów. - Łysy wziął woreczek ze stołu i przez chwilę ważył go w dłoni.

- Ten mężczyzna przyszedł ponownie. Złożył mi propozycję: jeżeli za ten woreczek dostanę dla niego dokumenty, że był więźniem przymusowym i pracował w gospodarstwie pod Lauban, to da mi drugi taki. Zgodziłem się. Zacząłem szukać, kto może załatwić taki dokument. Powiedziano mi o gestapowcu w Marklissie. Znalazłem go. I przyjechałem, żeby odebrać te papiery, i przywiozłem zapłatę.

- A, więc to miały być dokumenty dla niego! Nie dla pana!

- Łysy wydawał się wyraźnie zdziwiony. - No, panie jubilerze, minął się pan o włos ze śmiercią. Straszna śmiercią.

Stienert odetchnął głęboko. Uwierzyli mu, a z ich zachowania wynikało, że nie będą sprawdzać prawdziwości jego słów! Kłamstwo, choć zgrabnie i przekonująco przedstawione, mogło zostać łatwo wykryte. Jak się zorientował, na razie to niebezpieczeństwo nie istniało.

Łysy skinął głową na Karla, a ten szarpnął Horsta za ramię i popchnął go w stronę drzwi. Wyszli do korytarza, który po kilkunastu metrach zwał się i zakręcał w prawo. W świetle latarki widać było niskie metalowe drzwi zamykane na zasuwę, którą najwyraźniej dorobiono bardzo niedawno, gdyż mimo wilgoci panującej w podziemiach rdza nie pokryła jeszcze śrub. Karl odsunął sztabę i otworzył drzwi. Z wnętrza wydobył się straszliwy fetor.

- Bliżej! - rozkazał.

Stienert podszedł niepewnie. Podniósł róg kołnierza, aby zatkać nos przed fetorem, który przyprawiał go o mdłości. Snop światła padł na zwłoki mężczyzn leżące tuż przy drzwiach. Kilkoro z nich w niepojęty sposób miało uniesione ręce, jakby zabici w ostatnim geście chcieli sięgnąć do nieistniejącego zamka i otworzyć drzwi. Widział dłonie z zagiętymi palcami, pokrytymi zielonymi plamami zgnilizny. W wielu miejscach skóra rozstępowała się, ujawniając mięśnie.

Odwrócił się, czując gwałtowny skurcz w żołądku. Oparł głowę o beton. Stróżka wody sącząca się z pęknięcia w chropowatej ścianie przyniosła mu wrażenie ulgi, ale po chwili znieru skurcz zmusił go do wymiotowania.

- Zamknij, za bardzo śmierdzą - usłyszał głos łysego.

Stienert stał z głową opartą o ścianę, nie mając siły, aby się ruszyć.

- Gdybyśmy panu nie uwierzyli, już tam by pan był. - Łysy podszedł bliżej.

Stienert oderwał się od ściany i patrzył przerażony wprost w oczy łysego. Ten machał chusteczką wyciągniętą z kieszeni, aby rozprężyć odór unoszący się w zatęchłym powietrzu podziemnego tunelu.

-Tak, wrzucilibyśmy tam pana, aby skończył pan z głodu. Być może wcześniej umarłby pan z przerażenia. Parę tygodni wśród rozkładających się trupów jest trudne do zniesienia...

-Dlaczego? - Stienert wciąż patrzył prosto w oczy łysego.

-Dlaczego?

-To bardzo humanitarne rozwiązanie. Jeżeli po tygodniu zmienimy zdanie, to możemy darować karę i wyciągnąć skazańca stamtąd. Jeżeli nie zwariował, to jest nam bezgranicznie wdzięczny i robi wszystko, co mu każemy - mówił odwrócony tyłem do Horsta.

Szli szybko w stronę wyjścia. Oni również mieli najwyraźniej dość straszliwego fetoru i chcieli jak najszybciej stąd wyjść.

Zimne kwietniowe powietrze uderzyło z taką mocą, że Stienert zachwiał się. Oddychał głęboko, aby jak najszybciej zapomnieć o tym, co czuł przed kilkoma minutami, ale smród odchodów i gnijących ciał wdarł się tak głęboko, że wiedział, iż szybko nie zapomni.

- Pan też zrobi wszystko, co panu każemy. Prawda, panie Stienert? - Łysy zapalił papierosa.

Horst kilkakrotnie skinął głową potakując. Zachciało mu się palić, chociaż rzucił papierosa trzy lata temu. Wyciągnął rękę do łysego.

- Proszę mi dać papierosa...

Ten wyjął z paczki papierosa, który wsunął mu w usta.

-Karla już pan zna, on będzie się z panem kontaktował.

-Tak, tak - Horst ponownie skinął głową. Zaciągał się dymem, mając nadzieję, że tytoń szybciej usunie trupi odór.

-Na razie wróci pan do Lauban i przekaże temu, który dał panu brylanty, odpowiedni dokument.

-Tylko tyle? - Horst patrzył z niepokojem. Spodziewał się podstępu, ale był już spokojniejszy. Domyślał się, że jest potrzebny tym ludziom, którzy włączali go do jakiejś gry. To nie było teraz najważniejsze. Chciał możliwie najszybciej odjechać jak najdalej od tego straszego lochu.

Wrócili do Marklissy, do tego samego miejsca, z którego wyruszyli.

-Jutro Karl przyjedzie do pana, do mieszkania. Przywiezie dokument, który dostarczy pan temu mężczyźnie.

-To wszystko? - Horst patrzył z niedowierzaniem, jak Karl otwiera drzwi po jego stronie.

-Wszystko, panie Stienert. Na razie.

Samochód odjechał szybko, pozostawiając jubilera na rynku. Wszedł szybko za filar i oparł się o ścianę. Zegar na ratuszowej wieży wybił godzinę dwunastą. To wszystko wydawało mu się koszmarnym snem tak bardzo, że kilkakrotnie potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić. Jednakże nieznośny trupi odór, który wcisnął się w każdą nitkę jego ubrania, przypominał, że to nie był sen, a ludzie, którzy zaciągnęli go do podziemnego grobowca, nie byli marami. Uznał, że to rabusie, którzy zabijali swoje ofiary lub torturowali je w betonowych podziemiach, aby wydobyć informacje o ukrytych skarbach. Nie rozumiał jednak, dlaczego wypuścili go żywego. Czyżby zorientowali się, że nie był zwykłym jubilerem z Lauban, który przypadkowo zaplątał się w kryminalną aferę, lecz wykonywał zadanie, więc woleli nie zadzierać z jego mocodawcami?

Uznał, że nie ma co zastanawiać się nad tym, gdyż wcześniej czy później wszystkiego się dowie. Zdjął płaszcz i kilka razy poruszył nim energicznie, jakby chciał strzepnąć mdlący odór. Potem założył go, choć nie zapinał, i poszedł szybko pod murami kamieniczek do samochodu, który zostawił na placu przed kościołem.

28 kwietnia, Bletchley Park

-Panie komandorze, słowo... - Jorgiak mógł najszybciej kuśtykał w stronę komandora Trvisa, który wysiadł z samochodu przed drzwiami wiktoriańskiego pałacu w Bletchley Park, gdzie mieścił się jego gabinet.

-Widzę, że porusza się pan coraz sprawniej. - Komandor wyciągnął rękę na powitanie. - Piękna pogoda, nieprawdaż?

Nie znam Anglika, który witając się nie mówiłby o pogodzie -pomyślał Jorg.

-Mam ważną sprawę - powiedział, odwzajemniając uścisk.

-Panie kolego, za parę minut zaczynamy naradę. Spotkajmy się za dwie godziny...

-To bardzo pilna sprawa. Być może od tego zależy powojenny świat!

Komandor spojrzał na niego z uśmiechem.

- Ja nie żartuję, panie komandorze.

Ton Jorga wskazywał, że rzeczywiście daleko mu do żartów.

-O co chodzi?

-Na Atlantyku jest niemiecki okręt podwodny U-234, którego ładunek może stać się ważnym elementem powojennej polityki.

Komandor ponownie zerknął na zegarek i wskazał ręką drzwi.

- Chodźmy do mnie.

Gabinet komandora Trvisa mieścił się na pierwszym piętrze tuż obok schodów, które mimo trudnych wojennych czasów nie straciły nic ze swojego wiktoriańskiego uroku.

Travis zamknął drzwi obite skórą i wskazał na fotel przed biurkiem. Gabinet, choć skromny, umeblowany był w dobrym stylu, który tworzyły biurko i dwa fotele, stanowiące dobraną całość na tle pięknej bukowej biblioteki. Wszystko świadczyło o wyrafinowanym smaku komandora, który najwyraźniej dostrzegł, że jego pokój zrobił wrażenie na Jorgu.

-Przeniosłem to z mojego londyńskiego domu, gdy się okazało, że tutaj będę spędzał więcej czasu niż tam. No, słucham pana.

-Mam depesze odczytane przez „Aparat” czy „Rybę miecz”, jak tę maszynę nazywali Amerykanie. Nadał ją rosyjski szpieg

w Waszyngtonie, który donosi o rejsie okrętu podwodnego U-234. Podał, co przewożą.

- Przepraszam, ale nie rozumiem alarmu, jaki pan wszczął...

Jorg uniósł dłoń w geście proszącym, aby Travis pozwolił mu skończyć.

- Okręt wyszedł z portu Kristiansand piętnastego kwietnia, a więc kilkanaście dni wcześniej dowództwo stacjonującej tam flotylli musiało otrzymać spis materiałów, jakie miały być załadowane do tego okrętu...

Jorg zawiesił głos, czekając na reakcję Trávisa. Ten skinął głową.

-To się rozumie samo przez się.

-A my odczytaliśmy tę depeszę dla dowództwa flotylli.

-Skąd pan tak wnioskuje?

-Z biegu wydarzeń: wywiad brytyjski poinformował Amerykanów o wyjściu w morze U-234 oraz o ładunku, jaki okręt ten przewozi. Ten brytyjski telegram trafił do rąk rosyjskiego szpiega, który powiadomił o tym Moskwę. Muszę mieć tę niemiecką depeszę dla dowództwa flotylli z Kristiansand wyszczególniającą, jaki ładunek przewozi U-234!

-Panie majorze... - Travis podszedł do okna, jakby chciał sprawdzić, czy przybywają już oficerowie na naradę. W rzeczywistości chciał mieć chwilę na rozważenie odpowiedzi. Wydawało mu się niestosowne ukrywanie przed człowiekiem pracującym w Ble-tchley Park, że odczytywano tam niemieckie depesze, ale oficjalnie nie mógł tego przyznać. Szukał najlepszego wyjścia z tej sytuacji. Wreszcie odwrócił się i oparł o parapet.

-Czy wie pan, ile tygodni zajmie przyznanie panu certyfikatu umożliwiającego dostęp do materiałów „Ultry”?

-Nie mam pojęcia.

-Co najmniej sześć, a szanse, że taki certyfikat pan otrzyma, są bardzo, bardzo niewielkie.

-A pan rozumie, jakie znaczenie ma wyjaśnienie sprawy U-234?

-Tak! I mogę tylko podziękować panu za zwrócenie na to uwagi. To wszystko, co mogę!

Odwrócił się do Jorga.

Na pewno zaraz powie, że mu przykro - pomyślał Jorg.

-Przykro mi, panie kolego, ale takie są procedury - powiedział twardo Travis. Było oczywiste, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

-I jeszcze jedno - zatrzymał Jorga zmierzającego do drzwi. -Nie radzę nikomu wspominać, że w tym ośrodku odczytano niemiecki szyfrogram. W przeciwnym wypadku będzie pan miał duże nieprzyjemności. Niech pan to potraktuje bardzo poważnie!

-Tak jest! - Jorg zasalutował i wyszedł z gabinetu.

Czuł się upokorzony, ale najbardziej bolesna była myśl, że dotarł do tajemnicy, której rozwiązanie mogło mieć ogromne znaczenie. Tak wielkie, że nawet nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Wyszedł na korytarz, ale po chwili zapukał do drzwi Trávisa i nie czekając na zaproszenie wszedł.

- Panie komandorze, jeszcze jedno - mówił szybko, aby Travis mu nie przerwał. - Przez kilka miesięcy penetrowałem niemieckie ośrodki badawcze na Dolnym Śląsku. Wiem, że macie znakomitych

fachowców, ale oni nie mają wiedzy, którą ja mam, a która może okazać się niezbędna do rozwikłania tej sprawy.

Travis wstał zza biurka i podszedł do niego.

- Rozumiem pana, ale muszę przestrzegać procedur. A one na kazują mi powiedzieć: dziękuję panu za zwrócenie nam uwagi na ważny problem niemieckich zbrojeń.

28 kwietnia, „Eight Belles*’

Graham, narzeczony Kathleen, okazał się sympatycznym dryblasem, grzecznym i nieśmiałym, który niechętnie mówił o sobie. Po pierwszej godzinie spotkania Jorg wciąż nie umiał powiedzieć, czym chłopak się zajmuje. Szybko przestał tego dociekać, uznając, że również on był zaangażowany w tajny projekt związany z Blechley Park.

Siedzieli przy okrągłym stoliku w kącie zatłoczonego i zadymionego pubu „Eight Belles”, który w ocenie Jorga miał jedyną zaletę, jaką była bliskość ośrodka. Może z tego powodu trudno tu

było spotkać kogoś z kadry, gdyż wszyscy starannie unikali miejsca położonego zbyt blisko.

Pili drugą kolejkę mocnego piwa ale o nazwie Golden Pride, które zupełnie Jorgowi nie smakowało. Skoro jednak Kathleen i Graham jednogłośnie stwierdzili, że musi poznać prawdziwe angielskie piwo, warzone w niezmienionej recepturze od początków osiemnastego wieku, nie śmiał odmówić. Był zadowolony, że przyjął zaproszenie Kathleen na spotkanie z nią i jej chłopakiem, choć z początku nie miał na to ochoty. Gdy jednak nadszedł sobotni wieczór, a do pokoju wrócił rozgadany Irlandczyk, wołał wymknąć się, aby uniknąć rozmów o losie jego narodu, który mimo wielu krzywd zaznanych od Anglików stanął dzielnie do walki z nazizmem.

-Widywałam cię w lepszym humorze - nagle stwierdziła Kathleen. - Wspomnienia z wojny?

-Nie, wspomnienia z porannej rozmowy z Travisem - mruknął Jorg.

-Nie pozwolił ci przeczytać depeszy, która tak cię interesowała.

-Czy wy zawsze musicie o pracy? - Graham poniósł się. - Na szczęście muszę iść do toalety, więc sobie pogadacie.

-Nie interesuje mnie depesza, ale wykaz ładunków U-234.

-Jorg wzruszył ramionami. - Wiem, że nie mogę dostać całej depeszy, chcę zobaczyć tylko wykaz. Muszę wiedzieć, co ten cholerny okręt przewozi!

-Mogę ci to powiedzieć - Kathleen zerknęła na boki.

Jorg zauważył to i nagle pomyślał, że Graham nie odszedł przypadkowo.

Zapewne obserwuje nas z ukrycia i wróci, gdy Kathleen da mu znak - pomyślał.

-Listę ładunkową wysłano z Berlina do Kristiansand jedenastego kwietnia. Wynika z niej, że U-234 miał zabrać rozłożony samolot odrzutowy Me 262 i rakietę Hs 293 oraz kompletną dokumentację techniczną samolotu raketowego „Komet”. To wiemy. Jednakże na pokład przeniesiono coś, czego nie wiemy, gdyż wszystkie nazwy są zakodowane. Jedyne co odczytaliśmy to „Haspekerne”. Sześć innych pozycji nosi nazwy kodowe, czyli nie wiemy co to.

-Pamiętasz te nazwy?

-Proszę bardzo: Kolonia, Habsburg, Wolf, Brennstoff B...

Drgnął. Znowu wróciły do niego tajemnicze słowa i męczące przekonanie, że musiał gdzieś widzieć napisaną, tę nazwę „Brennstoff B”. Wciąż nie potrafił tych liter umiejscowić w żadnej z okoliczności, które przychodziły mu na myśl. Oznaczały „paliwo”, więc napis taki powinien widnieć w miejscu, gdzie paliwo mogło być. Jakie paliwo: benzyna, olej napędowy?

-Kathleen - Jorg podniósł się z krzesła, widząc, że do stolika wraca Graham - muszę iść, żeby to rozważyć.

-Co cię tak poruszyło?

-„Brennstoff B”, widziałem gdzieś taki napis. Jestem tego pewien, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Przywołuję różne sytuacje, ale ciągle nie znajduję odpowiedzi. Powiem ci, że to cholernie męczące. Idę więc.

Miał nieodparte wrażenie, że musi jak najszybciej wyjść z ciemnego i zadymionego pubu, gdzie pogłós kilkadziesiąt rozmów piwoszy nawykłych wymieniać uwagi całą mocą gardła uniemożliwiając spokojne rozważenie wspomnień.

- Graham - wyciągnął rękę do chłopaka, który wracał do stolika - idę. Dziękuję za miły wieczór.

Zrobił krok w stronę wyjścia, ale natychmiast się odwrócił.

-Sądzę, że to cholernie ważny wieczór, a szczerze mówiąc, mam nieodparte wrażenie, że pakuję się w jakąś kabałę.

-I za to nam dziękujesz?

Kathleen wydawała się szczerze zdziwiona.

- Tak, bo już mi się zaczęło nudzić.

Pomachał im na pożegnanie i kuśtykając, zaczął przeciskać się do wyjścia.

Myśl stawała się coraz bardziej natrętna. Przebiegał pamięcią za-kamarki Tzschochy, ale w żadnym nie mógł umiejscowić tych liter.

Zatrzymał się. Pomyślał o podziemnym laboratorium, do którego wdarł się w czasie pożaru. Czy tam widział napis? Odsunął się na bok, dając przejście grupie mocno już pijanych mężczyzn, którzy wyglądali jak zdemobilizowani żołnierze, a w dodatku, straszliwie fałszując, śpiewali *It is a long way to Tipperary*, co mogłoby wskazywać, że są Irlandczykami. Zdecydowanie nie powinien rozważać swojego problemu w sobotni wieczór w pubie. Odwrócił się jeszcze raz do Kathleen i Grahama, aby pomachać im na do widzenia.

Jak powiedziała? - przypomniał sobie, że Kathleen wymieniając nazwy kodowe, wspomniała „Haspekerne”. Wrócił do stolika, co najwyraźniej rozbawiło Grahama i Kathleen.

-Nie idź do toalety - położył rękę na ramieniu Grahama. Kątem oka dostrzegł, że Kathleen zaczerwieniła się, rozumiejąc, że Jorg przejrzał jej grę.

-Powiedziałaś „Haspekerne”? - zapytał.

-Tak, w depeszy było takie słowo.

-To błąd. Źle odczytaliście. Powinno być „Kernehaspes”

-Co to?

-W dowolnym tłumaczeniu „zacisk rdzenia”.

-Może jednak pójść do toalety. - Graham podniósł się z krzesła.

-Co to? - powtórzyła Kathleen.

- W języku niemieckim *kerne* oznacza atomowy.

Jorg wyprostował się.

- Już sobie idę - powiedział do Grahama. Czuł, że jest coraz bliżej zlokalizowania napisu „Brennstoff B”.

Rozwiązanie pojawiło się nagle w środku nocy. Tak nagle, że nie był pewien, czy przypadkiem mu się nie przyśniło. Zerwał się z łóżka może zbyt gwałtownie, gdyż zza ściany doleciał go głos współlokatora zaniepokojonego hałasem w środku nocy.

-Wszystko okay, Jan?

-W porządku, nie przejmuj się.

Nie miał czasu narzucić szlafroka, którego zresztą używał rzadko, i boso, w podkoszulku i bokserkach, wybiegł na korytarz, gdzie na niewielkim stoliku stał telefon na dużej puszcze, do której trzeba było wrzucić monetę, aby uzyskać połączenie.

- Cholera!

Nie miał przy sobie ani szylinga, a co gorsza, zastanawiał się, czy w pokoju ma jakieś drobne. Zwrócenie się o *to do* współlokatora narażało go na długie rozmowy o stosunkach Irlandia-Anglia. Na szczęście znalazł kilka monet i szczęśliwy wrócił do telefonu. Nurtowała go tylko jedna myśl, czy zdoła odnaleźć komandora Howarda Compaigne'a. Co prawda miał jego telefon w Londynie, ale nie wiedział, czy już stamtąd nie wyjechał.

- To znowu ty! - usłyszał zaspany głos, z którego przebijała wyraźna złość.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zapytał szczerze zdumiony Jorg.

W słuchawce zapadło milczenie, najwyraźniej Howard zastanawiał się, czy dobrze rozpoznał głos.

-A kto może do mnie dzwonić o tej porze, jak nie Czerny!

-Howard wrzasnął do słuchawki.

-Przepraszam...

-Nie przepraszaj, tylko powiedz, dlaczego do mnie dzwonisz zawsze w środku nocy?! Co ja ci zrobiłem?

-Przepraszam, Howard, mylisz mnie z Andrzejem. Martin Jorg mówi...

-A... - Compaigne najwyraźniej dochodził do siebie. - Dobrze, to wobec tego czy wszyscy Polacy muszą mnie budzić? Do cholery! Czy nie potraficie zadzwonić do porządnego płacącego podatki Amerykanina o normalnej porze?!

-Nie wiem czy wszyscy, ale ja muszę. Poza tym przestań zrędzić i słuchaj, bo kończą mi się monety, a sprawa ważna!

-Czyli nie mam czasu, aby oprzytomnieć ani rugać cię dalej. Sen był piękny. Pytaj.

-Zdjęcia, jakie robiłem w czasie pożaru w podziemnym laboratorium.

-Jakie zdjęcia?

-Przekazałem wam negatyw, gdy dotarliście do mnie do Tzschochy. Pamiętasz? Trafiły do Joanny?

-Ach, tak. Trafiły.

-Masz do niej telefon?

-Ona jest w Normandii, chyba wyjechała tam na zawsze...

-Howard, na Boga, kończą mi się monety!

-Poczekaj...

Jorg patrzył z niepokojem jak ostatnia moneta znika w otworze automatu. Została mu niespełna minuta rozmowy.

- Mógłbyś się pospieszyć? Proszę, Howardziuniu. Pospiesz się, do cholery!

Po chwili usłyszał jak Howard podnosi słuchawkę.

-Notuj.

-Cholera - rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł ołówka ani kartki.

-Nie mów, że nie masz jak zapisać, więc zadzwonisz za chwilę
- Compaigne zdawał się rozumieć sytuację. - Budzić człowieka w środku nocy to proszę bardzo, ale przygotować się do rozmowy to już nie. Polacy!

-Przestać zrzedzić. Mów!

-Normandia Borg 37.

-Myślałem, że trudniejszy. To śpij...

Ciche trzaśnięcie w słuchawce oznaczało, że opłacony czas rozmowy się skończył.

- Na pewno to rozumie - powiedział Jorg, odkładając słuchawkę na widelki.

Spojrzał na duży ścienny zegar wiszący przy wąskich schodach prowadzących na strych. Wskazywał czwartą nad ranem. Było zdecydowanie za późno, aby dzwonić do Joanny. Na pewno zrozumiałaby pośpiech, ale niewiele by na tym zyskał. Ponadto nie miał monet, aby opłacić rozmowę.

Nie spał do rana, starając się wyłowić z pamięci każdy szczegół akcji w zadymionych tunelach podziemnego laboratorium. Odnosił wrażenie, że napis widział na metalowych drzwiach odgradzających od korytarza niewielkie pomieszczenie z pancerną szybą. Mogło mu się jednak tylko wydawać. A musiał mieć pewność, zanim poszedłby z tą rewelacją do komandora Trávisa. Poza tym była jeszcze jedna trudność: jak wytłumaczyć szefowi ośrodka Bletchley Park, że poznał ściśle tajną treść depešy? Nie mógł przecież wskazać na Kathleen jako swojego informatora, gdyż mogłoby to mieć fatalne dla niej konsekwencje. Co prawda uważał, że za jej gadulstwem krył się Travis, który tą drogą postanowił przekazać mu informację, ale pewności nie miał.

29 kwietnia, Normandia

Wraki czołgów na poboczu normandzkiej drogi dawno się wypaliły, ale wciąż wydawało się, że w powietrzu unosi się swąd tłących się szmat, gумы i prochowego dymu. Dwa shermany z brytyjskiej

dywizji stały przechylone na bok w miejscu, gdzie dosięgły je pociski niemieckiego niszczyciela.

Joanna otworzyła okiennice niewielkiego domu stojącego nieco z boku głównej ulicy Ver-Sur-Mer, wioski oddalonej o kilka kilometrów od plaży, na której 6 czerwca 1944 roku o świcie wylądowali żołnierze brytyjskiego XXX korpusu i skąd ruszyli w stronę Caen.

Ściągnęła włosy do tyłu i zawiązała je tasiemką, przeglądając się w szybie otwartego okna. Widziała twarz przedwcześnie postarzałej kobiety z nitkami siwizny na ciemnych, mocnych włosach. Na jej twarzy można było wyczytać ślady tragedii, która musiała dotknąć ją z wielką siłą, aczkolwiek nigdy się z niej nie zwierzała ani nie skarżyła, jak bardzo głęboko ból wszedł w nią i jak często powracał w sennych koszmarach.

Odwrociła się szybko i spodziewając się nadejścia fali chłodu, zwiastowanego przez ciemne chmury idące od morza, włożyła wojskową kurtkę, a stopy wsunęła w wysokie wojskowe buty. Trzymała się prosto i poruszała z wdziękiem zdradzającym staranne wychowanie w dobrej szkole, gdzie nauczyciele wpajali nawyki, które pozostawały na całe życie.

Spojrzała na dalekopis stojący w rogu kuchni, sprzęt, którego obecność wydawała się dziwna w normandzkiej zagrodzie. Niezadrukowana kartka papieru sterczała nad czarnym gumowym wałkiem, aby przyjąć wiadomość, której Joanna spodziewała się już od poprzedniego wieczoru.

Wyszła do sieni, gdzie na długiej skrzyni leżały narzędzia ogrodnicze wskazujące, że ich właścicielka lubi prace w ogrodzie. W istocie za murowaną stodołą był niewielki skrawek ziemi, z którego usunęła kamienie, nawiozła obornikiem i założyła poletko wiosennych kwiatów, co w ostatnich dniach wojny wydawało się czymś szalonym. Ludzie sadzili zgniłe połówki ziemniaków, aby uratować się przed głodem, jaki opanował Europę w ostatnim roku wojny. A Joanna hodowała kwiaty, które tej wiosny wypuściły tak wiele pąków, że wkrótce ogród miał pokryć się dziesiątkami kolorów.

Mężczyzna siedzący na kamieniu przy bramie odsunął czapkę do tyłu i lekko skinał głową, witając Joannę, która odpowiedziała machnięciem ręki, co również można było odczytać jako znak potwierdzający, że wszystko jest w porządku. Mężczyzna poprawił

amerykański karabin M1 z przyciętą lufą, luźno wiszący na pasku przerzuconym przez ramię, i wrócił do obserwowania drogi.

- Jean-Paul! - krzyknęła Joanna. - Będzie padać, weź pelerynę.

Odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął lekceważąco.

Zapomniałam, że Normandczycy kochają deszcz, jak żaby staw - powiedziała do siebie i przystawiła krótką drewnianą drabinę do ściany stodoły, na którą poprzedniej jesieni puściła pnącza, aby szaremu budynkowi nadać trochę koloru rozkwitających kwiatów.

Odległy warkot samochodu odwrócił jej uwagę od rozpinania łodyg na drewnianej kratce przyczepionej do kamieni ściany. W tej spokojnej wsi, leżącej z boku głównych traktów biegnących wzdłuż wybrzeża, widok samochodu nie był częsty i jednoznacznie wskazywał, że przybywa ktoś mający właśnie tam sprawę do załatwienia. Z reguły byli to urzędnicy z Caen, którzy musieli dojechać, gdy szwankowała łączność telefoniczna i nie mieli innego sposobu przekazania ważnych pism.

Z wysokości drabiny dostrzegła czarnego humbera, jaki wyłonił się zza zakrętu, mijając dwa spalone czołgi. Już marka pojazdu wskazywała, że nie jedzie w nim urzędnik z Caen. Ci poruszali się z reguły Citroenami z jednym reflektorem, gdyż tak nakazywała im narodowa дума, albowiem nic innego nie uzasadniało korzystania z pojazdu angielskiej marki.

Jean-Paul, słysząc samochód, podniósł się z kamienia i stanął obok masywnego słupka bramy, który w razie konieczności zapewniłby mu osłonę. Był skupiony, jak myśliwy idący tropem rannego dzika. Zerknął gniewnie na Joannę, która wciąż stała na drabinie, stanowiąc widoczny cel. Nie odważył się jednak nakazać jej, aby się ukryła, choć miał wielką ochotę na nią krzyknąć.

Samochód wjechałszy do wsi, zwolnił, gdyż najwyraźniej kierowca poszukiwał określonego adresu. Im bliżej był zagrody Joanny, tym jechał wolniej, aż zatrzymał się dokładnie przy bramie. Jean-Paul, z karabinem gotowym do strzału, odsunął się jeszcze bardziej za słupek i obserwował mężczyznę, który wysiadł z samochodu. Tuż za nim wyszedł kierowca, który rozejrzał się dookoła, oparł o maskę i zapalił papierosa. Zachowanie tych dwóch ludzi było tak swobodne, że Jean-Paul zdecydował się opuścić karabin, acz nie wypuszczał go z ręki i nie zabezpieczał. Wyszedł zza słupka.

- Taaak... - powiedział, zachęcając mężczyznę, który zmierzał do bramy, aby ten przedstawił się lub przynajmniej podał cel wizyty.

Joanna z wysokości drabiny przypatrywała się przybyszowi, nie przypominając sobie, aby kiedykolwiek go spotkała. W mundurze bez odznak wyglądał jak zdemobilizowany oficer armii brytyjskiej. Szczupły i wysoki, o pociągłej twarzy, z ciemnymi włosami gładko zaczesanymi na bok, poruszał się sprężysto, co zdradzało wojskowy trening.

-Taaak... - powtórzył Jean-Paul, najwyraźniej przyjmując, że przybysz jest obcokrajowcem i nie zrozumie jego normandzkiego języka.

-Poszukuję pani Joanny - wreszcie odezwał się mężczyzna po francusku, acz z wyraźnym angielskim akcentem.

Jean-Paul odwrócił się. Z ulgą skonstatował, że Joanna zeszła z drabiny, a dostrzegając jej przyzwalający gest, odsunął się z drogi, choć wciąż trzymał karabin w gotowości.

- Jestem major Felix Cowgill - przedstawił się mężczyzna. - Proszę, aby pani poświęciła mi kilkanaście minut spokojnej rozmowy.

Joanna podała mu rękę.

- A czegoż to szef kontrwywiadu Jego Królewskiej Mości może chcieć ode mnie, prostej mieszkanki normandzkiej wsi?

Cowgill nie odpowiedział, aż weszli do domu, gdzie od razu zwrócił uwagę na dalekopis pod oknem.

-To jest, jak widzę, typowe wyposażenie domów prostych mieszkańców normandzkich wsi... - uśmiechnął się. Położył czapkę na stole i usiadł na krześle, które wskazała Joanna.

-Wie pan o mnie wszystko? - zapytała.

-Wystarczająco, aby odnaleźć panią w tej spokojnej wsi. Pięknie tu, ale chyba nudno...

-Panie majorze, ja nie chcę wracać do tego, co robiłam w czasie wojny - powiedziała twardo, oschle. - Ani do tego, co mnie zrobiono - dodała po chwili. - Wojna się skończyła. Skończyła. Cowgill wyciągnął z kieszeni papierośnicę.

-Pozwoli pani? - spojrzał na Joannę, podnosząc papierosa.

-Proszę, niech pan pali - odwróciła się i sięgnęła po dużą metalową popielniczkę stojącą na kredensie.

Milczał przez chwilę, jakby całkowicie pochłonięty ugniata-
niem papierosa. Zapewne chodziło mu o nadanie słowom, które
miały paść, szczególnego znaczenia.

- Napije się pan herbaty? - Joanna wstała od stołu, aby włą-
czyć czajnik.

Nie czekając na odpowiedź, wetknęła wtyczkę kabla od meta-
lowego czajnika do gniazdka i stanęła obok, czekając aż woda się
zagotuje.

-Czegóż to kontrwywiad brytyjski chce ode mnie? - powtórzyła
pytanie. - Wojna dobiega końca.

-Nie! - Powiedział to tak stanowczo, że spojrzała na niego
zdziwiona. - Nie! Ta wojna sięgnie końca. Ona przechodzi w
inną fazę.

Joanna odwróciła się, aby nalać wrzątku do porcelanowego im-
bryka. Wróciła po chwili do stołu.

-Jak pan to rozumie?

-Ludzie, którzy stworzyli Trzecią Rzeszę, przygotowują się do
przekształcenia jej w Czwartą Rzeszę.

-A gdzie miałyby powstać? Na gruzach Hamburga czy Kolonii,
które wasze bombowce zrównały z ziemią? A może w Berli-
nie?

-Terytorium nie jest ważne. Społeczeństwo tej Czwartej Rzeszy
mają utworzyć... - uśmiechnął się - najlepsi synowie narodu
niemieckiego. Esesmani! Ich liczbę ocenialiśmy na milion.
Walczyli z fanatycznym poświęceniem, więc ginęli jak muchy i
do końca wojny ich liczebność może zmniejszyć się nawet o
połowę. Pozostanie pół miliona fanatyków. Zapewniam panią,
że jest się go bać.

-Wiem, dobrze wiem - powiedziała głucho Joanna. Przez
chwilę można było odnieść wrażenie, że wróciła gdzieś do
straszego dla niej czasu. Przeciągnęła dłonią po włosach.
Dostrzegł jej krótko przycięte paznokcie, co wyraźnie
kontrastowało z pięknymi, wypielegnowanymi dłońmi.
Dostrzegła jego wzrok.

-Wbijali mi szpilki pod paznokcie - szepnęła tak cicho, że led-
wie usłyszał jej słowa.

Szybko się opanowała.

- Przepraszam...

Cowgill czuł, że natrętne spojrzenie uraziło tę kobietę.

- Nie, nie. - Była spłoszona jego zażenowaniem i swoją chwilą słabości. - Niech pan mówi dalej...

Położyła ręce na kolanach.

Milczał przez chwilę, poszukując utraconego wątku.

-Tym bardziej że SS ma gigantyczne fundusze. Mogą za nie kupić każdego i wszystko. Mam meldunki, że uciekają do Argentyny. A tam minister wojny Juan Peron czeka na nich z otwartymi ramionami.

-A to dlaczego?

-Chce z nich stworzyć swoją siłę. Jest więc kraj, w którym odrodzi się Rzesza Niemiecka.

-Zaciekawia mnie pan coraz bardziej... - Joanna podniosła przykrywkę imbryka i widząc, że herbata nabrała już ciemnej barwy, nałala jej do filiżanek.

-Sprawa jest tym bardziej trudna, że mogą się w nią włączyć Rosjanie. Mam takie sygnały - dodał Cowgill.

-I dlatego przyjechał pan do mojej wioski, w której zamieszkałam, aby odnaleźć spokój - mówiła jakby z wyrzutem, choć lekko i z uśmiechem.

-Dlatego że nie wierzę, aby porzuciła pani walkę. - Cowgill nie podjął jej żartobliwego tonu.

-Pan, który może posłużyć się tajnymi służbami Jego Królewskiej Mości, wspartymi przez amerykańskie Biuro Służb Strategicznych, FBI, Agencję Bezpieczeństwa Armii i Korpus Kontrwywiadu, potrzebuje mnie?

-Powie tak: w tej wojnie wszyscy mają swoje interesy. Nie zawsze zgodne z interesem publicznym.

-Ujawni pan, o kim pan myśli?

-Na przykład... Allen Dulles - powiedział Cowgill po krótkiej chwili wahania.

-Szef amerykańskiego wywiadu w Europie? - Joanna ze zdziwieniem otworzyła szeroko oczy.

Cowgill wstał od stołu i podszedł do okna, słysząc, jak pierwsze krople deszczu uderzają o szyby.

- Piękny kraj, ale pogoda jak w Szkocji - mruknął, wpatrując się w okno, ale natychmiast powrócił do tematu. - W grę wchodzi pień nądze, o jakich nigdy na tym kontynencie nikomu się nie śniło...

-Jakie pieniądze?

-Połączone kapitały Siemens, Kruppa, Boscha, IG Farben, Dresdner Bank... Mogę jeszcze długo wymieniać nazwy największych i najbogatszych koncernów niemieckich.

- Miliardy dolarów.

Cowgill skinął głową i dodał:

-Może nawet... biliony! Mówimy przecież nie o majątku jednej fabryki czy jednego banku, lecz całego państwa! Państwa, które przez pięć lat łupiło połowę Europy!

-Dla takich pieniędzy anioły stają się diabłami, prawda?

-Zwłaszcza gdy w grę wchodzi również władza.

-Czemu pan uważa, że*"ja pozostanę aniołem? - zapytała Joanna.

Cowgill nie odpowiedział. Podszedł do Joanny tak blisko, że poczuła zapach jego dobrej wody kolońskiej. Patrzył jej prosto w oczy.

-W nowej sytuacji nie można wierzyć rządowym strukturom. Jeżeli prawdą jest, że Allen Dulles zainteresował się gigantycznym majątkiem nazistów, to możemy przyjąć, że gdy awansuje i stanie na czele amerykańskiego wywiadu... - szukał przez chwilę odpowiedniego słowa - może nie być obiektywny.

-Uważa pan, że część niemieckich kapitałów wpadła do jego kieszeni i będzie zacierał ślady, nie przebiegając w środkach?

Cowgill odwrócił się i ponownie spojrzął w okno. Po szybach spływały krople.

-Chyba przestaje padać - powiedział tak, jakby od początku o niczym innym nie rozmawiali. - Jeżeli by tak było, to zacierając własne winy, może uniemożliwić odkrycie prawdziwych zagrożeń. Poza tym mają kreta.

-Skąd wiecie?

-Agent o kryptonimie „Tom” działa w Waszyngtonie i informuje Rosjan o naszych depe szach, które wysyłamy sojusznikom. Dlatego ponownie musimy podjąć operację poza rządowymi strukturami. Dlatego przyjechałem do pani.

-Co pan wie o mnie? - zdecydowała się wyjaśnić sprawę do końca.

-Dużo, ponieważ w 1939 roku byłem jednym z tych, którzy pomagali w utworzeniu tajnej grupy, niezależnej od alianckich

rządów, ściśle współpracującej z niemiecką opozycją. Teraz mogę powiedzieć, że nabraliśmy do pani pełnego zaufania. Znam pani zasługi.

Joanna znowu zacisnęła dłonie i zamknęła oczy. Wspomnienie z niedalekiej przeszłości pojawiło się z całą siłą.

-Wytrzymałam tortury, nikogo nie zdradziłam i uciekłam z transportu - powiedziała cicho.

-Nie uciekła pani...

Joanna spojrzała zdziwiona, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Wykupiliśmy panią - dodał szybko.

Słowa Cowgilla zrobiły na niej piorunujące wrażenie. Podeszła szybko do stołu i pochyliła się.

-Co pan powiedział?

-Dwa miliony dolarów zapłaciliśmy za wyrwanie pani z gestapo.

Cowgill wytrzymał jej wzrok.

- Była to najlepsza transakcja wywiadu brytyjskiego. Zyskaliśmy najcenniejszego współpracownika.

Mówił szybko, nie dopuszczając Joannie do słowa.

-Ponadto, dzięki tym pieniądzom będzie pani mogła kiedyś zidentyfikować swoich oprawców.

-Zapłaciliście tym, którzy mnie katowali?

-Tak, otrzymali studolarowe banknoty o numerach końcowych 787. Wszystkie miały ten sam numer końcowy.

-Dziękuję. - Joanna odprężyła się.

-Opłaciło się - powtórzył Cowgill. - Wiem, że zdobycie niemieckiej maszyny deszyfrującej „Ryba miecz” ukrytej w zamku Tzschocha na Dolnym Śląsku i wywiezienie jej spod nosa Rosjanom to pani zasługa.

-Dużo pan wie, ale nie wszystko - powiedziała zaczepnie.

-Wiem, że działał tam polski agent. Jest teraz w Anglii. Przeszedł weryfikację.

-Macie go, więc czego pan oczekuje?

-Pani Joanno, nikt tak dobrze jak pani i Jorg nie zna rejonu, który bardzo nas interesuje. Jeżeli nie zyskamy waszej współpracy, to stracimy mnóstwo czasu, a to oznaczać będzie przegraną.

-Czemu?

-Rosjanie są bliżej i bez wątpienia wiedzą więcej. Czy podejmie pani tę grę?

-Muszę zapytać Jorga...

-Polacy są sentymentalni. - Cowgill uśmiechał się. Czuł już, że misja, z jaką przyjechał, a której wyniku nie potrafił był przewidzieć, udała się. - Radzę więc powiedzieć jedno hasło: Afgan.

-Żyje?

Cowgill skinął głową.

-Kilkanaście dni temu na stacji Seidenberg, to na Dolnym Śląsku, wdał się w strzelaninę z rosyjskimi żołnierzami...

-Raczej to oni strzelali do niego - przerwała Joanna.

-Znam tę sprawę z radzieckich relacji, które zapewne są fałszywe, ale nie o to chodzi. Został schwytyany. Przebywa w więzieniu. Jestem pewien, że Jorg będzie chciał go uratować.

Ponownie wstał i narzucił płaszcz. Zawahał się na moment, jakby rozważając, czy może przekazać Joannie kolejną informację. Wreszcie podjął decyzję. Usiadł ponownie przy stole.

- Jestem winien jeszcze jedną informację. Jorg jest w Blechley przy „Rybie mieczu”. Ostatnio zainteresował się ładunkiem niemieckiego okrętu podwodnego U-234. Zezwoliłem na przekazać nie mu kilku tajnych informacji. Jak więc pani widzi, koło się za mknęło.

Wstał ponownie.

- Dziękuję pani.

Zadzwiczał telefon na stole przy dalekopisie. Joanna podeszła szybko. Ten telefon odzywał się rzadko, a gdy tak się stało, wiedziała, że dzwonił ktoś ważny. Podniosła słuchawkę.

- Mówi Martin - usłyszała.

- O, cieszę się, że dzwonicz - powiedziała lekko, maskując wrazenie, jakie na niej zrobił telefon od Jorga.

Zakryła dłonią mikrofon i odwróciła się do Cowgilla.

- Panie majorze, przepraszam, Jean-Paul odprowadzi pana do bramy.

Cowgill skinął głową i szybko wyszedł z domu. Czyżby uśmiechnął się pod wąsem? Może tylko tak się jej wydawało. Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Cieszę się, że cię słyszę. Jak noga?

- Trochę boli, ale szybko się goi. Za tydzień będzie dobrze.
 - Co się stało?
 - Joanno, czy masz zdjęcia, które robiłem w podziemnym laboratorium w czasie pożaru?
 - Oryginałów nie, ale mam odbitki.
 - Sprawdź proszę, czy na jednej z nich widać napis „BrennstoffB”.
 - Zajmie mi to trochę czasu. Zadzwoń.
 - Dzwonię z budki telefonicznej, podam ci numer.
- Zapisała szybko cyfry i odłożyła słuchawkę.

Sejf mieścił się w piwnicy za ślepią ścianą z cegieł, która odsunęła się z cichym szumem elektrycznego silnika po naciśnięciu ukrytego przycisku. Ujawniała solidną betonową ścianę, w której były niewielkie pancerne drzwi. Joanna przez chwilę manipulowała przy dwóch pokrętkach, wprowadzając właściwą kombinację cyfr.

- Joanno? - usłyszała głos dobiegający z niewielkiego głośnika.
- Tak, Jean-Paul - potwierdziła, że to ona otwiera sejf. - Hasło „Robespierre”.

Dopiero w tym momencie usłyszała cichy szczeł ostatniego zamka, który uruchomił ochroniarz z odległego miejsca. Pociągnęła za uchwyt, z trudem otwierając drzwi mające trzydzieści pięć centymetrów grubości, osadzone w betonie tak mocnym, że jedynie saperzy, podkładając laski dynamitu w otworach wydrążonych po wielu godzinach wiercenia, zdołaliby je wysadzić, co jednak nic nie dałoby ludziom usiłującym poznać złożone tam tajemnice. Ładunki zapalające umieszczone przy tekturowych pudłach na regałach eksplodowałyby, zamieniając ich zawartość w popiół.

Odszukała pudło z literą „G”, w którym gromadziła materiały nadsyłane przez agenta o pseudonimie „Granit”, czyli Jorga. W szarej kopercie było kilkanaście zdjęć. Spod jednej z półek wysunęła wąski stolik i skierowała nań silne światło lampy. Zaczęła przeglądać fotografie, poszukując napisu. Aż na szybie, przez którą obiektyw był skierowany do ciemnej komory, zamajaczyły odbite litery. Wymalowano je na przeciwległej ścianie, za plecami fotografującego, która odbiła się w szkle okna dzięki temu, że była

mocniej oświetlona niż fotografowany obiekt. Jednakże odbicie było zbyt słabe, aby można mieć pewność, że to napis, o który pytał Jorg.

Zamknięcie pancernego pomieszczenia i powrót na górę zajął Joannie kilka minut, więc zastanawiała się, czy Jorg czeka tak długo. Czekał.

- Napis, o który pytałeś, jest widoczny, ale słabo, na ścianie pomieszczenia, z którego robiłeś zdjęcia przez szybę.

Usłyszała westchnienie ulgi.

-Nie mogłeś zapamiętać dokładnie, bo widziałeś ten napis odwrócony i odbity w szybie.

-Joanno, dziękuję. To bardzo ważne. Wiesz, mam jeszcze jedno pytanie.

-Domyślam się, że chodzi ci o Annę Marię. Nie mam żadnych wiadomości. Zniknęła. Cóż, wojna.

Niespodziewanie dodała:

-Afgan żyje, jest w rosyjskiej niewoli.

-Boże! - Jorgowi załamał się głos. - Jak go wydostać?

-Będziesz miał okazję szybciej, niż ci się wydaje. Do zobaczenia, Martin.

Odłożyła słuchawkę. Lata konspiracji nauczyły ją, że zbyt długa rozmowa może być niebezpieczna. Zapominała, że wojna dobiega końca i jej zajadli wrogowie już nie są groźni. Ale czy ich miejsca nie zajęli nowi?

Jorg odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki na Buckingham Road, kilkaset metrów od ośrodka kryptologicznego. Jego uwagę przyciągnęła taksówka, która zatrzymała się obok. Spojrzał na dwóch mężczyzn, którzy wysiedli z niej i najwyraźniej kierowali się w jego stronę. Rozejrzał się gwałtownie. Było wcześniej rano i ruch na Buckingham Road dopiero się zaczynał. Kilka osób, chroniąc się pod parasolami, zmierzało do przystanku, widocznego tuż przed zakrętem. Sklepiak podnosił żaluzję w oknie wystawowym.

W tych warunkach nie będą mnie porywać - pomyślał Jorg. Mimo to postanowił pójść w drugą stronę. Odwrócił się i wtedy usłyszał głos jednego z mężczyzn.

- Panie majorze, niech pan zaczeka chwilę...

Zatrzymał się.

- To jest uprzejme zaproszenie, nie rozkaz - dodał mężczyzna.

Powoli podszedł do nich.

-Nie powinien pan wracać do ośrodka - powiedział drugi mężczyzna, który wydobył legitymację i rozłożył ją, aby Jorg mógł zobaczyć zdjęcie i pieczęcie.

-Horace Thompson - przeczytał Jorg.

-MI-5 - dodał drugi mężczyzna, szerzej otwierając drzwi.

-Przepraszamy, że tak, ale to w trosce o pana musieliśmy przyjąć taką metodę działania.

Był uprzejmy, ale ton, jakim mówił, nie wskazywał, że troszczy się o bezpieczeństwo Jorga.

Jorg już się nie wahał. Nie wiedział co prawda, co może mu zagrażać, ale od kilku dni był przeświadczony, że dojdzie do spotkania z funkcjonariuszami kontrwywiadu. Nie miał bowiem wątpliwości, że Travis powiadomił ich o rozmowach, jakie prowadzili. Nie mógł też wykluczyć, że Kathleen po spotkaniu w pubie zdała dokładną relację.

Wsiadł na tylne siedzenie. Thompson usiadł obok, a drugi mężczyzna zajął miejsce obok kierowcy i szybko ruszyli z miejsca. Obydwaj rzucali badawcze spojrzenia na ulicę, sprawdzając, czy ktoś nie zainteresował się ich akcją ani ich nie śledzi. Buckingham Road wciąż leniwie budziło się do życia, nie dając najmniejszego powodu do niepokoju.

-Jest pan oficerem Polskich Sił Zbrojnych, oddelegowanym do współpracy z Secret Intelligence Service - podjął Thompson, gdy już dokładnie sprawdził okolicę.

-Nic o tym nie wiem.

-Panie majorze, rozkaz podpisany przez pułkownika Gano przedstawię panu, gdy tylko dotrzemy na miejsce. Musieliśmy przyjąć inną formę postępowania, dla bezpieczeństwa całej operacji. Dziękuję, że pan to rozumie.

Jak się zmienili w ciągu paru dni - pomyślał Jorg, wspominając przesłuchanie w Londynie. - Ciekawe, co im się stało?

2 maja, Atlantyk

Ciche pukanie do drzwi wyrwało kapitana Fehlega z drzemki. Zerknął na duży elektryczny zegar wiszący na ścianie wąskiej kabiny dowódcy U-234. Wskazywał godzinę trzecią.

-Dzień czy noc? - pomyślał Fehle, odrzucając koc. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że położył się po zejściu z pomostu w czasie nocnego rejsu po powierzchni.

-Wejść - przeciągnął ręką po brodzie i przygładził włosy na głowie.

W drzwiach stanął komandor Hideo Tomonaga, oficer japońskiej marynarki wojennej, specjalista w dziedzinie budowy okrętów podwodnych. Wszedł na pokład U-234 w Kristiansandzie, razem z pułkownikiem lotnictwa Genzo Shosim. Fehle nie pytał, jakim sposobem znaleźli się w Niemczech i co tam robili. Wiedział tylko, że ich obecność na pokładzie miała maskować prawdziwy charakter rejsu i port, do którego zmierzali. Nie sprawiali żadnych kłopotów, czego nie mógł powiedzieć o kilku oficerach i cywilach niemieckich, których również zabrał z norweskiego portu. Taki Franz Ruf, pracownik zakładów Messerschmit-ta, zgłaszał się do niego co chwilę z pretensjami na brak wody w toalecie, niewygodną koję w wieloosobowym przedziale marynarskim i ciasnotę. Trudno się było temu dziwić, bo choć U-234 był dużą jednostką, to dla człowieka nieprzywykłego do ciasnej i dusznej atmosfery podwodnego okrętu rejs musiał być dużym przeżyciem.

Patrząc na stojącego w progu japońskiego marynarza, Fehle był przekonany, że za nim stoi drugi Japończyk, ale komandor Tomonaga przyszedł sam, co wydawało się oczywiste, gdyż tylko on mówił po niemiecku.

Widząc zapraszający gest, wszedł i usiadł na krześle przy wąziutkim stoliku kapitana, na którym obok papierów stał kubek z wystygłą kawą.

- Panie kapitanie, pan już wie, że wasz Führer nie żyje - zaczął niepewnie.

Fehle skinął głową. Poprzedniego dnia, pierwszego maja, odebrali wiadomość o „bohaterskiej śmierci Adolfa Hitlera w czasie

obrony Berlina". Radio podało to tak, jakby Führer zginął z bronią na barykadzie.

-Jakie decyzje podejmie pan w takiej sytuacji? - zapytał Tomonaga.

-Lada moment możemy się spodziewać kapitulacji, a co za tym idzie, rozkazu rozbrojenia okrętu i poddania się - odpowiedział wymijająco Fehle.

-Panie kapitanie, zauważyłem, że wczoraj zmienił pan kurs...

-Japończyk zawiesił głos i przyglądał się Fehlemu uważnie.

Ten zachował spokój. Wzruszył ramionami i sięgnął po kubek wystygłej kawy, aby lepiej zamaskować zmieszanie. Nie przewidział, że ktokolwiek, poza jego ludźmi, którzy mieli nakazane utrzymanie tajemnicy, mógł poznać, że zbaczają na zachód.

-Czy otrzymał pan taki rozkaz? - nie ustępował Tomonaga. Najwyraźniej wyczuł, że jego pytanie wprawiło Fehlego w zakłopotanie.

-Mam rozkaz doprowadzić okręt do celu i to zrobię - kapitan mówił twardo, jakby chciał dać znać, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

- Do jakiego celu?

Fehle nie odpowiedział.

-Do jakiego celu, pytam! - Japończyk stawał się coraz bardziej agresywny. - Powinniśmy iść kursem na południe, a nawet południowy wschód, tymczasem kierujemy się na południowy zachód!

-Otrzymałem ostrzeżenie o silnym zgrupowaniu nieprzyjacielskich okrętów. Musimy je ominąć. Za kilka godzin powrócimy na kurs.

Japończyk wstał. Zdradził go błysk oczu. Nie umiał ukryć, że wyjaśnienie kapitana nie przekonało go. Jego ręka powoli zmierzała do boku, gdzie sweter fałdował się, jakby tam miał bagnet.

- Proszę zwrócić się do trzeciego oficera. On... - Fehle przejrzał i odwrócił się, jakby szukał czegoś na półce, na której leżał gruby atlas. To miało uśpić czujność Japończyka, wykazać, że kapitan nie spodziewa się ataku. Nie mógł słyszeć, jak w rurce, którą Fehle wysunął z lewego rękawa, szczęknęła sprężyna uruchamiająca długie na cztery centymetry, cienkie ostrze.

- ... pokaże panu depeszę i przekona pana... - Fehle wciąż starał się odwracać uwagę komandora Tomonagi.

Prawą ręką zdjął z półki kartkę złożoną na czworo. Japończyk uważał, że za chwilę kapitan poda mu dokument. Zaciekawiony zatrzymał rękę. Nie sięgnął po bagnet. Fehle odwrócił się tak szybko, że Japończyk nie zdążył się cofnąć. Cienkie ostrze miękko zagłębiło się w bok jego szyi. Usiłował krzyknąć, ale gwałtowny skurecz wywołany przez kurarę zawartą w wewnętrznym kanaliku ostrza zdusił ruch. Sparalizowane mięśnie klatki piersiowej tamowały oddech i Tomonaga zwałił się na podłogę. Rzeził.

Fehle wyciągnął ostrze, kł^ostwo pozostawiło na szyi umierającego ledwie widoczną krwawą plamkę. Przekręcił nacinaną główkę, którą trzymał między palcami, i igła wróciła do pochwy.

Sięgnął po interkom. Zgłosił się porucznik Pfgar. On jeden z całej załogi został zaprzysiężony i choć nie znał prawdziwego celu misji, zobowiązany był zachować w tajemnicy wszystko, co miało stać się na pokładzie.

-Czy ktoś oprócz ciebie słyszy mnie? - upewnił się Fehle.

-Nie, tylko ja.

-W związku ze spodziewaną kapitulacją komandor Tomonaga prosił mnie o umożliwienie popełnienia samobójstwa. Zgodziłem się. Weź brezent do przykrycia zwłok i chodź do mnie do kabiny.

-Tak jest!

-Sprawdź po drodze, co robi ten drugi zółtek.

Pfgar przyszedł po kilku minutach, niosąc pod pachą brezentową płachtę. Spojrzał na komandora leżącego na podłodze.

-Zabił się - mruknął Fehle, zdając sobie sprawę, że Pfgar i tak mu nie wierzy. - Co z drugim?

-Śpi.

-Jest sam?

-Tak, Kurt i Franz z jego kabiny mają wachtę.

-Przekaż załodze, że rano urządzimy im pogrzeb. I wyciągnij go stąd.

Przeszedł obok Pfgara, który pochylony wciągał zwłoki na brezentową płachtę rozpostartą na podłodze, i skierował się do wąskiego korytarzyka prowadzącego do przedziału oficerskiego. Ciicho otworzył drzwi. Z wnętrza dochodził tylko miarowy oddech.

Duchota i niska zawartość tlenu w powietrzu zanurzonego okrętu podwodnego sprzyjały głębokiemu snu. Zmrużył oczy, aby zorientować się we wnętrzu oświetlanym jedynie słabym światłem wpadającym z korytarza. Po chwili dostrzegł, że pułkownik Shosi śpi na dolnej koi. Pochylił się i przyłożył mu z boku szyi rurkę z igłą.

Pułkownik Shosi otworzył na moment oczy i, wyrwany ze snu, patrzył zdziwiony wprost w twarz kapitana. Trwało to tylko parę sekund, gdyż igła wysuwająca się z metalowej rurki wbiła się głęboko w szyję. Śmiertelny skurcz mięśni hamujący oddychanie pozbawił Japończyka przytomności.

Fehle zamknął drzwi do kabiny dokładnie w momencie, gdy z głębi korytarza nadszedł Pfarg. Zatrzymał się. Nie pytał o nic. Rozumiał, że drugi Japończyk też jest martwy.

-Ile godzin do spotkania? - zapytał Fehle.

Pfarg zerknął na zegarek.

-Osiemnaście.

-Przekazali sygnał?

-Tak, są blisko wyznaczonej pozycji. Będą czekać. Od tego czasu nadadzą tylko sygnały świetlne.

-Zamknąć chrapy. Schodzimy na czterdzieści metrów. Nie chcę ryzykować w ostatnim okresie.

-Tak jest.

Pfarg położył rękę na klamce drzwi do kabiny Japończyków, zamierzając tam wejść. Fehle zatrzymał się.

-Poinformuj załogę, że popełnili samobójstwo, gdyż ich kodeks zabrania oddania się do niewoli.

-Tak jest.

3 maja, Łubianka

Zarubin rozpiął kołnierzyk i poluzował krawat, jakby dokuczał mu upał. Co prawda pierwsze dni maja w Moskwie były ciepłe, ale nie na tyle, żeby w sekretariacie szefa NKWD, za grubymi ceglanyymi ścianami Łubianki, dało się odczuć wysoką temperaturę.

Sekretarka spojrzała na niego spod okularów.

- Może wody?

Pokręcił głową. Po chwili pomyślał, że źle zrobił.

- No to może szklaneczkę - powiedział przymilnie.

Wobec sekretarki Ławrientija Berii wszyscy się płaszczyli.

Nalała z karafki, którą trzymała na stoliku obok biurka, i wyciągnęła w jego stronę rękę ze szklanką. Za ważna była, żeby wstać, nawet wobec Zarubina.

Bładź - pomyślał, ale uśmiechnął się, biorąc szklanekę. Wychylił ją jednym haustem, jakby rzeczywiście dokuczało mu pragnienie.

Czekał już od dwóch godzin, wciąż zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście Beria jest tak zajęty, czy też każe mu czekać, aby go upokorzyć.

Zza podwójnych dębowych drzwi nie dobiegały żadne odgłosy.

Odstawił szklanekę i ponownie usiadł na miękkim krześle pod ścianą.

Od chwili gdy w końcu 1944 roku wrócił do Moskwy ze Stanów Zjednoczonych, nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Gdy tylko wysiadł z samolotu na moskiewskim lotnisku, poinformowano go, że został odwołany ze stanowiska w Ambasadzie Radzieckiej w Waszyngtonie ze względu na list, jaki do centrali przysłał jego zastępca Marków, w którym oskarżył go o współpracę z FBI. Jego! Najbardziej wydajnego szpiega, jakiegokolwiek NKWD miało za granicą. To przecież on dostarczał najważniejsze informacje o przebiegu amerykańskich prac nad bombą atomową! Jego żona zaprzyjaźniła się z żoną Roberta Oppenheimera, szefa amerykańskiego laboratorium atomowego. A tu masz! Taki Marków pisze donos i już go ściągają do domu. Niby dla jego dobra, bo z innego źródła NKWD dowiedziało się, że Marków wysłał list do szefa FBI, informując o radzieckich operacjach wywiadowczych.

Bał się, że w centrali nikt nie będzie dochodzić prawdy. Po-
■adzą na krześle i strzelą w tył głowy. Widział wielokrotnie takie
•gzekucje. Albo wysłą do obozu. Co lepsze?

Wezwanie do Berii uspokoiło go. Oznaczało, że wyrok nie został
•Wydany, gdyż w przeciwnym wypadku przysłałiby trzech, którzy
flftd ranem wywlekliby go z łóżka. I tyle. Jeśli sam szef wzywa, to
W*O*ie został oczyszczony. Łudził się, że tak się stało.

Sfi

Usiadł na krześle i wbił wzrok w grubą firankę zasłaniającą okno.

W gabinecie o ścianach wyłożonych dębową boazerią Ławrientij Beria po raz kolejny przesunął papiery z jednej strony stołu na drugą, co dla znających go było wyrazem zniecierpliwienia. Był zły. Usiłował znaleźć punkt zaczepienia, który pozwoliłby mu wykonać polecenie Stalina, a tymczasem wszystko wymykało mu się z rąk. Ponownie zerknął na meldunek „Kruka” informujący, że z zamku Furstenberg wyjeżdża konwój objęty całkowitą tajemnicą, ale należało sądzić, iż będzie to transport złota. Podawał trasę. Do szpiegowskiego meldunku dołączono raport dowódcy zwiadu, prowadzącego trzy czołgi i pluton piechoty, aby koło wsi Ruhbank przechwycić konwój. Mieli Niemców podanych jak na tacy, a spaprali robotę. Zamiast przejąć ciężarówki ochraniane tylko przez jeden samochód pancerny i kilkunastu żołnierzy, to pozwolili im uciec, a w dodatku stracili czołg trafiony pancerfaustem. Patałachy. Wydał już rozkaz odesłania dowódcy zwiadu do karnej kompanii. Co z tego?! Konwój rozpląnął się. Gdzie schowali złoto? Na dodatek szefowie wywiadu nie mogli nic powiedzieć. Asekuranci. Jedynie generał Zawieniagin jakby uśmiechał się od czasu do czasu. Wiedział coś? Najpewniej czekał, aż jego koledzy wykażą swoją niekompetencję, aby na tym tle błysnąć.

- Towarzyszu Zawieniagin - powiedział niespodziewanie Beria-wasza kolej.

Zawieniagin wyprostował się. Podciągnął brodę do góry, jakby uciskał go kołnierzyk munduru.

- Byliście na tym terenie, znaczy Dolnym Śląsku. Chcę znać waszą opinię na temat „Żądła”.

Zawieniagin ponownie się poprawił na krześle. Rozwahał słowa.

-Powiem tak - odezwał się wreszcie. - Dolny Śląsk to skarbiec!

-Dlaczego akurat Dolny Śląsk? - zainteresował się Beria. W pierwszych słowach Zawieniagina dostrzegł ślad nadziei na znalezienie rozwiązania, które satysfakcjonowałoby Stalina. - Co tam takiego, że skarbiec?

-Bogata kraina: huty, koksownie, kopalnie. I piękna: góry, jeziora, rzeki. Więc najbogatsi Niemcy budowali tam swoje pałace

i kupowali średniowieczne zamki. I zwozili do nich dobra zagrabione ludowi pracującemu...

Grymas niezadowolenia przemknął przez twarz Berii. W tym gronie nie należało sięgać po propagandowe hasła. A Zawieniagin od dawna brał udział w naradach w gabinecie Berii. Nie musiał się popisywać jak na akademii w fabryce.

-Jak się zaczęły bombardowania centralnych Niemiec, to i stamtąd zwożono na Dolny Śląsk bogactwa, żeby uchronić je przed bombami, bo Dolny Śląsk nie był atakowany - kontynuował Zawieniagin.

-I co, jak nasze wojska stanęły pod Wrocławiem, to nie wywieźli z powrotem, w głąb Niemiec? - zainteresował się Beria.

-Nie! - Zawieniagin powiedział to z całkowitym przekonaniem. - Poukrywali na miejscu...

Otworzył tekturową teczkę, którą trzymał przed sobą, i przez chwilę przeglądał kartki.

- Günther Grundmann - powiedział wreszcie, znalazłszy od powiedni dokument - konserwator sztuki. On opracował plan i nadzorował ukrywanie największych skarbów.

Beria zerknął na generała Abakumowa siedzącego po drugiej stronie stołu. Ten skinął głową. Doskonale wiedział, co oznaczało to spojrzenie. Odtąd jego ludzie z kontrwywiadu Smiersz musieli bez wythnienia tropić ślady Grundmanna i znaleźć go. Szybko zapisał nazwisko w notesie, który wyjął z kieszeni munduru.

-Mam informację od naszego agenta „Kruka”, że w kwietniu do zamku Tzchocha przyjechał Otto Skorzeny - mówił dalej Zawieniagin. - Mogę przyjąć, że chodziło o ukrycie w zamku lub okolicach złota i depozytów wywożonych z Reichsbanku z Berlina. Czyli tony złota zniknęły w pobliskich jaskiniach i tunelach. To wszystko stanie się skarbcem organizacji esesmanów. Nazywa się „Pająk”...

-„Pająk”? - skrzywił się Beria. Myślał o ukraińskim mieście. -Czemu tak?

-Sądzę, że to początek sieci, która ma opleść świat. Takich organizacji powstanie wiele, ale ta interesuje nas szczególnie. I będą przyjeżdżać po te skarby, aby mieć za co działać. Już utworzyli kilka linii przerzutowych esesmanów ściganych za zbrodnie wojenne.

Dlatego, gdy mówimy o operacji „Żądło”, to uważam, że należy uderzyć w skarbiec, czyli Dolny Śląsk.

-Uderzyć? - Berii najwyraźniej nie podobało się to słowo. -Nie, nie „uderzyć”. Odnaleźć, aby dotrzeć do tych, którzy po nie przyjdą.

-Tak jest - skwapliwie zgodził się Zawieniagin. - Użyłem złego określenia.

-Wygląda na to, że mamy tam jednego doskonale uplasowanego agenta - „Kruka”. Dobrze mówię? - Beria zwrócił się do szefa wywiadu zagranicznego.

-Aktualnie kontakt został zerwany...

-Odnović, odnaleźć i natychmiast meldować. - Beria wstał.

-Do jutra chcę mieć dokładny plan operacji „Żądło”. Chcę też znać najnowsze informacje wywiadowcze w sprawie tras przerzutowych esesmanów. To wszystko. Jesteście wolni, towarzysze.

W sekretariacie Zarubin zerknął na klamkę drzwi gabinetu, która opuściła się gwałtownie. Po chwili stanął w nich generał Aba-kumow, który kątem oka dostrzegając Zarubina, udał, że nagle coś musi powiedzieć do idącego obok Zawieniagina.

Zarubin był zbyt szcwanym lisem, aby nie znać takich trików, maskujących zaskoczenie lub umożliwiających w naturalny sposób nie zauważyć kogoś.

Niedobrze - pomyślał. Znał to zachowanie. Należało unikać wszelkich kontaktów z oskarżonym, aby samemu nie znaleźć się w kręgu podejrzeń.

Sześciu mężczyzn, którzy wyszli z gabinetu, przeszło obok Zarubina, nie widząc go. Aż w drzwiach stanął Beria.

- A, Wasilij Michajłowicz! Wybaczcie, że czekaliście tak długo.

Powiedział to w tak naturalny sposób, że Zarubin poczuł ogromną ulgę i wdzięczność.

Ludzie, którzy już wychodzili z sekretariatu, zatrzymali się. I natychmiast, wszyscy jak jeden mąż, uśmiechnęli się do niego. Poczul się zażenowany.

Słyszeli to: Beria przeproszał go, że musiał czekać!

Zerwał się z krzesła, gotów uściskać sekretarkę i podać rękę tym, którzy przed chwilą udawali, że go nie widzą. Stanął przed Berią, pochylając głowę w ukłonie pełnym szacunku i poddaństwa.

- Zamówiliście coś? - zapytał Beria i odwrócił się. - Jeśli nie, to weźcie herbatę albo kawę, pogadamy trochę - rzucił przez ramię.

Sekretarka patrzyła na Zarubina pytająco. Też się uśmiechała. Nie miał ochoty nic pić, ale skoro szef kazał...

- No to kawę - powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Znów stawał się wielkim Zarubinem. Historią NKWD. Rozpoczął pracę w Nadzwyczajnej Komisji za Dzierżyńskiego, w 1920 roku! Od 1925 roku służył w wywiadzie. Jego żoną była Elżbieta Rosenzweig. Wysłana jako pracownik dyplomatyczny do Turcji zdemaskowała i zadenuncjowała swojego ówczesnego męża, Jakuba Bluma, który okazał się trockistą. Czyż do lojalności, czystości ideowej i oddania takich ludzi można było mieć choć cień wątpliwości?!

Patrzył zaciekawiony, jak zachowa się Beria. Ten usiadł przy długim stole pod ścianą. Dobrze, nie za biurkiem. Znaczący robocza odprawa!

-Marków... - Beria sięgnął po teczkę w tekturowych okładkach, którą wcześniej położył na stole. Otworzył. Zarubin zmartwiał. Nagłe uderzenie gorąca kazało mu sięgnąć do kołnierzyka, ale w ostatnim momencie powstrzymał się przed rozpięciem guzika.

-... .powinien dostać kulę w łeb, ale to wariat. - Beria podniósł głowę. - Schizofrenik, ustalili towarzysze lekarze. Więc zamknijmy go w domu dla wariatów.

Nie mogli zabić Markowa za to, że oczernił Zarubina. Byłby to zły sygnał dla innych donosicieli. Oni od razu pomyśleliby, że za dużo ryzykują, wysyłając donos do centrali, a przecież całe NKWD na donosach opierało swoją spójność i siłę.

Kłamie, żeby mnie wciągnąć w zasadzkę - pomyślał Zarubin.

Całą siłę woli skoncentrował na ukryciu tej myśli. Beria nie mógł się zorientować, że Zarubin mu nie wierzy.

- Zostaliście oczyszczeni... - Beria zamknął teczkę.

Odczekał chwilę, aż pomocnica sekretarki, która cicho weszła do gabinetu, postawi kawę przed Zarubinem, przysunie cukiernicę i wyjdzie równie cicho i niezauważalnie.

- Więcej wam powiem - podjął Beria - awans na generała w drodze. No, za parę miesięcy. Do Ameryki nie wróćcie, bo ten

Marków wysłał list do FBI i mogliby was aresztować. Działać będziecie na najbezpieczniejszym terytorium: Polski i na_szej strefy okupacyjnej, która powstanie w Niemczech po zwycięstwie. Macie odpowiednio do tego przygotowanie.

Beria myślał zapewne o działaniach Zarubina w obozie dla polskich jeńców w Kozielsku, gdzie przesłuchiwał setki oficerów, starając się wydobyć od nich jak najwięcej informacji, zanim zostali rozstrzelani.

- Operacją, którą wam zlecam, zainteresowany jest sam... - przerwał i zniżył głos - towarzyszu Stalin.

Podsunał drugą tekturową teczkę i wstał.

- Przeczytajcie ten dokument, ale tutaj, w moim gabinecie. Po tem zabierajcie się do roboty, jak najszybciej. Kryptonim „Żądło”.

Podszedł do biurka, gdzie zaczął przeglądać papiery, dając czas Zarubinowi na zapoznanie się z projektem tajnej operacji. Zerknął co chwilę, niecierpliwie czekając, aż Zarubin skończy czytać.

-No, co wam doświadczenie podpowiada? - zapytał, widząc, że Zarubin zamyka teczkę.

-Jestem zaszokowany, towarzyszu Beria - Zarubin powiedział to tak szczerze, że Beria uśmiechnął się.

-No, mówcie...

-To powiem tak... - Zarubin przelknął ślinę. Sięgnął po szklanke i upił duży łyk stygnącej kawy. Rzeczywiście był przejęty. - To długa operacja. Sieć upleciemy w trzy, pięć lat, ale wyniki będziemy mieli za dziesięć lat, może dwadzieścia, albo i więcej.

- Sieć - Beria zastanowił się. - Ładnie powiedzieliście „sieć”. Skojarzył z tym, co Zawieniagin mówił o organizacji esesmanów „Pająk”. Podszedł do Zarubina.

- Uważam, że głównym terenem naszej operacji będzie Dolny Śląsk. Niemiaszki jeszcze nie wiedzą, że po wojnie przypadnie Polsce. Przygotowujemy operację wysiedlenia Niemców i wprowadzenia osadników, głównie ze wschodu. A skoro faszyci nie wiedzą, to budują tam swoją bazę, bo teren sposobny ku temu. Największe rozeznanie ma towarzyszu Zawieniagin. Był tu przed chwilą. Skonktujcie się z nim. Wybierzcie ludzi, którzy wkłują żądło.

Zarubin stanął na baczność i uściśnął rękę Berii. Z wielką radością człowieka, któremu właśnie darowano życie.

5 maja, tajny ośrodek MI-6

Wydarzenia ostatnich dni toczyły się z niebywałą prędkością. Dwaj agenci kontrwywiadu zawieźli Jorga z Bletchley Park na farmę gdzieś na południu pod Londynem. Przez całą drogę trwającą półtorej godziny niewiele się odzywali. Thompson poinformował go tylko, że takie postępowanie jest konieczne dla bezpieczeństwa jego i całej operacji. Drugi agent, siedzący obok kierowcy, ograniczył rozmowę do pytania, czy pali pali maile.

Na farmie pod lasem, z dala od innych siedlisk, która z zewnątrz wyglądała jak porzucona przed wieloma laty, co wyraźnie kontrastowało z luksusowym urządzeniem wnętrza, oczekiwał go major polskiego wywiadu. Był służbisty i mało przyjemny, jakby miał za złe, że zmuszono go do przyjazdu na pustkowie, z dala od miasta, gdy on zwykł bywać na salonach hotelu „Rubens”, gdzie na piątym piętrze urządził swoją kwaterę szef wywiadu, pułkownik Stanisław Gano. Major, przedstawivszy się niewyraźnie, odczytał rozkaz oddelegowujący Jorga do służby w SIS, kazał podpisać potwierdzenie, stuknął obcasami z ułańską fantazją, skinął głową tak sprawnie i szybko, jakby miał ją zamocowaną na zawiasie umożliwiającym dotknięcie brodą do mostka, i z rozmachem zniknął za drzwiami.

-Mam kilka pytań. - Do pokoju wszedł Thompson, niosąc dwa dymiące kubki z napojem, którego słodkawy smak nie był znany Jorgowi.

-Ovomaltina - wyjaśnił Thompson - włoski napój. Wzmacnia, a to będzie ci potrzebne.

-Nowa misja? Thompson skinął głową.

-Najpierw kilka dni przygotowania, a potem jazda.

-Dlaczego zabraliście mnie z Bletchley? Boicie się zdrady?

-Wiemy już z twojej maszyny, tej „Ryby miecza”, że parę najtajniejszych amerykańskich instytucji jest nafaszerowanych rosyjskimi szpiegami. Musimy więc przyjąć, że w naszych też mogło zagnieździć się czerwone robactwo.

-Mówisz o depeszy „Toma”.

-Tak, od kogoś dostał wiadomość odczytaną w Bletchley. To nas zaniepokoiło. A teraz parę moich pytań. Co wynikło z rozmowy z Joanną?

-Potwierdziła, że widziałem napis „Brennstoff B” w niemieckim podziemnym laboratorium na Dolnym Śląsku. Padłuchiwa-liście rozmowę z budki telefonicznej?

-Co to jest „Brennstoff”? - Thompson zdawał się nie słyszeć pytania Jorga.

-Nie jestem całkowicie pewien. Można by przyjąć, że jakieś paliwo, ale to byłoby zbyt proste skojarzenie, jak na kryptonim.

Thompson wyciągnął z kieszeni marynarki niewielki notesik i zapisał starannie słowa Jorga. Spojrzał na zegarek.

- Moja rola się kończy. Za kilka minut będzie samochód. Zabierze cię do innego miejsca. Nie muszę mówić, że pod żadnym pozorem nie wolno ci się kontaktować z nikim, poza ludźmi przez nas wskazanymi.

Jorg też podniósł się i słysząc, że nadjechał samochód, sięgnął po kurtkę.

- Nie tak dawno za złamanie takiego zakazu grożono mi sądem polowym i rozstrzelaniem.

Thompson patrzył na niego pytająco.

- Jest jeszcze wiele spraw, o których nie wiecie. W drogę! Wyruszywszy z podlondyńskiej farmy, w dalszym ciągu kierowali się na południe.

-Dokąd jedziemy? - Jorg pochylił się do kierowcy.

-Panie majorze, przepraszam, ale nie mogę udzielać żadnych informacji - kierowca odpowiedział grzecznie, choć tonem, który wskazywał, że dalsze nagabywanie nie ma sensu. Jorg oparł się wygodnie. Zdał sobie sprawę, że mają jeszcze przed sobą kilka godzin jazdy.

Mijali wioski, których nazwy nic Jorgowi nie mówiły. Był pewny, że wiozą go do odległego zakątka Anglii, gdzie działa tajny ośrodek szkoleniowy dla szpiegów i agentów.

Późno w nocy podjechali do wysokiej drewnianej bramy, na której rozciągnięto druty kolczaste. Wysoko zawieszono lampy jasno

oświetlały niewielki placyk, po którym przechadzali się dwaj wartownicy. Na widok zbliżającego się samochodu jeden z nich podszedł do budki i sięgnął po słuchawkę. Drugi podniósł rękę, nakazując zatrzymanie się.

Kierowca opuścił szybę i podał jakiś dokument, który wartownik trzymał przez chwilę, przeglądając go dość pobieżnie.

Jorg rozejrzał się. W jedną i drugą stronę od bramy bieging druty kolczaste rozciągnięte na drewnianych słupach. Na co drugim przytwierdzono lampy świecące jaskrawym światłem. Nie mógł jednak zobaczyć, jak daleko ciągnie się ogrodzenie, gdyż teren obniżał się i słupy znikają gdzieś, w dole.

Nad bramą dostrzegł drewnianą tablicę. Najwidoczniej zrobiono ją niedawno, gdyż farba jaśniała bielą, jeszcze nie zszarzała na deszczu.

„Boyington Camp Proving Ground”, odczytał czarne litery.

Nic mu to nie mówiło, co nie miało żadnego znaczenia. W czasie wojny niemalże każdy obiekt wojskowy otrzymywał jakąś dziwną nazwę, której zadaniem było wprowadzenie w błąd niemieckiego szpiega, gdyby przybłąkał się gdzieś w pobliże. Uznał jednak, że w tym wypadku nazwa może oznaczać, że jest to poligon wojskowy, ciągnący się przez wiele kilometrów, na których łatwo było ukryć** tajny ośrodek szpiegowski.

Drugi żołnierz odłożył słuchawkę i dał znać, że wszystko w porządku. Wartownik przy samochodzie oddał dokumenty i wskazał kierunek, w jakim powinni pojechać.

Szybko ogarnęła ich ciemność wielkiego poligonu. Co pewien czas nawierzchnia szosy gwałtownie pogarszała się, co wskazywało, że mijali skrzyżowania z czołgowymi trasami prowadzącymi w poprzek głównej drogi. Las z lewej strony niespodziewanie skończył się i Jorg dostrzegł nowe ogrodzenie z drutów kolczastych. Kierowca zwolnił i zerkał co chwilę w lewo, najwidoczniej szukając bramy. Byli już chyba blisko celu, co bardziej cieszyło Jorga niż frapowano. Podróż z Bletchley, trwająca kilka godzin, była wystarczająco długa, aby zaczął myśleć o kąpieli i dobrej kolacji.

Brama, którą odnaleźli, była otwarta, jakby na powitanie wjeżdżających, choć gdy tylko ją minęli, z ciemności wyłonił się wartownik, który ją zamknął. Samochód zatrzymał się przed długim drewnianym budynkiem. Przed wejściem stał oficer.

Kwatera, do której zaprowadził Jorga, nie odbiegała atmosferą i urządzeniem od charakteru, jaki tworzył wojskowy barak. W dużym choć niskim pokoju były wszystkie sprzęty, konieczne do spędzenia tam nocy po intensywnych zajęciach, a jedynym zbytkiem było radio ustawione obok umywalki.

Ledwie Jorg zdążył otworzyć walizkę, a do pokoju, po puknięciu we framugę drzwi, co miało uprzedzić o tej wizycie, wszedł drobny mężczyzna. Stał pośrodku, z rękami w kieszeniach wytartych sztruksowych spodni.

- Jestem Aaron Schweich. Mów mi Aaron - powiedział po polsku. I zaraz dodał: - Oczywiście jestem Żydem, czego mogłeś nie zauważyć. Jak się domyślasz, moje imię i nazwisko nie są prawdziwe. Jak wszystko w naszym fachu. Żyjemy w świecie, w którym nie ma nazwisk, przyjaźni, uczucia. Wszystko wokół nas jest groźne i dlatego musimy się ukrywać. Jak mam do ciebie się zwracać: Jan, Martin czy Jorg? Można?

Ruchem głowy wskazał na jedno z dwóch krzeseł przy stole i nie czekając na pozwolenie, odsunął je czubkiem buta i usiadł, wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

- Do prawdziwego imienia jeszcze się nie przyzwyczałem. Zbyt długo pracowałem nad tym, żeby nawet na torturach pamiętać, że nazywam się Martin Jorg.

- Może wstrzymaj się jeszcze z powrotem do swojej tożsamości.

Jorg podniósł głowę i spojrzał pytająco na Aarona, ale ten nie miał ochoty niczego wyjaśniać.

-Jesteś zapewne zmęczony długą podróżą i powinienem dać ci wypocząć, ale mamy tak mało czasu, że nie możemy go tracić. Rozpakuj się szybko.

-Zdążę.

Jorg odsunął drugie krzesło i usiadł naprzeciw. Wisząca nad stołem lampa jasno oświetlała twarz Aarona. Nie wyglądał na Żyda. Miał proste blond włosy, płaski nos i wystające kości policzkowe.

- Dlatego od razu powiedziałem ci, że jestem Żydem. - Aaron najwyraźniej domyślił się, nad czym zastanawia się Jorg. - Bo trudno go rozpoznać. Dzięki temu przeżyłem wojnę.

Mówił niskim nosowym głosem, wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

- Poza tym chcę mieć pewność, że nie jesteś antysemitą, to przekreślałoby naszą współpracę, dla której decydujące jest zaufanie, a może nawet sympatia - zawiesił głos.

Jorg wzruszył ramionami, jakby dając znać, że nie ma o czym mówić.

-My, Żydzi, za bardzo wycierpieliśmy podczas tej wojny, za dużo straciliśmy. Najbliższych... - głos załamał mu się, jakby to słowo przywiodło szczególnie bolesne wspomnienie, ale szybko się opanował. - Nie możemy nie zwracać uwagi na to, jak do nas podchodzą. To jeszcze będzie trwało kilkadziesiąt lat.

-Gdzie jestem? - zapytał Jorg.

-W tajnym ośrodku szkoleniowym w Bovington Camp. Dla niepoznaki zamaskowanym jako skład benzyny na poligonie pancernym - powiedział Aaron. Uśmiechnął się i dodał: - Jakiś oficer Jego Królewskiej Mości miał taki pomysł. Uznał, że Niemcy na pewno nie będą chcieli bombardować magazynów paliwa jednostki pancernej.

-Po co tu mnie przywieziono? Po pięciu latach w tym fachu nie widzę powodu, dla którego ponownie miałbym przechodzić szkolenie jak rekrut. Chyba że mam tu wykładać.

Aaron przez chwilę nie odpowiadał. Jorg odniósł wrażenie, że chętnie zapaliłby papierosa, ale z niezrozumiałych powodów nie uczynił tego.

- Jeszcze nie czas na spokojne zajęcia, Jorg. Jesteś tu na szkoleniu, ale ja nie będę cię uczył, że nie wolno umawiać się ze swoim informatorem w miejscu, które może być zamknięte, na przykład w restauracji. Nieprawdaż...

Zawiesił głos, obserwując reakcję Jorga.

- ..to ty mógłbyś mnie uczyć - podjął - ale ja przekażę ci inną wiedzę.

Wstał z pewnym wysiłkiem, wciąż trzymając ręce w kieszeniach, co bez wątpienia utrudniało tę czynność.

- Zaczynamy jutro o szóstej. Mamy mało czasu.

Aaron przyszedł punktualnie. Stał w drzwiach, najwyraźniej nie mając zamiaru wchodzić do pokoju, i patrzył jak Jorg dopina guziki koszuli. Znowu trzymał ręce w kieszeniach sztruksowych spodni.

- Nie chcę tracić czasu. Nie mamy go zbyt wiele. Zaczniemy szkolenie w drodze do kantyny - wyjaśnił wczesne przybycie.

Jorg zaciągnął krawat i narzucił kurtkę.

- Zapewne nie powiedziano ci, dokąd masz dotrzeć - stwierdził Aaron, gdy po betonowych schodkach wyszli z baraku.

Jorg rozejrzył się, mając po raz pierwszy możliwość zorientowania się w miejscu, do którego przywieziono go w nocy. Nie wyglądało zachęcająco. Drewniane, pomalowane na mdły zielony kolor parterowe baraki okalały niewielki plac, na którego środku stał maszt. Nieomylny znak, że dawniej mieściły się tutaj koszary pancерnej jednostki, które przejęły tajne służby. Dookoła rozciągał się mieszany las, dobrze skrywający ośrodek przed obserwacją z daleka.

-Znasz dobrze tamte okolice, tyle że przybędzie ci wrogów -podjął Aaron.

-Mówisz o Polakach?

-O komunistach. Bardzo szybko wprowadzą swoich agentów na te tereny.

Doszli do najmniejszego baraku, nad którego drzwiami odręczny napis i rysunek uśmiechniętego kucharza nie pozostawiały wątpliwości, że będzie tam można zjeść śniadanie. Wewnątrz było pusto, co wskazywało, że dzień pracy w ośrodku na pancernym poligonie zaczyna się później.

Jorg nalał kawy z dużego baniaka stojącego na barze i sięgnął po tosty z sałatą i z mielonką. Zerknął na Aarona, ale ten stał niewzruszony z rękami w kieszeniach. Widząc pytające spojrzenie, wzruszył ramionami.

-Nie jem śniadań - wyjaśnił i skierował się do stolika pod oknem. - Będziesz musiał strzec się przed Smierszem - podjął temat, gdy usiedli.

-Rosyjski kontrwywiad?

-Raczej banda sadystów i morderców dowodzona przez bestię Abakumowa. Ale są skuteczni.

Jorg strzepnął okruszyny tosta i wytarł usta serwetką. Aaron podniósł się.

- Jeśli skończyłeś śniadanie, to chodźmy do mojego gabinetu - powiedział.

Pokój w baraku na końcu placu, który Aaron nazwał gabinetem, był niewielkim pomieszczeniem o zakratowanych oknach. Jedynymi sprzętami były stół z trzema krzesłami, masywna szafa pancerna za drzwiami, szafa na ubrania i wieszak na ścianie, na którym wisiał parasol i płaszcz przeciwdeszczowy. Uwagę Jorga zwróciła maszyna do pisania z wetkniętą kartką.

A jednak ma dłonie - pomyślał Jorg, który zaczął się zastanawiać, czy nawyk stałego trzymania rąk w kieszeniach nie wynika z kalectwa, czy Aaron wstydząc się protez, nie ukrywał ich w kieszeniach.

- Siadaj wygodnie, pogadamy przez kilka godzin. - Aaron ruchem głowy wskazał na krzesło, które nie wyglądało na wygodne, a sam podszedł do szafy pancernej. Wyjął ręce z kieszeni i odwrócony manipulował pokrętkami, aż otworzył ciężkie drzwi. Z wnętrza wyjął papiery, zamknął sejf i wrócił do stołu.

Dziwnie trzymał koperty. To było pierwsze wrażenie, jakie odniósł Jorg. Dopiero po sekundzie zrozumiał, że Aaron nie miał kciuków. Zabliznione rany były poszarpane. Zauważył jego wzrok. Położył koperty na stole.

-Chcę ludziom oszczędzać widoku kalectwa, dlatego trzymam dłonie w kieszeniach - powiedział, dostrzegając, na co patrzy Jorg. -Nie mam kciuków u obu dłoni. Wyrwano mi je - wyjaśnił oschle, siadając naprzeciw Martina. Tym razem oparł ręce na stole.

-Tak, wyrwano - dodał, jakby uznał, że Jorg nie usłyszał lub nie uwierzył w jego wyjaśnienie. Może prowokował go do zadania pytania. Wpatrywał się przez chwilę w twarz Jorga, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa. Po chwili zajął się innym tematem.

-Na Atlantyku jest niemiecki okręt podwodny U-234...

-Wiem, czytałem depezę od radzieckiego szpiega z Waszyngtonu.

-Depesze, jakie rozszyfrowaliśmy, pozwoliły nam zorientować się, że celem rejsu jest Japonia. Zaczęliśmy go szukać. I co?

Aaron wstał i podszedł do dużej mapy świata, wiszącej na stojaku obok wejścia.

- Powinien kierować się wzdłuż brzegów Afryki na Ocean Indyjski, gdyż o przedarciu się przez Morze Śródziemne nie ma

mowy. Tymczasem wczoraj dostaliśmy meldunek od samolotu patrolowego o dostrzeżeniu okrętu podwodnego, tego typu co U-234, na środku Atlantyku! Płynie na zachód, nie na południe. Wydaje się, że zmierza do Argentyny.

-Ciekawe, co przewozi. Złoto?

-Wiesz, kiedyś, przed wojną poszedłem z moją córeczką do kina. Wyświetlali film Disneya. Wielkie brytany goniły Myszkę Miki. Rzuciła im różne przedmioty, aby opóźnić pościg. Nic nie działało, dopóki z jej torebki nie wypadła moneta. Psy zatrzymały się, więc Myszka zaczęła rzucać pieniądze, a psy szybko zapomniały o celu gonitwy.

Mówił to z uśmiechem, ale oczy zaszyły mu łzami. Jorg domyślił się, że wspomnienie kinowego seansu przywołało pamięć o córce.

-Sądziś, że złoto ma skierować uwagę na fałszywy tor.

-Przyjmuję taką możliwość. Jeżeli coś się świeci w ciemnościach, to znaczy, że ktoś nie chciał tego ukryć lub podłożył specjalnie.

-Kopalnia Merkers?

-Nie sądzę, to raczej wojenny bałagan sprawił, że nie dopilnowano tajemnicy.

-To znaczy, że zostawili przy życiu świadków ukrywania skrzyń?

-Tak, SS nigdy nie popełniało takiego błędu, ale zostawmy Merkers. Bardziej zastanawia mnie niejaki Werner Veick.

-Kto to?

-Główny kasjer wydziału dewiz Reichsbanku. Nadzorował ukrywanie bankowych skarbów w Merkers. Na początku kwietnia oddał się w nasze ręce. Byłem przy jego przesłuchaniu, nie wyglądał na uradowanego, że udało mu się uciec od nazistów.

-Sądziś, że zmuszono go do złożenia zeznań, które mają skierować poszukiwania na fałszywy trop?

-Trudno na to odpowiedzieć, gdyż ujawnił, że SS obrabowało kilka oddziałów Reichsbanku i że wiele transportów złota skierowano w Alpy. Wskazał tartak w Taxenbach jako jedno z miejsc ukrycia. Rzeczywiście znaleziono tam sztaby złota i kosztowności.

-I brytany zaczęły zbierać monety, zamiast gonić Myszkę Miki.

- Na razie nie mam dowodów na poparcie mojej tezy z rysunkowych filmów.

Wrócił do stołu i wskazał na teczki, które wydobył z sejfu.

- Otwórz pierwszą.

Jorg rozwiązał tasienki i podniósł okładkę. Wewnątrz było kilkanaście fotografii. Zaczął je przeglądać. Przedstawiały mężczyzn z mundurach lub po cywilnemu. Nic mu nie mówiły, aż odłożył fotografię mężczyzny w mundurze SS. Nawet ze zdjęcia patrzyły nienawistne, lekko przymrużone oczy.

- Sauer - powiedział cicho Jorg.

Aaron skinął głową.

-Mamy informację, że przeżył wojnę, chociaż SS wydało na niego wyrok śmierci.

-Dlaczego?

-Za dużo wiedział, a zbyt wielu go ścigało. Prawdopodobnie uciekł z Europy. Przeglądaj dalej.

Następna twarz też była znajoma.

-Beer - Jorg odłożył zdjęcie. - Globcke twierdził, że był rosyjskim szpiegiem. Podobno Sauer otrzymał rozkaz zlikwidowania go.

-Nie wykonał rozkazu. To też łączy się ze skarbami SS.

-Co Beer mógł mieć z tym wspólnego?

-W końcu kwietnia przekazałeś z Tzsochy meldunek, że był tam Skorzeny...

Jorg potwierdził skinieniem głowy.

-Rozmawiałeś z nim może?

-Nie, jego pobyt objęty był ścisłą tajemnicą. Tylko słyszałem, że przyjechał. Na krótko. Jakies dwa dni. Nie wiem, w jakim celu.

-W marcu Skorzeny otrzymał rozkaz utworzenia tajnej organizacji „Pająk” i jej zbrojnego ramienia Werwolfu - mówił dalej Aaron.

-„Wilkołak”?

-Tak nazwali oddziały partyzanckie, które powstały głównie w południowych Niemczech. Skorzeny zapewne zajmował się tym także na Dolnym Śląsku. Uważam, że jego przyjazd do Czochoy miał też związek z ukrywaniem skarbów śląskich zamków oraz kompleksem „Riese”.

Jorg przerzucił kilkanaście pozostałych zdjęć. Nie było tam żadnej znajomej twarzy, choć wydawało mu się, że wszystkie miały ten sam charakter: bezwzględnych morderców.

-Ale towarzystwo - mruknął.

-Zapamiętaj ich. Gdy ich spotkasz, nie będą w mundurach i nie będą się chwaliли służbą w SS. Jednak nie życzę ci takich spotkań.

-Ja też sobie tego nie życzę, ale nie będą na to zwracali uwagi.

-Każdy z nich poszukiwany jest za zbrodnie wojenne. Tak jak Harry Sauer: torturowanie ludzi, własnoręcznie wykonywane wyroki, co najmniej na trzydziestu więźniach, i to tylko w Fiirsten-bergu. A swoją działalność zaczął w obozie koncentracyjnym dużo przed wojną. Beer przy nim to niewinne dziecię.

-Ciekawe określenie. Czy napotkałeś może nazwisko Globcke? Hans-Jacob Globcke?

- Szef Służby Bezpieczeństwa SS w zamku Tzschocha?

Jorg skinął głową.

- Rozpłynął się w kwietniowej mgłę w Rosenheim. Ma oryginalne amerykańskie dokumenty na nazwisko, którego nie znamy. Rysopis wysłaliśmy do posterunków w strefach amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej. Na razie bez rezultatu. Być może jest w strefie rosyjskiej, a może nawet Rosjanie chronią go. Zwróć uwagę na to zdjęcie...

Jorg spojrzął na fotografię przedstawiającą mężczyznę w generalskim mundurze SS. Krótkie, gładko zaczesane włosy z wyraźnymi pasemkami siwizny. Szerokie, porane zmarszczkami czoło, wąska szpiczasta broda.

- Generał Kroll, zapewne to fałszywe nazwisko - wyjaśnił Aaron. - Sądzymy, że odkąd Skorzeny znalazł się w amerykańskiej niewoli, to on kieruje tajnymi organizacjami SS. I ten... - Aaron wskazał palcem na drugie zdjęcie, ale szybko cofnął dłoń, jakby wstydząc się gestu, który ujawniał jego kalectwo. - Generał Ohlenrode. Uważamy, że to pełnomocnik szefa wydziału finansowego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Josefa Spacila. Prawdopodobnie przebywa wciąż na Dolnym Śląsku.

Wstał i włożył ręce do kieszeni.

- Zostawiam cię na pół godziny. Wpatruj się w każdą fotografię. Patrz na oczy i układ brwi. Doszukuj się szczególnych cech

i staraj się je zapamiętać. Najlepiej na zasadzie absurdalnych skojarzeń. Na przykład ten...

Aaron podsunął fotografię czterdziestoletniego mężczyzny o silnie wystających łukach brwiowych, spod których spoglądały ciemne przymrużone oczy.

- Pijany goryl. Dobre porównanie?

Jorg uśmiechnął się.

- W drugiej teczce znajdziesz dokładne charakterystyki tych ludzi. Wszystko, co o nich wiemy. Jak wrócę, zrobimy zabawę. Pokażę ci zdjęcie, a ty masz rozpoznać, kogo przedstawia, i opowiedzieć.

-Mam na to pół godziny?*

Aaron zerknął na zegarek.

-No nie, żartowałem. Masz całą godzinę.

Widząc minę Jorga, dodał.

-To może uratować ci życie.

Następne dwa dni Aaron przeznaczył na naukę szyfru, jakim Jorg miał się posługiwać po dotarciu na Dolny Śląsk, haseł, topografii miejsc z tego rejonu, które Aaron uznawał za szczególnie ważne.

Jorg wciąż odnosił wrażenie, że czeka ich decydująca rozmowa, którą Aaron z nieznanych względów odwlekał. Może wciąż szacował swojego ucznia i oceniał, czy może otworzyć przed nim następne tajemnice. Aż wreszcie tak się stało, gdy poszli na długi spacer po lesie. Zatrzymali się na polanie, gdzie ustawiono stół i kilka pieńków dla ludzi, którzy przybywali tutaj na piknik, o czym świadczyło miejsce przygotowane do rozpalania ogniska.

-Joanna pomogła ci przypomnieć sobie, gdzie widziałeś napis „Brennstoff B”, prawda? - niespodziewanie odezwał się Aaron, gdy usiedli na pieńkach.

-Tak, wiem, że podsłuchiwaście rozmowę z nią.

-Nie, nie twoją rozmowę. Rutynowo podsłuchiwane są wszystkie rozmowy pracowników Bletchley Park, również prowadzone z okolicznych budek telefonicznych. Powiedz coś więcej o tym napisie.

-Odtwarzam w pamięci moją wyprawę do płonącego laboratorium. Ale, wiesz, tam było wiele atrakcji, więc trudno przypomnieć sobie wszystko. Na zdjęciu, które zrobiłem, widać napis

„Brennstoff B” wymalowany na ścianie, naprzeciw pancernej szyby oddzielającej pomieszczenie, jak sądzę, reaktora. Chyba na tej ścianie były pancerne drzwi. Zamknięte, a ja nie miałem możliwości ani czasu, żeby je sforsować. Zresztą szyba bardziej mnie interesowała.

-Duże te drzwi? Pamiętasz?

-Nie, raczej małe, typowe dla schronu, przez które mógł przejść tylko człowiek, i to schylając się. Oznacza to, że było to wejście do pomieszczenia, w którym trzymano dokumenty, albo były to boczne drzwi do hali, z której większe drzwi wychodziły na zewnątrz.

-A Brennstoff?

-Może oznaczać paliwo nuklearne - odpowiedział Jorg.

-Dlaczego tak sądzisz?

-Skoro napis umieszczono w laboratorium atomowym...

-Nie każdy, kto wchodzi do klasztoru, jest zakonikiem. Mogli wykorzystać przestrzeń magazynową w dobrze strzeżonym bunkrze.

-I złożyli tam skrzynie ze złotem?

-Choćby - mruknął Aaron. Po chwili dodał: - Pojedziesz tam.

-Do Tzschochy?

-...i okolic.

-Przecież znają mnie... - Jorg wydawał się zaskoczony.

-Nie, nie ma niebezpieczeństwa, że zostaniesz rozpoznany. Tam nie ma już dawnych znajomych. Natomiast jesteś jedynym człowiekiem, który dobrze zna teren.

-Ale znam również tajemnicę Bletchley Park i chyba nie należy wysyłać na terytorium wroga człowieka, który wie tak wiele o najtajniejszym brytyjskim ośrodku.

-Nie mamy wyjścia. Trzeba ważyć ryzyko, a warto je podjąć. Poza tym... - Aaron przez chwilę wahał się, czy mówić dalej. - Jest ktoś, dla kogo wyruszysz na koniec świata.

-Za dużo wiecie o mnie i moich sprawach - burknął Jorg. - A może wiesz przynajmniej, gdzie ona jest?

Aaron wydawał się zakłopotany. Chyba poniewczasie doszedł do wniosku, że niepotrzebnie wspomniał o zranionej miłości Jorga.

-Okay, wiesz już, że to była gafa, więc się nie wycofuj - Jorg nie ustępował.

-Wiem i przepraszam, ale teraz nie chcę mówić o Annie Marii. Mamy inne sprawy. Też są ważne.

Zajęcia były wyjątkowo nużące, więc Aaron starał się wyprowadzać Jorga na długie spaceru po lesie. Wciąż jednak nie wyjaśniał, na czym będzie polegała misja, która budziła w Jorgu wiele wątpliwości. Wysyłali go do miejsca, gdzie mógł być łatwo zidentyfikowany. Jaki to miało sens? Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie, a Aaron też nie kwapił się do wyjaśnienia celu misji.

Zbudził Jorga w środku nocy.

- Czas - powiedział.

Na stole stał kubek z kawą i kilka tostów.

-Przyniosłem ci śniadanie. Lekkie, bo czeka cię długi i męczący lot.

-Będę skakał ze spadochronem? - Jorg podniósł się, zadowolony, że wreszcie wyrwie się z zajęć, które zaczynały go nużyć.

-Nie, to wymagałoby dodatkowego przeszkolenia, a na to nie mamy czasu. Pojedziesz do Northolt. To londyńskie lotnisko. Tam wsiądziesz na pokład dakoty, która zawiezie cię do Niemiec. Do Koberga.

Aaron przerwał niespodziewanie. Czyżby wiedział?

Patrzył uważnie na Jorga, jakby obserwując jego reakcję.

- Powiem ci, chłopcze - podjął po chwili. - Nie czas na uczucie. Ono teraz może prowadzić do zguby.

Jorg wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru rozmawiać na temat spraw, które uważał za należące tylko do niego.

- Przepraszam, ale musiałem ci to powiedzieć. Za godzinę wylądruje awionetka i zabierze cię na lotnisko do Londynu - dodał po spiesźnie. - Mamy więc godzinę na załatwienie ostatecznych spraw.

Usiadł naprzeciw i przesunął kubek z kawą w stronę Jorga. Już nie ukrywał swoich dłoni, w każdym razie nie tak często jak na początku ich znajomości.

- Ja tam powinieniem polecieć, nie ty - stwierdził nagle. - Ale kalek nie przyjmują. Trudno. Będę z tobą, tylko z daleka. Coś w rodzaju doradcy naukowego.

- Możesz jaśniej?

Aaron pokręcił głową.

-Nie wyjawię ci nic, co mogliby z ciebie wydobyć. Jak cię złapią, to być może nie wytrzymasz i wyjawisz, że w tajnym ośrodku szkolili cię Aaron Schweich. To im nic nie powie, nazwisko jest fałszywe. Opiszesz im mój wygląd. To nic. Przeszedłem operację plastyczną. Nie ujawniaj tylko, że nie mam kciuków. To byłaby dla nich ważna wskazówka, po której zdołaliby mnie zidentyfikować.

-Mówisz o Niemcach czy o Rosjanach?

-O jednych i o drugich.

-Po co mnie tam wysyłacie? Dowiem się?

-Musisz, ale twoja wiedza zostanie podzielona na pół. Teraz część, na miejscu otrzymasz drugą część.

-Aaron. - Jorg miał już dość tej gry. - Wysyłacie mnie w jaką szaleńczą misję. Zgadzam się, ale, do cholery, powiedz, po co tam jadę! Jakie mam zadanie?! Czego mam szukać i kogo znaleźć?!

Aaron słuchał go w milczeniu, wydając się nie przejmować wyraźną złością, z jaką Jorg wyrzucał z siebie pytania. Czekał cierpliwie, aż skończy.

- Martin - odezwał się wreszcie - wchodzisz do bagna, którego dna nie znamy. Mam ci powiedzieć, jak masz iść? A jeżeli nieświado mnie wskażę ci fałszywą drogę? Utoniesz natychmiast. To wszystko to skomplikowana i wielowątkowa operacja, gdzie na prawdę nakładają się warstwy fałszu. Nawet ci, którzy to organizują, nie wiedzą, co jest prawdą, a co kłamstwem. Nie znają istoty tej operacji. W przeciwnym wypadku rozgryźlibyśmy ich w kilka dni. A nie możemy tego zrobić od miesiąca. Sam musisz odkryć prawdę. Rozumiesz!

Mówił spokojnie, ale zaczynało mu brakować tchu. Oddychał głęboko.

- Powiem ci tylko, że chodzi o pieniądze. Gigantyczne. Za które można kupić całe państwo. Ale czy to prawda? Czy pieniądze mogą na nazwać kryptonimem „Brennstoff B”? A jeżeli ten miliardowy skarb to tylko parawan, fałszywy ślad, który ma sprowadzić pościg na manowce, jak monety Myszkki Miki? Czy mam ci podsuwać fałszywy ślad?

Przerwał.

Podszedł i niespodziewanie objął Jorga tak serdecznie, że ten po raz pierwszy poczuł wzruszenie i niezwykłą więź z tym człowiekiem, którego znał zaledwie od pięciu dni.

- Będziesz sam. Czeka cię trudny czas. Wytrwaj - dodał i bez słowa wyszedł z pokoju.

8 maja, Atlantyk

Kapitan Fehle mówił krótko.

- Samurajski kodeks Bushido nakazał im popełnić samobójstwo. Zaakceptowałem to honorowe wyjście naszych japońskich towarzyszy. Uznali, że ich walka się skończyła. Przed nami jeszcze długa walka. I będziemy ją prowadzić.

Nigdy nie był dobrym mówcą. Ponadto źle się czuł, gdy musiał przemawiać na pogrzebie ludzi, których zamordował. Szybko więc skończył pożegnalną mowę i dał znać ręką, aby dokonać morskiego pochówku.

Marynarze pociągnęli za linkę i dwa ciała owinięte w hitlerowskie flagi zsunęły się po deskach ułożonych ukośnie na pokładzie U-boota i z pluskiem zanurzyły się w wodzie.

Fehle odwrócił się do Pfarga. Ten zachował twarz bez wyrazu, a może nawet dało się odnaleźć oznaki smutku po pożegnaniu japońskich oficerów.

-Ile do spotkania?

-Niedługo. Powinni być w odległości trzydziestu do trzydziestu pięciu mil.

-Przygotować pokrywy luków na sterburcie.

Odwrócił się, aby zlustrować horyzont, wciąż ciemny na zachodzie, gdy z drugiej strony pojawiały się pierwsze oznaki świtu. Morze było spokojne, co gwarantowało, że operacja przeładowania przebiegnie szybko i bez zakłóceń. Od dawna myślał o tej operacji jako najtrudniejszej w czasie całego rejsu. Wzburzony ocean uniemożliwiłby otwarcie ładowni i przerzucenie skrzyń na drugi okręt. Musieliby czekać na poprawę pogody, a to zwiększało niebezpieczeństwo wykrycia ich przez wrogie lotnictwo albo okręty, które przypadkowo znalazłyby się w tym rejonie. Nie mógł też wykluczyć, że ich misja przestała być tajemnicą i po Atlantyku krąży

szukające ich okręty. Co prawda na spotkanie z argentyńskim statkiem wybrano miejsce położone z dala od najbardziej uczęszczanych żeglugowych szlaków, ale licho nie śpi. Nawet w samym końcu wojny. Wiedział, że nie wolno mu dopuścić, aby ładunek wpadł w ręce wroga. Gdyby więc na horyzoncie pojawiły się wrogie okręty, musiałby zatopić swój okręt. Był na to przygotowany, gdyż kazał rozmieścić ładunki wybuchowe, których eksplozje posłałyby na dno U-234, zanim na pokład zdołałaby wdrzeć się grupa abordażowa z wrogiego okrętu.

- Obsadzić działa!

Marynarze stojący w szeregu, wykorzystujący czas po pogrzebie na wypalenie papierosów, rzucili się w stronę wyznaczonych stanowisk bojowych. Artyleria U-boota złożona z jednego działa kalibru 105 mm, dwóch przeciwlotniczych trzydziestek i jednego działa kalibru 37 milimetrów, odpowiednia do rozprawienia się ze statkiem handlowym lub odpędzenia pojedynczego samolotu, na niewiele by się zdała w starciu z niszczycielem, który pojawiłby się na horyzoncie. Fehle nie liczył jednak na pokonanie przeciwnika, lecz na powstrzymanie go przed zajęciem U-boota, dopóki ten nie poszedłby na dno.

-Grupa przyzowa na pokład!

-Jest sygnał! - usłyszał głos Pfarga wpatrującego się przez lornetkę w ciemność zachodniej strony morza.

-Nadają „G” jak Gertruda - informował Pfarg.

-Sygnalista, nadaj nasz znak rozpoznawczy!

Sygnalista zsunął ochronny kaptur z lampy aldisa, skierował ją w stronę widocznych na horyzoncie błysków i zaczął naciskać włącznik, nadając sygnały Morse'a.

-Potwierdzają „H” jak Harry - przekazał Pfarg.

-Oba silniki stop - zakomenderował Fehle i spojrzął na burtę.

Dwie płyty zasłaniające luk ładowni były już uniesione. Pozostawało tylko czekać, aż okręt, sygnalizujący swoje nadejście umówionym znakiem, zbliży się. Obsługi dział były na stanowiskach i obróciły lufy gotowe do otwarcia ognia. Sześciu marynarzy z pistoletami maszynowymi, granatami przy pasie i linkami w rękach stanęło przy relingu, aby w stosownym momencie wspiąć się na pokład okrętu.

Fehle postanowił do końca pozostać nieufny. Obawiał się podstępu, tym bardziej że nie wiedział, jaki statek mają spotkać. Gdy opuszczał port w Kristiansand, nie było to jeszcze znane, a informacja, którą miano przesłać później, nie dotarła do jego U-boota. A może w ogóle nie została nadana. Kto miał do tego głowę w samym końcu wojny?

Z ciemności wynurzała się sylwetka rybackiego trawlera. W świetle reflektorów Fehle dostrzegał niewielki statek o mocno zardzewiałym kadłubie i z sieciami wiszącymi po obydwu stronach burt. Wyglądał jakby wracał z nieudanego połowu.

Lufy dział U-boota podążały za nim.

- Spokojnie, chłopcy! - usłyszał głos wzmacniany przez tubę. - Kapitanie Fehle, stary druhu, obróćcie tę pukawkę, bo jeszcze nam krzywdę zrobicie.

Fehle, zdziwiony, że padło jego nazwisko, podniósł tubę do ust.

- Kto tam jest?

Trawler dobijał już niemalże do burty U-boota i choć nie był to duży statek, to górował nad ledwo wystającym z wody niemieckim okrętem.

- Kapitan Bernhard Spang - usłyszał w odpowiedzi, a po kilku chwilach zza burty trawlera wyjrzała brodata twarz.

Fehle uśmiechnął się. Przed laty razem służyli na krążowniku pomocniczym „Atlantis”, dopóki nie poszedł na dno w listopadzie 1941 roku.

-Na cóż ci przyszło? - krzyknął Fehle. - Zamieniłeś krążownik na tę rybacką krypę?

-Na co ci przyszło, zamieniłeś krążownik na tę podwodną krypę? - odpowiedział jak echo Spang.

-Już nie mam wątpliwości, że to ty. Rzuć trap!

-Odbój z grupą przyzową - Fehle wydał rozkaz marynarzom szykującym się do wejścia na pokład trawlera. Nikomu nie ufał tak bardzo jak Spangowi. Ten człowiek nie mógłby zdradzić. Raczej popełniłby samobójstwo.

Z boku statku opadła sznurowa drabinka, po której Fehle wspiał się na niewysoką burtę.

Spang w nieprzemakalnym kapeluszu z dużym rondem opadającym na plecy i sztormówce wyglądał jak rasowy rybak. Rozłożył

szeroko ręce, witając dawno niewidzianego towarzysza morskich rozbojów.

-„Dynamit”, dobrze cię widzieć całego i zdrowego - Spang użył imienia nadanego kapitanowi Fehlemu w czasie służby na krążowniku pomocniczym, gdyż do jego obowiązków należało wysadzanie statków, które wcześniej nie zostały zatopione ogniem dział.

-Drugi, dopilnuj przeładunku - Spang krzyknął w stronę mostku, ale po chwili odwrócił się do Fehlego.

-Co nam przekazujesz?

-Tajemnicę. I powiem ci, postaw wartę przy skrzyniach i nie pozwól nikomu do nich zajrzeć. Bo inaczej ze skóry cię obedną.

-Ech, nie martw się. Zaraz zasypimy je rybami. Będą śmierdzieć, ale nikt się do nich nie dobierze.

-Tylko potem wyrzucicie te ryby do morza.

Spang spojrział na Fehlego spode łba.

-Co ty mi dajesz?

- To co kazali, ale powiem ci, nie przebywaj obok tych skrzyń zbyt długo.

Lina dźwigu, którego ramię zostało wysunięte za burtę, napięła się, co było nieomylnym znakiem, że przeładunek się rozpoczął.

-Dokąd teraz? - zapytał Spang, wiedząc, że nic więcej nie wydobędzie od przyjaciela.

-Wszystko zgodnie z planem.

- Odebrałeś wiadomość o kapitulacji?

Fehle spojrział na Spanga zaskoczony.

- Dzisiaj nadali, że poddaliśmy się. Ostatecznie i nieodwołalnie.

- To nie trik? Nie oszukują nas?

Spang pokręcił głową.

-Nie, bracie, nie trik. Nakazują doprowadzić okręty do Wielkiej Brytanii, Stanów, Kanady albo Gibraltaru. Możesz też płynąć do domu, ale tego ci nie radzę.

-Rosjanie?

-Uhu, a nie chcesz chyba iść do nich do niewoli. Radzę ci, płyn do Amerykanów. Zadanie wypełniłeś. A jak cię wypuszczą z obozu, to przyjedź do mnie. Tam - wskazał głową na zachód, jakby za jego plecami była Argentyna - nazywam się Alvarez. Może niezbyt

wyszukanie, ale łatwo zapamiętać. Przyjedź do Buenos do knajpy „Las Violetas” w Puerto Madero. Tam ci powiedzą, gdzie mnie znajdziesz.

Ostatnia skrzynia, podniesiona z pokładu U-boota, zawisła nad ładownią trawlera i powoli zjechała w ciemną czeluść. Drugi oficer, stojący tuż przy burcie, dał znać operatowi dźwigu, że przeładunek zakończony.

- To bywaj, Spang - Fehle wyciągnął rękę. - Udało nam się przeżyć wojnę, to może przeżyjemy i kapitulację.

- Bywaj, „Dynamit”!

Uścisnęli sobie dłonie.

U-234 po wyrównaniu zbiorników balastowych ruszył z prędkością szesnastu węzłów na północny zachód. Fehle postanowił nie zanurzać okrętu, aby nie narażać się na przypadkowe wykrycie i zatopienie przez jakiś aliancki niszczyciel, którego dowódca postanowił jeszcze polować na niemieckie jednostki.

10 maja, Beer

Beer otulił się płaszczem, jaki rzucił z litości enkawudzista pilnujący go w ciężarówce, gdy zobaczył, że jeniec trzęsie się z zimna. Przesunął się w róg, tuż za szoferką, gdzie mniej wiało.

-Daleko jeszcze? - zapytał enkawudzisty, na którym strumień zimnego powietrza wpadający między szparami plandeki nie robił wrażenia. Tamten nie odpowiedział. Uznał najwyraźniej, że jeden ludzki odruch, jakim było oddanie płaszcza, wystarczy.

-Znaczy daleko - mruknął Beer.

Ramię wykręcone w stawie, gdy Sauer powiesił go na łańcuchu, bolało przy każdym podskoku samochodu na wyboistej drodze. Na szczęście mijał ból po oparzeniach płomieniem lampy do lutowania. Prymitywny brutal. Umiał bić, ale nie umiał torturować. Nie zmusił do wyznania wszystkiego. Nie pozbawił sił, które umożliwiły ucieczkę, gdy weszli do sztolni pod Walimiem. Beer pamiętał wzrok Sauera, gdy otworzył pierwszą ciemnozieloną skrzynię.

Tuż pod wiekiem, w drewnianych wiórach leżały sztaby złota. Równe, gładkie, o cudownym kształcie odbijały migotliwy płomień pochodni. Sauer pochylił się nad skrzynią i delikatnie rozgarniał wióry, aby zobaczyć jak najwięcej złota. I liczył sztaby. Osiem w pierwszym rzędzie. A niżej następne. W sumie szesnaście w skrzyni. Więcej nie można było włożyć, bo stałaby się za ciężka. Ale obok leżały inne skrzynie. Takie same, ciemnozielone z białymi numerami na wiekach.

Beer nie miał wątpliwości. Gdy tylko Sauer nasyci wzrok, sięgnie po pistolet, aby go zastrzelić.

Przecież to było złoto SS, którego ukrycie nadzorował sam obersturmbannführer Otto Skorzeny. Zabranie choćby jednej sztabki to kradzież, a sprawca miał zagwarantowane, że wcześniej czy później będzie za to wisiał!

Patrząc na Sauera pochylonego nad sztabami, Beer wetknął swoją pochodnię za uchwyt dużej skrzyni i cofnął się o krok.

- Beer, mogę cię ozłocić - mówił Sauer. - Przyjacielem mi będziesz. No i wybaczysz, że cię trochę poturbowałem. No wiesz, taka męska sprawa. Zagoi się...

Sauer, odwrócony i pochylony nad skrzynią, wciąż mówił, ale Beer go nie słuchał. Zrobił drugi krok, potem trzeci. Wychodził już z bladego światła pochodni. Tamten nic nie słyszał. Beer obejrzał się. Jeszcze dwa kroki dzieliły go od skalnego załomu rzucającego cień. A dalej była ciemność. Kolejny krok. Sauer, szeroko rozłożywszy ręce, podpierając się o brzeg skrzyni, wciąż wpatrywał się w swoje bogactwo.

Beer zsuł buty, co było o tyle łatwe, że nie miał sznurowadeł. Ostre kamyczki zakłuły go w stopy. Ale jakież to ból, gdy kilka dni wcześniej Sauer wieszał go za wykręcone ręce i przypalał brzuch.

Szedł coraz szybciej, aż zaczął biec, w całkowitych ciemnościach, jak szaleniec, który chce się rozbić o skałę. Kilka razy boleśnie zderzył się z drewnianymi stemplami podtrzymującymi strop. Nie zwalniał. Biegł w kierunku, z którego, jak mu się zdawało, napływało powietrze. Tam musiało być wyjście. Aż usłyszał krzyk. Daleki, odbijający się echem od skalnych ścian.

- Beer! Beer! Gdzie jesteś?! Beer! Zabiję cię!

Sauer, który wreszcie spostrzegł podstęp, miotał się jak zraniony lew.

Beer dostrzegł w oddali mdłą poświatę. Tam było wyjście. Wydostał się na zewnątrz i wyskoczył na zbocze. Zachwiał się. Bosa stopa trafiła na ostry kamień. Podświadomie podkurczył nogę i stracił równowagę. Runął z wysokości wielu metrów, aż zatrzymał się na dnie skalnego wykrotu, gdzie gałęzie i mech stłumiły siłę upadku i pozwoliły mu zachować życie. To go uratowało przed Sauerem. Ten, gdy wybiegł ze sztolni, uznał, że więzień uciekł do góry, i tam się skierował.

Ciężarówka znowu podskoczyła na wyboju, co spowodowało gwałtowny ból ramienia. Zwinął połę płaszcza i podłożył pod łokieć, aby lepiej amortyzować wstrząsy, jednakże niewiele to pomogło.

Przeleżał na dnie jamy przez dwie godziny, bojąc się poruszyć. Wreszcie, gdy uznał, że Sauer już go nie szuka, owinał stopy szmatami, na jakie podarł znalezionej obozowej kurtkę, i ruszył na północ. Wyznaczał kierunek, obserwując mech na pniach drzew, a nocą wyszukując Gwiazdę Polarną. Spał w stertach liści, które zgarniał, aby uchroniły go przed deszczem i nocnym chłodem. Omijał wsie. Obawiał się, że Sauer po powrocie do Furstenbergu rozesłał za nim listy gończe, a SS na Dolnym Śląsku wciąż było bardzo sprawne. Miał tego dowody, gdy na latarni, tuż przed wsią, zobaczył wisielca w mundurze Wehrmachtu. Na szyi miał tabliczkę: „Zdradziłem Niemcy i Führera”.

Szedł tak dwa, może trzy dni. Nie mógł określić dokładnie, gdyż szybko stracił rachubę czasu. Miał nadzieję, że spotka radziecki patrol, ale nie wiedząc, jak daleko jest od radzieckich linii, kierował się do zamku Tzschocha, słusznie przyjmując, że już nie ma tam Globckiego, a nie wydawało mu się możliwe, aby ten przyznawał się, iż jego zastępca był radzieckim szpiegiem. Mógł więc łatwo wytłumaczyć swój stan i nieobecność tym, że wpadł w ręce zwiadu radzieckiego, ale udało mu się uciec. Może nawet zostałby bohaterem, gdyby udało mu się przekonać towarzyszy, że Rosjanie torturami z niego nic nie wyciągnęli. Ostatniej nocy niemiecki patrol odnalazł go w stodole, dokąd zakradł się ściągnięty fetorem

pobliskiego chlewu. Założył, że koryto będzie pełne obierek i może uda mu się coś zjeść. Rzeczywiście tak się stało, ale posiłek na niewiele mu się zdał, gdyż na dnie koryta zobaczył zdechłego szczura i dostał silnych torsji, które dodatkowo go osłabiły.

Zapewne gospodarz dostrzegł go o zmroku i wezwał patrol. Oślepiiony latarką wyjąkał swój stopień służbowy i nazwisko. Zawieźli go do garnizonu w Lauban. Jak się okazało, zmylił drogę i obchodził Tzschochę dużym łukiem. Lekarz opatrzył rany, a miejscowy dowódca SS złożył mu gratulacje bohaterstwa i wytrwałości, obiecując, że wystąpi o Żelazny Krzyż dla niego, co miało honorować szczególne męstwo w obliczu bezwzględного wroga. Odwieziono go do zamku, dokąd jechał z obawą. Ale szybko odzyskał pewność siebie, gdy się okazało, że Globckiego rzeczywiście nie ma, a w dodatku nie poinformował nikogo o swoich podejrzeniach wobec zastępcy. Przyjął go ponury esesman o twarzy podziobanej śladami po ospie. Przedstawił się jako Sebastian Wolf i przypomniał, że spotkali się kiedyś. Rzeczywiście Beer widział go parę razy u boku Sauera. W jego zachowaniu nie było cienia podejrzliwości co do wyjaśnień, jakie złożył Beer. Pewnego dnia, tak, przypominał sobie tę datę: było to 24 kwietnia, przyjechał jakiś dostojnik SS i kazał się zawieźć do zamku Fürstenberg. Beer myślał, że jemu przypadnie zaszczyt odwiezienia wysokiego gościa, ale pojechał tam Wolf. Wrócił niespodziewanie wieczorem i bez pukania wszedł do pokoju Beera. Usiadł na brzegu łóżka i wyciągnął pistolet.

-Posłuchaj, Matheo - zwrócił się do Beera po imieniu. Gdy ten usiłował podnieść się, przycisnął go lufą pistoletu. - Sauer mi powiedział wiele o tobie...

-To on żyje?

-Nie - Wolf pokręcił głową. Na jego twarzy rysował się smutek, jakby żałował zmarłego przyjaciela. - Parę dni temu zastrzeliłem go, chociaż cenilem jego bezwzględność w zwalczaniu wrogów. Taki był rozkaz. Wiesz, że chciał mnie przekupić? Mówił coś o sztabach złota. Głupiec!

Beer patrzył na niego zaskoczony i zaniepokojony. Ten człowiek robił wrażenie szaleńca. Ale nie to go niepokoiło. Po co przyszedł? Dlaczego wyjął pistolet?

- O tobie, Beer, wiem wszystko - mówił Wolf. - Sauer mi po wiedział. Wiesz, był dla mnie jak ojciec. Wierzył mi. Ufał bezgranicznie. Wiesz, że przywoziłem kokainę dla niego?

Beer pokręcił głową.

-A widzisz, on był narkomanem. Mnie wszystko mówił. Jak wróciłeś taki poraniony, to wiedziałem, że zrobił ci to Sauer, a nie Rosjanie. Ale nie powiesiłem cię, bo pomyślałem, że możesz się przydać. No i przydasz się...

-A to jak? - Niepokój ustąpił ciekawości, gdyż Beer zrozumiał, że nic mu nie grozi. Przynajmniej na razie.

-Nadasz wiadomość do ^ych swoich rosyjskich kolegów, że wieczorem z Furstenbergu wyjedzie konwój ze złotem. Nadasz?

Zapytał tak uprzejmie, że Beer uśmiechnął się.

- Oczywiście.

- No, przekażesz trasę jaką pojedą...

Wolf podał mu kartkę.

-Tu masz wszystkie informacje. A tak w ogóle, Beer, to jak przekazujesz te swoje meldunki? Mogę zapytać?

-Tak, oczywiście. - Beer wydawał się zażenowany łagodnością esesmana. - Mam radiostację.

-A gdzie ją trzymasz? Powiesz mi...

Wolf był wyraźnie zdumiony, że ani Sauerowi, ani jemu nie udało się tego ustalić wcześniej.

- W baszcie. Globcke interesował się astrologią i urządził tam obserwatorium. Trzymał to w tajemnicy, więc uznałem, że będzie to najlepsze miejsce, w którym nikt nie będzie szukał mojej radiostacji.

Wolf wybuchnął śmiechem tak radosnym, jakby usłyszał najlepszą anegdotę. Śmiał się długo, aż łzy popłynęły mu po policzkach.

- Tylko zadbaj, żeby twoja wiadomość dotarła, bo jak nie, to cię powieszę. No.

Stał łzy, odwrócił się i wyszedł z pokoju, zostawiając Beera samego. Ten odczekał chwilę, czy nie usłyszy zgrzytu klucza w zamku, ale to nie nastąpiło. Wyrzwał na korytarz, ale nie dostrzegł straży. Wolf zostawił go niepilnowanego! Po chwili zrozumiał, na czym polegał ten wybieg. Ucieczka byłaby najgłupszym rozwiązaniem. Wciąż był słaby i minęłoby wiele dni, zanim dotarłby do radzieckich Unii, o ile po drodze nie powiesiłby go jakiś patrol żandarmerii, który

uznałby go za dezertera. Pozostając w zamku i wysyłając meldunek do swoich, dodałby kolejną zasługę i to nie byle jaką.

Tej nocy słyszał sygnał alarmowy, potem warkot ciężarówek, a tuż przed świtem strzały. Nie wiedział, co mogło się stać. Rano przyszedł Wolf.

- Wyświadczyłeś mi przysługę, a ja ludzi oceniam przez to, co robią dla mnie, a nie dla ojczyzny - powiedział, ponownie siadając na krawędzi łóżka.

Pogładził Beera po policzku.

- Będę dla ciebie dobry.

Wyjął z kieszeni dokument i położył go na poduszce.

-Możesz wyjść z zamku. To cię uchroni przed patrolami. Dalej radź sobie sam.

-Nie zastrzelisz mnie?

Wolf znowu pogładził go po policzku.

- Podobasz mi się, ale jestem dzisiaj spełniony.

Wstał.

- Nie jestem taki głupi jak Sauer, który czerpał radość z uśmiercania ludzi. Ja ich kocham. Tacy jak ty będą nam potrzebni. Że gnaj, Beer. Może jeszcze się spotkamy...

Wyszedł z pokoju, pozostawiając zaskoczonego Beera, który szybko odczytał dokument, jaki pozostawił Wolf. Był to rozkaz wykonania misji szczególnego znaczenia i polecenie do wszystkich organów administracji wojskowej udzielenia jak najdalej idącej pomocy. Beer, kiedy wychodził z zamku, nie sądził, że ten dokument uratuje go, i to nie z rąk esesmanów poszukujących dezertersów, lecz Smierszu. Natknął się na nich niespodziewanie. Zapuscili się poza linię frontu, aby przyrzeć się mostom. Jeden wyjął bagnet, żeby podciąć mu gardło, ale na szczęście drugi przeglądając kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy lub cennych przedmiotów, znalazł dokument wystawiony przez Wolfa. Znał niemiecki i zdanie o specjalnej misji kazało spodziewać się pochwały przełożonych za dostarczenie cennego jeńca. Zrezygnowali z egzekucji i wzięli do oddziału Smiersz. Dopiero tam Beer mógł podać hasło „Matka Rosja”, które każdy dowódca placówki kontrwywiadu powinien znać i natychmiast odstawić takiego więźnia do wyższej jednostki. Ten nie znał, bo przed kilkoma dniami zastąpił dowódcę zastrzelonego przez niemieckiego snajpera. Miał

wielką ochotę rozstrzelać Beera, ale zastanowiły go rany po torturach i płynny język rosyjski. A Beer nic więcej nie mógł ujawnić. Ani swojego pseudonimu, ani nazwiska majora Czyżykowa, jako prowadzącego oficera wywiadu. Szybko wyczuł wahanie dowódcy i przestał skamleć o życie. Stał się hardy i władczy, co zrobiło wrażenie. Krzyczał na dowódcę, że jeżeli go rozstrzelają, to sami będą wisieć za sabotaż, i kazał się wieźć do komendy Smierszu w najbliższym mieście.

Równy stukot kół wskazywał, że zjechali z asfaltu i są na wybrukowanej drodze.

Beer spojrzał przez szparę w plandecę. Dostrzegł budynki i drzewa. Wjeżdżali do jakiegoś miasta. Odetchnął z ulgą.

- Witaj w życiu, Feliksie Stiepanyczu - powiedział do siebie.

- Co wy tam? - zainteresował się strażnik.

- E, nic. Tak się nazywam - wyjaśnił Beer.

Strażnik wzruszył ramionami.

Tak się nazywał. Feliks Stiepanycz Grau. Dziwne to było wymieszanie, ale pochodził z niemieckiej rodziny, która w końcu osiemnastego wieku, uciekając przed biedą w ojczyźnie, przyjechała do Rosji i osiedliła się na ziemiach oddanych Niemcom przez carycę Katarzynę, na Powołżu. Nigdy nie czuł się Niemcem, choć matka robiła wszystko, aby tak było. W domu mówiło się tylko po niemiecku i czytało niemieckie książki. Rosyjskiego nauczył się dopiero w szkole. Ojciec był innego zdania, ale jego wpływ na wychowanie syna zaznaczył się tylko dwukrotnie w życiu chłopaka. Pierwszy raz na chrzcie, gdy wbrew matce nadał mu imię Feliks na cześć Dzierżyńskiego, gdyż był jego żołnierzem i pacyfikował ukraińskie wsie. A potem, gdy oddał siedemnastolatka do szkoły NKWD. Sytuacja w Europie zaogniła się i NKWD, mimo deklaracji sympatii ze strony władz w Moskwie wobec rządu Hitlera, gorączkowo rozbudowywało służby wywiadowcze. A młody Feliks doskonale nadawał się do tej służby: niemiecki był jego ojczystym językiem, a z jasnymi blond włosami i niebieskimi oczami wyglądał jak ideał urody aryjskiej. Przeszedł staranne przeszkolenie i przetrzucono go do Rygi, gdzie doczekał wkroczenia wojsk niemieckich

w 1941 roku. Gdy jako Matheas Beer zgłosił się do służby w SS, przyjęto go z otwartymi ramionami.

Ciężarówka przejechała przez wysoką kutą bramę osadzoną w ceglany murze i zatrzymała się na podjeździe do wystawnej willi.

- Wsiadaj! - strażnik podniósł się i zarzucił pistolet maszynowy na ramię. - Jesteśmy na miejscu. Albo cię zastrzelą — wskazał głową na mur - albo będziesz żył.

Zeskoczył na ziemię i patrzył niezadowolony, jak Beer niezgrabnie szukał dla stopy oparcia poza klapą skrzyni ładunkowej, zanim nie postawił jej na haku holowniczym wystającym spod zderzaka. Twarda podeszwa zsunęła się po gładkiej powierzchni i Beer, tracąc równowagę, runął na ziemię. Gwałtowny ból ramienia przeszył jego ciało i sparaliżował ruchy.

-Wstawaj! - strażnik trącił go butem. Spoglądał niespokojny w stronę drzwi do willi, w których stanął oficer. Nagle dostrzegając szarżę oficera NKWD, strażnik wyprostował się.

-Towarzyszu kapitanie! Kapral Sowriemiennikow melduje dostarczenie jeńca!

Znowu zerknął na Beera, który wstawał niezbornie.

-Coście mu zrobili? - Kapitan podszedł bliżej. - Biliście go?

-Nie! - krzyknął Sowriemiennikow. - Dopiero teraz, jak gadzina faszystowska nie umie stanąć na baczność przed radzieckim oficerem! - dodał ochoczo.

Zsunął pasek pepeszy z ramienia i machnął pistoletem, celując kolbą w bark. Widział wcześniej, jak jeniec chował obolałe ramię, i uznał, że cios zadany w tamto miejsce będzie najskuteczniejszy. Usłyszał okrzyk bólu i w tym samym momencie pociemniało mu w oczach. Pięść oficera trafiła go równo u podstawy nosa, rozcinając wargę. Krew wypełniała usta Sowriemiennikowa, który stał, chwiejąc się, równie przerażony, co zaskoczony. Spodziewał się śmiechu oficera, jak to często widywał, gdy bił jeńców. Im częściej i boleśniej walił ich kolbą albo kopał, tym głośniej się śmieli. A teraz biją? Nie rozumiał tego.

-Jak to tak? - wyszeptał i miał szczęście, że oficer nie usłyszał.

-Mordę obiję, sukinsynu, jak tkniesz jeszcze raz! - wrzasnął kapitan tak głośno, że strażnik odsunął się o krok.

-Tak w ogóle jeńców nie bić, czy tylko tego? - Sowriemienikow usiłował wyjaśnić sytuację, żeby przekazać wytyczne kolegom.

-Sanitariuszkę wołać! - Kapitan pochylił się nad Beerem i podał mu rękę, pomagając wstać. Potem przerzucił jego rękę przez swoje ramię. Powoli ruszyli w stronę wejścia, zostawiając z tyłu strażnika, który rękawem rozcierał krew płynącą z rozbitego nosa i rozciętej wargi.

10 maja, lotnisko Northolt

W Northolt samochód podjechał tuż do kadłuba ciemnozielonej dakoty stojącej na początku pasa startowego. Jorg szybko wsiadł do samolotu, zaskoczony brakiem formalności, jakich dotychczas był świadkiem.

Przymrużył oczy, aby przyzwyczać wzrok do wnętrza, gdzie niewielkie lampy na górze wręg i wpadające przez prostokątne okna światło lamp na pasie startowym ledwo rozświetlały ciemność. Dostrzegł sylwetkę mężczyzny, który siedział w końcu samolotu owinięty kocem, jakby chronił się przed majowym zimnem. Widząc wchodzącego Jorga, podniósł dłoń w geście powitania towarzysza podróży. Ten odpowiedział skinieniem głowy i ulokował się, jak mógł najwygodniej, na ławce biegnącej wzdłuż boku kadłuba. W samolocie przystosowanym do zrzucania skoczków trudno się było spodziewać luksusu, ale twarda rama ławki obciążonej brezentem była wyjątkowo niewygodna.

Po chwili z kabiny wychylił się pilot i widząc, że Jorg jest już na pokładzie, machnął na znak, że startują, co potwierdził odgłos uruchamianych silników.

Jorg wydobyl z kieszeni legitymację, jaką władze amerykańskie wręczyły jemu, jako Tomaszowi Żukowskiemu, porucznikowi Wojska Polskiego zwolnionemu z niewoli w obozie w Murnau. Taka była jego nowa tożsamość, jaką miał przedstawić Rosjanom, gdyby wpadł w ich ręce. Stał się innym człowiekiem, którego życiorysu

uczył się przez ostatnie dni, podobnie jak topografii obozu, regulaminu, imion współwięźniów, twarzy strażników. Nawet dla jego rany na udzie, już dobrze zabliznionej, znaleziono wytłumaczenie w nowym życiorysie. Miał zostać postrzelony podczas próby ucieczki z konwoju, co rzeczywiście miało miejsce, acz chodziło o innego jeńca.

-Góra z górą się nie zejdzie - usłyszał głos drugiego pasażera, który podniósł się ze swojego miejsca w ogniu i przekrzykiwał huk silników.

-Andrzej? - Jorg przymrużył oczy, aby lepiej widzieć.

-To ja, bracie!

Czerny stanął w świetle lampki, żeby Jorg mógł go rozpoznać.

-Co za spotkanie!

-Nie wygłupiaj się! Nie mów, że nie wiedziałeś, że polecimy razem!

-A ty wiedziałeś, że mnie tu spotkasz?

Uścisnęli się tak serdecznie, jakby spotykali się po wielu latach, choć od ostatniej rozmowy minęły niespełna dwa tygodnie.

-To ty jesteś tą drugą częścią mojej wiedzy?

-A ty mojej. - Czerny usiadł obok Jorga i wyciągnął papierosa.

- To na wypadek, gdyby przyskrzynili nas Rosjanie.

-...albo Niemcy.

-Wiesz, dobrze znam metody przesłuchań w NKWD, a wcale nie chciałbym poznać niemieckich.

-To po coś się w to wplątał?

-Ja się wplątałem? - Czerny wypowiedział to z takim oburzeniem, że Jorg uśmiechnął się. Za dobrze go znał.

-Jeśli tak uważasz, to nie mylisz się - niespodziewanie Czerny się zgodził. - Jeśli ta misja zakończy się sukcesem, to nie chciałbym, żeby cała zasługa przypadła Anglikom albo Amerykanom. To jest przede wszystkim nasza sprawa!

Samolot przebił się przez warstwę grubych chmur i za oknami zobaczyli rozgwieżdżone niebo.

- Andrzej, lecimy do Koburga - nieśmiało odezwał się Jorg, co Czerny skwitował skinieniem głowy, acz uważnie przyglądał się przyjacielowi. W jego głosie odczytywał zapowiedź ważnej informacji.

-Wiesz, mam tam sprawę do załatwienia - Jorg mówił wciąż bardzo nieśmiało. - Prywatną...

-Jak ona miała na imię? Anna Maria? - Czerny uśmiechnął się szeroko.

Jorg nie odpowiedział. Dziewczyna, która zawładnęła jego sercem w Tzschosze, zniknęła równie szybko, jak się pojawiła w jego życiu. Pamiętał, jak spotkali się po raz pierwszy na balkonie zamku. Potem jak walczyła o życie więźnia katowanego przez esesmana. Jak pokazała mu tajemne przejścia. I nagle zniknęła, gdy kazano jej uciekać z zamku. Wtedy zrozumiał, że tęskni za nią. I tak bardzo chciał ją odnaleźć. Eozłaka wyostrzała jej obraz. Ciągłe widział jej twarz, uśmiechnięte oczy, czuł zapach włosów, gdy po raz pierwszy ośmielił się musnąć ustami jej policzek. Gdzie mogła być? Jedynym śladem była informacja, jaką uzyskał od szefa ochrony zamku Obersturmbannführera Globckego. Ale czy można temu wierzyć? Lot przybliżył ją i dlatego wspomnienia odżyły z całą siłą.

-Może być w Kobergu - odpowiedział po chwili.

-Nie ma sprawy. - Czerny wzruszył ramionami. - Nie sądzisz chyba, że od razu zapakują nas do samolotu, aby zrzucić gdzieś nad Śląsk lem.

-Dziękuję, Andrzej - Jorg powiedział to z taką serdecznością, że Czerny spojrział na niego zdziwiony, ale nic nie dodał.

10 maja, szpital w Legnitz

Beer zmrużył oczy oślepiiony smugą światła wpadającą z korytarza. W szeroko otwartych drzwiach stał oficer, jak poznawał po sylwetce, którego rangi nie potrafił określić. Pomyślał, że to któryś z podwładnych komendanta przyszedł sprawdzić, jak się czuje. W niewielkim szpitalu wojskowym w Legnitz* dbali o niego

* Obecnie Legnica.

wyjątkowo dobrze. Pomyślał nawet, że dostali specjalny rozkaz, aby opiekować się Untersturmführerem Beerem. Zasłużył sobie!

- Feliksie Stiepanyczu, jak się czujecie?

Już po protekcyjnym tonie głosu mógł się zorientować, że nie był to niski rangą oficer. Ponownie otworzył oczy. Mężczyzna, który się nad nim pochylał, miał generalskie pagony! Beer podniósł się szybko i usiadł wyprostowany na łóżku.

-Dziękuję, towarzyszu generale - wybąkał zmieszany - nie sądziłem, że sam towarzysz generał...

-Awram Zawieniagin - przedstawił się oficer. Przysunął sobie biały stołek i usiadł przy łóżku.

-Doceniamy wasze zasługi. Order będzie i długi odpoczynek. Ale nie teraz.

Beer słuchał zaskoczony. Wojna się skończyła. Niemcy skapitulowali. Uważał, że jego służba też dobiegła końca. Czyżby generał miał dla niego jakieś nowe zadanie?

-Wróćcie na Dolny Śląsk, aby wykonać misję, którą będą śledzić najważniejsi w państwie.

-Towarzysz Stalin - Beer wypowiedział te słowa niemal bezgłośnie. - To możliwe?...

Zawieniagin pokiwał głową, ale nie odezwał się.

- Według naszego rozeznania na Dolnym Śląsku zdeponowano ogromne sumy pieniędzy, które stały się majątkiem nowej organizacji esesmanów o nazwie „Pajak”. Chcemy mieć wgląd w tę organizację.

- To znaczy: zlikwidować ją?

Zawieniagin nie odpowiedział.

-Byliście w Tzschosze, jak przyjechał tam Skorzeny, czyli znacie go.

-Widziałem...

Beer rozważał gwałtownie, czy ma ujawnić, że zna miejsce w jeziorze, gdzie zatopiono skrzynie, i sztolnię, gdzie je ukryto. Nie zrobił tego. Traktował to jako zabezpieczenie powojennego życia, gdyż uważał, że wcześniej czy później uda mu się wydobyć część skarbów.

- Teraz musicie do niego dotrzeć. On jest główną osobą w naszej operacji.

-Nie wiem, gdzie może być. Jak go szukać, i w ogóle...

-Z tego co wiemy, Skorzeny z grupą swoich ludzi ukrywa się w Bawarii.

-Daleko...

- Nieważne. Wiemy, kto utrzymuje z nim kontakt.

Otworzył teczkę i wydobyl zdjęcie mężczyzny w generalskim mundurze SS.

- Spotkaliście go może kiedyś?

Beer przyjrzał się zdjęciu. Nie przypominał sobie tego człowieka, więc pokręcił głową.

-Nie szkodzi. Wiemy, gdzie jest. To Oberführer SS Gerhard von Ohlenrode. Podlega bezpośrednio Josefowi Spacilowi, szefowi drugiego wydziału Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, czyli finansów.

-To będzie moje zadanie?

-Tak. Spacil, a więc i Ohlenrode, wiedzą, gdzie jest Skorzeny. Na miejscu pomocy udzielą wam dwaj nasi ludzie, których zainstalowaliśmy w tym rejonie wcześniej...

Znowu sięgnął do teczki i wydobyl dwie fotografie i kilka luźnych kartek.

- Ten łysy to „Młot”, drugi - „Gargan”. Bardzo sprawni. Ostatnio namierzili jubilera z Lauban, który rozprawiał o kosztowności ze skarbcza SS. Niejaki Horst Stienert. Skłonili go do współpracy. Tylko lepiej nie pytajcie, jak to zrobili. Mają swoje metody. Ten jubiler może się wam przydać, tym bardziej że gotów zabić własną matkę, aby znowu nie spotkać „Młota” i „Gargana”.

Zawieniagin odczekał chwilę, aż Beer przypatrzy się zdjęciom i przejrzy kartki z informacjami na ich temat. Wreszcie wyjął mu je z dłoni i schował pieczołowicie do teczki, którą zamknął na sztyfowany zamek.

-Towarzyszu Beer, nie pytałem jak się czujecie, bo w czasie wojny to nieważne. Zbierajcie się!

-Ku chwale ojczyzny, towarzyszu generale!

Beer wyskoczył z łóżka i stanął na baczność, nie zważając, że śmiesznie wygląda w zbyt dużej szpitalnej piżamie, stojąc boso na kamiennej posadzce.

Zawieniagin poklepał go po ramieniu.

11 maja, Koburg

Żandarm o twarzy buldoga oderwał się od jeeпа i zdecydowanie uniósł rękę, nakazując Jorgowi zatrzymać samochód. Drugi żandarm MP z posterunku przy ratuszu odrzucił pelerynę, którą chronił się przez zacinającym śniegiem, i podniósł pistolet maszynowy, manifestując gotowość włączenia się do akcji, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Musi im się cholernie nudzić - mruknął siedzący obok Czerny na widok żandarmów - ale nie próbuj sprawdzać, co zrobią, gdy się nie zatrzymamy.

Rzeczywiście żandarmi wyglądali na znudzonych służbą na rogu uliczki przy rynku w Koburgu.

-Już wiem, dlaczego mi towarzyszysz. - Jorg nacisnął pedał hamulca zatrzymując się tuż przy żandarmie.

-No, ciekawe, dlaczego? - Czerny spojrzał na niego z zainteresowaniem.

-Bez ciebie nie potrafiłbym poradzić sobie w takiej sytuacji.

-Jorg sięgnął do kieszeni munduru, aby wyjąć dokumenty.

-Jasne! - Czerny pokiwał z uznaniem głową. - Bałem się, że z przyzwyczajenia mógłbyś krzyknąć *Heil Hitler* i podnieść rękę. Cwiczyłeś to przez pięć lat.

Żandarm spojrzał spode łba na Czernego. Widocznie usłyszał nazistowskie pozdrowienie i podeszedł do samochodu od strony Czernego. Na wszelki wypadek przesunął ciężką kaburę kolta na brzuch.

-Co pan powiedział? - wycedził przez zęby. Starał się zachować należyty respekt wobec oficerów sojuszniczego wojska, ale widać było, że nie spodobało mu się ich zachowanie. Ostatecznie mogli to być przebrani dywersanci z Werwolfu. Było to tym bardziej prawdopodobne, że naszywki z napisem „Poland” na rękawach obydwu niewiele mówiły amerykańskiemu kapralowi.

-Hajahila, po polsku to znaczy: „jesteśmy na miejscu”. - Czerny zachowywał śmiertelną powagę.

-Aha - żandarm spojrzał na kolegę, jakby szukając u niego potwierdzenia, że Polak mówi prawdę. Uznał jednak, że nie ma co drażnić sprawy.

-Major... - usiłował odczytać nazwisko, ale szybko zrezygnował. Z tego powodu tylko rzucił okiem na książeczkę wojskową Czernego i szybko oddał im dokumenty.

-Theatergasse to gdzieś w pobliżu?

-Na rynku pierwsza w prawo i potem pierwsza w lewo - żandarm wskazał kierunek i zasalutował.

Minęli budynek miejskiego ratusza zajęty przez amerykańskie dowództwo i wjechali na rynek otoczony barokowymi kamieniczkami. Przed najbardziej okazałą ustawiała się kolejka kobiet, odbierających chleb wydawany z ciężarówki przez dwóch amerykańskich żołnierzy. Przejechali obok i skręcili w wąską boczną uliczkę.

Jorg niepokoił się coraz bardziej. Jechał pod adres, który podał mu Globcke, twierdząc, że znajdzie tam Annę Marię. Wydawało się to bardzo prawdopodobne. Gdy rozstawali się w zamku, mówiła, że pojedzie do Bawarii, mogła więc dotrzeć do Koburga.

Skręcili ponownie i wjechali na nieco szerszą ulicę, na której rogu widniał napis Theatergasse.

-Numer? - zapytał Czerny, wpatrując się w metalowe tabliczki na rogach domów.

-Osiem.

Ciąg jednopiętrowych szarych budynków po prawej stronie ulicy kończył się niewielkim placem, na którym stał spalony samochód.

-To tutaj - powiedział Czerny. - Iść z tobą?

-A po co? - Jorg zaciągnął hamulec ręczny, wysiadł z jeepa i stanął niezdecydowany.

-Żebyś nie zemdleł na schodach, bohaterze. - Czerny wyciągnął paczkę papierosów.

Jorg wzruszył ramionami. Nie miał ochoty na żarty. Utykając lekko na lewą nogę, w której czasami jeszcze odzywał się ból, skierował się do dwuskrzydłowych drzwi, odrapanych, z łuszczącą się farbą. W pewnym momencie odwrócił się do Czernego.

- Wydaje mi się to dziwne - rzucił przez ramię.

-Co takiego?

-To rudera. Nie sądzę, aby Anna Maria mogła tu się zatrzymać.

-Jasne, księżniczki tęsknią do pałaców, ale jest wojna, kolego.

Czerny nie wydawał się przejmować uwagą Jorga, ale odpiął kaburę i wydobył rewolwer. Jemu też nie podobało się to miejsce.

-Może wrócimy po żandarmów?

-Przyjadą z shermanem i zniszczą chałupę, razem z mieszkańcami. Idziesz sam? - Czerny wysiadł z samochodu i rozglądał się po oknach.

Jorg skinął głową i podszedł do drzwi.

Dzwonek, którego przycisk umieszczono wysoko z lewej strony, nie działał, więc zaczął pukać. Nikt nie odpowiedział, chociaż wydawało mu się, że słyszy kroki na schodach. Po kilku minutach drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich twarz mężczyzny o wysoko podciętych ciemnych włosach bez śladów siwizny. Wygląd zdradzał oficera, choć dawno niegolony zarost zdawał się temu przeczyć.

-Czego pan szuka? - zapytał. Najwyraźniej nie był zadowolony ze spotkania z alianckim oficerem.

-Dziewczyny. Blondynka. Dwadzieścia pięć lat. Ma na imię Anna Maria.

-Nie ma tu nikogo takiego. - Mężczyzna, słysząc płynną niemiecką mowę, uśmiechnął się. Można było odnieść wrażenie, że nieco złagodniał, a początkowa nieufność przysła.

-A może była i wyjechała? - nie ustępował Jorg.

-Nie. A skąd pan wie, że miała tu być?

-Tak mi powiedziano.

Z daleka dobiegł warkot samochodu. Po chwili w wylocie ulicy pojawił się jeep z żandarmami MR

Mężczyzna wychylił głowę zza drzwi. Obserwował nadjeżdżających. Czyżby niepokoiło go pojawienie się żołnierzy? Ci, widząc samochód Czernego, zatrzymali się obok.

- Wszystko w porządku, panie majorze? - spod plandeki wychylił się sierżant, który kontrolował ich przy ratuszu.

Czerny odpowiedział machnięciem ręki, potwierdzając, że nie ma powodu do niepokoju. Żandarmi wysiedli z jeepa. W tym samym momencie mężczyzna, który rozmawiał z Jorgiem, cofnął się gwałtownie i przytknął drzwi, zostawiając szparę, przez którą wyglądał jednym okiem.

- Nikogo takiego tu nie ma - zakończył rozmowę. - Do widzenia!

Zamknął szybko drzwi i po chwili dał się słyszeć zgrzyt zamka.

-A co, to niebezpieczny rejon? - Czerny też wysiadł z samochodu i podszedł do Amerykanów.

-Tu wszystko jest niebezpieczne. Nie chodźcie sami po mieście. Mieliliśmy meldunki o atakach Werwolfu. Dwa dni temu zabili dwóch naszych chłopców. Snajper, strzelał z dachu. Ale my tu nie po to, aby was ostrzegać. Szukają was.

-No, a to czemu? - Jorg podszedł do nich.

-Nie moja sprawa, ale podobno pilna. Jedźcie do komendatury, to w rynku, tam gdzie się spotkaliśmy. - Zasalutował i wrócił do jeepa. Nie odjechali jednak, Pozostali na ulicy, bacznie rozglądając się po oknach.

-I to ma być maj, cholera. - Czerny wychylił się i przetaił ręką szybę oblepioną śniegiem. Wycieraczka po stronie pasażera dawno już odmówiła posłuszeństwa, ale na szczęście ta przed kierowcą poruszała się, choć wolno.

-Pamiętasz taki maj, żeby sypało jak na święta Bożego Narodzenia?

-Nie, ale pamiętam święta, kiedy było jak w maju.

Mężczyzna stojąc za drzwiami, które zabezpieczył grubą sztabą, przez niewielkie zakratowane okienko obserwował, jak jeep odjeżdża. Niepokoił go żandarmi, ale i oni po chwili odjechali.

Odwrócił się i wszedł po kilku stopniach do korytarzyka na parterze. Otworzył drzwi do mieszkania. Wyglądało jak opuszczone, choć zadbane i zapewne należące do zapobiegliwych właścicieli, którzy wyjechali, zabezpieczywszy wnętrze. Fotele i krzesła zasłonięte były białymi pokrowcami, a na inne meble, jak kredens i stół, nałożono prześcieradła, aby ochronić je przed kurzem.

- To ja, Gerd! - zawołał od wejścia, uprzedzając, że wchodzi. Przeszedł przez przedpokój i otworzył oszklone drzwi prowadzące do salonu.

Przy oknie stał wysoki mężczyzna i obserwował zza zasłony ulicę. Prawa strona jego głowy była gładko wygolona i widać tam było długą świeżo zagojoną ranę.

- No to mamy naszego Jorga - powiedział. W jego głosie było tyle nienawiści, że Gerd zatrzymał się w proggu.

-Harry, co on ci zrobił, że tak go nienawidzisz? Ta rana na głowie to od niego?

-Nie. Po prostu zadawnione porachunki - odpowiedział niechętnie.

-Ale musiał ci dopiec... - nie rezygnował Gerd.

-Ośmieszył mnie.

- Ciebie, ośmieszyć? - Gerd wydawał się bardzo zdziwiony.

Harry odszedł od okna i usiadł ciężko przy stole. Ciężko ranny wieloma pociskami, które przeszły jego ciało, z trudem dochodził do siebie. Już kilkanaście minut stania przy oknie wyraźnie go wyczerpało.

-W 1939 roku zabrał mi więźnia, podsuwając papier podpisany przez samego Heydricha. Pamiętam, ten więzień nazywał się Czerny. Co miałem robić? Oddałem, a potem Heydrich miał mi to za złe. Jorga spotkałem jeszcze raz. Jak byłem dowódcą Fiirsten-berg. Przyjechał tam jako kapitan Abwehry.

-I nie zabiłeś go? - Gerd był bardzo zdumiony. - Nie wierzę! Harry Sauer wypuścił więźnia!

-Zamknij się. Teraz już go nie wypuszczę!

-A ten drugi? Wiesz kto to?

-Nie poznaję, ale mam jakieś przecucie, że to ten Czerny. To dobrze, że obydwaj wchodzą mi w ręce. Razem!

Gerd zaśmiał się krótko i wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę. Czytał ją przez chwilę, potem zmiął i wrzucił do popielniczki.

- Wiadomość była w skrzynce...

Zapalił zapałkę i zaczął podpalać papier.

- .. Jutro rano ma przybyć łącznik od Ohlenrodego. Mam przejąć go w Kronach i eskortować do Koburga. Amerykanie ucieszyliby się, gdyby wpadł im w ręce. Będzie miał cholernie dużo pieniędzy...

Zaczekał, aż ogień strawi kartkę, i starannie rozgniółł zwęglone szczątki. Wstał, narzucił starą, wojskową kurtkę z łatami na łokciach. Zbyt kusą, by dobrze chroniła przed zimnem. Ale o to mu chodziło. Nasunął pilotkę na głowę i dookoła szyi zawinął wełniany szalik. W ubogim przebraniu nikła jego wojskowa postawa i zachowanie.

- Pójdę na rynek. Rozejrzę się - powiedział pochylony, wsuwając buty o startych i przekrzywionych obcasach.

-Dobrze, zwiad jest podstawą zwycięstwa. - Harry podszedł do szafki i wyciągnął butelkę koniaku.

-Ostatnia? - zwrócił się do Gerda, ale ten wychodząc, nie usłyszał jego pytania.

Czerny i Jorg wjechali na rynek, pustoszejący już o tej porze dnia.

- A skąd miałeś adres Anny Marii? - Czerny zatrzymał samochód i odwrócił się do Jorga. Widok domu, przed którym stali przed

kilkoma minutami, nie dawał mu spokoju.

Jorg nie odpowiadał.

-No...

-Globcke mi dał - Jorg przyznał wreszcie. Nie patrzył na Czernego.

-Ty cholerny idioto! - wybuchnął Czerny. - Jeżeli chcesz narażać swoją głowę, to rób to, kiedy ci się spodoba, ale nie wciągaj mnie w swoje kretyńskie pomysły!

-O co ci chodzi? - Jorg udawał, że nie rozumie wymówek.

-Sam zaproponowałeś, że pojedziesz ze mną.

Czerny oparł głowę o kierownicę.

-Bo nie przypuszczałem, że Bóg tak bardzo odbiera rozum za-kochanym. Przecież to była zasadzka!

-Jakoś się nie udało... - nieśmiało usiłował bronić się Jorg.

-Myślisz, że Globcke, ta podła świnia z SS, z dobrego serca dał ci adres dziewczyny? Bo lubił pomagać ludziom? Jorg, na Boga! Oprzytomniej! To była zasadzka!

- Okay, ryzykowałem. - Jorg wyciągnął dłoń na zgodę. - Ale wiesz, jak to jest... Myślałem, że może Globcke miał jakiś ludzki odruch... Poza tym to jedyna szansa odnalezienia Anny Marii. Nie gniewaj się...

- Jak ty przeżyłeś wojnę? Z twoją naiwnością powinieneś daw

no wisieć. Oczywiście powieszony przez Globckego!

Czerny uruchomił silnik. Rozejrzał się po rynku, czy nikt ich nie śledzi, ale widząc jedynie patrol MP wyjeżdżający z bocznej uliczki, nacisnął pedał gazu. Spojrzał na spadziste dachy kamieniczek.

- Cholera, zakochany bałwan obok mnie, a na dachach snajpe rzy. W co ja się pakuję?!

Przejechali w poprzek rynku i zatrzymali się przed wejściem do ratusza.

Zanim wysiedli z samochodu, zobaczyli, że w drzwiach stanął wysoki, szczupły oficer amerykański, który najwyraźniej na nich czekał.

-Pułkownika Hollan, pan tutaj? - Jorg uchwycił za obramowanie przedniej szyby i wyskoczył z jeepa. Bez wątplenia zrobił to zbyt gwałtownie, gdyż natychmiast dała o sobie znać zraniona noga. Skrzywił się.

-Tak sądziłem. - Hollan zszedł po schodach. - Jak widzieliśmy się dwa tygodnie temu w Rosenheim, to pana noga jeszcze krwawiła. Lepiej niech pan tak nie skacze.

-Smutne życie kózka by miała - mruknął Czerny.

-Trudno się przyzwyczać - jak echo odezwał się Jorg. Uścisnął rękę pułkownika i odwrócił się w stronę Czernego. - Majora Czernego pan zna. Ostatnio, z braku lepszych propozycji, zajmuje się mądrościami ludowymi.

-Poezją, nieuku. To Tuwim!

-W przerwach mnie obraża. Tylko dzisiaj nazwał mnie już idiotą, bałwanem, a teraz nieukiem. Proszę się nie dziwić, gdy major Czerny zginie od ciosu nożem w plecy.

W gabinecie Hollana panował taki sam bałagan, jaki Jorg obserwował w Rosenheim. Pułkownik najwyraźniej odczytał, o czym myśli, patrząc na nierozpakowane skrzynie.

- Przyjechałem przedwczoraj, ale mam nadzieję, że dowódz two wreszcie przestanie mną rzucać po całych południowych Niem

cech i gdzieś będę mógł urządzić się na dłużej. Siadajcie.

Podszedł do kasy pancерnej, najwyraźniej przejętej po niemieckim właścicielu tego gabinetu, i otworzył drzwi kluczem, który trzymał na łańcuszku przy pasku.

-Odnaleźliśmy Skorzenego - powiedział z wyraźnym tonem dumy w głosie. - Nie było łatwe.

-Gdzie jest?

-Pod Radstadt, to miasto leżące trzydzieści kilometrów na zachód od Salzburga.

-Mogę zapytać, jak go namierzyliście? - odezwał się Czerny.

-Oczywiście. - Hollan położył papiery na stole i sam usiadł naprzeciw Jorga i Czernego. - Doprowadził nas do niego niejaki

Schuler. Miał dostarczyć kosztowności Skorzenemu, ale postanowił uciec. Wpadł w ręce naszego patrolu, gdy usiłował zbiec do Austrii. Znaleźliśmy przy nim brylanty... - Hollan zawiesił głos, aby uzyskać lepszy efekt - ... trzy tysiące karatów!

Nie zadawali pytań, choć obydwaj wciąż zastanawiali się, jakie znaczenie dla nich ma informacja o odnalezieniu Skorzenego, daleko od Dolnego Śląska, który był ich celem. Było oczywiste, że Hollan za chwilę sam ich w to wtajemniczy.

-Rosjanie polują na niego.

-A co oni mają do Skorzenego?

-Oficjalnie... - Hollan otworzył teczkę, którą wciąż trzymał zamkniętą na stole przed sobą - ciężą na nim zarzuty popełnienia zbrodni wojennych w czasie służby w Rosji w 1942 roku. Ale nasz kontrwywiad donosi, że Rosjanie robią wszystko, aby go dopaść. Niewykluczone, że też wiedzą, gdzie on jest, i wysłali oddział uderzeniowy.

-Skorzeny nie da się tak łatwo wziąć. Ma na pewno sporą grupę esesmanów, a sam też nie jest cielęcim.

-Zostawmy na razie Skorzenego. Nas interesuje ten Schuler. Przycisnęliśmy go. Przyznał, że otrzymał brylanty od niejakiego Ohlenrodego... - Hollan ponownie sięgnął do teczki i wydobył z niej legitymacyjne zdjęcie Niemca. Przesunął zdjęcie tak, aby Czerny i Jorg mogli przyjrzeć się dobrze mężczyźnie o wyglądzie typowym dla pruskiego oficera.

-A on prawdopodobnie wciąż przebywa w Bad Kudowa*, to uzdrowisko na Dolnym Śląsku - zakończył Hollan.

-To jesteśmy w domu - mruknął Jorg. - Domyślam się, że przekazano panu rozkazy dla nas...

-Tak, Schuler wyjawiał, że Skorzeny chce się poddać nam, Amerykanom.

-Skorzeny, ten wielki wojownik nieznający strachu, chce iść do niewoli? - Czerny był szczerze zdziwiony.

-Hitler nie żyje. Wojna właściwie skończona. Co ma robić Skorzeny ze swoim oddziałem?

* Obecnie Kudowa Zdrój.

-Uciec, jak inni esesmani.

-Najwidoczniej nie odpowiada mu życie w ukryciu. Uważa, że posiedzi rok w niewoli i wyjdzie jako człowiek oczyszczony ze wszystkich zarzutów.

-Być może, ale wydaje mi się to dziwne.

-Mnie też - zgodził się Hollan. - Rozmawiamy tak długo o Skorzenym, gdyż otrzymałem rozkaz wysłania was tam. Dowództwo chce, abyście byli przy oddaniu się Skorzenego do niewoli. Nie pytam dlaczego, bo to nie moja sprawa. Rano samochód zabierze was z kwatery.

Helmut usiadł na kamiennych stopniach fontanny pośrodku rynku. Widział jeepa Jorga i Czernego stojącego obok innych samochodów przed ratuszem. Czekał, aż wyjadą, aby się zorientować, w którą stronę pojedą.

Z bocznej uliczki wylonili się dwaj żołnierze. Poznawał ich. Byli kierowcami z oddziału zaopatrzenia i często spotykali się, aby dobić drobne interesy, bardzo korzystne dla obydwu stron. Jeden z kierowców wskazał głową na bramę po przeciwnej stronie, co najwyraźniej odpowiadało Helmutowi. Rozejrzał się, czy nikt nie zwraca na niego uwagi, i poszedł szybko w tamtą stronę. Większość żandarmów robiła z nim interesy. Było ich tak wielu, że odnosił wrażenie, iż cały garnizon stacjonujący w Koburgu to drobni przedsiębiorcy, którzy postanowili wzbogacić się przed powrotem do Stanów.

- Co tym razem, Rudi? - zapytał wyższy żołnierz, gdy weszli w głąb bramy. Znali go pod tym imieniem.

Staął za zamkniętym skrzydłem bramy, ale miał dobry widok na drzwi ratusza.

-To zależy. Co macie? - zapytał.

-Benzynę. Cztery kanistry po cztery galony każdy.

To był dobry towar. Tym bardziej interesujący dla Helmuta, że miał jechać do Kronach odległego o kilkadziesiąt kilometrów.

-W porządku, ale potrzebuję przepustkę do Kronach.

-Dobra, załatwimy, że niby jedziesz z zepsutym silnikiem.

-Ile? - Helmut sięgnął do kieszeni, jakby miał zamiar wyciągnąć pieniądze, ale nigdy ze sobą nie nosił zbyt wiele.

-Byłoby taniej, gdybyś nas poznał z jakimiś ładnymi dziewczynami.

-Dobrze, dziś o ósmej w knajpie u Willego. Możecie wziąć dwóch kolegów. To ile?

Widział przez ramię, jak z ratusza wychodzi Jorg i ten drugi, którego sfotografował. Wsiadli do jeepa i po chwili podszedł do nich żołnierz, który też wsiadł do ich samochodu. Helmut zorientował się, że będzie ich przewodnikiem po okolicy.

-Co tak się rozglądasz? - jeden z żołnierzy zauważył, że Helmut skupił swoją uwagę na ratuszu.

-Są mi winni dużo pieniędzy - powiedział to tak naturalnie, że nie mieli wątpliwości, iż interesuje się dłużnikami. - A udają, że mnie nie znają.

Żołnierze odwrócili się, patrząc na odjeżdżającego jeepa.

-Robert z nimi jedzie - powiedział wyższy.

-A możecie się dowiedzieć, dokąd pojechali?

-Jasne.

Kontakty z kierowcami miały wiele zalet. Znali wielu oficerów i wiedzieli o wszystkim, co działo się w garnizonie. Oczywiście przełożeni wymagali zachowania czujności wobec usłużnych Niemców, ale ci dwaj żołnierze przyjechali ze Stanów trzy miesiące wcześniej i ich jedynym zmartwieniem były przewidywania, że wojna skończy się lada dzień, a oni nie zdążą zbić majątku, jakiego się spodziewali.

- Dobrze, ja też przyjdę do Willego. Przywieźcie benzynę i przepustkę. Będę miał pieniądze. I pamiętajcie, żeby sprawdzić, dokąd pojechali moi dłużnicy. Będzie premia, jak ich dopadnę i odbiorę co moje.

Wyciągnął z kieszeni dwadzieścia dolarów. Wzięli je szybko, rzucając przez ramię baczne spojrzenia. Helmut uśmiechnął się. W tym mieście handlowali wszyscy, to czego się bali?

11 maja, bezpieczny lokal w Bad Kudowa

Oberführer SS Gerhard von Ohlenrode stanął przed wielkim lustrem umocowanym w drewnianej ramie wspartej na niskiej toalecie. Był to jeden z nielicznych mebli, jakie pozostały w mieszkaniu na pierwszym piętrze przy uliczce Waldstrasse, biegnącej pod górę, niedaleko od centrum kurortu Bad Kudowa. Od lat niewielkie lokum, złożone z dwóch pokoi z kuchnią i łazienki, ładnie umeblowane w stylu art deco, używane było przez hitlerowskie tajne służby jako lokal kontaktowy uznany za szczególnie ważny. Wydawało się to dziwne, że szpiedzy mogli spotykać się na obrzeżu modnego uzdrowiska. W istocie chodziło o to, że tajny lokal był nadzwyczaj wygodnym miejscem dla funkcjonariuszy wywiadu wojskowego Abwehry, spotykających się tam z czeskimi agentami. Po upadku admirała Wilhelma Canarisa i przejęciu wywiadu wojskowego przez SS utracił swe znaczenie, a burzliwy czas sprawił, że zapomniano o jego istnieniu. Ohlenrode decydując się na zamieszkanie tam w końcu kwietnia 1945 roku, był pewien, że tylko niewiele osób wie o istnieniu tego miejsca, a mógł przypuszczać, że większość z nich nie żyje. W jego sytuacji miało to szczególne znaczenie. Oczywiście skromny apartament nie odpowiadał tak wysokiemu urzędnikowi SS, jakim był Oberführer Ohlenrode. Jednakże jego prawdziwą tożsamość znało tylko kilka osób. Skromne mieszkanie dobrze uzupełniało jego incognito.

Od połowy marca, gdy tylko zakończył operację ukrywania złota wywiezionego z wrocławskich banków, pozostał na tym terenie i krążył niezmordowanie po Śląsku, nadzorując finansowanie powstających oddziałów partyzanckich Werwolfu. Zawsze miał przy sobie dużą kwotę pieniędzy, a także złote monety i brylanty, które rozdelał potrzebującym. A wielu takich było. Zgłaszali się do niego dowódcy partyzanczy i ludzie, których zajęcia nie znał i nie chciał poznawać. Wystarczyło, że ich nazwisko lub pseudonim były na liście, którą przed wyjazdem z Berlina wręczył mu sam szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Ernst Kaltenbrunner. Gdyby nie rozkaz, uważałby to za marnotrawienie środków finansowych. Młodzi chłopcy, jacy wstępowali do oddziałów, nadawali

się na kandydatów do szybkiej śmierci za Führera, a nie twardych wojowników, którzy mogliby stawić opór wielkiej Armii Czerwonej. Nie wyglądali też na zdolnych do wyprowadzenia w pole radzieckich tajnych służb, które wchodziły na zajmowane tereny tuż za oddziałami frontowymi i krwawo rozprawiły się ze wszystkimi podejrzanymi o szpiegostwo lub dywersję. Nie jego sprawą było jednak ocenianie wartości bojowej oddziałów partyzanckich ani tajnych siatek dywersyjnych. Wykonywał rozkaz i zastanawiał się, jak najszybciej wyjechać z tego zakątka Niemiec, w którym strach przed Armią Czerwoną oblegającą Breslau i uderzającą na Lauban był coraz większy.

Przesunął ręką po gładko uczesanych włosach, na których pojawiały się już pasma siwizny, choć miał czterdzieści lat. Przysunął się bliżej lustra, ale niespodziewany dzwonek do drzwi przerwał studiowanie zmarszczek.

-Kto przyszedł? - zapytał, nie odwracając głowy od lustra.

-Pan Beer - usłyszał zza drzwi głos ochroniarza. Jedyne go człowieka, któremu mógł wierzyć.

Ottokar Grusse służył pod jego rozkazami w Związku Radzieckim, gdzie Ohlenrode zajmował się sprawami gospodarczymi w sztabie dowódcy SS i policji. Zwrócił uwagę na nieśmiałego szatyna o tak delikatnej urodzie, że gdyby nie ślady po zaroście, można by go uznać za dziewczynę. Przed wojną nosił długie włosy i usiłował studiować w konserwatorium w klasie skrzypiec, ale szybko pociągnął go urok czarnego munduru i w 1937 roku wstąpił do SS. Spotkali się w Rydze i Ohlenrode szybko zorientował się, że imię Ottokar, znaczące „dbający o majątek”, szczególnie do niego pasowało. Każdego dnia przynosił łupy, jakie zbierał w mieszkaniach Żydów skazywanych na śmierć lub wywózkę do obozów koncentracyjnych. Robił to nadzwyczaj sprytnie. Dobrał sobie Łotysza mającego dobre rozeznanie w środowisku bogatych Żydów, który ubrany po cywilnemu pukał do ich drzwi. Informował, że zostali przeznaczeni do deportacji i na dowód pokazywał listę, którą sam sporządził, z autentycznymi pieczęciami. Obiecywał pomoc, za dużą opłatą, którą zawsze inkasował. Istotnym elementem jego gry było doprowadzenie do deportacji tych ludzi, aby nikomu nie mogli zdradzić, że wręczyli mu łapówkę. Nie miał z tym żadnych

trudności, tym bardziej że Ohlenrode na jego prośbę wykonywał telefon, nakazując wywiezienie do obozu lub pobliskiego lasu rodziny wskazanej przez Ottokara.

- Wprowadź! - krzyknął.

Poprawił kosmyk włosów opadający na czoło i odwrócił się do drzwi, w których stanął niski mężczyzna ubrany po cywilnemu. Sposób, w jaki stuknął obcasami półbutów z żółtymi wypustkami i podniósł rękę, wskazywały, że jest oficerem.

- Untersturmführer Beer, ostatni przydział zamek Tzschocha. Ohlenrode podszedł bliżej, aby przyjrzeć się przybyłemu. Zain teresowała go świeża blizna biegnąca przez lewy policzek.

-Zna pan Globckiego? - zainteresował się Ohlenrode.

-Oczywiście - oczy Beera zwęziły się. Przez kilka chwil wyglądał jak dzikie zwierzę, które zapędzone w korytarz bez wyjścia szykuje się do ataku. Musiał uzmysłwić sobie, że zareagował zbyt otwarcie, gdyż natychmiast uśmiechnął się, może zbyt szeroko, aby zamaskować poprzedni grymas.

-Służyłem pod jego rozkazami w załodze zamku - dodał szybko.

-Co z nim? Ma pan jakieś wieści?

-Nie, byłem w Fürstenberg, gdy obersturmführer Globcke wyjechał z zamku. Więcej go nie widziałem.

-Niech pan siada - Ohlenrode wskazał na jedno z dwóch krzeseł przy dużym stole pośrodku pokoju. - Pan przychodzi z polecenia. ..

Zawiesił głos i czekał chwilę, aż gość poda nazwisko, jedno z ośmiu, na jakie mieli powoływać się ludzie przychodzący do tego mieszkania.

Beer, zdając się nie rozumieć lub nie słyszeć pytania gospodarza, wyjął paczkę papierosów i rozejrzał się po stole.

- Proszę o popielniczkę - zażądał.

Ohlenrode spojrział zaskoczony. Nie spodziewał się, że młodszy oficer może tak zachować się w jego obecności, a tym bardziej w jego mieszkaniu.

- Tu się nie pali - powiedział podniesionym głosem, co jednak nie zrobiło żadnego wrażenia na Beerze. Potarł zapałkę o draskę, aby zapalić papierosa, i w tym momencie Ohlenrode chwycił go za rękę.

- Nie pali się! - warknął.
Beer wyszarpnął rękę, ale zgasił zapałkę.

- Dobrze, nie będę się z panem spierał o drobiazgi. - Mówiąc to, patrzył Ohlenrodemu prosto w oczy. - Nie po to tu przyszedłem.
Odwrócił się do drzwi.

- Czy ten pana, Ottokar chyba ma na imię, ten cherubinek, nie podsłuchuje przypadkiem pod drzwiami?
Ohlenrode patrzył, jak jego gość przeistacza się w jego oczach z oficera po cywilnemu w bezczelnego bandytę.

- Niech pan się liczy ze słowami, bo każę zastrzelić! - huknął Ohlenrode.
Zaskoczenie mijało, a zaczynała wzbierać wściekłość. Ten przybłąda, ledwie w stopniu porucznika, pozwalał sobie na takie zachowanie w jego domu?!

- Spokojnie. - Beer chyba zrozumiał, że przekroczył granicę bezczelności, którą gospodarz mógłby zaakceptować.
Sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl zmiętą kartkę.
-To jest lista, jaką otrzymały wszystkie rosyjskie oddziały kontrwywiadu. Myśli pan, że uda się panu schować przed nimi albo uciec?
-Posłuchaj, synu... - Ohlenrode uśmiechnął się. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że ten przybłąda chce go szantażować groźbą wydania aliantom. Podszedł do Beera i pochylił się nad nim. - Nie wiem, kto cię przysłał, ale zrobiłeś błąd, przychodząc tutaj.
Beer wciąż zdawał się uśmiechać.

- Bawi pana to, co mówię o Rosjanach? Uważa pan, że uciek nie pan na zachód, a tam pewna organizacja byłych esesmanów do starczy lewe papiery i transport na „linię szczurów”?

Mówił o tajnej drodze ucieczki esesmanów z Europy, prowadzącej przez Włochy lub Szwecję.

-Panie Ohlenrode - teraz Beer wstał - nikt pana nie będzie chronić, gdyż jest pan złodziejem, więc pana byli żołnierze powieszają pana gdzieś w piwnicy albo zastrzelą.
-Liczyć się ze słowami! - Ohlenrode najchętniej wyciągnąłby pistolet lub wezwał Ottokara, ale podświadomie wyczuwał, że ten arogancki chłystek ma ukrytą kartę w rękawie. Uznał, że najpierw musi poznać powody tak bezczelnego zachowania.

- Oddział Reichsbanku w Plauen - Beer wciąż się uśmiechał. -
Mówi to panu coś?

Ohlenrode nie odpowiedział.

- W marcu grupa esesmanów dowodzonych przez pana wdarła się tam i zmusiła dyrektora, doktora Waltera Michelbergera, do otwarcia skarbca. Zgadza się?

Skąd, do diabła, on zna takie szczegóły? - zastanowił się Ohlenrode. Usiłował zachowywać się naturalnie, z nonszalancją, jaką mogły wywoływać fałszywe informacje, ale przychodziło mu to z coraz większą trudnością. Beer to wyczuwał.

-Wynieśliście skrzynki zawierające sztaby złota oraz depozyty biżuterii o łącznej wartości trzech milionów dolarów...

-Niech pan się nie popisuje - przerwał mu Ohlenrode. - To był rozkaz Reichsführera SS. Chodziło o zabezpieczenie...

-Zabezpieczenie, nie kradzież - teraz Beer nie pozwolił mu dokończyć. - Złoto oddał pan do depozytu SS, ale biżuterii nie! Zdeponował ją pan u swojej kochanki. Ona jest niedaleko stąd, nieprawdaż. Umieścił ją pan w Glatz. Chce pan, abyśmy ją przesłuchali?

Ohlenrode usiadł na krześle naprzeciw. Wiedział, że przegrał. Skoro Beer mówił o banku w Plauen, to zapewne wiedział więcej. Podobne operacje rabowania oddziałów Reichsbanku esesmani przeprowadzili w kilku innych miastach. Być może nawet wiedział, że kilka dni temu wręczył sakiewkę z brylantami porucznikowi Schulerowi. Ten miał ją dostarczyć do oddziału Werwolfu, ale to była oczywiście tylko przykrywka. Brylanty o wadze pięciu tysięcy karatów nie miały nigdzie dotrzeć. Schuler wzięłyby trzy tysiące, gdyż jego poszukiwano by za kradzież, a dwa tysiące miał przejąć Ohlenrode. I to następnego dnia.

- Była na tyle głupia, że wyrzuciła na śmietnik woreczki, w których dał jej pan kosztowności. Pan sobie to wyobraża?

Ohlenrode nie odpowiedział. Wyrzucić na śmietnik woreczki z bankowymi numerami i nadrukiem Reichsbanku?! Tak, do Uli to podobne. W istocie była tak głupia, że równie dobrze mogła obwieścić się naszyjnikami zrabowanymi w Plauen.

- Zrobiliście jej krzywdę? - zapytał cicho. Żałowałby pięknej Uli, z którą łączyły go od dwóch lat intymne stosunki, starannie

skrywane przed żoną. Nagle pomyślał, że to właśnie jego żona musiała zdradzić Uli. Tak! To oczywiste. Z Plauen przyjechał do domu w Berlinie. Żona na pewno zwróciła uwagę na ciężką teczkę wypchaną kosztownościami, którą zamknął w szafie, a następnego dnia zabrał do Uli. Czyżby go śledziła? Nie był w stanie przypomnieć sobie przebiegu dnia, w którym zawiózł teczkę do mieszkania kochanki.

-To sprawa Plauen - Beer nie odpowiedział na jego pytanie.

-Mam mówić o innych?

-Czego pan chce? - burknął Ohlenrode.

-Odesłał pan cherubinka, żeby nie podsłuchiwał?

Ohlenrode skinął głową.

-No...

Beer odetchnął głośno. Czuł, że złamał przeciwnika i zaczynał całkowicie kontrolować sytuację. Ohlenrode w istocie okazywał się słabym człowiekiem, przestraszonym widmem odpowiedzialności za zbrodnie, jakie popełnił podczas służb w Związku Radzieckim i Holandii. Jedyne nadzieje łączył ze zorganizowaniem przez SS ucieczki z Europy.

Był przekonany, że zgromadził wystarczający majątek, który zapewniłby mu dostatnie życie po wojnie, gdzieś daleko od miejsc, w których go znano. W skrytce pod szufladą w sekretarzyku stojącym przy oknie trzymał paszport, z którym miał zgłosić się w Watykanie, aby tam otrzymać argentyńską wizę imigracyjną. Wszystko było takie proste, a tu nagle pojawił się ten dziwny esesman.

- To zacznijmy rozmawiać. Jak esesman z esesmanem - po wiedział Beer.

Ohlenrode spojrzał na niego spode łba, nie rozumiejąc, czy gość mówi o służbowej solidarności, czy o bezwzględności.

-Czego pan chce? - powtórzył.

-Wiem, że rozdziela pan fundusze.

Ohlenrode skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji nie powinien kłamać.

-Chcę wiedzieć, komu z Dolnego Śląska przekazywał pan fundusze i w jakiej wysokości.

-Czy pan wie, że to zdrada, na którą nie mogę się zdobyć?!

-Jak pan chce...

Beer sięgnął do kieszeni i wydobyl woreczek z nadrukiem „Reichsbank” i numerem. Położył go na stole. Tak, to był jeden z woreczków, jakie wyniósł z banku w Plauen. Ohlenrode nie miał wątpliwości.

Ohlenrode bez słowa podniósł grubą koronkową serwetę okrywającą stół i wyciągnął stamtąd zeszyt. Cienki, szkolny zeszyt w kratkę, co Beer obserwował z uśmiechem.

Szybko przerzucał kartki zapisane drobnymi literkami. Wreszcie wyjął z kieszeni pióro i zaczął wypisywać nazwiska, które wyczytywał z zeszytu. Wreszcie wręczył kartkę Beerowi.

Ten starannie przejrzał listę kilkunastu nazwisk, ale najwidoczniej nie znalazł żadnego znajomego. Schował kartkę do kieszeni.

- I jeszcze jedno pytanie, a za odpowiedź zyska pan spokój
- powiedział Beer. - Gdzie jest Skorzeny?
- A skąd mam wiedzieć? - obruszył się Ohlenrode. Kłamał.
- Panie Ohlenrode - głos Beera stał się znowu twardy, wrogi.
- Zrywa pan nasze porozumienie...
- W Radstadt, trzydzieści kilometrów na południe od Salzburga
- Ohlenrode wyrzucił z siebie pospiesznie, jakby chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i pozbyć się esesmana.
- Utrzymuje pan z nim kontakt?
- Nie nazwałbym tego w ten sposób...
- A jak?
- Dwa razy zwracał się do mnie w sprawie przekazania funduszy dla jego oddziału Gwardii Strzelców Alpejskich, czy jakoś tak...
- W jaki sposób?
- W jedyny możliwy w tych warunkach: przez łącznika.
- Jak przybędzie następny łącznik, to pan mnie poinformuje.
- Ohlenrode milcząco skinął głową. Beer wstał.
- Dobrze, że zachował się pan tak rozumnie. Zrewanżuję się radą...

Ohlenrode również wstał. Był o pół głowy wyższy od Beera i czuł się z tego powodu znacznie pewniej.

- Za pomoc, jaką pan mi okazuje, otrzyma pan list żelazny, gwarantujący nietykalność ze strony radzieckich służb. Jeżeli

jednak wyjedzie pan na Zachód, alianci nie będą respektowali naszych gwarancji i powieszą pana za zbrodnie we Francji. Radzę tu pozostać. Dobrze radzę.

Ohlenrode skinął głową. Nie miał zamiaru podejmować rozmowy na ten temat. I tak przez kilka najbliższych dni musiał przebywać w Bad Kudowa, wykonując rozkaz szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Nie śmiałyby złamać rozkazu.

14 maja, U-234 oddaje się do niewoli

Pukanie do drzwi obudziło Fehlego, który położył się na koi niedługo przedtem. Musiało więc wydarzyć się coś ważnego. Odrzucił koc i nacisnął klamkę. W wąskim korytarzyku stał radiotelegrafista. Był wyraźnie przejęty.

- Mogę wejść?

Fehle odsunął się, robiąc miejsce dla zwalistego Wolfganga Hirschfelda, najlepszego oficera łączności w Kriegsmarine. Hirschfeld usiadł na stołku przy niewielkim stoliku.

-Cholernie chce mi się palić - powiedział, jakby chciał opóźnić przekazanie niedobrej wiadomości, z jaką przyszedł.

-To idź na górę - poradził Fehle - przecież jesteśmy w wynurzeniu.

Dwa dni wcześniej, gdy zgodnie z rozkazem kapitulacyjnym, jaki odebrali przez radiostację, zgłosili aliantom swoją pozycję, odebrali polecenie, że mają płynąć do portu Halifax w Kanadzie. Nakazano im również rozbroić torpedy i wyrzucić za burtę zapalniki, pozbyć się wszystkich pocisków do dział i obrócić je lufami w stronę rufy, na kiosku wywiesić czarną flagę i płynąć na powierzchni.

-Co za wiadomość? - zapytał Fehle.

-Wiadomość jest taka, że jej nie ma.

-Możesz mówić jaśniej?

-Od chwili, gdy odebrałem rozkaz dotarcia do Halifaxu, łączność się urwała.

-Z powodu?

-Zagłuszania. Na wszystkich częstotliwościach.

-Kto może zagłuszać?

-Okręt, który jest niedaleko.

W głośniku umieszczonym nad drzwiami kabiny rozległ się szum włączonego mikrofonu, zapowiadający nadanie wiadomości.

- Panie kapitanie, jest pan wzywany na pomost bojowy - po chwili rozległ się głos oficera wachtowego.

Fehle podniósł się z koi, sięgnął po golf i naciągnął go na podkoszulek, w którym spał. Wyszedł szybko na korytarz, przecisnął się wąskim przejściem między kojami załogi do schodków prowadzących do centrali. Stamtąd wspiał się po metalowej drabince na pomost bojowy.

Owiął go zimny północny wiatr. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że nie założył kurtki, ale już nie miał czasu na powrót do kabiny. Oficer stojący przy relingu podał mu lornetkę i wskazał kierunek.

- Idą kursem kolizyjnym - dodał.

Fehle podniósł lornetkę. Na horyzoncie widać było sylwetkę okrętu wojennego, płynącego w ich stronę pełną prędkością.

- Za daleko, żeby zidentyfikować - powiedział oficer, zanim Fehle zdążył o to spytać. Zapadał zmierzch, co tym bardziej utrudniało rozpoznanie.

Kapitan pochylił się nad tubą.

- Cała załoga przygotować się do wyjścia na pokład.

Odwrócił się, szukając wzrokiem drugiego oficera. Pfarf stanął za jego plecami, czując, że będzie potrzebny.

- Niedługo tu wejda, wszystko czyste? Sprawdziłeś?

Mówił o grupie przyzowej, która powinna wejść na pokład okrętu, gdy tylko aliancka jednostka dobije do ich burty. Pfarf potwierdził skinieniem głowy.

-Amerykański niszczyciel, dziesięć kabli - poinformował oficer wachtowy, trzymając lornetkę przy oczach. Okręt był już wystarczająco blisko, że można było zidentyfikować jego sylwetkę.

-Idziemy do Kanady, a witają nas Amerykanie - mruknął Fehle. Spodziewał się tego od momentu, gdy dowiedział się o zakłócaniu łączności. Podejrzewał, że Amerykanie przechwycili ich

depeszę, w której podali swoją pozycję, i postanowili nie dopuścić, aby wpłynęli do kanadyjskiego portu. A to znaczyło, że wiedzieli o ładunku, jaki tkwił wewnątrz U-234. Skąd mogli o tym wiedzieć? Cała wyprawa trzymana była w ścisłej tajemnicy. Nawet Pfarg, drugi oficer, będący jego prawą ręką, nie wiedział o wszystkim.

- Nadają... - poinformował oficer wachtowy.

W oddali zaczęła błyskać lampa aldisa.

-Identyfikują się... Niszczyciel USS „Sutton” - mówił powoli oficer, odczytując błyski przekazujące sygnały alfabetu Morse'a.

-Podaj naszą nazwę i informację, że postępujemy zgodnie z rozkazami z Halifaxu - Fehle'obrócił się do sygnalisty. Po chwili dodał: - Cała załoga na pokład!

Obawiał się tego spotkania. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli Amerykanie dowiedzieli się o ładunku, to na pewno nie będą chcieli zatopić jego okrętu. Nie mógł jednak wykluczyć, że niszczycielem dowodzi jakiś niedoświadczony oficer, który w odruchu paniki wyda rozkaz otwarcia ognia. Zdawał sobie sprawę, że okręty podwodne, uderzające z ukrycia, budziły strach i nienawiść załóg, nawet własnych jednostek nawodnych. Niby cała Kriegsmarine była dumna ze zwycięstw odnoszonych przez flotę podwodną, a U-booty wracające z morza witano z kwiatami i orkiestrą, ale wystarczyło pójść do każdej portowej knajpy, żeby zobaczyć, że podwodniacy siedzieli przy oddzielnych stolikach i nie bratali się z marynarzami z jednostek nawodnych.

Spojrzał z góry na marynarzy wychodzących na pokład. Omiała ich silny snop reflektora zapalonego na pokładzie amerykańskiego niszczyciela, który był już blisko. Fehle pomyślał, że to dobrze, iż ta wojna się skończyła. Za rok powinien wyjść z niewoli. W Niemczech nie miał do kogo wracać. Cała jego rodzina zginęła w budynku, który zawalił się po wybuchu amerykańskiej bomby. Nie wiedział, dlaczego jego żona Elsie nie zabrała dwójki dzieci i nie poszła do schronu. Była tak rozsądną kobietą. A może zginęli w zupełnie inny sposób. Postanowił, że jak go wypuszczą, to od razu pojedzie do Spanga. Będą mieli o czym rozmawiać.

14 maja, Radstadt, kwatery Skorzenego

Otto Skorzeny narzucił maskującą kurtkę na ramiona i wyszedł z drewnianej chałupy, w której kilkanaście dni wcześniej urządził swoją kwaterę. Wtedy były to jeszcze wolne Niemcy, a od kilku dni to już okupowany kraj. Lada godzina można się było spodziewać amerykańskich żołnierzy. Miał co prawda dwustu pięćdziesięciu esesmanów, ale narażenie ich życia w obronie chaty byłoby głupotą. Powstrzymaliby amerykański atak przez kilka godzin, zabili kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu żołnierzy wroga, a potem skończyłaby się im amunicja i musieliby wyjść z rękami do góry.

Zszedł po murowanych schodach doczepionych do drewnianego ganku i ruszył przez podwórze, na którym stało kilka kubelwagenów. Zapas paliwa, jaki im został, pozwalał na przejechanie co najwyżej stu kilometrów. Od dawna rozważał szanse ucieczki. Dwa dni wcześniej wysłał do Josefa Spacila, urzędującego w austriackim kurorcie Zell am See, swojego zastępcę Radia, który wrócił, przywożąc pięćdziesiąt tysięcy franków szwajcarskich w złocie. Było to mniej niż się spodziewał, ale ta sumka wystarczyła na pokrycie wydatków związanych z zakupieniem fałszywego paszportu, skorumpowaniem urzędników imigracyjnych i opłaceniem podróży statkiem z Genui do Buenos Aires. Ponadto oczekiwał na przybycie porucznika Schulera, który miał dostarczyć brylanty i diamenty o wadze pięciu tysięcy karatów. To wystarczało na wygodne urządzenie się w nowej ojczyźnie. Tyle że pozostawała bardzo ryzykowna przeprawa przez góry z Bawarii do włoskiego portu. I to niepokoiło go najbardziej. Był jednym z najbardziej znanych ludzi w Europie. Od dnia, w którym uwolnił Benito Mussoliniego więzionego w hotelu na szczycie góry Gran Sasso, propaganda nadała temu taki rozgłos, że jego twarz stała się znana każdemu dziecku. Była na plakatach, w gazetach i w kronikach „Wochenschau”. Wtedy, we wrześniu 1943 roku, bardzo to pochlebiali jego próżności. W Wilczym Szańcu sam Adolf Hitler ścisnął mu dłoń. Powiedział wówczas, niemalże ze łzami w oczach: „Skorzeny, przeprowadził pan wojskową operację, która stanie się częścią historii. Przywrócił mi pan mojego przyjaciela Mussoliniego. Odznaczam pana Krzyżem Rycerskim i promuję do stopnia Sturmbannführera SS. Gratuluję

panu". Potem w Berlinie uczynił to minister Goebbels. Skorzeny uśmiechnął się na wspomnienie tej ceremonii w wielkiej hali, gdzie zebrało się prawie tysiąc osób. Była oczywiście filmowana i największym zmartwieniem organizatorów było wyrównanie wzrostu obydwu bohaterów. Minister Goebbels miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt, a Skorzeny trochę ponad dwa metry. I jak malutki minister mógł zawiesić mu medal na szyi? Sprytnie to rozwiązano. Minister skończył przemawiać z podwyższenia, a wtedy Skorzeny podszedł do niego i stanął o dobre pół metra niżej.

W kwietniu 1945 roku Skorzeny przyjechał w Alpy. Jeszcze wtedy wierzył, że w tym górskim zakątku Niemiec powstanie Alpejska Reduta. Fachowo oceniał możliwości długiej obrony w rejonie, gdzie niewielki oddział z pancerfaustami, dobrze ukryty wśród skał, mógł zablokować każdą krętą drogę. Szturm kosztowałby aliantów zbyt wiele ofiar, aby zdecydowali się prowadzić taką operację. Przekonali się we Włoszech, jak krwawe są ataki na umocnione górskie pozycje. Skorzeny szybko się jednak zorientował, że pogłoski o górskiej twierdzy są propagandową fikcją. W Alpach nie budowano bunkrów ani nawet umocnionych stanowisk ogniowych, nie gromadzono koniecznych zapasów amunicji, żywności ani paliwa. Prawdziwa twierdza powstawała niezauważenie w innym rejonie Niemiec, na Dolnym Śląsku. Tam została posłana cała grupa armii feldmarszałka Schörnera, aby zatrzymać Rosjan, i czyniła to skutecznie, nie bacząc na ogromne straty, jakie ponosiła. Na początku maja, gdy rosyjscy żołnierze walczyli na ulicach Berlina, na Dolnym Śląsku wciąż stali pod Wrocławiem, nie mogąc zdobyć miasta, które utraciło swoje strategiczne znaczenie, gdy tylko Armia Czerwona zamknęła krąg wokół stolicy Niemiec.

Minął dwóch esesmanów pełniących straż przy bramie do wiejskiego gospodarstwa i skierował się na ścieżkę biegnącą stromo pod górę. W ostatnich dniach miał mało ruchu. Siedział głównie w swojej kwaterze, analizując meldunki i sytuację na mapach rozłożonych na stole pośrodku największej izby. Dlatego z przyjemnością zażywał spaceru w rześkim górskim powietrzu.

Dokąd miałby uciec? Wytropiono by go natychmiast. Wołał rozpocząć negocjacje z Amerykanami, wiedząc, że ma im wiele do zaoferowania. Zorganizował sieć oddziałów partyzanckich,

które w ostatnich tygodniach dokonały kilku spektakularnych fbf cji. Niestety wbrew jego rozkazom ludzie z Werwolfu woleli atA» kować niemieckich urzędników, którzy podjęli -współpracę z władzami okupacyjnymi, niż żołnierzy, ale uważał, że zapanuje nad tym. Zależało mu szczególnie na sianiu strachu wśród Amerykanów. Byliby bardziej skłonni do negocjacji z nim. Uważał też, że on, bohaterski komandos, który uwolnił Mussoliniego, porwał syna węgierskiego dyktatora Mikłosa Horthyego i zdobył jego budapeszteńską siedzibę, stanowi wartość samą w sobie, ze względu na es-tykę, jaką darzyli go esesmani.

Zaczął prosić drobny śnieg, przypominając, że wiosna w górach przychodzi później niż w innych rejonach kraju. Dostrzegł, że ze stodoły, w której urządzono kilka wygodnych i ciepłych kwater i punkt łączności radiowej, wychodzi jego zastępca Radl. Skorzeny zatrzymał się.

-Masz coś? - krzyknął, chcąc zwrócić uwagę Radia, który najwyraźniej kierował się do głównej chaty. Słyszając głos Skorzenego ruszył szybko do niego. Najwyraźniej otrzymał jakąś ważną wiadomość.

-Amerykanie wiedzą, gdzie jesteśmy - powiedział wyraźnie przejęty.

Skorzeny patrzył na swojego zastępcę, zastanawiając się, jak bardzo zmienił się w ciągu ostatnich tygodni. Szczupły, niewysoki z prostymi blond włosami i niewielkim wąsikiem wydawał się urzędnikiem i nikt nieznający tego człowieka nie umiałby odkryć, jak wielki duch w nim tkwił. Miał niespożytą energię i nie przerażały go żadne trudności. Czasami Skorzeny odnosił wrażenie, że Radl szukał kłopotów i ubóstwiał znajdować się w sytuacji bez wyjścia. Wtedy ten niepozorny, na pierwszy rzut oka nieporadny mężczyzna zamieniał się w groźnego zabijakę, który jak czołg łamał wszelkie bariery. Dopiero śmierć Hitlera i świadomość, że ich walka poszła na marne, załamały tego człowieka. Zamknął się w sobie i coś rozważał, czego Skorzeny nie mógł zgłębić. Jednakże na tyle ufał Radiowi, że zatrzymał go przy sobie.

- Skąd wiedzą?

Radl wzruszył ramionami.

Czyżby on mógł mnie zdradzić? - pomyślał Skorzeny. Szybko odrzucił tę myśl. Od 1943 roku Radl pomagał mu tworzyć specjalną

jednostkę, a potem był przy nim w czasie wszystkich najtrudniejszych akcji.

-To niemożliwe - niemalże na głos powiedział Skorzeny, co wywołało zdziwienie Radia.

-Co mówiłeś?

-Zastanawiam się nad sytuacją - mruknął Skorzeny. - Mów dalej.

-Proponują honorową kapitulację, naszą i naszych ludzi...

-Miło z ich strony.

-... i radzę, żebyśmy nie zwlekali. Rosjanom bardzo zależy na przejęciu ciebie. Wystąpili o to.

-Co na to Amerykanie?

- Wygląda na to, że nie mają takiego zamiaru.

Szli przez chwilę w milczeniu.

- Jeżeli w ogóle taki plan cię zainteresuje, to gotowi są przyśłać oficera, z którym będziesz mógł wszystko omówić.

Skorzeny skinął głową. Plan, który stawał się coraz bardziej realny, zaczynał mu odpowiadać. Radl zdawał się to rozumieć.

- Posłuchaj - powiedział w pewnym momencie, gdy zatrzymali się na skraju malowniczego urwiska - stąd ani z rosyjskiej niewoli nie będziesz mógł dowodzić „Pajakiem”. Jeżeli nie zawrzemy układu z Amerykanami, to Rosjanie cię dopadną.

Skorzeny milczał przez chwilę. Rozpiął kurtkę, gdyż marsz pod górę rozgrzał go.

-Dobrze, nadaj, żeby przysłali tego emisariusza. Rozważymy jego propozycje.

-No dobrze.

Radl był wyraźnie zadowolony z wyniku rozmowy. Odwrócił się i zaczął schodzić w stronę stodoły, zostawiając na górze Skorzenego, który wydobył z kieszeni paczkę papierosów i usiadł pod drzewem.

- Radl! - krzyknął do majora, który oddalił się już o kilkanaście kroków.

Radl wrócił szybko.

-Dobrze byłoby, gdyby nasi chłopcy wykonali jakąś popisową akcję.

-Masz coś szczególnego na myśli?

-Nie ma co narażać dzieciaków z Werwolfu na potyczkę z Amerykanami. Niech podłożą ładunek wybuchowy aa torach. Jak się uda wysadzić pociąg - to dobrze. Jak wylecą tylko szyny - też dobrze. Ważne, żeby było dużo huk.

-Tak jest - Radl odwrócił się i ponownie zaczął schodzić w stronę gospodarstwa.

15 maja, okolice Radstadt

-Wstawaj! - Czerny, który bez pukania wszedł do pokoju Jorga, odsunął zasłony i potrząsnął przyjaciela za ramię. Świadomość dnia powracała powoli, w miarę jak mocny, głęboki sen odchodził.

-Która godzina? - sapnął wreszcie, wciąż mając nadzieję, że Czerny zaraz sobie pójdzie.

-Piąta.

Nie miał ochoty wychodzić. Usiadł przy stole i najwyraźniej czekał, aż przyjaciel wstanie.

Do Salzburga dotarli poprzedniego dnia wieczorem po wielu godzinach spędzonych na drodze, gdzie utworzyła się długa kolejka amerykańskich samochodów. Czekały na odblokowanie przejazdu, na którym leżała na boku lokomotywa wysadzona przez niemieckich partyzantów poprzedniej nocy. Na szczęście ściągnięto już ciężki dźwig kolejowy, który usunął parowóz, umożliwiając przejazd. W rezultacie do Salzburga dotarli późno wieczorem, a odszukanie dowództwa dywizji też zajęło im trochę czasu. Na szczęście kwatery były już przygotowane i oficer zastępujący dowódcę dywizji powiedział, że wszelkie sprawy będą mogli omówić następnego dnia. Co więc się stało, że Czerny zrywał go z łóżka już o piątej rano?

-Gadaj, jeśli potrafisz mówić składnie i sensownie o tej porze nocy. - Jorg podniósł się z łóżka i opuścił bosc stopy na wypolerowane deski podłogi. Nie miał już złudzeń. Trzeba było wstawać.

-Skorzeny chce podjąć negocjacje na temat poddania się.

Jorg przesunął dłonią po twarzy, konstatuując, że musi się ogolić, co nie było odkrywczą myślą, tym bardziej że wobec informacji, jaką przyniósł Czerny, nie było to też najważniejsze.

-W samą porę przyjechaliśmy do Salzburga - powiedział wreszcie i było to jedyne, co przyszło mu do głowy. Uznał, że nie powinien siedzieć już dłużej na brzegu łóżka i trzeć brody.

-Nie wyglądam chyba najmądrzej?

-I jeszcze głupiej mówisz - zgodził się Czerny.

Wstał i dosunął krzesło do stołu.

-Wyruszamy za dwadzieścia minut, więc pospiesz się.

Skorzeny i Radl przenieśli się do pasterskiego szałas na zboczcu góry łagodnie opadającym w stronę rozłożonego w dolinie miasteczka Radstadt. Nie zrobili tego, aby podziwiać uroki Alp, lecz stamtąd mieli dobry wgląd na ruch na jedynej drodze biegnącej do miasta od zachodu, skąd spodziewali się Amerykanów. Tuman kurzu i pyłu wzbijany przed dwa jeepy był najbardziej oczywistym znakiem, że delegacja amerykańska przybywa punktualnie. Jechali szybko, najwidoczniej obawiając się ataku snajperów zaczajonych gdzieś za drzewami na zboczach. Trzej żołnierze siedzący w drugim samochodzie stanowili eskortę ludzi podróżujących w pierwszym jeepie. Po ich mundurach, sposobie trzymania broni i zachowania w samochodzie widać było z daleka, że to wytrawni żołnierze, których niełatwo zaskoczyć. Radl podniósł białą flagę, którą wcześniej przytwierdził do grubej gałęzi, i wyszedł na drogę. Powinni widzieć go z daleka. Rzeczywiście tak się stało, gdyż jeepy zwolniły, a drugi samochód wyraźnie został w tyle, choć ciągle w odległości pozwalającej na skuteczną strzał.

Gdy jeep zatrzymał się, Skorzeny wyszedł z ukrycia. Od razu zorientował się, że go poznali, co sprawiło mu pewną satysfakcję. Żaden z generałów nie był tak znaną postacią jak on.

Amerykański oficer zatrzymał się kilka kroków przed nim.

- Pułkownik Jones, z 434 korpusu kontrwywiadu - przedstawił się. Nie wyciągnął ręki na powitanie. Zapewne pamiętał o przy

padku generała Stacka, który przyjmując kapitulację marszałka Rzeszy Hermanna Göringa, podał mu rękę, za co prasa pastwiła się nad nim przez dobrych kilka dni.

- To tłumacz - wskazał na stojącego tuż za nim Jorga. - Znam niemiecki, ale wolę, żeby nie doszło do nieporozumienia.

Skorzeny skinął głową. Nie przedstawiał się, jakby chętnie przyjmując, że co do jego tożsamości alianci nie mogą mieć wątpliwości. Zasalutował tylko, podnosząc dłoń do daszka miękkiej czapki.

-Jest pan gotów poddać się wraz ze swoimi żołnierzami? - zapytał Jones.

-To zależy od warunków, jakie przedstawią pana przełożeni - odpowiedział Skorzeny.

-Jest pan zbyt znaną postacią, abyśmy mogli ten fakt ukryć przed światem. Mogę więc tylko zobowiązać się, że postępowanie prawne wobec pana będzie sprawiedliwe.

Skorzeny zrobił pół kroku do przodu.

- Panie pułkowniku, niech pan szanuje mój i swój czas - parsknął z wyraźną złością. - Uspokojenie sytuacji w Niemczech zależy również ode mnie. Na przykład, słyszałem o wysadzeniu pociągu wczoraj wieczorem. Może być więcej...

Bez wątpienia mówił o działalności oddziałów partyzanckich Werwolfu, choć wiedział, że nie może nazwać tego po imieniu.

-Powtarzam, nie możemy zapewnić panu odrębnego traktowania. Na przykład powinien pan zeznawać w czasie procesu oficerów oskarżonych o popełnienie zbrodni wojennych.

-Czy na mnie ciążyą takie zarzuty?

-Z tego co wiem, nie.

-To już lepiej.

-Nie mogę w tej chwili prowadzić jakichkolwiek negocjacji na temat pana przyszłości. Zapewniam jednak, że czas na to przyjdzie, gdy zechce pan złożyć broń.

-To już lepiej - powtórzył Skorzeny. Spojrzał badawczo na Jorga, jakby starał się przypomnieć sobie jego twarz.

-Jutro rano przekażemy przez radio naszą odpowiedź - powiedział Skorzeny, najwyraźniej kończąc rozmowę. Otrzymał zapewnienie, którego się spodziewał: nie stanie przed sądem, a w momencie, w którym znajdzie się w jenieckim obozie, Amerykanie podejmą rozmowy na temat wykorzystania jego wiedzy o partyzantach w Niemczech.

Zasalutował i odwrócił się. Po chwili cała grupa zniknęła wśród drzew na zboczu góry.

-Co pan o tym sądzi? - Jones wyjął papierosy i poczęstował Jorga.

-Kończy jedną grę, a zaczyna drugą. - Jorg wziął chesterfiel-da i zaczął ugniatać go w palcach.

-Sądzi pan? A jaką grę może prowadzić, gdy wsadzimy go do obozu albo więzienia za zbrodnie wojenne?

-Mógł już być we Włoszech, a siedzi w lesie?

-Uważa pan, że czeka na nas?

- Tak, to przypomina mi pewne wydarzenie z mojego życia.

Ruszyli w stronę jeepa.

-Obersturmführer SS, szef ochrony zamku Tzsochocha, gdzie mieścił się ośrodek kryptologiczny, zabrał ważne urządzenie i pojechał z nim do Rosenheim. Tam zgłosił się do was i zażądał dowodu zwolnienia z niewoli, oczywiście *in blanco*...

-... żeby wpisać nowe nazwisko i stać się, legalnie, innym człowiekiem, zwolnionym przez Amerykanów z niewoli, a więc oczyszczonym z zarzutów popełnienia zbrodni.

-Dokładnie. Do tego samego zmierza Skorzeny. Najpierw musi zostać oczyszczony z zarzutów, aby spokojnie poruszać się po powojennym świecie i realizować swoją misję. A wy zgodzicie się na to, żeby uznać go za porządnego człowieka.

Wsiedli do jeepa i pułkownik dał znać kierowcy, że mogą jechać.

-Słyszałem, że jutro już pan wyjeżdża...

-Tak, służba - odpowiedział Jorg.

-Szkoda, że pana nie będzie, jak Skorzeny odda się w nasze ręce. A swoją drogą, ciekawe, czy pana przewidywania się sprawdzą. Proponuję spotkanie za dwa lata.

-Chętnie, jeżeli przeżyjemy.

-Chyba najgorsze mamy już za sobą.

-Czasami myślę, że dla nas wojna będzie trwała jeszcze długo.

17 maja, granica

Był głodny. Dawno zapomniał o niewielkim zapasie żywności, w jaki wyposażono go przed wyruszeniem z austriackiej miejscowości, a podczas podróży pociągiem przez Czechosłowację wołał nie wysiadać na stacji, aby nie narazić się na kontrolę dokumentów. W istocie nie miał się czego bać, gdyż dowód tożsamości, wydany przez urząd w Libercu na nazwisko Jan Koch, był autentyczny i nie mógł wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń, zaświadczenie zaś, że jedzie z Calais, gdzie pracował jako robotnik przymusowy wywieziony w 1943 roku, doskonale uzasadniało jego podróż prowadzącą do rodzinnego miasta na północy Czechosłowacji. Tak samo jak ubiór, niczym niewyróżniający go z tysięcy ludzi przemierzających czeskie drogi. Kurtka miała nawet metkę miejscowego krawca, a na bluzie mundurowej zachowały się ślady po odznaczeniach dywizji piechoty, stacjonującej we Francji. W dodatku było tam zaświadczenie lekarskie stwierdzające, że jest niemową. Tylko w ten sposób można było zamaskować brak znajomości czeskiego. W całym perfekcyjnym przygotowaniu kryło się pewne niebezpieczeństwo. W plecaku miał zaszyte dokumenty na nazwisko kapitana Wehrmachtu Martina Jorga. Płaski pakunek był niewidoczny na pierwszy rzut oka, ale staranna rewizja na pewno ujawniłaby skrytkę. Dlatego wołał obchodzić z daleka radzieckie i czeskie patrole. Nie obawiał się ich w czasie podróży pociągiem, w wagonie zatłoczonym tak bardzo, że przeważnie jechał na stopniu lub, gdy zwolniło się miejsce, na dachu, gdzie dało się usiąść lub nawet położyć. Miało to też tę zaletę, że z daleka mógł wypatrzeć obławę, gdyby Rosjanie zdecydowali się zatrzymać pociąg. Na szczęście dla podróżujących w ten sposób majowe dni 1945 roku był ciepłe i słoneczne, jedynie nocami dokuczał chłód. Szczęśliwie dojechał do Jablonca nad Nysą, choć nie odważył się wysiąść na miejskim dworcu, lecz zeskoczył ze stopnia, gdy pociąg zwolnił przed semaforem, kilkaset metrów przed stacją. Obszedł budynek szerokim łukiem, aż doszedł do miejsca, z którego mógł obserwować przeddworcowy placyk, gdzie stały dwie konne dorożki i ciemnozielony samochód skoda, najwyraźniej z demobilu, przerobiony na półciężarówkę. W miejscu tylnych siedzeń, zapewne wykorzystywanych podczas

wojny przez niemieckie patrole, wstawiono skrzynię, a w niej stały beczki ze smołą. Opis samochodu zgadzał się z tym, jaki mu przekazano przed wyruszeniem, więc Jorg, przerzuciwszy plecak przez ramię i rozglądając się bacznie, podszedł do kierowcy, który pochylony grzebał w silniku.

-Może wie pan, gdzie jest ulica Lipova? - zapytał po niemiecku.

-Zależy, który numer... - kierowca wyprostował się. Wziął szmatę, leżącą na błotniku i zaczął przecierać ręce.

-Dwadzieścia pięć.

- Jadę w tamtą stronę. Zawiozę. Niedrogo.

Jorg skinął głową i szybko wszedł do szoferki.

-Jesteś „Podróżny”? - kierowca po chwili usiadł na swoim miejscu. Widząc skinienie głowy, mówił dalej.

-Zawiozę cię do miejsca, gdzie przejmą cię inni. Nazywam się Josef Karlovski. Jedziesz jako mój pomocnik. Jak masz na imię?

-Jan Koch, byłem na robotach przymusowych we Francji. Dopiero co wróciłem.

-Dobrze, wieziemy beczki ze smołą do Novego Mesta. To na wypadek, gdyby zatrzymali nas do kontroli.

Uruchomił silnik i rozejrzawszy się w obydwie strony, wyjechał szybko na szeroką ulicę.

Jorg oparł głowę o bok zbitej z desek prowizorycznej kabiny. Poczul strumień zimnego powietrza wpadającego przez dużą szparę z boku szyby. Pomyślał, że powiew rozproszy senność. Nie chciał spać. Niby wszystko zgadzało się z opisem, jaki przekazali mu oficerowie organizujący jego wyprawę. I półciążarówka, i odzew, jaki na jego hasło podał kierowca, a jednak nie wierzył temu człowiekowi. Dlaczego?

Spojrzał na niego spod wpółprzymkniętych powiek. Widział nalaną twarz piwosza, płaski nos o szerokich nozdrzach i grube mięsiste wargi. Na głowie kierowca miał skórzaną czapkę z daszkiem, spod której wystawały pasemka siwych włosów. Co chwila zerkał na Jorga. Może sprawdzał, czy pasażer zasnął? Denerwował się. Puszczął kierownicę i przecierał potniejące dłonie o kurtkę. Bał się czegoś?

Przemknęli szeroką ulicą, która opasywała przedmieścia szerokim łukiem, i skręcili w polną drogę. Jak zorientował się Jorg po

widoku Gwiazdy Polarnej, kierowali się wprost na północ. O podwozie uderzały kamyki wyrzucane przez opony, a po drwili samochodem zaczęło tak trząść, że schwycił się za uchwyty przytwierdzone do deski rozdzielczej.

- Niczego - powiedział kierowca. - Droga gorsza, ale i ryzyko patroli mniejsze. Zaraz będzie lepiej.

Wolałby zostać zrzucony na spadochronie, niedaleko od celu, niż tułać się przez trzy dni po wrogim terenie, narażając się, że przy byle okazji zostanie zatrzymany. Szefowie nie zgodzili się, aby skakał ze spadochronem. Nikt nie powiedział mu dlaczego, ale przypuszczał, że Anglicy nie chcieli wysłać samolotu, aby nie drażnić Rosjan przelotami nad kontrolowanymi przez nich terytoriami.

Otworzył szeroko oczy i potrząsnął głową, aby jak najszybciej pozbyć się snu, który nadszedł niespodziewanie.

-Długo spałem?

-Pół godziny - mruknął kierowca. Nie wydawał się skory do rozmowy.

Jorg odwrócił głowę, aby zorientować się w terenie. Widział tylko drzewa, które migotały w świetle jedyne go reflektora, jaki mieli na zderzaku.

Droga stała się bardziej kręta, a teren wokół zaczął się podnosić. Wjeżdżali w góry, niewysokie i malownicze, które Jorg pamiętał dobrze z wycieczek, jakie robił z odległego o sto kilometrów Hirschbergu.

-Już niedaleko - powiedział Josef. - Przewodnicy będą czekać przy moście. Ojciec i syn.

-Jakieś hasło?

-Nie, bo znamy się, a to wystarczy.

Opony zapiszczały na ostrym zakręcie. Zjeżdżali z góry, więc samochód nabierał prędkości.

-Wiedzą, dokąd mają mnie zaprowadzić?

-Nie. Wiedzą tylko, że przez granicę. Powiesz im i zapłacisz dwieście dolarów na początku i drugie dwieście, jak przejdziecie na tamtą stronę.

-Niedużo...

-Masz dobre papiery, to i ryzyko mniejsze. Tędy dużo przemytników przechodzi i patroli przymykają oko. Biorą tylko zwyczajowe

opłaty i puszczają wolno. Ścigają zbrojnych. Jak masz przy sobie pistolet, to wyrzuć, dobrze radzę. Na nic ci się nie przyda.

Jorg nie odpowiedział.

Josef szarpnął za długi lewarek pod kierownicą i przerzucił go ze zgrzytem, który był oczywistą oznaką, że skrzynia biegów wymaga remontu. Silnik pracował z wysiłkiem, ciągnąc zbyt ciężki samochód pod górę. Kilkadziesiąt metrów przed szczytem kierowca zgasił jedyny reflektor i, znowu ze zgrzytem, wrzucił luz. Samochód toczył się przez kilka metrów i stanął.

Szosa biegła dalej prosto i w odległości dwustu-trzystu metrów widać było drewniany most nad spływającym z góry potokiem. W oddali błysnęło światelko. Raz krótko, potem przerwa i szybko po sobie dwa razy dłużej.

- Dobrze jest. - Josef trzykrotnie włączył reflektor, a po chwili uruchomił silnik i ponownie ze zgrzytem wrzucił jedynkę. - Nad ranem będziecie na miejscu. Jak dobrze pójdzie.

Jechali już wolno, wpatrując się w ciemność. Mimo odebrania umówionego sygnału kierowca pozostawał nieufny, aż dostrzegł dwie ciemne sylwetki, wyraźnie rysujące się na tle rozszrebrzonej promieniami księżycy wody potoku.

- To oni - sapnął. - Ojciec i syn.

Po chwili dodał, jakby jego rekomendacja miała zmienić nastawienie Jorga:

- Dobrzy przewodnicy.

Chyba jeszcze chciał coś powiedzieć. Ważył słowa, nad czymś się zastanawiał, ale ostatecznie zrezygnował.

Zatrzymali się tuż przed dwoma mężczyznami, co do których trudno było powiedzieć, że są blisko spowinowaceni. Obydwaj byli szczupli i wysocy, o wąskich twarzach. Tylko młodszy był jakiś dziwny. Co chwila się uśmiechał, jakby koniecznie chciał zdobyć sympatię Jorga.

Starszy podszedł do samochodu od strony kierowcy. Szybko przywitał się z Josefem, pochylił się, aby widzieć Jorga siedzącego obok, i przez chwilę przyglądał mu się bacznie.

- Na Śląsk idziesz - ni to zapytał, ni stwierdził. Mówił dobrze po niemiecku, choć z wyraźnym czeskim akcentem. - Zejdźmy z drogi.

Jorg wysiadł z samochodu i podniósł dłoń do czapki, jakby w geście pożegnania. Josef nie wysiadł. Szybko uruchomił silnik, włączył reflektor i z dużą wprawą zakręcił na wąskiej drodze. Odjechał, nie powiedziawszy słowa na pożegnanie.

- Jestem František, a to mój syn Jan - wskazał na młodzieńca wciąż trzymającego się z daleka. - Cenę znasz?

Jorg skinął głową. Wsunął rękę do bocznej kieszeni kurtki i wyjął dwieście dolarów, które przygotował już wcześniej. František schował je, nie licząc. Zrzucił ciężki plecak, który podchodząc do samochodu, zostawił na poboczu.

- Masło niesiemy. Na wypadek, gdybyśmy napatoczyli się na patrol. Wezmą połowę i puszczą wolno. Nas znają, ale ty ukryj się, jak tylko damy sygnał. Spieszmy się, noc już krótka!

Odwrócili się obydwaj i równym krokiem hidzi nawykłych do długich górskich wędrowek ruszyli przed siebie, nie oglądając się za Jorgiem.

Widać było, że doskonale znają drogę, gdyż poruszali się po leśnych duktach pewnie, nie zerkając na kompas. Jorg z trudem za nimi nadążał, zwłaszcza gdy ścieżka stawała się stroma i trzeba było wspinać się na kamieniste zbocze.

- Przerwa. - Starszy zrzucił plecak. Po chwili młodszy zrobił to samo co ojciec.

Usiedli opierając się o pień klonu. Oddychali ciężko, najwyraźniej zmęczeni szybkim i wyczerpującym marszem.

-O tej porze ze stanic wychodzą patrole - wyjaśnił starszy.

-Czesi kierują się tam - wskazał ręką na wschód - a Polacy w przeciwną stronę.

-Jak długo będziemy czekać? - Jorg też zrzucił plecak i usiadł pod drzewem. Jemu marsz dał się wyraźnie we znaki.

-Pół godziny, może trochę więcej, aż Czesi i Polacy rozejdą się wystarczająco daleko, żebyśmy mogli bezpiecznie przejść.

Starszy wyjął z plecaka pająkę chleba zawiniętą w szary papier. Z pochwy przy pasie wyciągnął bagnet, rozciął ją i wyciągnął w stronę Jorga.

-Chcesz?

-Dziękuję - Jorg przychylił się w stronę przewodnika, aby sięgnąć po chleb. W tym momencie starszy złapał go za nadgarstek

i pociągnął silnie. Jorg, nachylony, niespodziewający się tak gwałtownego ruchu, stracił równowagę i upadł na bok. Poczuł, jak kawałek zeszcłej gałęzi boleśnie zakłuł go w policzek. František uniósł drugą rękę, w której trzymał nóż, najwyraźniej z zamiarem ugodzenia w dłoń Jorga, ale ten zwinął się jak wąż. Leżąc na boku, przekręcił się na plecy. Ten niespodziewany ruch musiał zaskoczyć napastnika, bo na chwilę rozluźnił uchwyt. Jorg szarpnął rękę, wyrrywając ją z kościstych palców przewodnika w tym samym momencie, gdy ostrze noża przecięło powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą była jego dłoń.

Dostrzegł, jak zbliża się młodszy, który usiłował kopnąć leżącego, lecz Jorg schwycił go za stopę i przekręcił tak gwałtownie i z taką siłą, że napastnik zwałił się na ziemię z okrzykiem bólu. Starszy zerwał się na równe nogi. Klingę noża ułożył wzdłuż ręki, w sposób świadczący, że potrafi się nim dobrze posługiwać. Ostrze, sięgające niemalże do łokcia, dobrze osłaniało przedramię, uniemożliwiając schwytanie *go* za rękę i zasłonięcie się przed ciosem. Nieudany pierwszy atak kazał mu działać ostrożnie. Przygiął nogi, gotów uderzyć w stosownej chwili, i balansował tak, czekając, aż do akcji włączy się młodszy. Jorg skoczył do przodu jak piłkarz, który wybija piłkę spod nóg drugiemu graczowi. Ślizgiem przejechał półtora metra, odchyłony do tyłu, nisko, aby przeciwnik nie mógł zadać ciosu, i z całej siły kopnął Františka w rzepkę kolanową. Chrzęst kości i dziki okrzyk bólu świadczył, jak obezwładniający był to cios.

Przewodnik pochylił się i skulił, aby osłonić nogę przed ponownym kopnięciem. Odsunął nóż od przedramienia, co pozwoliło Jorgowi schwycić go za rękę i wyłuskać broń.

Nie mógł dostrzec, co robi młodszy za jego plecami. Być może usłyszał trzask gałęzi, a może wyczuł, że tamten rzuca się na niego, usiłując od tyłu schwycić go za gardło. Cofnął rękę z bagnetem i wysunął go do tyłu jak kolec skorpiona. Poczuł, że trafił w tułów. Nóż zagłębiał się w ciało napastnika, który jeszcze siłą rozpędu nacierał na niego, ale już bezwolny, słabnący w miarę jak klinga wchodziła w jego brzuch. Jorg nawet się nie obejrzał, gdyż dostrzegł, jak František uniósł się na tyle, na ile pozwoliła mu złamana noga, i odsuwał na bok połę kurtki, aby sięgnąć po nową broń.

Najwyraźniej miał za pasem pistolet. Tylko z broni palnej mógł razić Jorga z takiej adległości.

Jorg wyszarpnął bagnet, czując jak młodszy zwała się na ściółkę, schwycił za klingę lepłą od krwi i rzucił. Nóż z ogromną siłą wbił się w klatkę piersiową Františka, tuż ponad sercem. Uderzenie musiało być śmiertelne, gdyż przewodnik przewrócił się z głuchym jękiem i znieruchomiał.

Jorg odwrócił się do młodszego, który skulony klęczał, usiłując rękami zatamować krew wypływającą z brzucha.

Podszedł do niego i pochylił się.

- Nawet gdybym chciał, to cię nie uratuję - powiedział cicho.

- Umrzesz na zapalenie otrzewnej.

- Zabij mnie - jęknął.

- Nie, nie dobija się rannych. Może znajdzie cię patrol.

- Lepiej zabij - powtórzył Jan.

Jorg pochylił się nad nim.

- Dlaczego na mnie napadliście? Żeby ograbić?

Jan pokręcił głową. Już nie mógł mówić. Chciał odpowiedzieć, może uważając, że słowa prawdy będą formą odkupienia grzechów, ale za szybko tracił siły.

- Kto was nasłał? Otrzymaliście rozkaz?

Odpowiedź na każde z tych pytań miała dla Jorga cenę życia.

Odniosł wrażenie, że przewodnik skinął głową. Jeszcze oddychał, ale krew płynąca gęstą strugą szybko zabierała życie.

Jorg wyprostował się. Przypomniawszy sobie, jak instruktor od walki wręcz, major Hartman, zmuszając go do wielogodzinnych ćwiczeń, tłumaczył groźnie:

- Żołnierze strzelają, a ty nie jesteś żołnierzem. Ciebie będą chcieli zabić za pomocą noża albo pętli. Rozumiesz, chłopie. Więc broń się - i rzucał się na niego z drewnianym nożem. Potem brał ostry nóż. Te treningi uratowały mu życie.

Przesunął dłońmi o wilgotny mech, aby zetrzeć krew, która zasychała między palcami. Popatrzył na ciała swoich wrogów. Zaatakowali w chwili, gdy podawali mu chleb. Gest dzielenia się żywnością miał uspić jego czujność. Zapewne robili to już wielokrotnie.

Czy był to przypadek? Organizatorzy jego przerzutu na Śląsk mogli nie wiedzieć, że przewodnicy mordują swoje ofiary, aby je

okraść. Wydawało mu się to jednak mało prawdopodobne. Zapewne ci, których prowadzili przez góry, musieli po dotarciu na miejsce nawiązać łączność, potwierdzić, że przybyli. Inaczej wzbudziłoby to czujność. Nie, przewodnicy nie mordowali ludzi, których prowadzili przez góry, dla rabunku. Dlaczego więc rzucili się na niego? Otrzymali rozkaz? Od kogo? O jego wyprawie wiedziało tylko kilka osób z dowództwa. Żadna z nich nie mogła zdradzić. Musiał uznać, że jego misja przestała być dla wroga tajemnicą i w każdej chwili może spodziewać się ataku.

Podniósł plecak.

Zarzucił go na ramię i wrócił na ścieżkę, którą przyszli do miejsca mającego stać się jego grobem. Gwiazdy wskazywały kierunek północny, więc ruszył w tamtą stronę.

Nie miał mapy ani kompasu. Nie zabrał tak pożytecznych przedmiotów, obawiając się, że wzbudzą podejrzenie w razie kontroli. Szedł, kierując się na Gwiazdę Polarną, ale nie wiedział, gdzie się znajduje. Analizując trasę, jaką przebył od chwili wyjazdu z Jablonca, uznał, że powinien już być blisko granicy.

Zszedł ze ścieżki i postanowił iść wśród drzew, aby zmniejszyć ryzyko napotkania granicznego patrolu.

17 maja, Koburg

Chłopak miał najwyżej siedemnaście lat i nie wyróżniał się niczym w tłumie młodych ludzi krążących po drogach w Niemczech. Krótko przycięte włosy, zdradzające, że jeszcze niedawno był żołnierzem Wehrmachtu, wojskowa kurtka bez odznak, spodnie z wypchanymi kolanami, wytarte buty i wojskowy plecak wskazywały, że najpewniej uciekł ze swojego oddziału lub został wypuszczony z niewoli. Żandarmi MP siedzący w jeepie nawet nie pomyśleli, żeby go zatrzymać i zrewidować. Mijało ich setki takich chłopaków każdego dnia. Ten, jakby spodziewając się kontroli, podszedł do nich gotów wyjąć dowód tożsamości, ale wyższy żandarm machnął, każąc mu iść swoją drogą.

Chłopak minął rynek i skręcił w wąską uliczkę, prowadzącą do Theatergasse.

Zatrzymał się dopiero przed odrapanymi drzwiami do opustoszałej kamieniczki na końcu ulicy. Rozejrzał się, ale nie widząc nikogo poza kobietą niosącą bochenek chleba, zastukał do drzwi w umówiony sposób.

Firanka w oknie na parterze drgnęła, po chwili dał się słyszeć zgrzyt odsuwanej zasuwki i drzwi się uchyliły.

-Do kogo? - zza drzwi dobiegł męski głos.

-Hans Luft - przedstawił się chłopak. - Wracam od wujka.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość i chłopak wszedł szybko.

-Miałeś kłopoty? - Gerd poklepał go po ramieniu. Znał go od trzech lat, gdy matka przyprowadziła niespełna czternastoletniego chłopaka do oddziału Hitlerjugend w Bayerouth, którym dowodził. Potem rodzice chłopca zginęli w płonącym domu trafionym amerykańską bombą, a on ubzdurał sobie, że musi pomścić ich śmierć. Nawet przybrał pseudonim „Mściciel”.

-Łatwizna - wzruszył ramionami. - Wolałbym coś trudniejszego. Jakąś akcję bojową.

-Będzie, będzie. - Gerd ponownie poklepał chłopaka po ramieniu.

Otworzył drzwi do mieszkania, gdzie w przedpokoju stał Harry.

-Obersturmbannführer, melduje się Mściciel - chłopak stanął na baczność i podniósł rękę w hitlerowskim salucie. Nie za wysoko, jak wymagał tego zwyczaj, aby tak wysoki oficer jak Harry Sauer nie zobaczył wewnętrznej strony dłoni.

-Jakie wieści? - Sauer podał chłopakowi rękę na przywitanie i ruszył przodem do pokoju.

-Niedobre. - Chłopak podążył za nim.

-Napijesz się? - Gerd sięgnął po butelkę wódki.

-Za młody - zaprotestował Harry, ale widząc zły wzrok Hansa, machnął ręką.

-Nie jestem za młody, żeby zabijać okupantów, to nie jestem za młody, żeby napić się wódki!

-Nie rzucaj się - mruknął Gerd pojednawczo. — Jakie złe wieści?

- Przewodnicy, którzy prowadzili Jorga, nie wrócili. - Chłopak wychylił szybko szklanę wódki i otarł usta rękawem. Zrobił dwa kroki w stronę stołu, aby odstawić kieliszek.
- Siadaj. - Sauer odsunął krzesło.
- Wszystko szło zgodnie z planem. Ten Jorg zgłosił się do taksówkarza.
- Taksówkarz nie zdradził?
- Nie, wzięliśmy jego żonę i córkę za zakładniczki, to musiał tańczyć, jak mu graliśmy.
- Ładna chociaż? - zaśmiał się Sauer.
- Nie wiem, jak strzelałem, to miała worek na głowie - odpowiedział z takim błyskiem w oku, że obydwaj mężczyźni spojrzeli na siebie zaskoczeni. Nawet Sauera zdumiało okrucieństwo chłopaka.
- Wszystkich załatwiliśmy - dodał Hans. - Taksówkarza też, jak wrócił i potwierdził, że oddał Jorga w ręce braci.
- To oni braćmi byli? - zainteresował się Gerd. - Nie wiedziałem.
- E tam, tak mówili o sobie. Albo podawali się, że ojciec i syn - chłopak wzruszył ramionami - a to pędzie.
- Wiadomo, jak to się stało?
- Mieli go zabić przed granicą, a chyba on ich załatwił.
- Może złapała ich straż graniczna.
- Nie, tej nocy nikogo nie aresztowano. Sprawdzaliśmy.
- To nasz Jorg jest sprytniejszy i silniejszy, niż myślałem. -Gerd wstał od stołu i podszedł do okna zainteresowany warkotem przejeżdżającego samochodu. Przez chwilę sprawdzał, dokąd auto jedzie, aż uspokojony odwrócił się. Najwyraźniej potrzebował czasu, aby rozważyć sytuację. Spojrzał na Sauera. Ten siedział uśmiechnięty.
- Gdzie może być teraz Jorg? - zapytał Gerd po długim milczeniu.
- Już dotarł na miejsce. Zapewnie idzie tam, gdzie dobrze się czuje, czyli do Tzschochy albo Marklissy - odpowiedział Sauer i od razu dodał: - Zamek zajęli Rosjanie. Nie sądzę, żeby się do nich spieszył.
- To jest gdzieś w okolicy i węszy - rzucił Hans, uznając, że po winien włączyć się do rozmowy.

-Zbieraj się. - Gerd podszedł do chłopaka. -Jutro przejdiesz granicę i będziesz szukał Jorga. Jak go znajdziesz, to zrobisz to, co nie udało się przewodnikom.

-Tak jest! - Chłopak stanął na baczność. Ściągnął ręce wzdłuż wytartego munduru. Uniósł wysoko brodę i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Sauer pomyślał, że nie mógł znaleźć lepszego wykonawcy rozkazu.

-Przynies mi jego głowę - powiedział. Chyba traktował to jako żart, ale chłopak nie zmienił wyrazu twarzy.

-Rozkaz! - rzucił, wciąż patrząc przed siebie. - Odmeldowuję się!

Schylił się po plecak i wyszedł szybko z pokoju wyprowadzony przez Gerda.

- Wiesz, byłem z Himmlerem podczas egzekucji na Ukrainie. - Sauer, który przez okno obserwował, jak chłopak wyszedł na ulicę, widząc wracającego, usiadł przy stole. - To chyba było pod Mińskiem. Zlikwidowaliśmy tam tysiąc Żydów.

Gerd przysunął sobie butelkę wódki. Słuchał z uwagą. Znał już wiele opowieści Sauera, który na Ukrainie dowodził jednym z oddziałów Einsatzgruppen, specjalnych jednostek dokonujących masowych pacyfikacji. O Himmlerze jednak nie słyszał.

- Jakiś esesman nie trafił i kobieta, wciąż żywa, gdy zakopano masowy grób, krzyczała i rozgarniała ziemię - mówił Gerd. - Himmler nie wytrzymał już tego widoku. Zakrył twarz chusteczką i odszedł na bok. Był tam też Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski. Powiedział do Himmlera o esesmanach wykonujących egzekucję: „Proszę spojrzeć w oczy tych mężczyzn, jak to nimi wstrząsnęło. Oni są wykończeni na całe swoje życie! Jakich następców tu szkolimy? Neurotyków lub zбочzeńców!”.

Gerd słuchał z zainteresowaniem.

-Myślisz o tym chłopaku? Że niby zбочzeniec wyrośnie? No, dziewczynę zastrzelił bez mrugnięcia okiem. Bogu ducha winną Niemkę albo Czeszkę. Jej matkę chyba też. I taksówkarza...

-Wciąż potrzebujemy takich, żeby nasze zadanie doprowadzić do końca. - Sauer podniósł szklanę. - A będzie trudniej niż na Ukrainie. Wtedy mieliśmy dywizje pancerne...

Wypił szybko wódkę.

- Jutro opuszczamy to mieszkanie. Jest już spalone - powiedział, odstawiając szklanę.

20 maja, Lauban, mieszkanie jubilera

Beer zerknął na róg budynku, gdzie powinna być tablica z nazwą ulicy, ale pozostała po niej tylko jaśniejsza plama na zadymionym murze. Wszędzie w Lauban, o które jeszcze niedawno toczyły się zacięte walki, widać było ślady pocisków i pożarów. Miasto, kwitające przed wojną, umarło.

- Przepraszam - zwrócił się do przechodzącej obok kobiety z wózkiem - tu gdzieś był sklep jubilerski.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Ja nie stąd. Nie wiem, proszę pana.

Dopiero w tym momencie dostrzegł, że w wózku nie było dziecka, a jedynie luźno wrzucone rzeczy. Nawet wystawał budzik. Najwidoczniej uciekając z domu, nawet nie miała czasu zapakować dobytku.

- Tam, za rogiem - usłyszał głos tuż nad głową.

Z otwartego okna na wysokim parterze wychylał się mężczyzna, który usłyszał jego pytanie.

-To jakieś sto metrów, ale dawno pana Stienerta nie widziałem. Może chory albo już stąd wyjechał.

-Nie, wczoraj był po chleb - z wnętrza mieszkania dobiegł głos kobiety.

-Dziękuję - Beer ruszył szybciej we wskazanym kierunku.

Wystawa jubilerskiego sklepu była zabita deskami, a drzwi zasłonięte furtką wyrwaną z ogrodzenia. Gdyby nie szyld na ścianie, wskazujący, że jeszcze niedawno działał tu duży i bogaty sklep, nie pomyślałby nawet, że za brudnymi deskami mogły być precjoza.

Uderzył pięścią w deski okiennicy.

- Panie Stienert, niech pan otworzy! - krzyknął.

Odpowiedziała mu cisza. Ponownie załomotał w okiennicę, ale nic się nie wydarzyło. Odsunął się o parę kroków. Firanka w oknie

na pierwszym piętrze poruszyła się. Pomyślał, że tam znajduje się mieszkanie lub druga część jubilerskiego sklepu. Nie dobijał się już więcej, bojąc się, że zwróci to uwagę jakiegoś radzieckiego patrolu, który mógł pojawić się w okolicy. Nie bał się Eosjan, ale gdyby Stienert zobaczył, że rozmawia z żołnierzami, utrudniłoby to jego zadanie.

Wszedł szybko do sieni i wspinał się na pierwsze piętro dokładnie w momencie, w którym Stienert stanął w drzwiach, mając najwyraźniej zamiar wymknąć się stamtąd. Widząc Beera na schodach, szybko wrócił do mieszkania i chciał zatrzęsnąć drzwiami, ale Beer wsunął stopę i pchnął mocno.

Minął oszołomionego Stienerta i przez wąski przedpokój wszedł do pokoju, którego okna wychodziły na ulicę. Była pusta.

Zaciągnął franki i rozejrzał się szybko. Tak jak przypuszczał było to niewielkie mieszkanie, które jubiler wykorzystywał jako zaplecze. Drugie drzwi prowadziły do wąskich kręconych schodów biegnących wprost do sklepu na parterze.

- Przysłała mnie Ohlenrode - odezwał się do Stienerta, który stał w drzwiach, wciąż zaskoczony niespodziewanym wtargnięciem Beera. Ten zdjął rękawiczki, rozpiął płaszcz i usiadł przy stole.

Ta informacja zamiast uspokoić Stienerta, wywołała nową falę lęku. Już wiedział, że obcy kłamie, ale nie mógł pojąć, dlaczego powołał się na Ohlenrodego. W panicznej próbie zrozumienia tego, co działo się wokół niego, uznał, że jedyne wyjście to grać na zwłokę.

- Gnany żądzą zysku zaplątał się pan w sprawę, która pana przerasta, panie Stienert - powiedział Beer, patrząc na przerażonego mężczyznę. - Niech pan siada. Jestem przyjacielem.

Stienert uśmiechnął się. Nie miał innego wyjścia, jak tylko uwierzyć w te słowa.

-Opowie mi pan wszystko? - Beer pochylił się w jego stronę.

-Co?

-Przysłała mnie Ohlenrode - powtórzył. - Pan go zna...

-Nie, nie wiem kto to - niepewnie zaprzeczył Stienert, ale Beer nie zwrócił na to uwagi.

-Dobrze, nie należy od razu wyklądać kart na stół. Ale niech mi pan wierzy, że przychodzę z polecenia pana von Ohlenrode.

Wie

pan, z Bad Kudowa do Lauban kawał drogi, a telefony nie działają, więc uznał, że jak powołani się na niego, to wystarczy.

-Mam panu wierzyć?...

-A ma pan inne wyjście? Zaczniemy więc rozmawiać szczerze.

Stienert usiadł na brzeжку krzesła. Wciąż w pamięci miał widok rozkładających się ciał w podziemnym bunkrze i wciąż czuł ten straszliwy fetor, którego nie mógł się pozbyć. Odnosił wrażenie, że wdarł się w pory jego skóry i nie sposób go zmyć ani wywabić.

Nie wiedział, czy mężczyzna, który wtargnął do jego mieszkania, miał cokolwiek wspólnego z tymi, którzy porwali go w Mar-klissie.

-A o czym pan chce rozmawiać i kim pan jest? - zapytał, starając się ukryć, jak bardzo przestraszyła go ta niespodziewana wizyta.

-Panie Stienert, wiem, że upłynnia pan precjoza, które nie należą do pana, czyli są kradzione...

-O, wypraszam sobie! - Stienert uznał, że zaprzeczenie nie zaszkodzi. Beer nie zwrócił na to uwagi.

-Ostatnio był pan przesłuchiwany w dość niezwykłych okolicznościach.

-O czym pan mówi? - Stienert postanowił przeciągać rozmowę jak najdłużej.

-Jeden łysy, drugi wyższy, Karl. W podziemnym bunkrze. Pamięta pan?

Stienert głośno przełknął ślinę. Już zorientował się, że niechciany gość wie bardzo dużo. Rozważał tylko, czy dalsze upieranie się i udawanie uczciwego człowieka nie zakończy się tym, że zaciągnie go do makabrycznych podziemi i wrzuci do pomieszczenia z rozkładającymi się trupami. Oparł obydwie dłonie na blacie stołu, aby pohamować drżenie. Czuł, jak kołnierzyk koszuli wilgotnieje od strużek potu spływających mu po karku. Nagła myśl dodała mu odwagi. Uznał, że ma przed sobą szantażystę, który przed ucieczką postanowił napchać sobie kieszenie bogactwami, za jakie spokojnie będzie żył po wojnie.

-Proszę pana, to fakt, że działam na polecenie pana von Ohlenrode. Sumiennie wykonuję rozkazy...

-Do rzeczy panie Stienert.

-Majątek jest tak wielki, że zniknięcie kilku sztabek złota czy kilkunastu precjozów musi pozostać niezauważone. Dlatego zatrzymałem dla siebie pewne kosztowne przedmioty jako wynagrodzenie. Przecież nie jestem żołnierzem, lecz kupcem, jifbiłere.

-Dobrze, że postanowił pan być ze mną szczery...

-Więcej! Ja chcę się z panem podzielić moją prowizją!

-W jakiej wysokości?

Stienert wstał. Podeszedł do sekretarzyka, który stał przy ścianie między oknami, i odsunął górną szufladę. Wsunął dłoń w wąską szczelinę i przez chwilę manipulował, aż z cichym szcękaniem sprężyny odskoczyła boczna listwa. Z niewielkiego schowka, który ujawnił się między ściankami, Stienert wyjął zawiniątko. Przyniósł je do stołu i odwinął papier. Beer patrzył z zachwytem na wyłaniający się z szarego zawiniątka przedmiot.

-Faberge - powiedział cicho. - Ile?

-Ma pan rację. Faberge. Jajko Piotra Wielkiego, zrobione przez wielkiego złotnika dla upamiętnienia dwusetnej rocznicy założenia Sankt Petersburga, czyli w 1903 roku. Zdobione brylantami i rubinami...

Stienert mówił to z takim nabożeństwem, że Beer uśmiechnął się.

- A tu, proszę, niespodzianka...

Stienert podniósł czubek jajka, a z wnętrza zaczęła wysuwać się miniatura pomnika Piotra Wielkiego umocowana na szmaragdzie.

-Piękne. - Beer był wyraźnie przejęty. - Ile?

-Trudno oszacować w tych czasach. Mogę powiedzieć tak: po wojnie sprzedać można w Londynie za jakiś milion...

-Marek?

-Nie, funtów! Ale kto by sprzedawał to чудо, kiedy można dobrze żyć, sprzedając...

Odwrócił się i ponownie podeszedł do sekretarzyka. Sięgnął do skrytki i wrócił, trzymając w dłoni niewielką sztabkę złota.

-...takie proste sztabki.

-Wróćmy do interesów. Skąd pan to ma?

-Otrzymałem od pewnych ludzi.

Teraz zaczynała się najważniejsza rozgrywka. Stienert uznał, że pokazując bezcenne jajko, zyskał zaufanie przybysza, który tym samym się odsłonił. Specjalnie wybrał ten klejnot, wiedząc, jakie

zrobi wrażenie. Jeszcze nie spotkał człowieka, który patrząc na skrzące się brylanty zatopione w złoto jajka, nie poddałby się nieodpartej chęci posiadania tego cuda.

- Chcę poznać nazwiska tych „pewnych ludzi”, miejsca spotkań z nimi, sposób aranżowania spotkań, a odwdzięczę się hojnie.

Stienert zaskoczony milczał. Spodziewał się gróźb, a tymczasem esesman przedstawiał handlową propozycję.

-Co znaczy „hojnie”?

-Panie Stienert, pan kradnie własność SS. No, może nie pan

-Beer dostrzegł gest sprzeciwu - ale uczestniczy pan w tym procederze. Wie pan, jak SS za to karze...

Stienert wstał z krzesła, aby odpędzić makabryczne wspomnienie. Beer rozejrzał się po pokoju.

-Już pan spakowany - wskazał na walizki stojące przed komodą. - Myśli pan, że zdoła pan uciec przed nami?

-Przed „nami”? To pan jest esesmanem?

Beer machnął ręką, w jakiś sposób miało to potwierdzać, że jest esesmanem, ale otwarcie nie chce się do tego przyznać.

-Co pan proponuje? - Stienert zebrał się na odwagę.

-Gwarancję bezpieczeństwa, czyli pełną ochronę. W zamian chcę poznać nazwiska ludzi, którzy przynoszą panu kosztowności. Spotyka się pan z nimi w tym mieszkaniu?

Stienert skinął głową, choć wciąż nie był pewien, czy może posunąć się dalej.

-Ilu ich jest? Dwóch, trzech?

-Dwóch

-Nazwiska...

-Nie znam. Jeden jest Georg, drugi Siegmunt.

-Kiedy tu będą.

-Jutro, wieczorem.

Beer wstał. Był bardzo zadowolony. Nie podejrzewał nawet, że pójdzie mu tak łatwo.

-Zawsze osobiście przyjmuje pan od nich przesyłki?

-Tak, muszę sprawdzić, czy są autentyczne i jaką mają wartość.

-A gdyby pana nie było, ktoś może pana zastąpić?

Stienert spojrział przestraszony na Beera, Zawahał się. Po chwili uznał jednak, że skoro zdecydował się ujawnić aż tyle, to nie było sensu się cofać.

- Nigdy tak się nie zdarzyło, ale czasy niespokojne, więc może mnie ktoś zastąpić. Hasło „ewakuacja o piątej”, odzew „będę gotowy już o trzeciej”.

Natychmiast czuł, jak spada z niego ciężar. Czuł, że przybysz mu uwierzył. Za chwilę pójdzie sobie, aby wrócić następnego dnia wieczorem. Być może po to, żeby zrabować to, co przyniesie jeden z dwóch łączników. Wszyscy już myśleli o tym, z czego będą żyć po wojnie. Ten intruz na pewno też. Wyglądał na takiego, który zadowolony się garścią brylantów. I dla nich gotów był zabić. Ale on, Horst Stienert, był sprytniejszy! Straszna noc w podziemiach nauczyła go ostrożności. Miał numer telefonu do ludzi, którzy zapewniali mu ochronę. Oni poradzą sobie z tym mydłkiem, któremu wydaje się, że jest kimś.

-Dobrze, panie Stienert. - Beer sprawiał wrażenie zadowolonego. - Wstał od stołu i zapiął płaszcz.

-Będę jutro o siódmej. I panie Stienert: jeżeli mnie pan zdradzi, zabiję pana.

Tamci byli skuteczniejsi - pomyślał Stienert, konstatuując z ulgą, że ten człowiek nie miał nic wspólnego z ludźmi z podziemi bunkra.

Beer wyszedł, a Stienert przyłożył ucho do drzwi, nasłuchując kroków na schodach. Gdy ucichły, podszedł do telefonu. Mógł się spodziewać, że linie zostały zerwane i nie uda mu się dodzwonić, ale nie martwiło go to. Ludzie, którzy przychodzili do jego mieszkania nad sklepem, wyznaczyli awaryjny sposób porozumiewania się. Miał pójść do parku i wetknąć kartkę w szparę w obudowie latarni, trzeciej od bramy po lewej stronie.

Podniósł słuchawkę. Telefon był głuchy. Postukał kilkakrotnie w widelki, ale nie zmieniło to sytuacji. Wyglądało na to, że linia telefoniczna została zerwana, co w ostatnich tygodniach zdarzało się aż nadto często.

Wrócił do stołu i wtedy zobaczył rękawiczki esesmana leżące na krześle. Uśmiechnął się na myśl, że człowiek, który wdarł się do jego mieszkania, już ich nie odbierze.

Z papeterii leżącej na stole wysunął kartkę i za pomocą noża do otwierania kopert rozciął ją na pół. Potem złożył i ponownie rozciął.

„Alarm. Intruz w moim mieszkaniu 21 maja, godzina siódma wieczorem”.

Starannie zwinął kartkę, tak że utworzyła cienką rurkę, i wsunął ją do górnej kieszeni marynarki. Był zadowolony ze sposobu, w jaki rozmawiał z obcym i zdobył jego zaufanie. To było sprytnie. Niczego nie ukrywał, powiedział prawdę, ale wiedział, że już następnego dnia gościowi nic z tej prawdy nie przyjdzie. A ludzie, którzy go zabiją, nie dowiedzą się, że poznał ich tajemnice. No, chyba że przed śmiercią chcieliby go zawieźć do podziemi. Szybko jednak to wykluczył, jako rozwiązanie zbyt dla nich kłopotliwe. Zastrzeżenie intruza było ze wszelkich miar łatwiejsze.

Włożył płaszcz i zbiegł szybko po schodach. Tak szybko, że nie dostrzegł Beera kryjącego się na schodach prowadzących do piwnicy, gdzie metalowe wieko zasłaniało kable telefonicznej skrzynki. Wszystkie były ponumerowane i znalezienie przewodów biegnących do mieszkania jubilera nie przedstawiało żadnych trudności. Potem wystarczył jeden ruch ręki i telefon w mieszkaniu Stienerta przestał działać.

Beer dostrzegł przez oszklone okienko w drzwiach wejściowych, że Stienert poszedł w prawą stronę. Odczekał kilkanaście sekund, aż tamten oddali się na bezpieczną odległość, i wyjrzał na ulicę.

Stienert szedł szybko, nie myśląc nawet o tym, że jest śledzony. Ledwo skręcił w przecznicę, a Beer podążył za nim.

Jubiler, wciąż jakby zatopiony w myślach, nie odwracał głowy, ale nawet gdyby chciał sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi, nie dostrzegłby Beera, który zmieszał się z grupką ludzi idących w tym samym kierunku.

Przeszedł szybko wąską i zaśmieconą Kreuzgasse i wyszedł na niewielki plac okalający kościół. Potem, wciąż nie rozglądając się, wszedł do niewielkiego parku. Zatrzymał się przy latarni i dopiero wtedy po raz pierwszy rozejrzał się bacznie. Nie znalazłszy nic niepokojącego, wsunął kartkę w wyznaczone miejsce w słupie i ruszył pewnym krokiem przed siebie.

Beer stanął niezdecydowany. Ciekawość na-kazywała mu wyciągnąć kartkę ze słupa latarni, ale obawiał się, że Stienert może zrobić koło i wrócić, aby sprawdzić, czy wiadomość jest na miejscu. Odczekał kilka minut, obserwując okolicę. Stienert nie "wrócił".

- Amatorzy nie powinni zabierać się za niebezpieczne przedsięwzięcia - pomyślał Beer.

Poszedł wprost do latarni. Kartka, wetknięta z:był pośpiesznie, była dobrze widoczna w pęknięciu czarnej obudowy. Odczytał jej treść i zawrócił szybko.

Stienert długo nie wracał do mieszkania. Następnego dnia zamierzał wyjechać z miasta i musiał odebrać w urzędzie konieczną przepustkę, za którą dał kilka ładnych brylantów. Potem zajrzał do miejscowej stacji benzynowej, od dawna zamkniętej, ale właściciel przygotował dla niego kilka kanistrów z żelaznego zapasu. To też kosztowało kilka brylantów po dwa, trzy karaty każdy. Zostawił jeszcze zapas paru kamieni na przekupienie żołnierzy, gdyby nie uwierzyli jego dobrym dokumentom. Już zmierzchało, gdy wrócił do mieszkania nad sklepem. Ledwo zdjął płaszcz i powiesił na haczyku w przedpokoju, gdy usłyszał energiczne pukanie do drzwi. Zrazu pomyślał, że to Siegmunt lub ten drugi otrzymali wiadomość i nadmiernie się pośpieszyli, ale po chwili usłyszał głos.

- Panie Stienert, proszę otworzyć. Wróciłem po rękawiczki.

Poznał głos.

- No pewnie, w dzisiejszych czasach nie należy gubić skórzanых rękawiczek, chociaż idzie lato - pomyślał jubiler.

I natychmiast przyszło mu do głowy, że ostrożność nie zawadzi, więc zapiął łańcuch i ledwo uchylił drzwi. Za nimi stał Beer, uśmiechając się przyjaźnie.

- Tak, zauważyłem - powiedział Stienert. - Chciałem panu jutro oddać.

Wolałby nie wpuszczać Beera, lecz przynieść rękawiczki z pokoju i podać mu przez szparę, ale natychmiast przyszło mu na myśl, że nie byłoby to grzeczne.

Zsunął łańcuch.

- Niech pan wejdzie.

Beer wciąż się uśmiechał, jakby zażenowany, że musiał wracać po taki drobiazg jak rękawiczki. I nagle Stienert zobaczył pistolet

w jego dłoni. Cofnął się o krok. Esesman zerwał wełnianą chustę, którą dostrzegł na wieszaku.

- Żona musiała zostawić - stwierdził Stienert, jakby nie zdając sobie sprawy, że te słowa nie mają sensu. Esesman w okamgnieniu zakreślił chustę dookoła dłoni, w której trzymał pistolet, aby stłumić odgłos wystrzału.

Stienert, trafiony w brzuch pochylił się i upadł na kolana. Usiłował podnieść głowę, ale esesman przytrzymał ją. Dostawił lufę do karku i strzelił ponownie. Stienert zwałił się na podłogę.

Beer nasłuchiwał przez chwilę, czy strzały nie wywołały zainteresowania sąsiadów, ale zza drzwi nie dobiegały żadne odgłosy. Na tym piętrze nie było już mieszkańców, wszyscy wcześniej uciekli z miasta.

Obrócił zwłoki na plecy i rozerwał koszulę na piersiach. Nie zawiódł się. Zobaczył cienki srebrny łańcuszek z kluczykiem. Rozejrzał się, szukając miejsca, w którym Stienert mógł zamocować sejf. Uznał, że musi to być klasyczny schowek, czyli pod obrazem, ale pomylił się. Pod żadnym nie dostrzegł metalowych drzwiczek. Poszukiwanie pancерnej skrytki zajęło mu tak dużo czasu, że zaczął żałować, iż zastrzelił Stienerta, zanim wydobył od niego, gdzie schował dokumenty i kosztowności. Usiadł więc przy stole i zapalił papierosa, aby spokojnie przemyśleć dalsze działania.

20 maja, bunkier

Jorg w ostatniej chwili dostrzegł *leżącą*, na ziemi tabliczkę. Tknięty złym przeczuciem zatrzymał się. Przyciągnął ją ostrożnie końcem buta i podniósł. Nie pomylił się. Na zszarzałej bieli widać było czarną trupią czaszkę i napis „Achtung. Minen”. Nie wiedział, czy leżała obok miejsca, gdzie wbito ją jakiś czas temu, aby ostrzec, że tu zaczyna się pole minowe, czy też powinna być ustawiona wiele metrów wcześniej. To oznaczałoby, że szczęśliwie przeszedł między minami, ale lada moment szczęście mogło go opuścić. Rozejrzał się wokół. Pas trawy ciągnął się do drewnianych słupów, na których

rozciągnięto druty kolczaste. Wypatrzenie min było niemożliwe. Wydobył z plecaka bagnet i przykucnął. Położył na ziemi dłoń z rozsuniętymi palcami i tuż przy nich zaczął ostrożnie wkuwać klingę. Wszędzie wchodziła gładko, nie napotykał żadnego oporu. Przesunął dłoń w miejsce, gdzie kończyły się palce, i znowu zaczął zmuśne sprawdzanie. To był stary sposób saperów, zanim wyposażono ich w świetny polski wynalazek, wykrywacze min. Tylko tak można było mieć pewność, że cały pas sprawdzi się dokładnie, centymetr po centymetrze, nie omijając miejsca, w którym mogła być zakopana mina. Przeszedł tak trzy metry, gdy nagle ostrze zatrzymało się. Poruszył nim leciutko. Doszło do dużego kamienia lub... miny. Przyklęknął na jedno kolano i delikatnie rozgarnął trawę. Przez kilka sekund miał nadzieję, że leży tam spory kamień, dopóki nie zobaczył trzech stożkowatych prętów, ledwo wystających z ziemi. Zarosły już trawą i nie sposób było ich dostrzec nawet z odległości dwóch metrów. Naciśnięcie spowodowałoby wybuch. Nie miał też pewności, czy minę tę da się usunąć. Jeżeli była to pułapka, to zadziałałby drugi zapalnik zainstalowany na dnie miny i eksplodujący przy próbie podniesienia metalowej puszkii.

Odsunął się do miejsca, w którym zaczął sprawdzanie ziemi.

Nie miał wątpliwości: doszedł do pola minowego, które założono dookoła ogrodzenia okalającego bunkier. Był to jednoznaczny sygnał, że w samym obiekcie też są ładunki wybuchowe, których usunięcie wymagało zmuśnej pracy saperów. Jedyne co mógł zrobić, to spróbować bezpiecznie wycofać się, czyli przez dwie lub trzy godziny sprawdzać trasę prowadzącą do drogi albo odnaleźć własne ślady. Widział wygniecioną trawę, która jeszcze nie podniosła się w miejscach, gdzie stawał stopy, i postanowił przejść tamtędy. Szedł pochylony, najpierw delikatnie rozgarniając trawę w miejscach, gdzie, jak mu się wydawało, stawał stopy, i nie dostrzegając zagrożenia, robił krok naprzód. Tylko kilkanaście minut zajął mu powrót do drogi, gdzie wreszcie mógł się wyprostować.

Wyciągnął ramiona i wykonał kilka ruchów rozluźniających, gdy usłyszał odległy warkot samochodu. Najwyraźniej dochodził z kierunku Marklissy. Schwycił plecak i kilkoma susami dopadł do krzaków rosnących na poboczu, które powinny skryć go przed

nadjeżdżającymi. Tam przywarł do ziemi, zachowując dobry widok na szosę i skrzyżowanie prowadzące do bunkra.

Po chwili zza zakrętu wyjechał jeep. Było ciepło, więc podróżujący nie naciągnęli opończy. Tuż przed skrzyżowaniem jeep zwolnił i Jorg mógł dobrze przyjrzeć się mężczyznom siedzącym w samochodzie.

Za kierownicą siedział żołnierz w czapce z amarantowym otokiem. Jorg wiedział, co to oznaczało: NKWD. Widok żołnierzy tej formacji na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną nikogo nie dziwił. Obok kierowcy siedział oficer, też w mundurze NKWD. Na ławeczce z tyłu byli dwaj mężczyźni ubrani po cywilnemu. Jeden najwyraźniej łysy, gdyż spod kaszkietu naciągniętego na czoło nie wysuwał się ani jeden kosmyk. Drugi masywniej-szy i wyższy zwracał uwagę mocno wystającymi łukami brwiowymi, przez co wyglądał jak neandertalczyk. Czy gdzieś nie spotkał tego człowieka? Miał takie wrażenie, ale nie umiał umiejscowić, gdzie mógł go widzieć.

Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu. Najwyraźniej zastanawiali się nad wyborem drogi. Kierowca wyjął mapę i rozglądał się wokół, szukając punktu orientacyjnego. Wreszcie uznał, że są na właściwym skrzyżowaniu, i skręcili w stronę bunkra. Po chwili zniknęli za drzewami.

Jorg słyszał odgłos oddalającego się samochodu, zaciekawiony, czy dojadą do samego bunkra, co oznaczałoby, że droga nie była zaminowana, czy też, widząc tabliczki ostrzegawcze, wkrótce zawrócą. Sądził, że tak się stanie, więc ruszył szybko w stronę wzniesienia, z którego, jak oceniał, będzie mógł obserwować drogę prowadzącą do bunkra.

Minęło kilka minut, zanim usłyszał warkot wracającego samochodu. Uśmiechnął się. Najwyraźniej enkawudzistom przydarzyło się to samo co jemu: dojechali do tablicy informującej o minach, rozjeździли się i postanowili wrócić z saperami.

Miał konkurentów, którzy tak jak on, przyjechali zwiedzić podziemny kompleks. Pamiętał, jak w lutym dotarł do tego miejsca. Była noc, wszędzie wielu żołnierzy i strażaków, wyły syreny, reflektory oświetlały to miejsce, a z bunkra wynoszono ciężko poparzonych i zacadzonych, którzy o własnych siłach nie zdołali wydostać się

po wybuchu. W tym zamieszaniu nietrudno było prześlizgnąć się do środka. Pamiętał, jak dotarł do niskiego betonowego korytarza, z którego pancerne drzwi prowadziły do niewielkiej sali. Podeszedł do kwadratowego okna z zielonkawą, a więc najpewniej pancerną, szybą. Najwyraźniej było to miejsce, z którego obserwowano eksperymenty prowadzone w oddzielonej sali. Dokładnie zapamiętał, jak wyglądała, gdyż zaskoczyła go skromność tego miejsca. Sala była całkowicie pusta. Pośrodku był tylko okrągły basen wypełniony wodą niemalże do samego brzegu. Nad nim biegła masywna, zakotwiona w ścianach szyna z wielokrążkiem, którego przeznaczenia nie był w stanie wyjaśnić. Zresztą, nawet nie próbował. Zrobił tylko kilka zdjęć, wiedząc, że jeżeli wyjdą, inni będą się zastanawiać nad przeznaczeniem betonowej sali. Jak powiedziała mu Joanna, w zielonkawej szybie odbiła się przeciwległa ściana, a na niej napis „Brennstoff B”. To właśnie chciał wyjaśnić. Zdawał sobie sprawę, że pomieszczenie jest puste, ale musiał tam dotrzeć, aby znaleźć jakikolwiek ślad. Podświadomie czuł, że stamtąd biegnie droga do odkrycia, co Niemcy tak bardzo starali się schować.

Było pochmurno, lecz ciepło, i wszędzie roznosił się zapach wiosny. Dlatego postanowił poleżeć dłużej pod drzewem, rozkoszując się chwilą spokoju po napięciu, jakie ogarnęło go na polu minowym. Zamknął oczy, rozważając, co ma dalej zrobić. Ponowienie próby dostania się do bunkra wydawało mu się szaleństwem. Równie niebezpieczny mógł być powrót do miasta. Przed kilkoma minutami widział enkawudzistów, należało więc przyjąć, że przeczesują teren, szukając dezertersów z własnej armii, Niemców, którzy mogliby przekazać im cenne wiadomości, a przede wszystkim przetrząsają tę bogatą ziemię w poszukiwaniu wszystkiego, co miałyby wartość dla ich ojczyzny. Nie musiał obawiać się spotkania z nimi. Miał dokument stwierdzający, że jest porucznikiem Wojska Polskiego uwolnionym z niemieckiej niewoli. Wracał do domu, jak setki tysięcy młodych ludzi, którzy zostali wypuszczeni z obozów. Był dobrze przygotowany nawet do najtrudniejszego przesłuchania, a nie przypuszczał, aby sojusznicy chcieli go katować, aby wydobyć prawdę. Bo jakiej prawdy mogli się od niego spodziewać? Chyba że ktoś by go rozpoznał, ale ryzyko było zawsze.

Podniósł się z wysiłkiem. Marsz do tego miejsca i ekwilibrystyka na polu minowym dobrze dały mu się we znaki. Zarzucił plecak i ruszył w stronę Marklissy.

Do miasta dotarł po godzinnym szybkim marszu. Postanowił skierować się do hotelu „Pod Jeleniem” i ta myśl niespodziewanie przywiodła wspomnienia spotkań z Natalią i Anną Marią, których nie widział od kilku tygodni.

Rozpoznał uliczkę prowadzącą do rynku. Niewiele zmieniła się od wojennych czasów. Wtedy kłębiły się na niej tłumy. Oddziały maszerowały na front, rannych wieziono na stację kolejową, obleganą przez tłumy uciekinierów, szukających pożywienia i możliwości spędzenia spokojnej nocy w drodze w głąb Niemiec.

Było pusto. I to wrażenie potęgował siąpiący deszcz i zapadający zmrok. Jorg strząsnął krople z kołnierza i nagle przypomniał sobie, że nie zastanawiał się, gdzie spędzi tę noc. Podświadomie kierował się w stronę hotelu „Pod Jeleniem”, choć zdawał sobie sprawę, że budynek zajęło wojsko albo świeci pustkami.

Szedł wzdłuż brzegu rzeczki, dopóki nie zobaczył wylotu ulicy prowadzącej do rynku. Zatrzymał się, aby rozważyć, czy nie pójść dalej do kościoła, gdzie mógł liczyć na spokojne schronienie, o ile kościół nie był na głucho zamknięty.

Krótką ulicą biegła wprost do rynku i w jej prześwicie widać było masywną sylwetkę budynku „Pod Jeleniem”, najbardziej okazałego w miasteczku. W wielu oknach świeciły się żarówki. Pomyślał, że mało prawdopodobne, aby hotel działał, ale nie mając lepszego pomysłu, poddał się sile, która ciągnęła go w tamtą stronę. Powracały wspomnienia czasu, który wydawał mu się odległy, chociaż minął zaledwie miesiąc.

Przed oknem restauracji stał niski mężczyzna, który przecierał szybę. Wydawało mu się, że to właściciel, pan Luge. Wrażenie powracającego czasu było tak silne, że zatrzymał się, czekając, aż z restauracji wyjdzie Natalia, aby pomóc przy myciu okna.

- Staję się sentymentalny - pomyślał Jorg, uzmysławiając sobie, że podobieństwo mężczyzny stojącego przed restauracją do osoby znajomej znowu ożywiło niedawne wspomnienia. Mimo to przyspieszył kroku. Mężczyzna przed oknem wystawowym wytarł ręce i odwrócił się.

-Panie Luge? - Jorg patrzył na niego z niedowierzaniem. - Co pan tu robi?

-Kapitan Jorg! - Luge powiedział to zbyt głośno i natychmiast rozejrzał się wokół, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć jego słowa.

-Tak się cieszę, że pana widzę, bo sam tu jestem. Wszyscy wyjechali.

Trzymał rękę Jorga, aż ten rozejrzał się szybko. Nie chciał zwracać na siebie uwagi.

-Panie Luge, nie mam gdzie spać. Czy w hotelu są miejsca?

-W hotelu Rosjanie. Zajęli cały budynek dla swoich oficerów. Niech pan idzie do mnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka kluczy.

- Wyrzucili mnie z mojego domu, ale znalazłem sobie mieszkanie. Tam, trzeci budynek - wskazywał na kamienicę o ostrym spadzistym dachu. Wejdzie pan od podwórka, na poddasze, ten duży klucz pasuje do drzwi. Głodny pan?

Nie czekając na odpowiedź, dodał:

- Mam kawałek kielbasy, za oknem wisi. Niech pan weźmie. Ja przyjdę za godzinę.

Zerknął na uliczkę, którą szli dwaj mężczyźni po cywilnemu.

- Kościół w tamtą stronę - powiedział Luge głośno, aby nadchodzący usłyszeli, i wrócił do przecierania szyby.

- Dziękuję - Jorg uchylił czapki.

Mężczyźni przeszli obok.

-Luge, człowieku, ale ci Niemcy czyści i pracowici! Chodź, lepiej daj nam wódki - rzucił jeden z nich.

-Racja, czysto musi być, nawet teraz - burknął Luge, ale szybko zwinął ścierkę i wszedł za nimi do restauracji.

Jorg stał jeszcze przez chwilę. Widział tych mężczyzn! Niższy, w polowej czapce Wehrmachtu nie miał włosów. On siedział na tylnym siedzeniu jeepa z enkawudzistami, którzy jechali do bunkra. Drugi, neandertalczyk, też tam był!

Wsunął klucze do kieszeni i przyspieszył kroku. Za długo stał na ulicy przed hotelem, w którym kwaterowali radzieccy oficerowie. Mógł się spodziewać, że wśród nich byli enkawudziści, którzy wybrali dla siebie wygodne lokum. Kim byli ci dwaj cywile, którzy

dobrze mówili po niemiecku, a szli do restauracji w hotelu zajęтым przez Rosjan? Nie zastanawiał się nad tym dłużej, przyjmując, że Luge na pewno ich zna i wyjaśni mu wszystko.

Skręcił w uliczkę tuż za rogiem hotelu. Przeszedł kilkadziesiąt kroków, szukając wejścia do domu, który wskazywał Luge. Szybko odnalazł bramę i z ulgą zanurzył się w jej cień. Zapadający zmierzch mógł ściągać patrole.

Na poddaszu odnalazł tylko jedne drzwi i wszedł do mieszkania. Pokój, do którego wchodziło się z niewielkiego przedpokoju, urządzony był przypadkowymi meblami, jakie zapewne poprzedni właściciel pozostawił, wynosząc się z miasta.

Nie chciał poruszać się po mieszkaniu Lugego pod nieobecność właściciela, więc przeszedł do kuchni i usiadł przy stole pod oknem. Dopiero w tej chwili poczuł zmęczenie. Oparł wygodnie ręce o stół i położył na nich głowę. Sen zmęczonego przyszedł szybko.

Ocknął się. Nie wiedział dlaczego. Być może obudził go hałas dobiegający z ulicy. Nie. W mieście panowała grobowa cisza, przez którą przebijały się odległe krzyki Rosjan bawiących się w hotelu. Grała harmonia, ktoś wykrzykiwał toasty.

To nie hałas wyrwał go z krótkiego snu. Twarz mężczyzny, którego widział przed hotelem! Pijany goryl! Nie mógł się mylić! Pamiętał zdjęcie, które Aaron położył przed nim na stole w Boving-ton Camp. Wystające łuki brwiowe i wodniste oczy. Słyszał słowa Aarona:

- Patrz na oczy i układ brwi. Doszukuj się szczególnych cech i staraj się je zapamiętać. Najlepiej na zasadzie absurdalnych skojarzeń.

Pijany goryl. Absurdalne skojarzenie.

Wstał od stołu i podszedł do kuchni kaflowej za kretonową zasłonką rozciągniętą na sznurku między ścianami. Na blasze, jaką wyłożono deski podłogi wokół kuchenki, leżał stos drewnien. Odsunął fajerkę, wsunął zwiniętą gazetę, na której ułożył kilka szczap. Zapałki znalazł na kaflach, jakimi była obramowana kuchenka. Rozpalił szybko ogień i postawił czajnik.

Wykonywał te czynności mechanicznie, cały czas przypominając sobie informacje dołączone do zdjęcia pijanego goryla.

Karl... Karl...

Tak, imię pamiętał, gorzej było z nazwiskiem, ale ono wypłynęło z zakamarków pamięci jak błysk ognia.

- Stiepan Kostyrko, nazywany Karl, od wielkiego niemieckiego moździerza. Zabijał więźniów uderzeniem pięści w głowę. Ukraińiec. Służył w SS-Galizien. Według zeznań jeńców miał łańcuszek, za którego pomocą odcinał jeńcom palce lub dłonie - Jorg mówił do

siebie, recytując lekcję, którą odebrał od Aarona.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Jorg uchylił je, nie będąc pewien, czy za nimi stoi Luge, choć zdawał sobie sprawę, że Rosjanie przetrząsający okoliczne domy nie pukaliby tak delikatnie.

-Już, popili się, więc nie jestem im potrzebny. Sami się obsługują. - Luge powiesił kurtkę na wieszaku i wszedł do kuchni.

-Widzę, że pan już się zadomowił. Zaraz zrobię coś do jedzenia - powiedział, widząc ogień na kuchni.

-Panie Luge, dlaczego pan tu został? Rosjanie dookoła. Niebezpiecznie...

-A dlaczego miałem uciekać? W wojsku nie byłem, nikogo nie zabiłem ani nie skrzywdziłem. Teraz tu Polacy i Rosjanie się panoszą, ale Niemcy wrócą. To poczekam. A pan, panie kapitanie, tu skąd?

-Wypuścili z niewoli i wracam do domu do Gdańska. Panie Luge, proszę, niech pan nie mówi nikomu, że mnie zna. I że tu służyłem.

-Jasne. - Luge podniósł torbę, z którą przyszedł, i wyjął dwie duże puszkę.

-Rosjanie nazywają to tuszonka, czyli wieprzowina. Da się zjeść. Zwłaszcza gdy człowiek głodny.

Zaczął otwierać puszkę, aby wrzucić jej zawartość do garnka.

- Panie Luge, jak staliśmy przed restauracją, to przeszło tam dwóch mężczyzn. Zna ich pan?

Po raz pierwszy od spotkania w oku Lugego pojawił się odbłysek strachu.

-Czemu pan pyta?

-Tak tylko, z ciekawości. Jednego chyba spotkałem, w czasie wojny, był w mundurze SS.

Luge uspokoił się i zaczął mieszać w garnku.

- Tego tysego?

-Nie, tego drugiego, co wygląda jak neandertalczyk.

-Ten łysy to Niemiec. Drugiego wołają Karl, mówi dobrze po niemiecku, ale to Eosjanin albo Ukrainiec. Straszny.

-Esesman i u Rosjan służy?

-Tak, obydwaj przesiadują z enkawudzistami. Interesy załatwiają. Nie wiem jakie, ale coś o złocie usłyszałem. Esesman nie esesman, jak daje zarobić, to zapomnieli, że ludzi mordował.

W kuchni rozniósł się zapach gotowanego mięsa. Jorg poczuł ucisk w żołądku.

-A ja uważam, że morduje dalej... - dodał Luge, ale szybko zajął się podgrzewaniem mięsa. Najwyraźniej uznał, że za dużo powiedział.

-Panie Luge, znamy się od dawna. Wie pan, kim jestem, i nie musi pan się mnie obawiać.

-Ja się nie obawiam, ale wie pan, jakie czasy... - Zaczął wyklądać mięso na talerze. - Przez takich zbrodniarzy jak ten Karl to uczciwi Niemcy dzisiaj cierpią...

Postawił talerze na stole i wykonał zapraszający gest. Jorg z zadowoleniem skonstatował, że przestał tytułować go kapitanem. Uznał, że nie powinien już wyciągać informacji, gdyż wzbudziłyby to podejrzenia.

-Nie wie pan, gdzie mógłbym wynająć jakiś tani pokój?

-Długo chce pan być w Marklissie? Teraz Polacy Leśna nazywają.

-Może miesiąc, żeby sytuacja się uspokoiła. Zarobię trochę pieniędzy i pojedę do Gdańska, szukać przeszłości.

Luge podniósł kęs mięsa do ust. Rozwahał coś. Nie chciał zbyt pochopną propozycją urazić Jorga. Jedli przez chwilę w milczeniu, aż Luge odłożył widelec.

- Panie Jorg, co tu dużo gadać. Sam mieszkam, pokój panu od dam, a mój szwagier chętnie da panu pracę w tartaku. Potrzebuje ludzi, bo sam został. I niech pan zagląda do restauracji. Mnie po moc też potrzebna.

Wstał i otworzył drzwi do pokoju obok.

- Luksusów nie ma, ale niech pan się czuje jak w domu. Kiedyś pan mi się odwdzięczy - dodał, widząc, że Jorg zamierza zaprote stować.

20 maja, Normandia

Telefon zabrzmiał późno wieczorem. Niemalże jak wywołany zakłębciem, w drzwiach stanął Jean-Paul. Zawsze tak reagował, gdy uważał, że dzieje się coś niezwykłego. Dzwonek telefonu o tej porze mógł uznać za wydarzenie niezwykle. Joanna odłożyła książkę i podeszła do aparatu.

-Joanno, dobry wieczór, mówi Thomas, Thomas Turner, gdzie ty właściwie mieszkasz?

-Ver-Sur-Mer - odpowiedziała Joanna, zaskoczona, że słyszy głos dawno niesłyszanego znajomego.

-A, Ver-Sur-Mer, pomyliłem nazwy i błąkam się gdzieś koło Caen.

-Czyżby to znaczyło, że jedziesz do mnie?

-A nie mogłabyś mieszkać w Paryżu? Kocham Paryż. Poszlibyśmy sobie do jakiejś knajpki, bo na wsi to chyba ich nie ma.

-Jak rozumiem, jesteś głodny i jedziesz do mnie na kolację. Zgadłam?

-Częściowo, bo jadę do ciebie, żeby wręczyć ci kwiaty - nie dał się zaskoczyć Thomas.

-A kiedy będziesz?

-Trudno powiedzieć, jak szybko zorientuję się, gdzie jestem.

-A gdzie jesteś?

-No właśnie, godzinę temu wyjechałem z Caen, kierując się na północny zachód. Znalazłem budkę telefoniczną, jak słyszysz, tylko tyle wiem.

-To skręć w stronę plaży „Gold” - Joanna mówiła o kryptonimie plaży w rejonie Arromanches, gdzie szóstego czerwca 1944 roku lądowały brytyjskie oddziały desantowe.

-Tak trzeba było od razu. Tam schodziłem z jakiegoś brudnego transportowca na bujające się nabrzeże MuUberies. Będę za pół godziny.

Joanna odkładała słuchawkę, gdy usłyszała jeszcze głos Thomasa.

-Joanno, a gdzie w Normandii o tej porze można kupić kwiaty?

-Nie zwracaj sobie głowy. Wstawiam kolację.

Zastanowiła ją ta niespodziewana rozmowa. Thomasa poznała jeszcze przed wojną w Anglii. Był przystojnym absolwentem fizyki o rozwianych włosach, ciągle zagubionym i rozważającym jakieś nadzwyczajne problemy naukowe, które kiedyś usiłował jej wytłumaczyć. Nigdy nie pozwoliłby sobie na składanie wizyt w środku nocy i w dodatku bez zapowiedzenia, o ile niespodziewany telefon od człowieka zagubionego gdzieś w Normandii można było traktować jako zapowiedź odwiedzin. Nie wiedziała, skąd jechał i dlaczego nagle po latach do niej zadzwonił. Równie ciekawe było, skąd znał jej adres i numer telefonu, które stanowiły tajemnicę dostępną tylko nielicznym.

Jean-Paul stał wciąż w drzwiach, gdyż nie rozumiał, o czym Joanna rozmawiała po angielsku.

-W porządku? - zapytał, orientując się, że Joanna nie zwraca uwagi na jego dyskretną obecność.

-Ach, tak, dziękuję Jean-Paul. Za pół godziny będzie tu Anglik. Wpuść go, nie robiąc mu krzywdy.

Jean-Paul podniósł dłoń do daszka wymiętej czapki, której nigdy nie zdejmował, i zniknął w mroku sieni równie bezgłośnie, jak się pojawił.

Wkrótce warkot samochodu przed bramą i skrzypienie otwieranych wierzwi wskazały, że Thomas szybciej odnalazł drogę, niż się spodziewała. Wyszła przed drzwi, zaciekawiona, jak wygląda dawno niewidziany znajomy. Niewiele się zmienił, choć bujna czupryna zmniejszyła się do skromnego jeża, co bez wątplenia wynikało z konieczności założenia munduru. Przybywał w stopniu porucznika British Army. Joanna pomyślała, że wcielono go do wojska siłą, gdyż tylko w ten sposób można było wytłumaczyć, że ściał włosy.

W dłoni trzymał doniczkę, którą zapewne zdjął z parapetu jakiegoś normandzkiego domu.

- Nie myśl tak - krzyknął, widząc, że Joanna zaskoczona pa trzy na kwiaty. - Nie ukradłem, lecz kupiłem. Słowo ci daję!

Objęła go z taką serdecznością, że aż zerknął na nią zdumiony. Nie mógł wiedzieć, że nagle odżyły wspomnienia najpiękniejszego czasu w jej życiu. Przed wojną, gdy żył Herbert, a Natalia była nastolatką, często wyjeżdżali do Londynu, a spotkania z Thomasem

i jego zwariowanymi przyjaciółmi były najbardziej beztróskim czasem w jej życiu.

-Dawno się nie widzieliśmy. - Miała łzy w oczach, czego nawet nie starała się ukryć.

-Bardzo dawno, Joanno. Podczas wojny czas biegnie dwa razy szybciej. Jak Herbert?

Joanna opuściła głowę.

-Nie żyje. Zamordowali go w gestapo. Zameczyli...

-Przepraszam. Przepraszam, nie wiedziałem...

Wyjęła doniczkę z jego dłoni i wskazała na drzwi do normandzkiego domku.

- Chodź, kolacja gotowa.

Thomas nie dał jej długo czekać na wyjaśnienie celu niespodziewanej wizyty. Zresztą gdy tylko podała pieczoną kaczkę, natychmiast zapytała, jak ją odnalazł na normandzkiej wsi.

-Aaron - odpowiedział krótko.

-Czyli znowu tajne służby Jego Królewskiej Mości.

Musiał usłyszeć niechęć w jej głosie, gdyż natychmiast wyjaśnił.

-Cowgill powiedział mi, że zgodziłaś się podjąć misję, więc dlatego jak w dym...

-Zgodziłam się? Niech tak będzie. Mów dalej.

- Po kolei. Zostałem włączony do misji ALSOS...

Wstrzymał głos, czekając czy Joanna zapyta, co to takiego. Nie zapytała, gdyż dobrze wiedziała, że to grupa amerykańskich naukowców poszukująca niemieckich uczonych i dokumentów związanych z bronią nuklearną. Skinęła głową, dając znać, że wie o co chodzi.

- Dwudziestego szóstego kwietnia dotarliśmy do Stadtilm.

Tej nazwy nie znała.

- Miasto w rejonie Erfurtu i Jeny. W czasie wojny jedna z grup niemieckich atomistów miała tam swój ośrodek badawczy. Weszliśmy do niego...

Najwyraźniej był bardzo głodny, gdyż ani na chwilę nie przestawał jeść, a kaczka traciła mięso w zadziwiającym tempie. Równie często sięgał po kieliszek czerwonego wina, na który Joanna musiała mieć baczne spojrzenie, aby napełniać równie szybko, jak znikająca jego zawartość.

- ...i zastaliśmy pustkę. Jakiś dwóch mało ważnych facetów, trochę dokumentów, równie nieistotnych. Esesmani wszystko wywieźli...

Joanna miała już na końcu języka pytanie, czy po to, żeby to powiedzieć, jechał do niej z południowych Niemiec, ale w tym samym momencie Thomas przerwał jedzenie i pochylił się nad stołem.

-...z wyjątkiem betatronu. Be-ta-tronu - powtórzył, akcentując sylaby, widocznie po to, aby zapamiętała tę trudną nazwę.

-Wyjaśnisz, co to takiego?

-Pewnie - Thomas zamilkł, najwidoczniej szukając sposobu jak najprostszego wytłumaczenia istoty działania betatronu.

-Więc - zaczął po chwili - aby zapoczątkować reakcję nuklearną, trzeba zderzyć dwie cząstki atomu...

Przerwał, patrząc bacznie na Joannę, czy nadaża za jego wyjaśnieniami. Ona uśmiechnęła się i skinęła głową, potwierdzając, że jak dotąd wszystko rozumie.

- Wszystkie, poza neutronami, są naładowane, a więc dwie cząstki o ładunku, powiedzmy, dodatnim zostaną od siebie odepchnięte z siłą odwrotnie proporcjonalną do odległości...

Joanna nie czekała już, aż przerwie, sprawdzając, czy rozumie jego wywód, lecz kiwała potakująco głową, więc Thomas mówił dalej.

-...Należy cząstkom nadać prędkość, dzięki której pokonają tę odpychającą siłę. I to właśnie robi betatron. To po prostu próżniowa rura w kształcie pierścienia, w której w polu magnetycznym krążą naładowane cząstki, nabierając coraz większej prędkości, aż uzyskawszy odpowiednią energię, kierowane są na materiał tarczowy, wytwarzając strumień wtórnych fotonów.

-Możesz powtórzyć? - przerwała mu Joanna.

-Nie, zbyt dużo wysiłku to mnie kosztuje. Powiem inaczej, aż materiał tarczowy zamienia się w materiał radioaktywny. Inaczej mówiąc jest to alternatywa dla reaktora atomowego. Materiały radioaktywne można produkować w reaktorze lub betatronie.

-Czyli byliśmy w błędzie, przyjmując, że skoro Niemcom nie udało się uruchomić reaktora atomowego, to nie zdołali zbudować bomby atomowej?

-Ja uważani, że reaktor uruchomili, ale nawet jeżeli **nit**, to mieli betatrony. Ten, który znaleźliśmy w Stadtilrn, jest **niewielki**, Waży niecałe trzysta kilogramów. Wyobraź sobie, że mogli **skon*** struować sto takich urządzeń, znacznie większych, z magnesami o wadze wielu dziesiątek ton.

-Jakie są tego granice?

-Tylko ilość energii elektrycznej. Jeżeli więc uruchomiliby zespół kilkudziesięciu dużych betatronów, to musiałoby się to odbyć w rejonie uprzemysłowionym, gdzie jest dużo elektrowni.

-Na przykład na Dolnym Śląsku.

-Dobry przykład. Tam jest dużo hut, koksowni, kopalń, a więc musi być dużo elektrowni i linii przesyłowych. Wymarzone miejsce dla atomistów.

Thomas przerwał wykład i spojrzął z żałością na półmisek, na którym były tylko kości.

-Świetna kaczka...

-Jutro zrobię drugą - Joanna sięgnęła po talerze, aby zebrać je ze stołu.

-Wybacz, nie mogę dłużej zostać. - Thomas wydawał się zakłopotany.

-To masz zamiar błędzić po nocy?

-Muszę.

-To wyjaśnij, skąd ta nagła wizyta?

-Mogę?

Thomas, jakby nie słysząc jej pytania, wyjął paczkę papierosów, a widząc przyzwalający gest Joanny, zapalił z wyraźnym zadowoleniem człowieka sytego. Odczekał, aż Joanna odniesie talerze i wróci do stołu.

-Jeszcze jedno. - Z kieszeni munduru wydobył kartkę złożoną we czworo i rozpostarł ją na stole pod lampą. Joanna przyjrzała się dziwnemu szkicowi.

-Co to?

Z płataniny linii przecinających się pod kątem, prostym trudno było wywnioskować, co przedstawia szkic. Zarysy miejsca wypełnionego liniami coś Joannie przypominały, choć nie mogła skojarzyć, skąd zna ten kształt.

- Co to? - powtórzyła.

- Manhattan. To jest rysunek sporządzony przez Eugena Sanger, niemieckiego naukowca, specjalistę od rakiet i samolotów raketowych. Te kręgi...

Joanna dopiero w tym momencie zauważyła, że nad Manhattanem narysowano koła wychodzące daleko poza jego zarysy.

-...oznaczają zasięg wybuchu nuklearnego. Jeszcze nie przeanalizowałem zapisków poczynionych ręcznie, a zapewne wyjaśniających siłę ładunku, ale centrum umieszczono gdzieś na skrzyżowaniu Piątej Avenue i Czterdziestej Drugiej ulicy...

-To miejsce drapaczy chmur, więc tę bombę musiałby zrzucić samolot lub rakietą.

-Dokładnie tak jest, a zasięg wybuchu obejmuje koło o średnicy tysiąca trzystu metrów. Ten rysunek znaleźliśmy w Stadtilm.

Milczeli przez chwilę. Oboje rozumieli, że jeżeli sporządzano takie analizy, to znaczy, że broń, której zamierzano użyć w tym ataku, była gotowa.

-Od wyprodukowania materiału rozszczepialnego do skonstruowania bomby jest daleka droga - zauważyła Joanna.

-I tak, i nie...

-Co to znaczy?

-Jeżeli mają materiał radioaktywny o okresie półrozpadu, powiedzmy, sześciu lat, to wystarczy wsypać go do puszki, do środka włożyć odpowiednio silny ładunek trotylu, który rozrzuci to świństwo w promieniu kilometra, a przez sześć lat nie będzie można zbliżyć się do tego miejsca ze względu na promieniowanie przenikliwe.

Joanna milczała. Przed pięciu laty razem z grupą antynazistów podjęli próbę ostrzeżenia mocarstw demokratycznych, że Niemcy mogą pierwsi skonstruować bombę atomową. Jej mąż, Herbert, zapłacił za to życiem, konając na torturach w gestapo. Admirał Wilhelm Canaris, przywódca antynazistowskiej opozycji wojskowej, umarł w męczarniach powieszony na łańcuchu. A groźba użycia broni nuklearnej wydawała się coraz bardziej realna.

-Nie mają jak tej bomby dowieźć do Nowego Jorku - powiedziała Joanna.

-Otóż mają.

Spojrzała na niego zdziwiona.

-Junkers Ju 390. Jeden z prototypów doleciał na odległość dwudziestu kilometrów od Nowego Jorku i bezpiecznie wrócił do bazy. Problem w tym, że z trzech prototypów jeden zaginął.

-Mógł przelecieć do Argentyny?

-Mógł, tym bardziej że zaginął również generał Kammler.

-Generał Hans Kammler odpowiedzialny za budowę fabryk, produkcję rakiet i bombardowanie Londynu i Paryża pociskami V-1iV-2...

-...i śmierć tysięcy więźniów - dodał Thomas - którzy budowali podziemne fabryki. Zniknął na początku maja w rejonie Pragi, a próby Ju 390 przeprowadzano na lotnisku Praga-Ružyny. Sądzimy, że uciekł właśnie na pokładzie tego samolotu.

Joanna kiwała głową, rozumiejąc, że misja Jorga na Dolnym Śląsku nabiera szczególnego znaczenia. Rozważała przez chwilę, czy próba skontaktowania się z nim nie narazi go na niebezpieczeństwo, ale uznała, że najwyższy czas, aby poznał cel poszukiwań.

Thomas przyglądał się jej przez chwilę.

- O czym myślisz? - zapytał.

Potrząsnęła głową, dając znać, że nie może wyjawić swoich myśli, i uznała, że najlepiej będzie zmienić temat.

-To teraz wyjaśnij swoją niespodziewaną wizytę.

-Oczywiście, że mam taki zamiar. O naszych znaleziskach w Stadtilm poinformowaliśmy dowództwo. I nagle, przedwczoraj, otrzymaliśmy rozkaz spakowania wszystkiego i odesłania do Stanów. A poza tym morda w kubeł.

-Właśnie słyszę, jak się podporządkowałeś rozkazowi.

-Nie lubię, gdy sojusznik ma nas za idiotów. Więc skontaktowałem się z Aaronem. A on odesłał mnie do ciebie. Nie wiem dlaczego. Wyjaśnisz?

-Nie.

-Tak myślałem - niespodziewanie łatwo zgodził się Thomas.

Wyszli na podwórze, gdzie Jean-Paul jak wilk koło owczarni krążył dookoła samochodu Thomasa. Nawet uspokajający gest Joanny niewiele zmienił. Jean-Paul odsunął się tylko w cień stoły i stał tam, bacznie obserwując, co dzieje się na podwórku.

- Przyjadę w spokojniejszym czasie. - Thomas ucałował dłoń Joanny.

- Nie czekaj, aż taki nastąpi. Po prostu przyjedź.
Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

20 maja, zamek Książ

Promień słońca wpadający przez szczelinę szyby zamalowanej wapnem przesunął się po suficie. Globckie leżący na wilgotnej kamiennej podłodze podniósł powieki. Może wyczuł chwilową jasność w celi, a może przypadek sprawił, że ocknął się z krótkiego snu. Nie wiedział, jak długo spał w wąskim i długim pomieszczeniu, który naprędce przemieniono w celę. Szyby niewielkiego okna, umieszczonego wysoko pod sklepieniem, oddzielono siatką, aby więzień nie mógł stłuc szkła i wykorzystać kawałka do przecięcia sobie żył. Nie było tam żadnych sprzętów.

Pamiętał uderzenia gumową pałką, a raczej kawałkiem rury ogrodowego węża. Ten, który bił, miał na dłoni, między kciukiem i palcem wskazującym, wytatuowaną kotwicę. Marynarz? Mocno bił, zamasyście, jak chłop ścinający zboże.

Nagle pomyślał o Natalii, dziewczynie, którą torturował Beer. Męczył ją uderzeniami prądu elektrycznego. To musiało być gorsze niż razy zadawane gumowym wężem.

- Boże - powiedział cicho. Sam nie wiedział, czy nagle poczuł ogromne współczucie dla dziewczyny, której zadawano męczarnie, czy wspomnienie sprzed kilku miesięcy obudziło strach przed tym, co czekało jego. Tylko bili, a co zrobią za kilka godzin, gdy uznają, że odpoczął na tyle, że wytrzyma kolejną porcję tortur?

Przesunął się powoli, aby nie urazić wykręconego barku, ale każdy ruch wywoływał dotkliwy ból, więc opadł ponownie na wilgotną posadzkę.

Pomyślał, że oprawcy nie wiedzą, o co go pytać, więc katują bezmyślnie i wciąż zadają to samo pytanie: jak się nazywasz, jak nazywał się przywódca twojej organizacji, gdzie mieszkałeś przed wojną, kiedy faszyci cię aresztowali?

Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, a był tak blisko spokojnego bezpiecznego życia, gdy w Rosenheim uzyskał od Amerykanów dokument zwolnienia z niewoli in blanco. Tego samego dnia usiadł przy stoliku i rozłożył przed sobą niezbędne przybory: obsadkę ze stalówką, kałamarz z czarnym atramentem i bibułę. Ostrożnie, z wielką uwagą kaligrafował imię i nazwisko. „Otto Lammersdorf, sierżant 312 dywizji piechoty”. Wysuszał atrament i starannie złożył dokument, który dawał szansę na nowe życie. Był szczęśliwy, że wszystko, ta cała straszna wojna, jest poza nim. I poszedł do gospody. Przecież już niczego nie musiał się obawiać! To chyba tam rozpoznał go ktoś z SS. Nie wiedział kto. Następnego dnia stawiał się w miejscowym Landratamcie, gdzie po kilku godzinach wyczekiwania w tłumie rozgorączkowanych ludzi otrzymał tymczasowy dowód osobisty na nazwisko Otto Lammersdorf. Był już innym człowiekiem, wolnym od podejrzeń, nieściganym za zbrodnie wojenne.

Dwa dni później pod drzwi pokoju, który wynajmował, wsunęto kartkę z krótkim poleceniem:

„Obersturmbannführer Hans-Jacob Globcke jutro o 21.00 stawia się na moście Rzeźnickim w Norymberdze. To rozkaz, którego niewykonanie karane będzie zgodnie z prawem wojennym”.

Żałował, że nie zlekceważył tego rozkazu. Może się przestraszył, może wciąż drzemał w nim esesmański dryl: „Wierność jest moim honorem”.

W samochodzie przy moście Rzeźnickim czekał generał Kroll.

- Mamy o panu jak najlepsze zdanie - powiedział na przywitaniu.

Wyjął z kieszeni grubą kopertę i wcisnął w rękę zaskoczonego Globckego.

-Dolary - wyjaśnił.

-Wie pan, panie generale. Wojna skończona. Zacząłem budować swoje, cywilne, życie... Z dużym wysiłkiem...

Globcke podjął próbę uratowania marzenia o spokojnym powojennym życiu, ale Kroll patrzył na niego z dezaprobatą. Nie ma ochoty słuchać o innych planach niż te, które zamierzał narzucić.

- A kto pana zwolnił ze służby?! - zapytał twardo i spojrzawszy demonstracyjnie na dwóch mężczyzn stojących przy samochodzie.

Trzymali ręce w kieszeniach i dla Globckiego stało się jasne, że za chwilę dostaną rozkaz zastrzelenia go.

-Nie jestem tu po to, aby pytać o pańskie plany. To mnie nie interesuje. Wróci pan na zamek!

-Do Tzschochy?!

-Nie, ale blisko. Do Fürstenbergu.

-Tam był Sauer...

-Prymityw. Dobry na wojenne czasy. Nasze nowe zadania wymagają nowych ludzi. Takich jak pan.

-Panie generale, dziękuję za uznanie, ale pan wie, że wojna skończy się może za tydzień albo za dwa...

-Dla nas esesmanów wojna nie skończy się za tydzień. Będzie trwać. Ma pan szczególne szczęście, że za panem stoi wysoka ocena pana ofiarności i rzetelnej służby dla Führera. W przeciwnym wypadku musiałbym wydać wyrok śmierci. Ale niech pan nie przeciąga struny!

Podał Globckemu paczuszkę w nawoskowanym płótnie obwiązaną mocnym sznurkiem.

-Brylanty. A co do Fürstenbergu, może pan tam jechać bez obaw. Wyczyściliśmy teren. Niech pan się spieszy. Za kilka dni wycofamy załogę zamku. Wejdą tam Rosjanie.

-Oddajecie im zamek?!

-Niczego nie znajduję. Beton zastygnie, a świadkowie zamilkną! Poza tym podsunie im parę fałszywych tropów. To również będzie pana zadanie. Ma pan mieć oko na wszystko i sprowadzać Rosjan na fałszywe ścieżki. To wymaga inteligencji i dlatego wybraliśmy pana - po raz pierwszy uśmiechnął się przyjaźnie. -I jeszcze to...

W niewielkiej kopercie był dokument na nazwisko Hans-Jacob Krausse, zwolniony z obozu w Dachau, gdzie był więziony od 1943 roku.

- Wszystko autentyczne. Dużo zapłaciliśmy. Ci amerykańscy urzędnicy to się cenią - dodał, podając rękę na pożegnanie.

Globcke wsunął paczuszkę do kieszeni i wysiadł. Kroll przysunął się do okna.

- Nie będę pamiętał o naszej rozmowie. Heil Hitler, Obersturmbannführer!

Dotarł do Fürstenbergu kilka dni potem, jak weszli tam Rosjanie. Zgłosił się do wartownika, żądając widzenia 2 dowódcą. Doprowadzili go do pułkownika, który w opustoszałej sali Maksymiliana siedział przy fortepianie i grał nokturn Chopina. Nie przerywał, rozmawiając z Globckem.

- Wróciłem do Waldenbergu*, bo tu mieszkałem przed wojną. Jak się dowiedziałem, towarzysze, że tu w zamku macie swoją kwaterę, to natychmiast przybiegłem. Przydam się wam przy budowie nowych, demokratycznych i komunistycznych Niemiec!

Oficer patrzył na niego bezbarwnymi oczami. Spuścił głowę, jakby rozważając coś, i przerwał granie. Powiedział:

- Dobrze, sprawdzimy, co z was za komunista. A Niemcy są nam potrzebni.

Globcke, zadowolony, że wszystko przebiegło tak łatwo, już miał zamiar się odwrócić, ale pułkownik wezwał dwóch żołnierzy stojących przy drzwiach.

- Wytrzymacie, znaczy prawdziwy komunista. Padniecie, znaczy zdradzą - dodał.

Dlatego bili go. I wciąż pytali o to samo. Głupcy. Przygotował się zbyt dobrze, żeby dać się złapać. Może mu uwierzyli? Uczepił się tej myśli z nadzieją, że tak się stało i już nie wywloką go z celi, aby męczyć.

Zazgrzytał klucz w wielkim czarnym zamku przy masywnych drzwiach. Po chwili stanął w nich marynarz. Globcke pomyślał, że oznacza to nową falę bicia, ale marynarz odsunął się o krok, przepuszczając do celi pułkownika, którego widział przy fortepianie. Ten pochylił się nad Globckem. Na jego twarzy można było nawet wyczytać wyraz współczucia.

-Bili? - zapytał, jakby nie wiedział czy nie pamiętał, że to on kazał bić.

-Ale wytrzymaliście - dodał szybko. - Rany opatrzymy, zagoją się szybko, a wy będziecie pamiętać, że NKWD jest silne i bezwzględne. I jak skrewicie albo będziecie usiłowali nas oszukać, to gorsze rzeczy z wami zrobimy. Teraz wierzycie?

* Obecnie Wałbrzych.

Globcke skinął głową.

Pułkownik wyprostował się i dał znać marynarzowi, żeby zabrał Globckego z celi.

- A ja jestem pułkownik bezpieczeństwa państwowego Czyżyków. Mamy tu paru więźniów, którzy powinni coś wiedzieć o tajemnicach tego zamku. Chcę, żebyście byli tłumaczem. Ale wiecie, takim rozumnym, że jak któryś będzie kłamał, to powiecie i my go zastrzelimy. Dla przykładu.

21 maja, Leśna

Jorg wyjął z kieszeni kilka kawałków odłupanych od wielkiej głowy cukru, którą Luge trzymał za zasłonką pod stołem. Zawsze wieczorem, gdy siadali do kolacji, wyjmował ją i uderzał tasakiem, odłupując drobiny, aby wrzucić do herbaty. Nie zauważył, że Jorg chowa je do kieszeni. Miał w tym cel od momentu, gdy po raz pierwszy zobaczył na restauracyjnym podwórzku konia ciągnącego cysternę z wodą. Wielki perszeron miał jasnobieżową grzywę i podpalone łaty na piersiach. Jeszcze niedawno musiał to być pokazowy koń zachwycający siłą i zgrabnością siłacza. Ale wojna w równym stopniu okaleczała ludzi co zwierzęta. Wychudzony, z wystającymi żebrami, matową sierścią, pozlepianą w wielu miejscach od brudu, z zakrzepłą krwią na nodze był obrazem okrucieństwa powojennych dni. Wozak, który zapewne ukradł konia w opuszczonym pobliskim majątku, uratował zwierzę od śmierci, ale nie miał ochoty albo nie widział potrzeby zajmowania się nim.

Jorg odstawił skrzynkę na stertę innych pod ścianą i z kawałkami cukru w dłoni podszedł do konia. Zwierzę zrazu potrząsnęło łbem i cofnęło wóz, bojąc się nieznanego, ale widząc wyciągniętą rękę, wysunęło pysk i zlizowało cukier z dłoni Jorga.

- Panie Martin - usłyszał za sobą. - Zwierzę cukrem karmić?! W takim czasie!

Luge stał w drzwiach i wycierał ręce fartuchem. W jego głosie nie było złości, raczej zdziwienie.

-Niech pan spojrzy, jakie to piękne zwierzę. Królewskie, choć stworzone do ciężkiej pracy. - Jorg pogładził konia po szyi.

-Ej, panie Martin, tylko agonię pan przedłuża. - Luge chciał coś jeszcze dodać na temat nowego właściciela perszerona, ale uznał, że ktoś może usłyszeć jego komentarz, co groziło nieprzyjemnościami, a nawet aresztowaniem.

-Martin? - usłyszał za sobą. Nie mógł się mylić. Nawet w tym jednym słowie słychać było rosyjski akcent. Odwrócił się powoli, aby ukryć wrażenie, jakie zrobił na nim człowiek, który bezgłośnie stanął mu za plecami.

-Bo co?

-Martin? To tyś Niemiec? - Karl podszedł tak blisko, że Jorg poczuł kwaśny odór wódki.

-Nie, Polak - odpowiedział Jorg po niemiecku, choć starając się wprowadzić polski akcent. - Po polsku Marcin, ale pan Luge wymawia moje imię po niemiecku. Bo co?

-Nic, tak sobie pytam. Nie widziałem cię tu wcześniej.

-Boś się nie rozglądał. Coś taki ciekawy?

Karl, któremu najwyraźniej kac zabrał ochotę do zaczepki, machnął ręką i poszedł do restauracji, ale po paru krokach zatrzymał się, uznając widocznie, że nie powinien akceptować zaczepnego tonu u nieznanego.

- Ty, Polak, nie bądź taki odważny!

Nie czekał już na odpowiedź i ruszył dalej.

Jorg nalał wody do wiadra i podstawił koniowi. Zwierzę musiało być bardzo spragnione, gdyż zanurzyło pysk i zaczęło pić, rozchlapując wodę. Poklepał konia po szyi. Wahał się. Przypadkowe spotkanie na podwórzu dawało dobry pretekst do nawiązania znajomości z Karlem, tym bardziej że w pobliżu nie było drugiego mężczyzny, który z reguły mu towarzyszył.

Wszedł do sieni i stanął w miejscu, gdzie nikt nie mógł go zaskoczyć. Odwinał rękaw wojskowej kurtki i szarpnął za szew. Nitki puściły z cichym trzaskiem, ujawniając niewielką kieszonkę, w której zaszył dwa brylanty. Nie były to wielkie okazy, ale uznał, że zainteresują Karla.

Przełożył je do kieszeni spodni i wszedł do restauracji. W sali, gdzie ciężki machorkowy dym snuł się nad stołami, siedziało kilkunastu

radzieckich żołnierzy. Każdy z nich miał bandaż, ale najwyraźniej skrywający zaleczone rany, gdyż nie wyglądali na poważnie poszkodowanych. Czekali na transport i znaleźli schronienie w jedynym w okolicach otwartym lokalu. Większość spała, oparli głowy na rękach szeroko rozłożonych na blatach stołów. Inni grali w karty lub pisali listy do rodzin.

Karl siedział przy oknie, czekając na danie, jakie zamówił u Lugego. Dostrzegł Jorga i machnął w jego stronę.

- Siadaj! - powiedział tonem, jaki cechuje pijaków przekonanych o swojej sile i wyższości. Być może szukał kompana do wódki, której butelka stała przed nim.

-To mówisz, Polak?

Jorg skinął głową.

-A skąd się tu wziąłeś?

- Z niewoli wypuścili. Obóz był niedaleko stąd. Chcę jechać do Gdańska.

Luge postawił talerz z kielbasą przed Karlem i rzucił badawcze spojrzenie na Jorga. Zdziwiło i zaniepokoiło go, że Jorg przysiadł się do człowieka, o którym miał jak najgorsze zdanie.

- Dla pana też coś? - zapytał niechętnie.

Jorg pokręcił głową, a Karl wykonał władczy gest nakazujący Lugeemu oddalić się.

- Został tutaj, bo jest potrzebny. Jak dżdżownica na ryby - uśmiechnął się. - Przyjdzie czas, to go na haczyk weźmiemy.

Nalał wódki i podsunął szklanke Jorgowi.

-No, jestem Karl. - Podniósł wysoko swoją szklanke, czekając, aż zrobi to również Jorg. Stuknął i wychylił szybko wódkę.

-W niewoli nauczyłeś się niemieckiego? - zapytał, rozcinając kielbasę widelcem.

-Nauczyłem się wielu innych rzeczy...

-Co? - Karl podniósł wzrok, nie rozumiejąc, o co chodzi Jorgowi.

-Jak obóz został wyzwolony, to zaczęli przywozić niemieckich oficerów, jeńców, na nasze miejsce. Mnie zatrzymali, bo byłem tłumaczem. Wiele znajomości nawiązałem. Wiele ciekawych spraw poznałem...

-Ty poeta, gadaj po ludzku - Karl znowu odciął widelcem kęs kielbasy.

-Mam brylant, a nie mam pieniędzy, chcę sprzedać, żeby mieć na podróż do Gdańska.

-Daleka droga - powiedział wolno Karl. - Czemu tam?

-Rodzinę tam mam.

To wyjaśnienie spodobało się Karlowi. Nabierał zaufania.

-Dużo masz tych brylantów?

-Nie, tylko jeden - Jorg tak mówił, aby Karl nabrał przekonania, że kłamie, gdyż ma ich dużo więcej, ale nie chce przyznawać się nieznanemu. - Chcę sprzedać. Tanio.

-Pokażesz? - Karl odłożył widelec i wytarł usta skrawkiem obrusa.

Jorg rozejrzał się szybko i wsunął rękę do kieszeni udając, że sięga do jakiejś ukrytej przegródki. Karl w tym czasie wyjął lupę zegarmistrzowską. Nie miał zamiaru ukrywać swojego zajęcia. Może uznał, że żołnierzy nie interesuje to, co dzieje się obok.

Jorg położył na stoliku brylant. Był to kamień o wadze nieco powyżej karata, o pięknej bladoniebieskiej barwie i pięknym szlifie.

Karl, który już nauczył się oceniać kamienie szlachetne, gwizdnął cicho. Wsadził lupę pod łuk brwiowy i przysunął się do okna. W jego grubych chłopskich palcach o połamanych czarnych paznokciach brylant wyglądał jak dziewczica pożerana przez smoka. Jorg wzdygnął się.

- Nie będę przed tobą taił, że to piękna sztuka - powiedział wreszcie Ukrainiec. Wyjął lupę i przez chwilę trzymał brylant, jak by zastanawiając się, czy go nie zabrać. Doszedł jednak do wniosku, że straciłby dostawcę, na którym mógł zarobić znacznie więcej.

-Chcesz go sprzedać? Jorg skinął głową.

-Jakbyś znał kogoś, kto by chciał kupić...

- Znam, znam... - szybko potwierdził Karl - ale to hurtownik. Jednym kamieniem nie będę mu głowy zawracać. Przynieś więcej, to zarobisz tyle, że pracować przez dziesięć lat nie będziesz musiał. Przyniesiesz?

Z wyraźną niechęcią oddał brylant.

- Mam tylko dwa. - Jorg starał się znowu nadać swojemu głowi jak najbardziej fałszywe brzmienie. Karl wyczuł je. Zaśmiał się chropowato.

-To nie zwracaj mi głowy! Szukaj innego nabywcy, ale na tym terenie nie znajdziesz.

-A to czemu?

-Bo tu ja rządę. - Odsunął się i oparł wygodnie. Wódka i uczucie sytości po kielbasie sprawiły, że przymknął oczy z zadowoleniem. Wyglądał jak wąż trawiący zdobycz. Po chwili odbiło mu się i spojrzał na Martina. - No to jak? Ile masz?

-No dobrze, mam więcej - niechętnie przyznał się Jorg.

-Dzisiaj... - Karl zastanowił się przez chwilę, ale najwidoczniej doszedł do wniosku, że to zbyt szybki termin - nie, hurtownika nie ma. To za dwa dni, o dziesiątej wieczorem na rynku. Tu w Leśnej, jak Polacy nazywają to miasto.

-Będziesz miał pieniądze?

-Przyjdę z hurtownikiem. Pokażesz towar, my pokażemy pieniądze i pojedziemy w spokojne miejsce, żeby dobić targu. On dobrze płaci.

-A tobie jak mam zapłacić?

-Nic, wszystko w cenie.

Karl wyciągnął z pudełka zapalną i zaczął nią dłużyć, aby usunąć kawałki kielbasy, które utkwiły między zębami. Znowu zamknął oczy, dając znać, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

- Dobrze, będę, ale nie oszukacie mnie? - Jorg wstał. Bez za rzutu grał rolę naiwnego oficera zwolnionego z niewoli, który przy padkiem dowiedział się o precjozach niemieckiej rodziny i ukradł je, aby mieć pieniądze na życie.

Karl wykrzywił usta, wyrażając zgorzelenie pytaniem podważającym jego solidność. Już się nie odzywał. Siedział syty, z zapalną w zębach i brodą błyszczącą od smalca, na jakim była wypieczona kielbasa.

Jorg odszedł szybko, nie oglądając się. Nie chciał spojrzeć na Lugego, który stał za barem i czujnie ich obserwował. Bał się, że Karl dostrzeże, jak wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Dopiero gdy Jorg wyszedł na podwórze, Luge dogonił go.

-Panie Martinie, co pan robi?!

Nie czekał na odpowiedź.

-To zbrodniarz! On pana zabije i ograbi!

-Dlaczego pan tak mówi? Zna go pan?

- Stienerta zamordował!

Skrzypnęły drzwi i Luge spłoszony zerknął w tamtą stronę, ale stanął w nich żołnierz najwyraźniej szukający ubikacji.

- Kto to był Stienert?

- Jubiler z Lauban, też się z nim wdał w konszachy.

Stienert - Jorg powtórzył w myślach, aby zapamiętać to nazwisko. Uznał, że to ważny ślad.

-Bogaty jubiler, to go zamordował, aby zagarnąć jego majątek. To zbrodniarz!

-Panie Luge, moja siostra w Gdańsku została aresztowana. Muszę mieć pieniądze, aby ją wykupić. Pan rozumie? Muszę!

To było zgrabne tłumaczenie. Luge pokiwał głową wyraźnie zmartwiony.

-Panu też grozi niebezpieczeństwo - powiedział Jorg.

-Mnie, a ja komuś przeszkadzam? Coś można mi zabrać?

-My, Niemcy, teraz wszystkim w Europie przeszkadzamy.

-Zasłużyliśmy sobie, ale co ja, zwykły restaurator, komu wadzę?

-Niczego konkretnego się nie dowiedziałem, ale powinien pan się spakować i wyjechać stąd.

-Niedoczekanie. To moje miasto!

-Oni myślą inaczej.

Luge machnął ręką.

-Niech pan pamięta, że pana ostrzegałem.

- Niech pan pamięta, że pana ostrzegałem - jak echo powtórzył Jorg.

Na podwórzu znowu zaczął się ruch, gdyż przybyła nowa grupa rannych żołnierzy radzieckich, i Luge pospieszył do restauracji.

Jorg ruszył przed siebie. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie grozę sytuacji, w jakiej się znalazł w wyniku nieopatrznej decyzji. Tak oceniał podejście do Karla i zaproponowanie kupna brylantów. Nie miał wątpliwości, że Ukraińiec zechce wciągnąć go w zasadzkę i zamordować, aby zdobyć kosztowności. Jedyne co mogło go uratować, to przekonanie bandyty, że ma ich więcej gdzieś dobrze ukrytych. Rzykował jednak, że ten zechce wydobyć od niego informacje, obezwładni i będzie go torturował. Pozostawało podjąć

walke, a jedyna broń, na jaką mógł liczyć, to był nóż kuchenny od Lugego. Nie miał pistoletu, a zaatakowanie Karla *gołymi* rękami byłoby samobójstwem, gdyż ten na pewno był uzbrojony. Należało również przyjąć, że rzekomy „hurtownik” to jego kompan. Liczył jedynie, że Luge wie coś o ukrytej lub porzuconej broni, jakiej pełno było w okolicach.

21 maja, więzienie *AJU* Salzburgu

Kroki, głucho brzmiące na korytarzu, zatrzymały się przed drzwiami. Otto Skorzeny podniósł głowę, nasłuchując. Dochodziła dwudziesta druga, więc nie była to pora przesłuchań, na jakie doprowadzono go z reguły rano.

W zamku zazgrzytał klucz i po chwili w drzwiach stanął wysoki amerykański oficer. Skorzeny z wysiłkiem wstał. Bóle kręgosłupa, na które narzekał od lat, nasilały się, a brak lekarstw potęgował dolegliwości.

-Nie za późno na wizyty? - zapytał z przekąsem.

-Jest pan w więzieniu, nie w hotelu - odpowiedział oficer. Przysunął sobie stołek i usiadł, dając znać Skorzenemu, że powinien zrobić to samo.

-A pan kim jest? - zapytał Skorzeny, siadając.

-Pułkownik Hollan z 474 korpusu kontrwywiadu. Od razu wyjaśnię: nie przyszedłem tu, aby pana przesłuchiwać.

-To dobra wiadomość. Potem zawsze przychodzi zła.

-Nie myli się pan. - Hollan sięgnął do kieszeni, z której wyjął kartkę i podał ją Skorzenemu.

-Rosjanie wystąpili z żądaniem wydania pana - oznajmił Hollan.

Skorzeny przebiegł szybko wzrokiem kilkanaście linijek tekstu wyjaśniającego, że jako żołnierz dywizji Waffen-SS „Das Reich” dopuścił się zbrodni wojennych na ludności dwóch białoruskich wiosek.

- To bzdura - potrząsnął głową Skorzeny.

-Nie moja sprawa to rozstrzygać. - Hollan podsunął Skorzenemu otwartą papierośnicę, do której ten sięgnął bardzo szybko.

-Dziękuję, od dawna nie paliłem. - Zaciągnął się głęboko dymem.

-Nie moja sprawa rozstrzygać, czy popełnił: pan zbrodnie, czy nie - powtórzył Hollan. - O tym zadecyduje rosyjski sąd.

-Wie pan lepiej niż ja, że oni już zadecydowali.

-Wiem. Musimy jednak uznać żądanie sojusznika i wydać pana. A tam, w najlepszym razie, wyślą pana na Syberię na jakieś dziesięć do piętnastu lat.

Skorzeny nic nie powiedział. Palił w milczeniu papierosa. Zdawał sobie sprawę, że Amerykanin nie przyszedł po to, aby współczuć mu losu w radzieckiej niewoli.

- To rozmawiajmy otwarcie. Co mam zrobić, żeby tego uniknąć? - zapytał wreszcie.

Hollan zdawał się nie słyszeć jego pytania.

-Pana nadzieją jest to, że Rosjanie nie wiedzą tego, co my wiemy.

-Czyli? - Skorzeny podniósł głowę.

-O pana rozmowie z Himmlerem.

Brandt? - przez głowę Skorzenego przemknęło podejrzenie, że on zdradził Amerykanom przebieg rozmowy w Hohenlychen. Po chwili powiedział głośno:

- Standartenführer SS Rudolf Brandt, macie go?

Hollan potwierdził skinieniem głowy.

- Złapaliśmy go przypadkowo na moście w Brómerveden. Do końca był przy Himmlerze.

-Aż przestraszył się, że go powiesicie, bo jest za co.

Hollan powtórnie skinął głową.

-Powiesimy, bo to wyjątkowy drań.

-Wiele wam powiedział?

-Wystarczająco, żeby pana ratować przed Rosjanami.

-No... - Skorzeny oparł się o ścianę.

-Ale jak pan wie, kontrwywiad to nie Armia Zbawienia.

-Czyli układ. Coś za coś.

-Cieszy mnie, że tak szybko dochodzimy do porozumienia.

- Myli się pan, panie pułkowniku - Skorzeny odbił się plecami od ściany i ponownie pochylił. - Nie będę zdrajcą!

-Boże broń! Nie śmiałybym pana namawiać do zdrady! -Hollan zaprzeczył tak energicznie, że Skorzeny spojrzał na niego zdziwiony.

-Moja propozycja jest taka: ucieka pan podczas transportu do więzienia w Norymberdze, dokąd będzie pan wkrótce przewożony. I staje się wolnym człowiekiem, który w ciągu tygodnia musi opuścić Niemcy.

-Bez waszej dyskretnej pomocy?

-Daję słowo!

-I nikt nie będzie mnie pilnował? - nie wierzył w zapewnienia Amerykanina.

-Daję słowo! - powtórzył Hollan.

Skorzeny uniósł wysoko brwi. Amerykanin zaczynał go zaciekawiać.

-Będzie pan robił, co chce, aż uzna pan, że powstała groźba, iż pan i inni esesmani mogą stać się narzędziem w rękach komunistów.

-To niemożliwe! - zaprotestował gwałtownie Skorzeny.

-Nie przychodziłbym tutaj i nie składałbym takiej propozycji, aby opowiadać panu bajki. To jest bardzo możliwe! Niech pan słucha dalej...

Hollan gestem powstrzymał Skorzenego przed dalszymi protestami.

- W chwili, gdy dojdzie pan do takiego przekonania, wtedy na wiąże z nami kontakt. Zgoda?

Skorzeny milczał. Wstał powoli z łóżka i podszedł do okna. Przy jego wroście mógł zobaczyć cokolwiek przez okno umieszczone tuż pod sufitem.

-Zgłosiłem się na ochotnika do Waffen-SS, aby walczyć z bolszewizmem - mówił cicho, jakby do siebie. - Tak jak wszyscy porządni esesmani, których poznałem w czasie tej służby. Byliśmy bezwzględni, to fakt, bo bez tego nie pokonalibyśmy bolszewików. Oni byli bardziej bezwzględni, nie tylko wobec nas, ale także wobec siebie i swoich ludzi. Wy, Amerykanie, nie macie pojęcia, czym jest Azja. Tam nie można prowadzić humanitarnej wojny.

-Panie Skorzeny, niech pan skończy ten wiec! - Hollan był wyraźnie zniecierpliwiony mową esesmana.

-Zgoda - Skorzeny odwrócił się. - Z bolszewizmem będę walczył nadal.

-Czego pan potrzebuje?

-Wskażę wam człowieka, jednego z moich żołnierzy. Najpierw wypuścicie jego.

Hollan założył czapkę i ruszył do drzwi.

-Panie pułkowniku - zatrzymał go Skorzeny - Rudolf Tadol jest w tym budynku. Niech pan nas obydwu wyprowadzi na dziedziniec i zostawi samych, tak abyśmy mogli rozmawiać.

-Nie daję mi pan żadnych szans na zorganizowanie podsłuchu - uśmiechnął się Hollan.

Podszedł do drzwi i uderzył pięścią. Po chwili strażnik otworzył je.

-Niech pan idzie do spacerniaka - Hollan szerokim gestem wskazał na drzwi. - Jak się nazywa ten żołnierz?

-Rudolf Tadol, jest w celi na pierwszym piętrze.

-Przyprowadźcie - Hollan zwrócił się do strażnika, który patrzył zdziwiony, że pułkownik chce pozostać sam z roslym esesmanem, o którym się mówiło, że jest najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Europie.

22 maja, granica

Słońce szybko zaszło za góry i choć niebo pozostawało jasne, czuło się nadchodzącą wiosenną noc.

- Czas na nas. - Przewodnik wyczołgał się spod pałatki nisko rozpiętej między drzewami.

Ohlenrode odrzucił pelerynę, którą szczelnie zakrył się przed wilgocią, gdy o świcie rozbili obozowisko na skraju lasu. Przewodnik nie pozwolił rozpalić ogniska, bojąc się, że zapach dymu ściągnie nieprzyjacielski patrol. Cały dzień spędzili między drzewami, popijając wodę z manierki i jedząc chleb ze słoniną.

- Jak się ściemni, ruszymy dalej - dodał przewodnik. Ohlenrode wiedział o nim, że urodził się w tym rejonie i doskonale zna

teren. Od dwóch dni, gdy wyruszyli z Bad Kudowa, szedł pewnie krętymi ścieżkami wśród krzaków i drzew. Zdawał się z daleka wyczuwać patrole i na czas maskowali się w rozpadlinach wśród drzew. Radzieccy żołnierze pojawiali się w pobliżu często i Ohlenrode miał wrażenie, że to właśnie ich szukają. Odwrotu nie było, mógł jedynie mieć nadzieję, że uda im się prześlizgnąć do Bawarii, skąd droga dalej prowadziła do północnych Włoch.

Był zadowolony, choć radość z wydostania się z Kudowy mącił los jego wiernego Ottokara, nie mógł jednak pozostawić przy życiu nikogo, kto wiedział o jego kontaktach z Beerem i przejściowej słabości, jakiej musiał ulec w wyniku szantażu. Poza tym nie miał sobie nic do zarzucenia. Rozkaz wykonał i trwał na stanowisku dłużej niż Trzecia Rzesza. Nikt nie mógł mu zarzucić, że sprzeniawierzył się esesmańskiej wierności. To było szczególnie ważne dla jego powojennej przyszłości, jaką staranie zaplanował, organizując dostatnie życie daleko od Europy.

Sygnał do ucieczki nadszedł w sobotni wieczór dwudziestego drugiego maja, gdy do jego drzwi zapukał niepozorny mężczyzna, którego wcześniej widział u boku Ottona Skorzenego.

- Jestem Rudolf Tadel - przedstawił się.

Był wyczerpany drogą z Salzburga, którą pokonał w rekordowym czasie. Ohlenrode nie miał zamiaru dochodzić, jak to było możliwe. Tadel podał umówione hasło i przedstawił żądania, z których wynikało, że Skorzeny już uciekł Amerykanom lub zrobi to w najbliższym czasie. W jego imieniu chciał wiedzieć tylko jedno: co stało się z „Brennstoff B”?

- Jest bezpiecznie ukryte w zamku Tzschocha - odpowiedział Ohlenrode.

Sam nie wiedział, co oznacza ten kryptonim, ale ponieważ informowano go o tym, uznał, że chodzi o pieniądze. Nawet miał swoje podejrzenia. Wiedział, że gdzieś w tej okolicy, choć nie znał dokładnego miejsca, zgromadzono najlepszych fałszerzy w Europie, którymi kierował Żyd. Był tak dobry, że sami Niemcy obawiali się jego geniuszu, więc okaleczyli go, aby nie mógł zostać wykorzystany przeciwko nim. Ten niewielki zespół wytwarzał matryce do drukowania dolarów, franków szwajcarskich i funtów angielskich. Były podrobione tak perfekcyjnie, że specjaliści z banków z tych

państw nie potrafili odróżnić fałszywych banknotów. Miały tylko jedną wadę: numer. Jedyne w ten sposób, analizując numery serii, dało się znaleźć fałszywki. Oczywiście było tylko sprawą czasu opracowanie systemu, który wyeliminowałby tę wadę. W czasie wojny nie zdążono uruchomić fabryki fałszywych pieniędzy, które przetruczone w odpowiednich ilościach do głównych państw załamałyby gospodarkę świata. Matryce pozostały dobrze ukryte. Najlepszych fachowców, jak Żyda, który nimi kierował, zachowano przy życiu. Należało tylko przeczekać trudne powojenne miesiące, aby podjąć akcję, która mogłaby się okazać bardziej skuteczna niż uderzenie armii.

-Kto tym zarządza? - zapytał Tادل, napychając sobie usta mielonką. Był bardzo głodny.

-Sturmbannführer Sebastian Wolf. Wyjechał już stamtąd. Nie wiem, gdzie jest, i nie chcę wiedzieć.

-Ktoś musi wiedzieć, jak go znaleźć...

-Tak, Obersturmbannführer Globcke. Jest w Fürstenbergu, czyli Książu, jak nazywają Polacy, jako Krausse.

Patrzył, jak Tادل pochłania jedzenie. Pomyślał, że nastał dziwny czas, gdy trzeba wysłać dzielnego żołnierza w niebezpieczną podróż, aby zadać jedno pytanie.

-Dziękuję za posiłek, panie generale. - Tادل odsunął talerz. Widać było, że miał wielką ochotę zapalić, ale nie śmiał tego zrobić w obecności tak wysokiego oficera. - Mam przekazać, że przechodzi pan pod rozkazy nowego dowództwa. Proszę natychmiast zlikwidować wszystko tutaj, zatrzeć ślady i jak najszybciej dotrzeć do Watykanu.

-Tak planowałem - potwierdził z ochotą Ohlenrode.

-Tam zgłosi się pan generał do biskupa Aloisa Hudala i przekaze mu pozdrowienia od Róży. On dalej panem pokieruje.

-Kto to jest?

-Duchowny, który nie zważył, że walka z bolszewizmem i syjonizmem będzie trwała.

Założył kaszkiet, wsunął do torby przewieszzonej przez ramię kiełbasę i chleb i stanął na baczność.

-Proszę o pozwolenie oddalenia się w celu wykonania rozkazu.

-Zezwalam! *Heil Hitler!*

Ohlenrode też stanął na baczność. Postawa żołnierza, którego stopnia nawet nie znał, wzruszyła go, choć było w tym coś groteskowego. Salutowali, stojąc na baczność w cywilnych, mocno wytartych ubraniach, pośrodku wąskiego przedpokoju. W dodatku rozmawiali półgłosem, nie wiedząc, czy ktoś nie podsłuchuje pod drzwiami.

Postanowił, że nie poinformuje Beera o jego wizycie wcześniej niż jutro rano, aby uniemożliwić schwytanie tego chłopca. Uznał jednak, że nie wolno mu ujawnić istnienia „Brennstoff B”.

Dziwnym trafem Beer przyjechał jeszcze tego samego wieczoru. Wszedł, jak zwykle, niezapraszany do salonu i usiadł przy stole, nie zdjęwszy płaszcz. Ohlenrode zauważył, że tak jak w czasie poprzedniego spotkania, miał na sobie prochowiec z dużymi nakładanymi kieszeniami. Na głowę włożył miękki filcowy kapelusz, który nadawał mu wygląd chicagowskiego gangstera. Nie pytając, wyjął z kieszeni złotą papierośnicę z wyraźnym monogramem „DR”, co wskazywało najdobitniej, że nie należała do niego.

-Był tu ktoś - ni to stwierdził, ni zapytał, stukając końcem papierosa o blat stołu.

-Śledzicie mnie? - zapytał Ohlenrode.

-A co pan sobie wyobrażał. Kto to był?

-Łącznik od Skorzenego - Ohlenrode zdecydował się mówić prawdę, gdyż nie wiedział, czy przypadkiem chłopak nie został schwytany i męczony nie przyznał się do wszystkiego. Szybko jednak pożałował szczerości, gdyż Beer słysząc nazwisko Skorzenego gwizdnął cicho przez zęby, potwierdzając wagę informacji, jaką uzyskał.

-Tak sądziłem. - Podniósł papierosa wskazując, że czeka na zapałki. Bez wątpienia pamiętał, jak Ohlenrode potraktował go, gdy podczas pierwszego spotkania chciał zapalić papierosa w tym pokoju. Teraz napawał się swoją władzą. Patrzył z uśmiechem, jak Ohlenrode rozgląda się za zapałkami, jak je znajduje i usłużnie podaje mu ogień.

-Skorzeny jest w rękach Amerykanów. To jak wysłał łącznika? - zapytał, wypuszczając dym.

Ohlenrode wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie jego sprawa.

- Znaczą łącznika wysłali Amerykanie, nieprawdaż?
Ohlenrode ponownie wzruszył ramionami, ale Beer nie oczekiwał od niego odpowiedzi.

-A może nawet dostarczyli go tu na miejsce. - Spojrzał podejrzliwie.

-Nie! - Ohlenrode zaprzeczył gwałtownie. Nie chciał, aby Beer ugruntował się w tym przekonaniu. - To byłaby zdrada, ale Skorzeny nie jest zdrajcą.

Powiedział to tak pewnie, że Beer zdecydował się nie kontynuować przesłuchania. Wystarczała mu pewność, że Amerykanie rozpoczęli jakąś grę, w której zezwolili Skorzenemu na wysłanie łącznika.

-Czego chciał?

-Pieniądzy - skłamał Ohlenrode. Uznał, że był już wystarczająco szczery. Zorientował się, że chłopak wymknął się enkawudzistom, którzy pilnowali domu, więc szansa, że go złapią i zmuszą do mówienia, była bardzo niewielka. Mógł więc kłamać, nie obawiając się, że kłamstwo wyjdzie na jaw podczas konfrontacji.

-Dobrze - Beer potwierdził, że mu wierzy. - Dla Skorzenego?

-Tak. Wielki esesman szykuje się do ucieczki.

-O, a to w jaki sposób?

-Nie wiem. Łącznik nie powiedział tego.

-To znaczy, że Amerykanie postanowili go wypuścić. - Beer zerwał się z krzesła. Szybko zdusił niedopałek w popielniczkę.

-Nie wolno panu nigdzie wychodzić. Siedzieć i czekać na moje rozkazy! - rzucił, wychodząc z pokoju.

Po chwili Ohlenrode usłyszał jego kroki na schodach.

Zgasił światło, podszedł do okna i uchylił firankę. Zobaczył, jak Beer wyszedł z budynku i wszedł do samochodu czekającego na niego tuż przy drzwiach. Nie odjeżdżał. Na co czekał? Minęło kilka minut, zanim z bramy po przeciwległej stronie ulicy wyszedł mężczyzna w płaszczu. Stał przy oknie samochodu i pochylił się, najwidoczniej by lepiej słyszeć to, co Beer ma do przekazania. Co chwilę spoglądał do góry na okna Ohlenrodego. Wreszcie samochód ruszył, a mężczyzna w płaszczu wrócił do bramy, z której wyszedł.

To tam uwili sobie gniazdko - powiedział Ohlenrode do siebie. Bacznie przyglądał się innym bramom, ale nie dostrzegł w nich nic

podejrzanego. Było już ciemno i mógł nie zauważyć obserwatora, ale pomyślał, że jeden posterunek w domu naprzeciw wystarczał. Być może drugi znajdował się wewnątrz domu, w którym mieszkał. Gotów był uznać, że enkawudziści ulokowali się w opuszczonym mieszkaniu na parterze, blokując mu możliwość ucieczki.

-Ottokar! - krzyknął w stronę kuchni, gdzie powinien być jego adiutant. Ten po chwili stanął w drzwiach. Strzał z pistoletu z tłumikiem był tak cichy, że nikt poza salonem nie mógł go usłyszeć. Trafił dokładnie w środek czoła. Gasnące oczy Ottokara jakby zatrzymały wyraz zdziwienia. Wyglądał tak, jakby chciał zapytać: „Dlaczego?”. Osunął się, znacząc krwawy ślad na framudze, i upadł na plecy. Ohlenrode podszedł bliżej.

-Tak mi przykro - powiedział szczerze, jakby chciał przeprosić zabitego. Potem stanął z boku, aby nie opryskała go krew, i strzelił po raz drugi, celując w bok głowy. Czaszka Ottokara rozpadła się, a krew zmieszana z mózgiem rozlewała się coraz szerszą plamą dookoła. Nie musiał już oddawać trzeciego strzału.

-Naprawdę mi przykro, ale nie mogłem inaczej - powtórzył Ohlenrode.

Odkręcił tłumik i wcisnął pistolet w dłoń zabitego. Z zadowoleniem zauważył, że wyglądało to bardzo naturalnie. Każdy, kto wejdzie do tego pokoju i zobaczy zwłoki, nie będzie miał wątpliwości, że zmarły popełnił samobójstwo. Oczywiście po pewnym czasie odkryją druga kulę, ale on już będzie daleko. A może w zamieszaniu w ogóle nie będą się nad tym zastanawiać.

Wyszedł do przedpokoju i zdjął z wieszaka kurtkę. Sprawdził, czy rękawiczki są w kieszeni. Pomyślał, że majowe noce są zimne, więc zdjął z wieszaka szalik, którym obwiązał szyję. Rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy o czymś nie zapomniał. Wszystkie dokumenty, jakie miał w mieszkaniu, spalił w piecu, więc nie musiał sprawdzać, czy nie zostawia tajnych papierów. W kieszeni kurtki miał woreczek brylantów. Drugi zaszył pod podszewką. Przygotował to wcześniej na wypadek aresztowania, aby mieć czym przekupić enkawudzystów. Nałożył fartuch, który starannie zapiął, a na dłonie naciągnął rękawiczki z sukna.

Sięgnął po laskę opartą o brzeg szafki na buty. Z drewnianą rączką w kształcie głowy psa nie stanowiła żadnej wartości. Ot,

wyglądała jakby ktoś pozostawił ją w tym miejscu.. Dla niego była kluczem do wolności. Dlaczego nie uciekł wcześniej? Nie chciał odpowiadać sobie na to pytanie. Po prostu żał mu było Ottokara. Wiedział, że odchodząc stąd, musi go zabić jako człowieka wiedzącego o nim zbyt wiele. Poza tym podejrzewał, że enkawudziści pilnują go, a dopiero tego wieczoru zorientował się, gdzie jest ich posterunek obserwacyjny.

Podniósł laskę i wycelował jej koniec w spojeaie listew dzielących sufit na regularne kwadraty. Nacisnął mocno. Usłyszał cichy szcęk sprężyny blokującej płytę. Między jej końcem a listwą pojawiła się szpara. Wsunął tam laskę i lekko naciskając, odepchnął płytę, ujawniając otwór, niezbyt duży, ale mieszczący człowieka. Kiedy płyta dojechała do końca, z wnętrza wypadła drabinka sznurowa. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nic nie zakłócało spokoju opuszczonego domu. Szybko wspiął się po sznurowych szczeblach do niewielkiego pomieszczenia obudowanego cegłami. Był we wnętrzu komina, a właściwie budowli, która do złudzenia przypominała komin. Kamuflaż posunięto tak daleko, że nad płytą zamykającą wylot doprowadzono autentyczny przewód, aby nikt, kto zajrzałby z dachu, nie zorientował się, że nie patrzy w głąb komina, lecz sekretnego tunelu. Trudno się było dziwić, skoro tajny lokal przygotowywali najlepsi specjaliści ze Służby Bezpieczeństwa. Przewidzieli, że może zdarzyć się sytuacja, w której lokatorzy mieszkania przy Waldstrasse będą musieli skrycie je opuścić.

Spojrzał na dół. Kłapa, przez którą wyszedł, wróciła na swoje miejsce, perfekcyjnie maskując drogę ucieczki. Oczywiście po starannej rewizji enkawudziści z pewnością odnajdą to wyjście awaryjne, ale on będzie już bardzo daleko. W ciemności wymacał uchwyt kłapy zamykającej wyjście ze sztucznego komina, odchylił ją i postawił nogę na pierwszej klamrze. Było ich kilka, wtopionych w cegły i pokrytych sadzami, tak że nikt badający komin od góry by ich nie zauważył. Musiał być ostrożny, gdyż ściany pokrywała gruba warstwa sadzy. Co prawda strój chronił go, ale zważał, żeby nie pobrudzić się zbyt mocno, gdyż usunięcie tłustych sadzy byłoby kłopotliwe.

Gdy tylko stanął na dachu, zdjął rękawiczki i fartuch, zwinął je ciasno i umieścił we wnęce specjalnie do tego przygotowanej. Z tego

miejsca widział ulicę, na której panował całkowity spokój. Enkawudziści zapewne obserwowali drzwi jego domu, nie pomyślawszy, że ptaszek wyfruwa przez dach.

Pochylny przeszedł ostrożnie między kominami i zeskoczył na dach drugiego domu. Przywarł na moment do papy, nasłuchując, czy odgłos skoku nie zwrócił czyjejs uwagi. Dookoła panowała cisza, którą naruszało odległe szczekanie psów. Doszedł do końca dachu, gdzie tuż pod rynną była przymocowana składana drabinka. Rozsunął ją tak, że kończyła się metr nad ziemią ogrodu przylegającego z tej strony do budynku. Kilka minut później zniknął wśród krzaków zasłaniających dziuraw murze, którą wydostał się na ulicę równoległą do Waldstrasse. Od tego momentu zagrażało mu tylko spotkanie z przypadkowym patrolem. Szedł więc czujny, gotów na dźwięk kroków lub warkot samochodowego silnika uskoczyć w cień najbliższego domu. Bez przeszkód dotarł do przewodnika, którego wcześniej powiadomił, żeby był gotowy do drogi na zachód.

- Czas - powtórzył przewodnik. - Jesteśmy w odległości kilku kilometrów od Lausitzer Neisse*, ale w dzień nie przejdziemy rzeki. W pobliżu jest wyludniona wieś. Przeczekamy do nocy. Będzie dobrze.

Rozgarnął liście, aby zatrzeć ślady obozowiska. Przerzucił plecak przez ramię i nie oglądając się na Ohlenrodego, ruszył szybkim krokiem.

Połowy telefon przy łóżku zabrzmiał wcześniej rano. Beer podniósł głowę i zerknął na wielki niklowany budzik z dwoma dzwonkami, który zawsze stawał na krześle przy łóżku. Było zbyt wcześnie, żeby mógł zlekceważyć natarczywy dźwięk.

-Tak - powiedział głosem tak zaspanym, że w słuchawce zapadła cisza. Po chwili usłyszał chrząknięcie.

-Trzeci mówi - usłyszał.

Był to jeden z agentów, którzy obserwowali dom na Waldstrasse. Dwaj inni, nazywani pierwszy i drugi, siedzieli w mieszkaniu na parterze domu Ohlenrodego.

* Nysa Łużycka.

-Co jest? - Beer usiadł na łóżku i sięgnął po papierosy. Wielokrotnie obiecywał sobie, że nie będzie palić przed śniadaniem, ale przeczucie mówiło mu, że telefon zwiastuje jakąś nadzwyczaj ważną informację, która na pewno nie pozwoli mu zjeść śniadania.

-Generał ani jego adiutant nie wychodzą z domu - mówił o Ohlenrodem i Ottokarze. - Okna są ciemne. Pierwszy poszedł sprawdzić. Twierdzi, że spod drzwi wyciekła stróżka krwi. Co mamy robić?

-A ktoś tam wchodził?

-Nie.

-Jesteście pewni czy przespaliście?

-Jesteśmy pewni, ani na moment nie spuszczałyśmy bramy z oka. Pierwszy twierdzi, że na schody też nikt nie wchodził ani z nich nie schodził.

-Nic, zostańcie na miejscach. Już jadę.

Wsunął bose stopy w buty, zapominając, że nie założył spodni. Zrzucił pantofle i ubrał się jak mógł najszybciej. Wiadomość od agentów pilnujących Ohlenrodego zapowiadała kłopoty. Wniosek był jeden: albo uciekł, albo został zastrzelony przez kogoś, kto niepostrzeżenie dostał się do jego mieszkania.

Piętnaście minut później Beer wyskoczył z samochodu przed bramą domu na Waldstrasse. Wyłamali drzwi, nie sprawdzając, czy ktoś ma zamiar je otworzyć, aby ich wpuścić.

Zwłoki Ottokara były już zimne, co wskazywało, że zginął kilka godzin wcześniej. Po Ohlenrodem nie było ani śladu.

-Rozpłynął się w powietrzu? - Beer zwrócił się do agentów. Wzruszyli ramionami, pewni, że ani na moment nie przerwali obserwacji. Uwierzył im.

-Tu musi być sekretne wyjście. Szukać za piecem, kuchnią albo w sufitach!

Był wściekły, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Skoro Ohlenrode zamieszkiwał w tajnym lokalu SD to znaczy, że przygotowano tam sekretne wyjście, które umożliwiło ucieczkę. I skorzystał z niego.

Usiadł przy stole. Dopiero wtedy przypomniał sobie o zeszytach, jaki Ohlenrode trzymał pod serwetą. Odgarnął ją szybko, ale na blacie nie było niczego. Podszedł do pieca, gdzie w palenisku

dostrzegł zwęglone strzępy kartek, kawałki materiału i roztopione krople metalu.

Obejrzał się, patrząc, jak jego ludzie zrywają blachę z podłogi wokół kafłowej kuchni.

Czuł się pokonany. Ohlenrode wyprowadził go w pole i zniknął, gdy on był przekonany, że mocno trzyma go w rękę. W tym samym czasie miał zniknąć inny człowiek: Skorzeny. Jeżeli ktokolwiek w wywiadzie połączy te osoby, to łatwo będzie rzucić winę na niego, Beera. Nie wytłumaczy się, że prowadził grę, zamiast zamknąć więźnia w lochu i przypiekać, żeby wyjawiał wszystko, co wie. Dureń!

Nie potrafił przewidzieć skutków tego, co się stało, ale przecucie podpowiadało mu, że jest to nadzwyczaj poważna sytuacja, która może *obrócić* się z całą *mocą* przeciwko niemu. Początkowo pomyślał o ukryciu ucieczki Ohlenrodego. Odrzucił tę myśl, uznając, że byłoby to zbyt ryzykowne. Odczuwał też konieczność jak najszybszego działania, aby ograniczyć rozmiar szkód, jakie mogły powstać, gdy Skorzeny i Ohlenrode się połączą. Stracił zainteresowanie przeszukiwaniem mieszkania. Nie było ważne, którądy Ohlenrode wydostał się z matni. Należało go schwytać, zanim dojdzie do Skorzenego. Albo uniemożliwić ucieczkę tego drugiego.

Ta myśl olśniła go. Choć po sekundzie pojawiła się świadomość, że komandos jest daleko i w rękach Amerykanów, którzy nim sterowali, to może istniała szansa, aby poplątać im szyki.

Wstał i wszedł do przedpokoju. Jeden z enkawudzystów przyglądał się sufitowi podzielonemu drewnianymi listwami.

- Jak coś znajdziecie, zawiadomcie natychmiast - powiedział szybko.

Przeszedł nad trupem Ottokara, który wciąż leżał w kałuży zakrzepłej krwi, i sięgnął po klamkę. Postanowił jak najszybciej dotrzeć do Zarubina, aby zdać mu relację z przebiegu wydarzeń.

Spojrzał na enkawudzystów.

Ostatecznie to ich wina, że Ohlenrode uciekł. Nie pilnowali odpowiednio dobrze - pomyślał.

Nieistotne, czy wydostał się przez piwnicę, czy przez komin. Byli po to, aby to zauważyć. Widać spili się i pospali.

Nasunął czapkę. Tak, tak to przedstawi Zarubinowi, a **sluiby** karały bezwzględnie za takie przewinienia, jakich dopuścili się oi enkawudziści, którzy rozumiejąc ciężar odpowiedzialności, w po-śpiechu szukali tajnego wyjścia. Widzieli w tym jedyną szansę uratowania skóry i uchronienia się przed zarzutem, że spali na służbie i nie zauważyli uciekającego.

Głupcy - pomyślał o nich Beer, jakby chciał powiedzieć - trupy.

Zamknął za sobą drzwi i przeskakując po trzy stopnie, zbiegł na dół. Spieszył się. Zarubin już na pewno wstał i Beer musiał do niego dotrzeć jak najszybciej. Jeszcze mógł odwrócić fatalny bieg wydarzeń.

Ohlenrode i przewodnik rozłożyli się na snopkach słomy, jakie pozostały z ubiegłorocznych żniw. Plamy światła słonecznego przeciskającego się przez szpary między dachówkami bledły.

- Już zmierzch - stwierdził Ohlenrode. - Idziemy?

Doszli do wsi, której nazwy nie znał, gdyż ktoś usunął tablicę z niemiecką nazwą i postawił polską, której nie mógł odczytać. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Ta wieś była tylko krótkim przystankiem przed najtrudniejszą częścią ucieczki, sforsowaniem rzeki, na której Polacy wbili słupy graniczne. Weszli na stryszek stodoły, gdyż przewodnik uznał, że oczekiwanie w którymś z opuszczonych domów jest niebezpieczne ze względu na rabusiów, którzy mogli nadejść lada godzina.

- Nie, za wcześnie. - Przewodnik nawet nie podniósł głowy z posłania, jakie urządził sobie na kilku snopkach. - Pójdzemy w środku nocy. Teraz patrole mogą chodzić.

Ohlenrode przekręcił się na drugi bok i podłożył rękę pod głowę. Męczyła go bezczynność, ale rozumiał, że pośpiech jest najgorszym doradcą. Nasunął derkę i postanowił zasnąć, choć wątpił, czy mu się to uda. Leżał tak przez wiele godzin, wpatrując się to w belkowanie solidnej murowanej stodoły, to w dachówki. Wyszukiwał popękane, przez które przeciskało się światło, i liczył, ile ich jest. Dopiero koło północy zasnął. Obudziło go delikatne szarpnięcie. Usiłował się podnieść, ale przewodnik przycisnął go do słomy, nakazując zachowanie ciszy. Zdziwiło go to, gdyż nie słyszał niczego niepokojącego. Dopiero po chwili doszedł do niego odgłos otwieranej furtki.

- Rabusie albo patrol - powiedział szeptem.

Przybysze zachowywali się cicho. Słysząc było, jak otwierają drzwi domu, wchodzą na górę.

- Chyba rabusie, bo żołnierze przyjechaliby samochodem - za uważył Ohlenrode.

Przewodnik nie odpowiedział. Wskazał tylko na wrota stodoły prowadzące na tyły. Przemknął się po sianie i sprawnie zjechał po słupie.

- Za mną! - kiwnął do Ohlenrodego.

Drzwi stodoły miały wciąż dobrze naoliwione zawiasy, gdyż uchyliły się bez żadnego hałasu. Z tyłu dochodziły strzepy rozmów. W całkowitej czerni nocy widać było światła latarek. I wtedy zza rogu wyszedł mężczyzna, który najwidoczniej wybrał sobie ustronne miejsce. Przewodnik, który dostrzegł go kątem oka, zorientował się, że nie może strzelić, gdyż huk wystrzału ściągnie innych. Wyszarpnął z pochwy bagnet, licząc, że żołnierz nie dostrzegł ich i uda się go zaskoczyć. Ale ten zareagował na odgłos, jaki wydała klinga wyciągana z metalowej pochwy. Obrócił się gwałtownie, jednocześnie przesuwając do przodu pepeszę, przewieszoną przez plecy, aby mu nie przeszkadzała. Przewodnik zrobił tylko dwa kroki, gdy rozległa się seria. Pierwsze pociski odłupały kawałki cegieł z węgła stodoły, ale następne doszły celu. Przewodnik zatrzymał się w pół kroku i bezwolnie osunął na ziemię. Żołnierz skierował broń w stronę Ohlenrodego.

- Nie strzelaj! Nie strzelaj!

Z podwórza nadbiegali już inni, więc żołnierz opuścił broń.

- Stałem, żeby się odlać, a tu widzę, dwóch ze stodoły ucieka - żołnierz, który zastrzelił przewodnika, relacjonował po polsku drugiemu, najwidoczniej dowódcy grupy. - Tamten rzucił się na mnie z nożem. To go zabiłem. Ten był spokojniejszy.

Ohlenrode przyglądał im się uważnie, próbując stwierdzić, czy to żołnierze, czy rabusie. Wszyscy byli w mundurach wojskowych i czapkach rogatywkach z orzełkami, jednak na żołnierzy nie wyglądali. Na ramionach mieli biało-czerwone opaski.

Milicja - pomyślał z zadowoleniem. Uznał, że łatwiej ich będzie oszukać i przekupić niż żołnierzy.

Otoczyli Ohlenrodego. Któryś kopnął go pod kolanem, zmuszając do klęknienia. Odebrali plecak i szybko zrewidowali. Znaleźli woreczek z brylantami w kieszeni kurtki.

-Broni nie ma - stwierdził żołnierz, który strzelał do przewodnika.

-Ktoś ty? - Dowódca podszedł bliżej. Na naramiennikach miał dwie gwiazdki.

Ohlenrode wzruszył ramionami, dając znać, że nie mówi po polsku.

-Co tu robiliście? - oficer zaczął mówić łamaną niemczyzną.

-Jestem lekarzem. Zostałem, bo pomagałem innym ludziom. Teraz idę za moją rodziną do Leipzig.

-Bogaty lekarz - mruknął oficer, wysypując brylanty na dłoń.

-Pogadamy na posterunku. Zwiążcie mu ręce, żeby nie uciekł.

-Panowie żołnierze, ja naprawdę jestem lekarzem. Tego nie znałem - wskazał na zwłoki. - Przyłączył się do mnie, jak wyruszyliśmy z Bad Kudowa. Zatrzymajcie brylanty i puśćcie mnie. No, proszę was. Co wam po takim prostym Niemcu? No proszę...

- Panie poruczniku, ja ten głos znam - usłyszał za plecami.

Milicjant stojący z tyłu podszedł bliżej i zaświecił latarką w twarz Ohlenrodego. Przyglądał się przez chwilę, aby mieć pewność.

-Tak, ja pana znam, panie Ohlenrode! - mówił płynnie po niemiecku.

-To pomyłka! Nigdy pana nie widziałem!

-Widział pan, tylko nie zwracał uwagi. Staliśmy w szeregu. Wybrał pan siedmiu więźniów i ustawił jednego za drugim. Ciasno, bardzo ciasno, żeby dotykali się ciałami. No, pamięta pan?

Wciąż świecił latarką na twarz Ohlenrodego. Ten nie odzywał się. Pamiętał.

- Bo chciał pan sprawdzić, przez ilu przejdzie pocisk z ka rabinu. Potem wziął pan karabin od strażnika i strzelił, celując w brzuch. Przeszedł przez sześciu. Ostatniego ranił, ale pan go dobił. Pamięta pan?

Żołnierz wyciągnął pistolet i zarepetował. Ohlenrode zamknął oczy, czekając na strzał. Pomyślał, że może to dobrze, iż zabiją go na miejscu. Skoro go rozpoznali, to mogli męczyć, żeby wydobyć informacje, a potem i tak by powiesili.

- Nie! - Porucznik odsunął rękę żołnierza. - Tu nie będzie samosądu. Zasłużył, to zawiesznie. A tego pogrzebać, żeby psy nie rozwłóczyły.

Któryś popchnął Ohlenrodego kolbą. Tuż przed domem stała bryczka. Nie mieli samochodu. Wcisnęli go na tylne siedzenie i przywiązali rzemieniem ręce do rurki biegnącej wzdłuż oparcia. Czekali kilka minut, aż wrócą dwaj, którzy zakopywali zwłoki przewodnika, i ruszyli powoli, gdyż pięciu mężczyzn stanowiło za duże obciążenie dla wynędzniałego konia.

Beer wyskoczył z samochodu, zanim zatrzymał się przed posterunkiem milicji w Seidenbergu. Machnął wartownikowi przepustką, której ten, powiadomiony o przyjeździe Beera, nawet nie przeczytał, tylko zasalutował sprężysto, i wpadł do pokoju na parterze, gdzie stolarze Wstawiali właśnie barierkę dla interesantów.

- Porucznik Kolski, gdzie jest? - Beer zwrócił się do milicjanta siedzącego za biurkiem. Ten wskazał na drzwi prowadzące do pokoju obok.

Porucznik, słysząc głos Beera, otworzył je szeroko.

-Melduje się porucznik Kolski - zasalutował. Beer minął go, w przelocie podając rękę, i wszedł do pokoju, gdzie obok biurka siedział Ohlenrode.

-No popatrz, popatrz, kogo my tu widzimy? - usiadł na brzegu biurka i pochylił się nad Ohlenrodem.

-Aresztowaliśmy go... - Kolski stanął na baczność, żeby złożyć przepisowy meldunek, ale Beer zbył go machnięciem ręki.

-Niech pan nas zostawi - powiedział zniecierpliwiony. Odczekał, aż Kolski zamknie drzwi, i wrócił do Ohlenrodego. Przez chwilę przyglądał mu się, aż niespodziewanie z rozmachem uderzył go pięścią w głowę. Ohlenrode, oszołomiony niespodziewanym atakiem, osunął się z krzesła. Najwyraźniej zamroczony ciosem w skroń niezbornie usiłował wstać, ale Beer postawił mu but na karku i przygiął do podłogi.

-Żarty się skończyły - powiedział powoli i mocniej nacisnął nogą, aż twarz więźnia dotknęła podłogi.

-Mówiłem, że gwarantuję bezpieczeństwo, to nie uwierzyłeś. To teraz będziesz bity, że odrzuciłeś tak łaskawą propozycję.

Ohlenrode jęknął, gdyż gwoździe w podeszwie buta Beera ra-
niły mu kark.

-Boli? - Beer zapytał z troską w głosie. Zdjął nogę z karku i z rozmachem kopnął Ohlenrodego w brzuch. Ten z jękiem znów zwalił się na podłogę. Po chwili Beer postawił mu but na twarzy i przycisnął mocno.

-Będę cię bił tak długo, aż twoja twarz zamieni się w krwawą miazgę. W kotlet siekany. Już nie jesteś mi potrzebny, więc będę miał radość z zabijania cię po kawałku. Ty rozumiesz tę radość. Prawda?

Ohlenrode usiłował coś powiedzieć, ale Beer przycisnął mocniej. Odczuwał satysfakcję, widząc, jak po policzku Ohlenrodego spływa strużka krwi. Nagle zmienił zamiar i zwolnił nacisk.

-Poruczniku! - krzyknął w stronę drzwi.

-Macie tu jakąś spokojną celę? - zapytał, gdy Kolski stanął w drzwiach. I dodał: - Pan Ohlenrode spadł z krzesła i pokaleczył się.

-Tak jest. Są cele na dole.

-Przygotujcie jedną. I pałkę dajcie. Zostanie ukarany, gdy znowu spadnie z krzesła.

-Pałki nie mamy.

-To wąż gumowy albo bykowiec.

Ohlenrode nie rozumiał rozmowy prowadzonej po rosyjsku, ale domyślał się, o co chodzi. Zerkając bojaźliwie na Beera, uznał, że może wstać, i powoli, sprawdzając, czy jego ruch nie wywoła reakcji, podniósł się i usiadł na krzesle.

Porucznik wyszedł z pokoju, a Beer obrócił się do Ohlenrodego. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

- Pozwoliłem ci wstać?

Wziął krótki zamach i z całej siły uderzył Ohlenrodego w spłot słoneczny. Ten skulił się i padł do tyłu razem z krzesłem.

- No. - Beer wydawał się zadowolony z siły ciosu. - Następnym razem, gdy jeszcze będziesz miał siłę wstać, to najpierw zapytaj.

Do drzwi rozległo się pukanie i stanął w nich porucznik.

-Cela gotowa.

-No to chodźmy - Beer sięgnął po płaszcz.

-Czekaj! - Ohlenrode aż krzyknął. Zdawał sobie sprawę, że Beer nie żartuje. Nie przypuszczał, że jeszcze cokolwiek może wydobyć, więc zamierzał zakatować więźnia.

- Chcesz mi coś powiedzieć? Przepraszam mnie? - Beer pochylił się nad więźniem wstającym bojaźliwie z podłogi.

- Mam bardzo ważne informacje. Bardzo ważne, uwierz mi! Nagle, opacznie odczytując gest Beera, zasłonił się rękami.

-Nie bij! Wszystko ci powiem! Ale tylko tobie. - Zerkał na porucznika.

-Zostawcie nas samych. Posiedzimy jeszcze trochę.

Gdy tylko porucznik zamknął drzwi, Beer podniósł krzesło, gestem nakazując Ohlenrodemu zająć miejsce, a sam usiadł naprzeciw.

- Jeśli mnie zwodzisz, to bardziej będzie bolało. No mów, co to takiego ciekawego.

-Oszczędzisz mnie, jeśli to, *co powiem, będzie ważne? Ohlenrode rozcierał krew na policzku.

-Tak - Beer niedbale skinął głową.

-Dajesz słowo?

-Nie targuj się, bo zaczynam się niecierpliwic. Mów!

-Na Dolnym Śląsku nie chodzi o złoto...

-Nie o złoto? Sam widziałem, co tu Skorzeny chował - przerwał mu Beer.

-To co Skorzeny chował, może jest warte dwieście, *może trzysta*, milionów marek.

-Niezła sumka.

-Dla człowieka, nie dla organizacji.

-Jakiej organizacji?

-„Pająk”, którą dowodzi Skorzeny.

-Jak „dowodzi”, skoro siedzi w amerykańskim więzieniu?

-Mieli go wypuścić, to znaczy umożliwić ucieczkę.

Beer uśmiechnął się na dźwięk tych słów, ale Ohlenrode nie zwrócił na to uwagi.

-Jest im potrzebny - mówił dalej, starając się, aby Beer ani na chwilę nie zwątpił w prawdziwość jego słów. - Przez niego chcą dotrzeć do tych gestapowców, którzy penetrowali podziemie komunistyczne we Francji, Włoszech, Danii i tak dalej.

-Mówisz, że złoto jest dla niego nieważne? - Beer wydawał się szczerze zdziwiony.

-To, które pozostawiliśmy tutaj, niewiele znaczy. Około biliona dolarów przetransferowaliśmy do Ameryki Południowej.

-Bilion? Nie pomyliłeś się?

-Ja wiem o bilionie. Poza mną przeszło jeszcze więcej. Wielokrotnie więcej. Największe niemieckie koncerny od sierpnia 1944 roku transferowały swoje aktywa do Ameryki Południowej. Może być kilka bilionów. Prawdę mówię!

-Dlaczego właśnie tam?

-Od czasów przedwojennych mają tam swoje filie. Poza tym rząd Argentyny sprzyja nam.

-To o co chodzi, jak nie o złoto?

-Nie wiem tak do końca... - przerwał, widząc gest Beera nakazujący mu się przybliżyć. Pochylił się i w tym momencie Beer z rozmachem przycisnął jego głowę. Nie spodziewając się tego, uderzył w blat z takim rozmachem, że z nosa buchnęła krew, którą usiłował zatamować dłońmi. Gęsta struga przeciekała mu przez palce, więc odchylił się na krześle, wysoko unosząc głowę.

-Daj powiedzieć - wyjąkał.

Beer zapalił papierosa, czekając aż Ohlenrode dojdzie do siebie.

-To mów dalej. Tylko nie kręć, bo zrobisz sobie krzywdę.

-Chodzi o broń - wyrzucił z siebie Ohlenrode. - Nie dopuszczali mnie do tego, ale wiem, że tutaj budowano wyrzutnie nowej broni. Tak potężnej, że miała przesądzić o zakończeniu wojny po myśli Hitlera. ◆

-Atom?

-Chyba tak, niewielkie ładunki.

-To Niemcy mają bombę atomową?

-To nie bomba, ale pocisk. Próbę przeprowadzono w październiku ubiegłego roku na poligonie w Ludwigshaf. Udała się.

Beer czuł się dumny. Jeżeli Ohlenrode mówił prawdę, to oznaczało, że zdradzał największą tajemnicę tej wojny. I to on, agent „Kruk”, dotarł do tej tajemnicy. Za to należał mu się Order Bohatera Związku Radzieckiego. Widział już, jak Stalin, sam Stalin, wręczy mu to zaszczytne odznaczenie.

-I co im z tego, skoro Trzecia Rzesza nie istnieje.

-Ale wojna się nie skończyła, dopóki żyją esesmani. Himmler zastąpi Hitlera i będzie kontynuował wojnę.

-Głupstwa gadasz! Jest w rękach Brytyjczyków!

- Mówię co słyszałem, a dowodów nie mam. Więcej nic nie wiem.

Ponownie odchylił głowę, by powstrzymać krwotok z rozbitego nosa. Beer palił papierosa w milczeniu. Odnosił wrażenie, że Ohlenrode powiedział prawdę. Bojąc się powolnej śmierci, wyznał wszystko, co wiedział. A być może pozostawił sobie jakąś wiedzę, aby kupić za nią życie.

Tak - pomyślał Beer przypatrując się uważnie Ohlenrodemu - on nie jest głupcem. Nie wyjawiał wszystkiego. Jeszcze coś musi wiedzieć. Coś szczególnie ważnego.

- Wszystko powiedziałeś? - zapytał.

Ohlenrode lekko ruszył głową, bojąc się ją opuścić, aby nie płynęła krew.

- No widzisz, niepotrzebnie zmusiłeś mnie, żebym cię pobił. Po co ci to było? - przybierał ton współczucia. - Zabiorę cię stąd, bo ci Polacy mogliby ci krzywdę zrobić...

Przerwał, patrząc, jak Ohlenrode zareaguje na jego żart. Ten skrzywił wargi, co można było uznać za uśmiech.

- Ale ja już cię nie puszcze. A tak w ogóle, to przypomnij sobie, czy wszystko powiedziałeś. Dobrze radzę, a już wiesz, że trzeba słuchać moich rad.

Podszedł do drzwi i otworzył je.

- Poruczniku Kolski, zabieram więźnia. Oczywiście pokwitowanie zostawię. Doprowadźcie go do mojego samochodu.

Dwaj milicjanci skuli Ohlenrodemu ręce i wzięli go pod pachy. Beer nałożył czapkę i wykonał gest salutowania. Przeszedł szybko przez pokój, który miał być miejscem przyjęć na powstającym posterunku milicji, zmierzając do wyjścia. Nagle zatrzymał się. Podszedł do stolika pod oknem i podniósł *leżącą tam* otwartą książkę.

-Zna pan niemiecki? - zapytał porucznika.

-Właściwie to nie, tyle co z frontu. - Kolski, sam nie wiedział dlaczego, bał się przyznać, że mówi niezły po niemiecku. - Tak się ucze, ale nie najlepiej mi to wychodzi - dodał.

Beer przerzucił kilka kartek i odłożył książkę. Wyglądało tak, jakby chciał zadać jakieś pytania, ale zrezygnował z nich. Ponownie podniósł rękę do daszka i wyszedł z posterunku.

-Mieliśmy esesmańskiego skurwysyna powiesić - odezwał się milicjant, który rozpoznał Ohlenrodego pod stodołą - a wychodzi na to, że go wypuszczą.

-Widziałeś, jak mu mordę skuł? - Porucznik szukał jakiegoś usprawiedliwienia, że oddał więźnia.

-Też mi kara - mruknął milicjant.

-Ty byś ich od razu wieształ. Rosjanie też mają z nimi swoje porachunki. Mogą z nim zrobić gorsze rzeczy niż ten, co go tutaj bił.

Milicjant nic nie odpowiedział. Wrócił do stolika, przy którym jadł kielbasę. W cichości postanowił, że do każdego schwytanego esesmana będzie od razu strzelał, a nie bawił się w oddawanie w ręce sprawiedliwości.

Beer usiadł z tyłu wygodnego wanderera zarekwirowanego kilka dni wcześniej w majątku pod Jelenią Górą. Wyciągnął nogi i spod przymrużonych powiek przypatrywał się Ohlenrodemu, którego kazał posadzić z przodu, obok kierowcy.

- Dokąd jedziemy? - kierowca odwrócił się do niego.

Beer nie odpowiadał.

Dobre pytanie - pomyślał. - Dokąd jedziemy?

Nie wiedział, co robić. Był przekonany, że Ohlenrode zachował jeszcze jakieś tajemnice. Ale i to, co ujawnił, godne było raportowania. Właściwie jego obowiązkiem było to zrobić. Mógł jednak wypaść lepiej, gdyby wyciągnął coś jeszcze. Wystarczyło, że dał mu parę razy w mordę, a już zaczął gadać. A gdyby tak do prądu go podłączyć? Nie. Odegnął tę myśl. Rzykowne, mógłby na serce paść. Można byłoby zęby mu spiłować. Wszystko by powiedział, a zdrowiu nie zagrażało. Uśmiechnął się na tę myśl. Pomyślał, że warto by wrócić do tajnego mieszkania w Kudowie i tam zająć się Ohlenrodem. Dojadą w południe, więc będzie miał parę godzin, żeby go przycisnąć. Nagle przyszło mu na myśl, że Polak, który czytał niemiecką książkę, mógł kłamać. Na pewno znał niemiecki! Jeżeli podsłuchiwał pod drzwiami, to poznał rewelacje Ohlenrodego.

Obejrzał się na drzwi posterunku, przez sekundę rozważając, czy tam nie wrócić, ale szybko porzucił myśl, żeby zabrać polskiego oficera. Co by z nim robił? Zastrzelić nie mógł, bo na posterunku było paru ludzi. Nie miał pewności, czy ten Kolski nie zgłosił się do

swoich władz, aby przekazać to, co pod drzwiami usłyszał. Wtedy zasługa mogła wymknąć mu się z rąk.

-To dokąd jedziemy? - zapytał ponownie kierowca zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi.

-Do Tzschochy. Wiesz, gdzie to jest?

-Tak jest - kierowca uruchomił silnik.

Dobrze zrobiłem - upewnił się Beer. Wiedział, że parę dni temu przyjechał Zarubin i urządził sobie kwaterę w zamkowych komnatach. Oznajmił wszystkim, że przyjechał na parę dni, aby zapoznać się z postęпами „degermanizacji prastarych słowiańskich terenów”, ale Beer szybko wywąchał, że Zarubin jao okolicznych pałacykach jeździł, dopytując się, gdzie najwięcej obrazów i dywanów pozostało.

- Tak, do Tzschochy - powtórzył, jakby chciał się utwierdzić, że podjął słuszną decyzję. Czuł się *bardzo* ważny. Pomyślał, że do konał bardzo wiele. Pokrzyżował plany Amerykanom zdecydowanym rozpocząć nową grę ze Skorzenym i dowiedział się od Ohlenrodego o istocie działań „Pajaka” na Dolnym Śląsku.

23 maja, więzienie w Salzburgu

Skorzeny czuł, jak ogarnia go podniecenie, które zawsze pojawiało się przed akcją. Lubił ten stan gotowości do przyjęcia wyzwania. Tym razem wkradła się jednak nuta zwątpienia. Wyczuwał coś nieszczerzego w zachowaniu pułkownika, który ponownie przyszedł do celi, aby poinformować go, że tego wieczoru zostanie przewieziony do Norymbergi.

- Niech pan się przygotowuje - powiedział Hollan, jakby Skorzeny, poza wyjściem z celi, miał jeszcze coś innego do zrobienia.

Włożył krótką kurtkę, w której poddał się Amerykanom, i usiadł na brzegu stołka. Ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że się modli. Nigdy tego nie robił, gdyż uważał, że modlitwa ożywia uczucie litości wobec wrogów, a słabość zawsze była pierwszym krokiem prowadzącym do klęski. Analizował każdy szczegół planu, **jaki** przedstawił mu Hollan.

Z więzienia mieli wyruszyć w dwa samochody. W pierwszym jechałaby eskorta, trzech żołnierzy ME W drugim, jego samochodzie, poza kierowcą miał być tylko Hollan. Siedziałby obok niego i w pewnym momencie wsunąłby Skorzenemu do kieszeni kluczyk do kajdanków. Na przedmieściach Norymbergi, przy zjeździe z autostrady, gdzie droga ostro zakręcała w prawo, nawierzchnia była w fatalnym stanie, pełna ledwie zasypanych lejów po bombach. Tam musieliby zwolnić do kilku kilometrów na godzinę, aby bezpiecznie przejechać, lawirując między dołami i powyrywanyymi betonowymi płytami. Zza zakrętu miała wyjechać ciężarówka, która w wyniku awarii hamulców uderzyłaby w jeepa z eskortą, tarasując drogę i zatrzymując ich konwój. Hollan wysiadłby, aby obejrzeć miejsce wypadku. Należało zakładać, że kierowca, zaciekawiony kolizją, też wyszedłby, pozostawiając Skorzenego z rękami skutymi z przodu. Trwałoby to wystarczająco długo, aby Skorzeny chyłkiem wy dostał się z samochodu i w kilku susach dopadł do przydrożnych krzaków. Oczywiście Hollan opóźniałby pościg, a przede wszystkim zabronił żołnierzom strzelać.

Na korytarzu rozległy się kroki i Skorzeny podniósł głowę, nasłuchując uważnie. Nie miał zegarka. To stwierdzenie zakłuło go boleśnie. Od 1943 roku nosił zegarek, który podarował mu Mussolini, w podziękcie za uwolnienie z niewoli na górze Gran Sasso. Po aresztowaniu zabrano mu ten zegarek. Potem, w wyniku protestów, Amerykanie zdecydowali się oddać esesmanowi cenną pamiątkę, ale nie na długo. Skonfiskowanego ponownie już nie zobaczył, a Amerykanie niezręcznie tłumaczyli się, że gdzieś zaginął. Pozostawała satysfakcja, że jakiś amerykański oficer będzie pokazywał przyjacielom złoty zegarek, dumnie obwieszczając, że należał do samego Skorzenego.

Za oknem się ściemniło, więc bez wątpienia była to pora, gdy akcja miała się zacząć. Drzwi otworzyły się i Skorzeny z niepokojem dostrzegł, że stoi w nich inny oficer niż spodziewany pułkownik, z którym omawiał szczegóły ucieczki.

- Jestem porucznik Wheelis - przedstawił się, co wzbudziło niepokój Skorzenego. Oficerowie biorący udział w sekretnych operacjach nie powinni ujawniać swoich nazwisk. - Zostanie pan przetransportowany do Norymbergi.

Skorzeny wstał bez słowa i wysunął ręce, na które strażnik założył kajdanki. Dopiero wtedy zdecydował się zapytać o pułkownika.

- Z innym oficerem rozmawiałem na temat mojego przeniesienia do Norymbergi - zauważył, starając się nadać głosowi jak najbardziej naturalne brzmienie.

- Wiem - uciął Wheelis.

Potem już się nie odzywał.

Mimo podejrzeń Skorzenego plan wydawał się niezmienny. Na podwórzu tuż przed wejściem stały dwa jeepy. W pierwszym siedziało trzech żołnierzy MP, a w drugim tylko kierowca.

Gdy wsiedli do samochodu, kierowca zauważył, że jedno z zapieć przytrzymujących maskę silnika jest odsunięte, i wysiadł, aby to poprawić. Czyżby zrobił to naumyślnie? Skorzeny pomyślał, że Wheelis wykorzysta ten moment na przekazanie mu nowych instrukcji, ale ten siedział obok, całkowicie zajęty obserwowaniem kierowcy.

Skorzeny rozsiadł się jak mógł najwygodniej na wąskiej i krótkiej ławeczce jeepa, co przy jego wzroście było sporym wyczynem. Pomyślał, że konstruktorzy tych samochodów nie uwzględnili, że mogą nimi jeździć dwumetrowi żołnierze.

Autostrada do Norymbergi była pusta, więc jechali szybko, wyprzedzając pod drogą kilka długich kolumn ciężarówek, wiozących zaopatrzenie do zrujnowanego miasta. Dochodziła północ, gdy Skorzeny dostrzegł w oddali zjazd z autostrady z prowizorycznie przytwierdzoną tablicą wskazującą, że dalej droga prowadzi do Norymbergi. Poprawił się i zerknął na Wheelisa. Ten zachowywał całkowity spokój, udając, że jest pochłonięty obserwowaniem drogi. Powiedział coś do kierowcy na temat zniszczonej nawierzchni.

W oddali pojawiły się światła ciężarówki. Kierowca jeepa, klnąc na wyboje, zmniejszył prędkość i ze zgrzytem steranej skrzyni zredukował bieg. Skorzeny wbił wzrok w nadjeżdżającą ciężarówkę, czekając, aż skręci gwałtownie, tarasując przejazd pierwszemu jeepowi. Poczł, że podświadomie napina mięśnie, aby w każdej chwili być gotowym do skoku. W światłach samochodu widział krzewy porastające brzeg jezdni. Tam miał się schronić przed po-

ścigiem. Mijały sekundy. Nadjeżdżający studebacker rósł w oczach. Ciągłe jednak jechał swoim torem. Skorzeny kątem oka widział twarz Wheelisa, który zmrugał oczy oślepiany światłami nadjeżdżającej ciężarówka. I nagle zrozumiał, że studebacker pojawił się w tym miejscu całkowicie przypadkowo. Nie była to ciężarówka, która miała zatrzymać ich konwój. Wheelis odwrócił się do niego.

-Plan się zmienił - powiedział cicho.

-Co się zmieniło? - Skorzeny zobaczył, jak ciężarówka mija ich, i po chwili tylne światło zgasło gdzieś w mroku.

-Pana ucieczka byłaby zbyt ryzykowna. Narazilibyśmy naszych żołnierzy. Poza tym, widząc, że pan ucieka, mogliby strzelać, a to zagrażałoby pańskiemu życiu.

Mówił lekko, jakby wyżsi oficerowie, którzy zrazu zaakceptowali plan ucieczki, przeanalizowali go ponownie i doszli do wniosku, że jest zbyt ryzykowny. A może układ, jaki zawarł z nim pułkownik, dotyczący współpracy po uwolnieniu, wydał im się zbyt naiwny. Niesłusznie. Skorzeny był gotowy wypełnić zobowiązanie, że będzie współdziałał z amerykańskim kontrwywiadem przeciwko bolszewikom. Nie uważał tego za zdradę, lecz inną formę walki, jaką prowadził od dawna.

Napięcie minęło. Potrafił wystarczająco dobrze panować nad swoimi emocjami, żeby dać wyraz apatii, jaka go ogarniała. Gdzieś w skrytości liczył, że lada moment będzie wolnym człowiekiem. Zamknął oczy, usiłując przypomnieć sobie wszystkie rozmowy i zachowania amerykańskich oficerów. Uznał, że w ten sposób może zrozumieć, co stało się takiego, że zrezygnowano z wypuszczenia go na wolność. Nie wierzył Wheelisowi, że powodem była obawa o jego bezpieczeństwo. Co się więc stało? Najwyraźniej Amerykanie musieli otrzymać jakiś sygnał, który skłonił ich do zarzucenia planu.

Poczuł, że znowu siedzi niewygodnie, a metalowy stelaż oparcia boleśnie wpija mu się w plecy. Poprawił się, aby umieścić nogę między przednimi fotelami. Zaczynała mu drętwieć.

23 maja, gabinet Aarona

Aaron Schweich wstawał zawsze o piątej. Narzucił sobie taki rytm pracy, aby uciec od wspomnień. Te przychodziły zawsze nad ranem, gdy budził się i leżał w ciemnym pokoju, wpatrując się w sufit. Słyszał głos Ester, gdy planowała, że po wojnie kupią pod Chester dom. Dlaczego właśnie tam? Nigdy jej o to nie zapytał.

Świadomość nieobecności ukochanej kobiety narastała przy każdym wspomnieniu rozmów, zmartwień, radości, jakie tak często przeżywali. Nawet wtedy, gdy skrycie wyjechali z Niemiec, uciekając przed narodowym socjalizmem do Francji.

Nie mógł leżeć dłużej, gdyż wspomnienia i towarzyszący im ból narastały lawinowo.

Włączył elektryczny czajnik i usiadł przy okrągłym stoliku, dosuniętym do okna, aby jak najszybciej gasić lampę, gdy tylko dzienne światło było wystarczająco jasne. Wieczorem posłaniec przywiózł zalakowaną kopertę z Broadwayu, co było kryptonimem Bletchley Park. Nie przejrzał jej zawartości, gdyż czuł się zbyt zmęczony. Pobył w niemieckim więzieniu i tortury, jakim go tam poddano, zrujnowały mu zdrowie. Nie mógł pracować dłużej niż sześć-siedem godzin dziennie. Miał jednak nadzieję, że uda mu się zregenerować siły, ale miał też świadomość, że wymagało to czasu.

Koperta leżała na półce, co było karygodną lekkomyślnością. Takie materiały powinien zamykać w szafie pancерnej. Fakt, że tego nie zrobił, fatalnie świadczył o jego stanie psychicznym. Ale kto mógłby wykraść jego dokumenty z pokoju w najlepiej strzeżonym ośrodku wywiadu? Ta świadomość często leżała u podstaw jego nierozważnych zachowań. Postanowił się poprawić i postępować bardziej ostrożnie, co tak często zalecał kursantom, których przygotowywał do działalności w okupowanej Europie.

Czajnik zaczął syczeć, więc wyłączył go i wlał wrzątek do kubka, do którego wsypał łyżeczkę herbaty. Każdy Anglik dostałby ataku serca na ten widok. W tym kraju nawet dzieci w przedszkolach wiedziały, że herbatę zaparza się wodą o temperaturze dziewięćdziesięciu stopni. Odsunął kubek na bok, czekając, aż herbata nasiąknie, i rozdarł kopertę.

Na wierzchu leżała kartka wyszczególniająca zawartość koperty. Z reguły były to mało istotne zestawienia wiadomości wywiadowczych. Tym razem pierwsza linijka ze spisu informowała, że dołączono depeszę „Toma”. Zwrócił uwagę na ten kryptonim już wcześniej, wiedząc, że chodzi o radzieckiego agenta, który miał doskonałe informacje z amerykańskich tajnych służb. Dowiedziano się o jego istnieniu bardzo niedawno, gdy tylko w Bletchley Park uruchomiono „Rybę miecz” odczytującą radzieckie depesze dyplomatyczne. Najpewniej „Tom” przekazywał swoje rewelacje dyplomacie z Ambasady Radzieckiej w Waszyngtonie, skąd wysyłano je do Moskwy w poczcie dyplomatycznej. Jeżeli jednak sprawa była bardzo pilna, wiadomość utajniano za pomocą szyfru jednorazowego i wysyłano drogą radiową. Ani nadawca, ani centrala w Moskwie nie zastanawiali się nad bezpieczeństwem tego szyfru, gdyż nie można było go złamać!

Aaron uśmiechnął się na tę myśl.

Nic na tym świecie nie jest pewne - powiedział do siebie.

Spojrzał na tekst depeszy:

„U-234 płynący do Halifaksu, Kanada, został przechwycony przez US Navy i wprowadzony 17 maja do Portsmouth. Wyładunek już się rozpoczął. Listę przekażę jutro. Zwróćcie uwagę na ładunek rudy uranowej o wadze 565 kilogramów w metalowych pojemnikach. Tom”.

Pokręcił głową.

Ten facet ma dostęp do najtajniejszych dokumentów OSS - pomyślał z niepokojem.

Natychmiast zastanowił się, czy Amerykanie wiedzą o jego pracy, ale nie znajdował żadnej przyczyny, dla której brytyjskie tajne służby miałyby o nim informować Waszyngton.

Spojrzał ponownie na depeszę:

„...Ładunek rudy uranowej... w metalowych pojemnikach”.

Sięgnął po kubek, w którym herbata nabrała już ciemnobrązowej barwy. Lubił ten pierwszy łyk świeżo zaparzonej herbaty, tak jak kiedyś pierwsze zaciągnięcie się papierosem. Nie palił już od ponad roku, ale zawsze rano żałował tego smaku pierwszego papierosa.

Ruda uranowa w metalowych pojemnikach? - powiedział do siebie. - Po co?

Promieniotwórczość rudy uranowej była tak niewielka, że można ją było wysypać na dłoń. Widział w Belgii magazyny rudy uranowej przywożonej z Konga, gdzie wydobywała ją firma Union Minier. W halach stały rzędy drewnianych skrzyń, a nie metalowych. Jeżeli „Tom” przekazywał prawdziwą informację, to w ładowniach U-234 nie było rudy uranu, lecz coś innego. Co?

Spojrzał na budzik, który bezużytecznie stał na nocnej szafce. Zawsze nastawiał go na godzinę siódmą, wiedząc, że otworzy oczy trzy godziny wcześniej.

Dochodziła godzina piąta, *więc stanowczo za wcześnie, żeby do kogoś dzwonić.

Przejrzał pobieżnie pozostałe raporty, nie znajdując w nich nic ciekawego. Znowu zerknął na budzik. Minał tylko kwadrans, a on niecierpliwił się coraz bardziej. Czuł, że chodzi o nadzwyczaj ważne ustalenie, które mogło zmienić bieg wielu spraw.

No trudno, drogi Jimie, dzisiaj wstaniesz wcześniej - powiedział, podnosząc słuchawkę. Czekał na zgłoszenie się operatora, uświadomił sobie, że na kontynencie jest o godzinę później, co oznaczało, że obudzi przyjaciela nie kwadrans po piątej, lecz po szóstej. Ta świadomość wprawiła go w dobry humor.

- James Angelton, kontrwywiad w Rzymie, szybko, to ważne - rzucił do słuchawki.

W powojennym czasie linie telefoniczne, nawet specjalne, jakie łączyły ośrodek w Bovington Camp ze światem, działały dość wolno i kapryśnie, więc Jim mógł liczyć na jakieś piętnaście minut snu, zanim przy łóżku rozlegnie się dźwięk dzwonka specjalnego telefonu.

Poznali się w Anglii, zanim Jim został wysłany do Rzymu, aby tam dowodzić amerykańskimi operacjami kontrwywiadowczymi. W tym dziwnym świecie, gdzie najwyższą cenę miały zdrada, fałsz, zakłamanie, a ludzi oceniano po tym, jak sprawnie posługiwali się tymi cechami, pogardzanymi w normalnym świecie, oni dwaj polubili się. Może dlatego, że obydwaj byli Żydami, a może to Jim, jak przyjaciele nazywali Jamesa Jesusa Angeltona, nabrał szczególnie zaufania do Aarona, wiedząc o jego przeżyciach.

Telefon zadzwieczał szybciej, niż się spodziewał. Również stan Jima minął się z jego oczekiwaniami. Angelton najwyraźniej funkcjonował na wysokich obrotach od dłuższego czasu, a może w ogóle nie kładł się spać.

-Cieszę się, że cię nie obudziłem - zaczął rozmowę Aaron.

-Cieszę się, że wstaję tak wcześnie - odparł Jim. Był wyraźnie ucieszony, słysząc głos przyjaciela.

-Przejdę do rzeczy - powiedział Aaron, choć znał Jima jako człowieka bardzo konkretnego, który nie tracił czasu na bezsensowną wymianę grzeczności.

-W Portsmouth wyładowujecie U-234.

-Wiem o tym, ale skąd ty o tym wiesz? - W głosie Jima zabrzmiało szczere zdumienie.

-Od rosyjskiego agenta, który siedzi głęboko w waszych tajnych strukturach.

-Hm - James zastanowił się chwilę, ale ostatecznie uznał, że to nie jego sprawa. - No, mów dalej.

-Czy możesz sprawić, że otrzymam pełną listę tego, co wyładowaliście z wnętrza U-boota?

-Gdybym był na miejscu, to już byś ją miał, ale jestem daleko.

-Wiem, gdzie jesteś, ale tylko do ciebie mogę się zwrócić, licząc, że nie dotrze to do rosyjskiego kreta. Trzeba ominąć struktury.

-Okay, stary druhu, ale to zajmie trochę czasu.

-Gdybyś powiedział, że będzie trochę kosztowało, to bym się zmartwił, bo my, Żydzi, jesteśmy oszczędni. Ale kto martwi się czasem?

-I ty mówisz o oszczędności, ty, najbardziej rozrzutny Żyd, jakiego spotkałem? - zaśmiał się Jim, ale natychmiast dodał: - Daj mi dwa dni. Co interesuje cię szczególnie?

-Pojemniki z rudą uranu.

-A przewoził takie?

-Prześlę ci informacje, które mam od waszego kreta. Będiesz wówczas jednym z najlepiej poinformowanych w OSS. Bądź zdrow przyjacielu.

Aaron odłożył słuchawkę z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku, choć wolałby dostać informacje, o które pytał, znacznie wcześniej.

Czemu rudę uranu przewożono w metalowych pojemnikach? Odpowiedź mogła być tylko jedna: nie była to ruda uranu, lecz jakiś pierwiastek promieniotwórczy. Ale wówczas przechowywany byłby w pojemnikach ołowianych, zabezpieczających załogę przed promieniowaniem. Pozostawało więc sprawdzić, z jakiego metalu były pojemniki w U-234.

Angelton odezwał się szybciej, niż Aaron się spodziewał. Był w kantine, gdzie pił ciekłą kawę po śniadaniu, gdy odnalazł go żołnierz wysłany z dowództwa. Przekazał zapisaną na kartce informację:

„Pojemniki były wyłożone od wewnątrz złotem”.

Podparł głowę dłońmi i siedział tak bez ruchu przez kilka minut, zwracając na siebie uwagę paru oficerów, którzy przyszli na śniadanie. Zerkali na niego, zastanawiając się, co się stało.

-Wszystko w porządku? - zapytał wreszcie jeden.

-O tak, przepraszam - Aaron ocknął się z zadumy.

Były tylko dwa powody, dla których pojemniki w ładowni U-234 wyłożono złotem: przemycano cenny metal lub była to ochrona przed promieniowaniem. Szybko odrzucił pierwszą możliwość. A więc złoto, które jest doskonałym izolatorem promieniowania, wykorzystano, aby zabezpieczyć załogę przed tym niebezpieczeństwem. Normalnie używano do tego celu ołowiu, ale złoto ma dwukrotnie większą gęstość, a więc do zabezpieczenia ładunku potrzeba go było dwukrotnie mniej niż ołowiu. A oszczędność wagi i miejsca miała istotne znaczenie w przypadku transportu w ciasnych ładowniach okrętu podwodnego.

Wstał od stołu. Skinął głową oficerom, którzy wciąż dyskretnie na niego zerkali, i wyszedł na dziedziniec. Postanowił nie wracać do gabinetu, lecz rozważyć całą sprawę podczas spaceru po lesie. Mnóstwo myśli kłębiło mu się w głowie, z których każda wydawała się szczególnie ważna.

W pojemnikach przewożono materiał radioaktywny. Jaki? To ważne pytanie. Mógł zakładać, że materiał ten powstał w beta-tronie lub w reaktorze. Wydawało mu się mało prawdopodobne, aby pół tony materiału radioaktywnego wyprodukowano w beta-tronie. Zbadanie tej sprawy prowadziłyby do ostatecznego ustalenia, czy rzeczywiście Niemcom nie udało się uruchomić reaktora

atomowego. A może wyprodukowali wystarczająco dużo materiału rozszczepialnego, aby skonstruować bombę atomową?

Ruszył ścieżką prowadzącą do lasu. Zazwyczaj wykorzystywali ją do porannych treningów oficerowie dbający o kondycję, ale tego dnia było tu pusto.

Z rozmów z Jorgiem na temat jego działalności w zamku Tzschocha wynikało, że Niemców szczególnie interesował zapalnik implozyjny, co wskazywałoby, że pracowali nad bombą, w której wykorzystano pluton. To zrozumiałe. Była mniejsza i lżejsza niż bomba uranowa. W uranowej proces rozszczepiania inicjowało zderzenie dwóch części ładunku rozszczepialnego. Jedna była tarczą usytuowaną u wylotu lufy armatniej wmontowanej w korpus bomby. W tej lufie znajdowała się, jak pocisk, druga część uranu. Ten uranowy pocisk wbijając się w tarczę, inicjował wybuch. To całe urządzenie wymagało jednak odpowiednio długiej bomby i w dodatku ważącej kilka ton, a taką można było załadować tylko do luku ciężkiego bombowca. Na świecie nie istniało wiele samolotów, które potrafiłyby ją unieść. Z tego względu nie było to dobre rozwiązanie dla Niemców. Nie mieli takich samolotów, a nawet jeżeli udaloby im się przystosować któryś z podobnego typu, jak na przykład nieudany Heinkel He 177, to alianci kontrolowali przestrzeń powietrzną do tego stopnia, że start samolotu, lot i dotarcie do celu miały znikomą szansę powodzenia.

Jednakże mechanizm działania bomby uranowej był prostszy niż bomby plutonowej, gdzie zapalnik był nadzwyczaj skomplikowany. Składał się z kilkudziesięciu elementów, które musiały zadziałać dokładnie w czasie stu nanosekund, a więc niemalże równocześnie. Innym problemem było przeniesienie fali wybuchowej z zapalnika na ładunek plutonu, co wymagało użycia systemu soczewek, wykonanych z materiału o nadzwyczajnej czystości i niezwykle dokładnie obrobionego. Amerykańscy naukowcy opracowali taki zapalnik i technikę jego wytwarzania. Jeżeli naukowcy niemieccy za pośrednictwem „Ryby miecza” poznali te tajemnice, to jedynym ich problemem pozostało wyprodukowanie odpowiedniej ilości plutonu. A niedużo trzeba było: jakieś dziesięć kilogramów.

Aaron zatrzymał się przy grzybie, który dostrzegł tuż obok pnia brzozy. Pomyślał, że za kilka miesięcy będzie mógł przychodzić tutaj

na grzybobranie, nadzwyczaj łatwe w angielskich lasach, gdyż ten naród uważał wszystkie grzyby, poza pieczarkami, za trujące i nikt nie zbierał borowików. Sprawdził dłonią, czy ściółka nie jest zbyt mokra, i usiadł pod brzozą.

Jeżeli mieli pluton, to znaczy, że mogli wyprodukować bombę atomową przenoszoną nie przez wielki bombowiec, ale w głowicy rakiety V-2 lub...

Myśl uderzyła go z taką gwałtownością, że wstał i ruszył biegiem w stronę swojego baraku. Siły opuściły go szybko i po kilkunastu krokach zwolnił. Po krótkim odpoczynku mógł pozwolić sobie na szybki marsz, ale pomyślał, że to dobrze: gdyby zobaczyli go oficerowie z kantyny, poczuliby się w obowiązku zameldować, że postradał zmysły.

Raport, o którym pomyślał, leżał na samym wierzchu papierów w jego szafie pancernej. Nadruk na okładce nakazywał oddanie go do centralnego archiwum w ciągu trzech dni, ale minęło już ich kilkanaście, a on wciąż trzymał ten dokument w swojej szafie. I dobrze! Widocznie przeczucie nakazywało mu tak postąpić. Poza tym w wielu innych przypadkach też nie oddawał raportów, co ściągnęło na niego ostre reprimendy, ale nie przejmował się nimi zbyt.

Rozłożył kartki na okrągłym stoliku i szybko odnalazł fragment, który go interesował. Było to zeznanie niemieckiego specjalisty od rakiet przeciwlotniczych o nazwisku Zinsser.

Aaron szybko przebiegł wzrokiem równe linijki maszynowego pisma protokołu sporządzonego przez kapitana Freibergera:

„Na początku października 1944 roku leciałem z Ludwigslust (na południe od Lubeki) w odległości około 12 do 15 kilometrów od poligonu atomowego”.

Aaron przerwał lekturę, poszukując fragmentu, który zrobił na nim największe wrażenie, choć gdy po raz pierwszy czytał ten raport, zlekceważył go, uważając, że Zinsser fantazjuje.

„Chmura o kształcie grzyba wznosząca się na wysokość 7000 metrów utrzymywała się nad miejscem eksplozji. Silne elektryczne zakłócenia uniemożliwiały kontynuowanie łączności radiowej. Dostrzegałem przebłyski błękitnych błyskawic”.

Odsunął kartkę. Chmura w kształcie grzyba mogła uformować się po wybuchu dużego ładunku trotylu, ale wzmianka o zakłóceniach

elektrycznych i błękitnych błyskawicach dowodziła jednoznacznie, że nie chodziło o wybuch materiału konwencjonalnego. Aaron zerknął na dopisek na dole kartki:

„Nie jest dla mnie jasne, dlaczego eksplozja miała miejsce w rejonie tak gęsto zaludnionym”.

Jeżeli ten Zinsser mówił prawdę, to jest tylko jedno wyjaśnienie - powiedział do siebie Aaron, konstatuując natychmiast, że coraz częściej rozmawia sam ze sobą. W istocie był bardzo samotnym człowiekiem, który kontaktował się z innymi pracownikami ośrodka tylko wtedy, gdy było to konieczne. Tak wolał, choć często zastanawiał się, jak bardzo zmienił się od szczęśliwych lat przedwojennych, gdy Ester i on przepadali za towarzystwem i zawsze otaczała ich grupa roześmianych ludzi.

- Jest jedno wyjaśnienie - powtórzył na głos. - Udało im się stworzyć niewielki ładunek nuklearny o mocy na przykład trzech tysięcy ton trotylu.

Nagle uzmysłowił sobie, że to, co określił jako niewielki ładunek, przewyższało trzystukrotnie wagę najcięższej bomby lotniczej użytej w tej wojnie. Jeżeli Niemcy umieściliby te plutonowe ładunki w raketach V-2 lub pociskach V-1, mogliby w ciągu godziny zniszczyć Londyn.

Aaron wstał od stolika. Zsunął wszystkie papiery i zaniósł je do szafy pancерnej, przyrzekając sobie, że następnego dnia odda je do archiwum, zanim wręczą mu kolejną nagane. Jedna myśl nie dawała mu spokoju. Czy aby na pewno gdzieś nie pozostały ukryte wyrzutnie, których pewnego dnia ktoś użyje? Odsuwał tę myśl od siebie, nie dlatego, że wydawała mu się nierealna. Podświadomie odczuwał, że próba odpowiedzi na to pytanie będzie dla niego nadzwyczaj bolesna. Musiałby ożywić duchy, których tak bardzo nie chciał niepokoić.

Zamknął szafę i powiesił klucz na łańcuszku, który przytwierdził do wewnętrznej kieszeni w marynarce. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, jakby zbierając siły, aż podjął decyzję. Jak człowiek skaczący do zimnej wody podszedł szybko do telefonu.

Połączenie otrzymał szybko.

- Joanno, mówi Aaron. Muszę przyjechać do ciebie! - wyrzucił słowa, których się bał.

23 maja, zapora nad Kwisą

-Kiedy przyjdzie? - Łysy siedzący za kierownicą odwrócił głowę do Karla, który usiadł na tylnym fotelu w czarnym adlerze.

-O dziesiątej było umówione - odpowiedział Karl, zdziwiony, że towarzysz pyta go o godzinę spotkania z Jorgiem, o której wielokrotnie go informował.

-To wiem - zachnął się Łysy. - Pytam za ile.

Karl mruknął coś niepochlebnego, odsunął rękaw i spojrzął z zadowoleniem na pięknego złotego Schaffhausena, w którego posiadanie wszedł niedawno. Zobaczył go na ręku mężczyzny, który ciągnął wózek z dwójką dzie"ci i walizkami. Szedł w tłumie ludzi wysiedlanych z pobliskiej wsi. Karl, który przyglądał im się uważnie, taksując, kto z nich może być najbogatszy, zareagował natychmiast na błysk. Wysiadł z jeepa i podszedł do mężczyzny.

- Ty, Hans - zawołał.

Tamten spojrzął na niego zdziwiony.

-Pan mnie z kimś myli, nie nazywam się Hans - wyjaśnił niepewnie, rozglądając się na boki. Inni ludzie opuścili głowy i mijali ich, aby jak najszybciej odejść z tego miejsca.

-A ja ci powiem, że nazywasz się Hans i jestem twoim przyjacielem - Karl stanął przed nim. - A jako przyjaciel dam ci radę, że z tym zegarkiem daleko nie zajdziesz. Ciężki, marsz opóźnia, a i napaść cię mogą i zrabować, albo nawet zabić. Lepiej daj mi go. Mówię ci, tak po przyjacielsku, Hans.

Mężczyzna zdawał sobie sprawę, że jakkolwiek odruch oporu oznacza tragedię. Posłusznie, starając się nie patrzeć Karlowi w oczy, aby go nie sprowokować, zdjął zegarek z przegubu i oddał. Czekał jeszcze przez chwilę, czy napastnik nie zażąda więcej, ale ten urzeczony blaskiem złotej koperty przyłożył zegarek do ucha. Usłyszał tykanie. Wszystko było w porządku.

-Łatwiej ci się będzie szło. Siebie i dzieci ocaliłeś. A gdzie twoja kobieta? - był bardzo uprzejmy wobec człowieka, który dał mu taki piękny prezent.

-Nie żyje - odpowiedział mężczyzna nazwany Hansem.

-To straszne - powiedział Karl głosem pełnym współczucia. Pogładził po główce jedno z dzieci i odwrócił się, aby przyglądać się

zegarkowi. Był ładny: wąski o prostokątnej kopercie, ze złotym cyferblatem, na czarnym pasku z wężowej skóry.

- Za dziesięć minut - odpowiedział Łysemu.

Ten zaplótł ręce na piersiach i skulił ramiona, jakby chciał zdrzemnąć się w oczekiwaniu na spotkanie.

Jorg wyszedł z domu na ciemną ulicę, którą przemierzała grupa kobiet ciągnących wózki z dobytkiem, jaki pozwolono im zabrać z domów. Odwrócił się, żeby nie widzieć ich spojrzeń pełnych nienawiści i wyrzutu.

Wciąż poszukiwał wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazł, decydując się na spotkanie z Karlem. Zrezygnował z zabrania broni, choć Luge wskazał mu miejsce, w którym mógł znaleźć pistolet. Uznał jednak, że Karl zrewiduje go, jak się spotkają. Zabrał tylko dwa brylanty, których widok, jak założył, powinien uruchomić chciwość Karla. Bez wątpienia chciałby dowiedzieć się, gdzie ukrył więcej, a wówczas Jorg, po krótkim oporze, doprowadziłby go do skrytki w murze. Tam w woreczku zamiast brylantów schował nóż, którego użyłby w walce z Karlem. Był to dość ryzykowny plan, ale nic innego nie zdołał wymyślić.

-Dobry wieczór. - Mężczyzna, który minął grupę wysiedlonych, podszedł do Jorga. Uchylił kapelusza i przystanął gotów rozpocząć rozmowę. Czekał tylko, gdy Jorg przypomni sobie, skąd się znają. Ten patrzył uważnie. Na ulicy, oświetlonej jedynie przez nieliczne okna, w których paliły się lampy, nie potrafił rozpoznać mężczyzny. W dodatku sumiasty wąs zakrywał usta nieznanego. Jedynie tembr głosu budził jakieś skojarzenia, których nie był w stanie skonkretyzować.

-Znamy się? - Jorg zatrzymał się. Pomyślał, że Karl wysłał kogoś, kto miał go zaskoczyć, więc przyjął pozycję gotowości do odparcia niespodziewanego ataku.

- Znamy się, kapitanie Jorg - powiedział głośniejszym głosem mężczyzna.

Już nie miał wątpliwości. Przed nim stał Hans-Jacob Globcke! Prędzej spodziewałby się, że zobaczy diabła wysiadającego ze złotej karety, niż byłego szefa ochrony zamku Czocho. Widzieli się ostatnio w Rosenheim i Jorg nigdy nie pomyślałby, że Globcke wróci do Leśnej.

- To pan, Obersturmführer Globcke? Zmienił się pan.

-Ciii, nie tak głośno. - Globcke obejrzał się niespokojnie, ale widząc, że po przejściu grupki ludzi ulica zrobiła się pusta, zwrócił się do Jorga.

-Nie stójmy tak. - Wskazywał na podcienia, gdzie mogli stanąć niezauważeni przez przechodniów.

-Skąd pan się tu wziął? - Jorg patrzył uważnie na Globckego. Na jego twarzy dostrzegał ślady pobicia. Sina pręga po razie zadany gumową pałką przebiegała przez czoło i cały policzek.

-Długo mówić, ale najpierw chcę powiedzieć, że nie czuję do pana złości - oznajmił szybko Globcke.

-To bardzo łaskawe - uśmiechnął się Jorg, ale Globcke nie zwrócił na to uwagi. **

-Nasze sprawy rozliczyliśmy - dotknął palcami brody, jakby chciał przypomnieć cios w szczękę zadany przez Czernego, który uderzył go w Rosenheim, gdy doszło do wymiany Natalii za „Aparat”. - Byliśmy żołnierzami i walczyliśmy jak żołnierze - mówił dalej Globcke.

-Niech pan da spokój, panie Globcke! Torturował pan Natalię! I to nazywa pan żołnierskim zachowaniem?

-Nie ja, Beer!

-Ale pan mu kazał!

-No trudno - Globcke zrobił pół kroku do tyłu. - Myślałem, że możemy zawrzeć rozejm. Wojna się skończyła. Nie ma powodów, abyśmy byli wrogami.

-Ale pozostały niezłatwione sprawy. Między nami również.

-Trudno - powtórzył Globcke. W jego głosie dało się wyczuć szczery żal. Być może zostały w nim resztki uczciwości i w pojednaniu z Jorgiem szukał usprawiedliwienia wojennej przeszłości.

-Tylko jedno, panie Globcke: jak pan mnie tu znalazł?

W tym pytaniu Globcke najwidoczniej dostrzegł możliwość podtrzymania rozmowy, gdyż usiadł na gzymsie i wyciągnął papie-rosa.

-Wiedziałem, że będzie pan w Koburgu szukać Anny Marii - odpowiedział, zaciągając się dymem. - Trafił pan do moich ludzi.

-Zastawił pan zasadzkę.

Światło samochodu, który wjechał na rynek, omiotło ścianę kamieniczek, w których podcieniach się schronili. Globcke

instynktownie cofnął się w cień. Był wyraźnie zaniepokojony. Czyżby spodziewał się pościgu? Po chwili uspokoił się, widząc, że osobowy samochód przejechał wzdłuż frontowej ściany ratusza, skręcił w prawo i mijając ich w odległości kilku metrów, zniknął w uliczce odchodzącej od rynku.

- Czego się pan boi? Przeszłości?

Globcke udał, że nie słyszy uwagi Jorga. Patrzył czujnie za odjeżdżającym samochodem, sprawdzając, czy pojawił się na rynku przypadkiem. Wreszcie, upewniwszy się, że odjechał, wyraźnie się odprężył.

- Tak, podstawilem tych ludzi. Wtedy musialem tak dzialac. Nie wiedzialem, jak potocza sie nasze losy. Oni mnie zdradzili, gdyz mieli tylko pana sledzic, a postanowili zabic.

- Przewodnicy na granicy?

Globcke skinął głową.

Jorg odwrócił się i zamierzał odejść, uznając, że rozmowa dobiegła końca.

-Jeszcze jedno - zatrzymal go Globcke. - Los sprawil, ze znalezlismy sie po tej samej stronie barykady. Alianci wyciagną rękę do Niemców, bo wiedzą, że tak jak przed wojną, tylko my możemy zatrzymać bolszewizm. Niech pan to przemyśli. Idźmy z duchem czasu.

-I chowajmy sie przed kazdym nadjezdzajacym samochodem. Boi sie pan nowych sojuszników?

-Amerykanie i Anglicy są naiwni jak dzieci. Ufają Stalinowi i nie chcą zrozumieć, że on tylko czeka na odpowiedni moment, aby uderzyć. Nikt na Zachodzie nie studiuje pism Lenina ani przemówień Trockiego. Bo wtedy by się dowiedzieli, że agresja jest wpisana w tę ideologię. Ta ufność zajmie im parę lat, a potem, gdy zrozumieją swój błąd, zaczną się nam kłaniać.

Rzucił papierosa i podniósł dłoń do ronda kapelusza, jakby w geście salutowania.

- Nigdy nie byłem pana wrogiem. Teraz jestem pana sojusznikiem, bo mamy wspólnego wroga - powiedział dobitnie.

Wyprostował się i szybko zniknął w ciemnościach. Jorg jeszcze przez chwilę słyszał jego kroki, jak skręcił w najbliższą uliczkę.

Patrzył za nim, dopóki nie zniknął w ciemnościach. Zdał sobie sprawę, że Globcke kłamał, a właściwie nie powiedział wszystkiego.

Podstawił swoich ludzi w Koburgu, wiedząc, że Jorg w poszukiwaniu Anny Marii dotrze pod adres, który mu podał. Tak, to było bardzo prawdopodobne. Potem śledzili go do granicy, ale tam ślad się urwał. W jaki sposób Globcke odnalazł go w Marklissie? Była tylko jedna możliwość: Luge! Jorg natychmiast odpędził to podejrzenie. Znał tego człowieka od wielu miesięcy i nie miał żadnych wątpliwości co do jego uczciwości. Solidny restaurator, zajęty pracą i życiem w miasteczku, z którego nie chciał uciekać. A skąd w tej okolicy wziął się Globcke? Nie wrócił z własnej woli. Przyjechał z jakimś zadaniem i musiał budować siatkę. Luge, niewzbudzający podejrzeń, nieszkodliwy i przyjazny, a znający teren i ludzi byłby cennym współpracownikiem.

Jorg spojrział na zegarek. Do spotkania pozostało pięć minut. Przyspieszył kroku.

- Jest - Karl wychylił się, żeby lepiej widzieć nadchodzącego Jorga.

Wysiadł z samochodu i oparł się o karoserię czarnego adlera.

-Witam, witam. Masz wszystko?

-Jest hurtownik? - Jorg nie odpowiedział na pytanie.

-Jest - Karl wskazał do wnętrza samochodu, gdzie siedział Łysy. Ten podniósł dłoń do czapki.

-Wsiadaj. - Karl otworzył tylne drzwi.

-Ty najpierw. - Jorg odsunął się o pół kroku.

-Ostrożnyś - skwitował z uznaniem Karl - ale jak miałbym cię zabić, to już bym to zrobił.

-Dużo byś stracił - wzruszył ramionami Jorg.

-Co bym stracił?

-Wiesz, że mam więcej brylantów, niż ci pokazałem. Dogadamy się, to dostarczę.

-Dobrze, a teraz oprzyj ręce o samochód.

-Co jest?! - Jorg cofnął się o krok, widząc, że Łysy celuje w niego z pistoletu.

-Spokojnie, muszę sprawdzić, czy masz broń.

Karl sprawnie przejechał rękami po kieszeniach, obmacał pasek i nogawki.

- Czysty - powiedział do Łysego, który słysząc te słowa, pochylił się nad kierownicą i uruchomił silnik.

- Siadaj. - Karl otworzył przednie drzwi samochodu. Sam usiadł na tylnej kanapie. Sytuacja zaczynała przybierać zły obrót, ale Jorg uznał, że w czasie jazdy nie zaatakują. Najpierw będą chcieli dowiedzieć się, gdzie ukrył brylanty. Miał jednak pełną świadomość, że jakkolwiek błąd w jego kalkulacjach oznacza śmierć.

Szybko przemknęli ciemnymi i pustymi uliczkami Leśnej i tuż za miastem skręcili w prawo. W tym samym momencie pojawiły się za nimi światła samochodu, co bardzo zaniepokoiło Karla.

- Zwolnij, zobaczymy kto to - powiedział do Łysego.

Jorg kątem oka dostrzegł, że Karl wydobywa spod fotela pistolet maszynowy. Usłyszał szcęk zamka. Byli gotowi do walki, choć mało prawdopodobne, aby ktoś zechciał ich zaatakować w nocy, podczas szybkiej jazdy.

Samochód zrównał się z nimi. Jechał szybko, jakby kierowca i pasażerowie spieszyli się dokądś. Na pewno nie interesowali się adlerem, w którym jechał Jorg. On zorientował się, że to ten sam samochód, który przemknął przez rynek, gdy rozmawiał z Globckem. Po chwili światła znikły za wzniesieniem, a luna, jaką rzucały w zamglonym powietrzu, szybko zgasła. Karl uspokoił się, choć wciąż trzymał pistolet maszynowy na kolanach.

Szosa biegła pod górę i gdy dotarli na szczyt wzniesienia, ponownie zakręcili. Jorg zorientował się, że jadą w stronę zamku Czocho.

-Dokąd jedziemy?

-Mamy takie spokojne miejsce do rozmów handlowych - Karl powiedział to bardzo naturalnie. - W dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Po kilku minutach przejechali obok zamku i dopiero dwa kilometry dalej skręcili w drogę prowadzącą do jeziora. Znał ją dobrze, gdyż często robił tutaj wycieczki. Wiedział, że prowadzi do tamy.

- Muszę ci zawiązać oczy - Karl nie czekając na zgodę Jorga, zarzucił mu od tyłu opaskę i mocno ścisnął. - Nie obawiaj się. Chodzi o to, żebyś nie sprowadził policji do naszej spokojnej przystani.

Jorg nie zareagował. Mając Karla za plecami, nie mógł wiele zyskać.

Jechali jeszcze kilkanaście minut, aż zatrzymali się na niewielkim wysypanym żwirze płacyku. Tam Karl zdjął Jorgowi opaskę.

Przez chwilę w światłach samochodu Jorg widział wzniesienie i żelazne drzwi w betonowej ścianie. Potem Łysy wyłączył światła i ogarnęła ich ciemność.

-Jesteśmy na miejscu - potwierdził Karl. - No to mów, co masz.

-Dwa brylanty, które ci pokazywałem.

Karl schylił się, aby odłożyć pistolet maszynowy na miejsce. Był to specjalnie przygotowany uchwyt pod fotelem umożliwiający szybkie wydobycie broni.

- Kłamiesz - odezwał się Łysy. - Nie przyjeżdżałbym po dwa kamyczki.

Jorg spojrział na niego. Nie zauważył, że w tej samej sekundzie Karl, prostując się, wyciągnął z kieszeni zębatą linkę. Trzymając za jeden z uchwytów, drugi koniec puścił wolno, tak że linka w okamgnieniu owinęła się dookoła szyi Jorga.

-Nie rzucaj się, bo ci łeb oderżnę - warknął Karl. Trzymał już za drugi koniec i lekko pociągnął. Ostre ząbki wpiły się Jorgowi w szyję. Nie spodziewał się, że zaatakują tak szybko. Siedział z piłą na szyi, mając pełną świadomość, że groźba Karla jest całkowicie realna.

-Ranisz mnie - wyjąkał. To były jedyne słowa, które przyszły mu do głowy.

-Ile masz brylantów? Tylko nie mów, że dwa, bo nie będziemy tracić na ciebie czasu.

-Osiemnaście - wyznał Jorg.

-Ile? - Karl jakby nie usłyszał jego odpowiedzi.

-Osiemnaście - powtórzył Jorg.

-Gdzie je trzymasz?

Nie mógł odpowiedzieć natychmiast, bo wzbudziłby ich podejrzenia. Musieli uwierzyć, że walczy o swój majątek.

- Gdzie?

Karl zacisnął lekko linkę. Ząbki wpiły się w szyję, rozcinając skórę.

-Puść!

-Gdzie trzymasz?

Jorg jeszcze przez chwilę zwlekał, ale czując, że pętla zaciska się coraz mocniej, uznał, że musi odpowiedzieć.

-W murze ogradzającym kościół w Leśnej.

Karl poluzował linkę.

-Głupie miejsce. Ktoś mógł znaleźć.

-Nie, ukryłem tak, że nikt nie znajdzie.

-A dokładnie gdzie?

- Za płytą nagrobną Schleyfferów. Piąta cegła od góry, wyryłem krzyżyk.

Karl skinął głową. Na ten znak Łysy wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi od strony Jorga. W ręku trzymał pistolet.

- Wysiadaj! - rozkazał Karl. Zdjął linkę z szyi Jorga. Drobne ząbki porozcinały skórę w wielu miejscach, powodując dotkliwy ból. Czuł jak kołnierzyk nasiąka krwią.

Jorg pochylił się i wysunął głowę. Podparł się ręką o tablicę rozdzielczą samochodu, aby wysiąść, i w tym samym momencie Łysy gwałtownie trzasnął drzwiami, których górna część uderzyła Jorga tuż nad uchem. Zwalił się bez czucia na ziemię. Nie stracił przytomności, ale oszołomienie wywołane uderzeniem i gwałtownym bólem trwało kilkanaście sekund. Karl pochylił się nad leżącym, wykręcił mu ręce do tyłu i założył kajdanki. Oczekali chwilę, aż Jorg zaczął odzyskiwać świadomość, i podnieśli go, chwytając za ręce.

- Sprytny jesteś, ale my sprytniejsi - pochwalił się Karl. Był zadowolony ze sposobu, w jaki rozprawił się z Jorgiem. Zapewne wypróbował to wielokrotnie na innych więźniach.

Popchnął Jorga, zmuszając go, aby podszedł do pancernych drzwi, które otworzył kluczem. Czuli się pewnie, nie starając się ukryć swojej obecności. Najwidoczniej znajdowali się na terenie strzeżonym przez NKWD lub milicję, gdzie nikt inny nie mógł wejść. Za drzwiami widać było niski betonowy tunel, którym ruszyli w głąb. Fetor dochodzący gdzieś z głębi nasilał się. Musiał też drażnić Karla, gdyż ten wydobył z kieszeni chusteczkę i przytknął do nosa. Szli tak w głąb betonowego korytarza, aż zatrzymali się przed kolejnymi pancernymi drzwiami.

- Wiesz, co tak śmierdzi? - Karl odwrócił się do Jorga i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Trupy. My teraz pojedziemy do kościoła, a ty posiedzisz z nimi. Jeżeli nas okłamałeś, pozostaniesz tam do czasu, aż zdechniesz z głodu. No jak, okłamałeś?

Nacisnął dźwignię blokującą drzwi. Bolce wchodzące w wielu miejscach w metalową ościeżnicę przesunęły się i Karl, mocniej przyciskając chusteczkę do nosa, drugą ręką otworzył drzwi. Łysy włączył latarkę, której snop wpadł do wnętrza. W niewielkim betonowym pomieszczeniu widać było poskręcane ciała. Trupi fetor uderzył z taką siłą, że żołądek Jorga skurczył się gwałtownie. Nie mogąc pohamować wymiotów, pochylił się, wyrzucając na ścianę zawartość żołądka.

- Rzygaj, rzygaj - roześmiał się Karl. - To cię osłabi i wcześniej umrzesz, czyli skrócisz swoje męki. Masz też szansę na zakażenie trupim jadem. Też szybciej umrzesz.

Odczekał, aż skurcze przestaną wstrząsać Jorgiem, który oparł głowę o ścianę, chłodząc czoło.

- Tam poczekaasz na nasz powrót. Jeżeli w tę wnękę z brylantami włożyłeś granat, który wybuchnie po wyjęciu cegły, i zginie my, to nie będzie cię miał kto wypuścić. Za jakieś trzy tygodnie będziesz tak wyglądał jak oni. No jak, powiesz prawdę?

Jorg rozpaczliwie starał się jak najszybciej pozbiierać myśli, ale sytuacja, w jakiej się znalazł, była beznadziejna. Nie mógł ich zaatakować, gdyż miał ręce skute za plecami. Obydwoj stali w takiej odległości od niego, że nie mógł nawet spróbować kopnąć któregoś. I tak by to nic nie dało. Rozumiał, że bez względu na to, jakiej udzieli odpowiedzi, wepchną go do tego grobu i zatrzasną drzwi. A gdy dotrą do kościelnego muru i zamiast brylantów znajdą woreczek z bagnetem, wrócą rozsierzeni.

- Nie chcesz gadać? No to włącz! - Karl schwycił go za ramię, aby popchnąć w stronę pomieszczenia z trupami.

Błysk i huk, jakie nastąpiły sekundę później, wydały się Jorgowi czymś całkowicie niewytłumaczalnym. Przez sekundę nie rozumiał, co się stało. Gotów był uznać, że eksplodowała mina. Patrzył, jak Łysy, któremu kula oderwała płac czaszki, osuwa się z głuchym rżeniem po ścianie i zamiera z rękami odsuniętymi na boki.

Kątem oka dostrzegł postać człowieka z karabinem, który wyłonił się zza zakrętu. Słyszał, jak tamten przeladowuje broń i składa się do drugiego strzału. Nie miało znaczenia, kim jest ten człowiek i dlaczego zastrzelił Łysego. Widział, jak Karl, równie zaskoczony,

sięga po pistolet, który wetknął za pasek, i szarpie gaziki kurtki, aby szybciej dostać się do rękojęści.

Jorg odchylił się, aby zwiększyć odległość, aż oparł się plecami o ścianę, i wtedy kopnął Karla z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, w krocze. Ten skulił się i bokiem upadł na betonową podłogę. Jorg odskoczył, aby wyjść spoza kręgu światła, bojąc się, że teraz on stanie się celem nieznanego strzelca. Ale strzał już nie padł. Zapadła cisza, z której dochodziły miarowe kroki, aż z ciemności wyłonił się Czerny z krótkim karabinkiem na ramieniu.

- Ależ tu śmierdzi - powiedział, jakby jego pojawienie się było czymś naturalnym. - Co tak śmierdzi?

Jorg czuł, jak opuszczają go siły. Mięśnie, napięte w ciągu ostatnich kilku minut do granic bólu, nagle rozluźniły się. Bezwolnie ukląkł. Jeszcze przez moment pomyślał, że postradał zmysły i to, co dzieje się przed jego oczami, jest halucynacją.

-Żyjesz? - Czerny pochylił się nad nim i dotknął dwoma palcami aorty szyjnej, aby sprawdzić puls. W tym samym momencie Karl, wciąż trzymając się za krocze i rżąc z bólu, zaczął się podnosić, ale ledwo uniósł głowę, a Czerny kopnął go w szczękę z takim rozmachem, że wyrzucony jak z katapulty uderzył o ścianę i osunął się bez przytomności.

-Gdzieś ty był, ty cholerne ubezpieczenie? - wyjąkał Jorg, wciąż klęcząc. Nie miał siły wstać. Czerny chyba to rozumiał, gdyż podszedł do niego i delikatnie podniósł.

-Cały jesteś?

-Cały, chyba że mam pękniętą czaszkę. Rozkuj mnie. Ten bandzior w prawej kieszeni kurtki ma kluczyki.

Czerny uwolnił mu ręce i podsunął manierkę z wódką, ale Jorg pokręcił głową. Nie był w stanie przełknąć. Czerny nalał odrobinę wódki na szmatkę i przetał zakrwawioną szyję przyjaciela. Delikatnie wydezynfekował ranę nad uchem, powstała po uderzeniu drzwiami.

-Nieźle jesteś poobijany - zauważył.

-Niewiele brakowało, a...

-Okay, nie złość się - przerwał mu Czerny, rozumiejąc, że czeka go kolejna porcja wyrzutów - Nie mogłem.

-W lesie na granicy omalże przewodnicy mnie nie zadźgali, a tutaj już byłem w masowym grobie.

-Wytłumaczę się, chodźmy stąd.

-A eo z nim? - Jorg wskazał na Karla, leżącego bez przytomności.

Czerny pochylił się nad nim. Skuł kajdankami ręce, przeciągając łańcuszek przez klamrę wystającą ze ściany.

- Wrócimy, nie ucieknie.

Wziął pod rękę Jorga, któremu wciąż kręciło się w głowie, i poprowadził go do wyjścia.

Nocne powietrze uderzyło z taką siłą, że Jorg się zachwiał. Doszedł szybko do samochodu i oparł się o błotnik. Oddychał ciężko, starając się wyrzucić z nozdrzy trupi odór, który zdawał się wdzierać w każdy por jego ciała.

Czerny nie odzywał się. Wypił kilka łyków wódki z manierki, najwidoczniej chcąc w ten sposób odpędzić od siebie wspomnienie straszego fetoru.

- Nie wiem, jak tam wrócić - mruknął wreszcie, wskazując na drzwi do bunkra. - Ale ten zbir może wiele nam powiedzieć.

Jorg odetchnął głęboko. Pulsowanie w skroniach nasilało się.

-Skąd się tu wziąłeś? - zapytał Czernego.

-Wiesz, odnoszę wrażenie, że każdy rodząc się, ma wyrysowaną przez Boga ścieżkę, którą będzie szedł. Na mojej Bóg postawił paru enkawudzystów.

Jorg uśmiechnął się, wyobrażając sobie taki boski rysunek. Czerny dostrzegł uśmiech na jego twarzy.

-Co cię tak śmieszy? To szczerza prawda! We wrześniu 1939 roku wycofywaliśmy się do Rumunii. Złapali mnie enkawudziści. Na szczęście oddali Niemcom i ty mnie wypuściłeś. I co? Znowu złapali mnie enkawudziści. I ja głupi, nie wierząc, że na mojej ścieżce życiowej może stać ich więcej, zgodziłem się na powrót do Czochoy. I co?

-Złapali cię enkawudziści - odpowiedział Jorg.

-Tak, właśnie. Pomyślałem wtedy: koniec, limit się wyczerpał, a moja ścieżka prowadzi pod ścianę, gdzie mnie zastrzelą. Ale wtedy, gdy wrzucili mnie do jakiejś paskudnej nory, pomyślałem: nie opuszczę mojego przyjaciela Jorga!

-Nie gadaj, myślałeś o mnie, w takiej chwili?

Czerny tylko skinął głową. Nie powiedział ani słowa, gdyż nie chciał tak ostentacyjnie kłamać. Podsunął manierkę Jorgowi,

który wypił solidny łyk. Poczuł, jak wódka pobudza krążenie, co jednocześnie nasiliło ból. Ale nie zważał już na to. Parę ruchów głową, jakie wykonał, przekonało go, że czaszka pozostała cała, więc uznał, że było to jedynie solidne stłuczenie.

-To jak się wydostałeś?

-Nie uwierzysz!

-Globcke cię wypuścił.

Ta myśl przyszła tak niespodziewanie, że aż się zdziwił, jak coś takiego mogło mu przyjść do głowy. Było to równie nieprawdopodobne, jak spotkanie Globckego na ulicy w Leśnej. Może dlatego tak powiedział. Jeszcze bardziej zdziwiony był Czerny.

-Skąd wiesz?

-Andrzej, pogadamy później. Trzeba z tamtym załatwić sprawę, zanim przyjdą jego kompani.

Podniósł się z trudem i natychmiast usiadł na błotniku. Zawroty głowy nasiliły się.

-Słabiutki jesteś. - Czerny przyglądał mu się uważnie.

-Idziemy - Jorg otrząsnął się.

Czerny podał mu pistolet. Jorg wsadził go do kieszeni i ruszył, najpewniej jak tylko zdołał, do pancernych drzwi. Powrót do lochów to ostatnie, na co miał ochotę, ale zdawał sobie sprawę, że Karl może dostarczyć ważnych informacji.

Gdy weszli do korytarza, usłyszeli dobiegający z daleka głuchy odgłos. Spojrzeli na siebie. Czerny przeładował karabin i odskoczył pod ścianę. Jorg z pistoletem w dłoni, pochylony szedł, omijając plamy świetlne rzucane przez lampy przytwierdzone do stropu. Zatrzymywali się co chwilę i nasłuchiwali. Dookoła panowała absolutna cisza, tak wielka, że słyhać było uderzenia kropli kapiących z sufitu.

- Może coś się osunęło - szepnął Czerny - bo chyba to nie du chy pomordowanych tak hałasują.

Sposób, w jaki to powiedział, świadczył, że nie wykluczał takiej możliwości.

Powoli zbliżali się do miejsca, w którym zostawili Karla. Z daleka zobaczyli jego sylwetkę, tak jak go zostawili, przykutego do kłamry. Wyglądał jakby nie odzyskał przytomności, gdyż wisiał na kajdankach z nisko opuszczoną głową.

Jorg ponownie spojrzął na Czernego. Ten wzruszył ramionami i opuścił karabinek. Nie było żadnych powodów do niepokoju. Rozejrzeli się wokół. Drzwi do komory ze zwłokami były dobrze zamknięte, o czym świadczyła wysoko podniesiona masywna klamka. Korytarz kończył się kilkanaście metrów dalej solidną betonową ścianą.

- Ani żywej duszy - mruknął Czerny. Odprężył się nieco, ale do końca nie odrzucił obaw, z jakimi wchodził do ponurego lochu. - Pogadajmy z nim i idźmy stąd w cholerę. I tak dzisiaj nie będę mógł spać.

Jorg podszedł do Karla i pochylił się.

- No...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle wyprostował się i odsunął o pół kroku.

-Jezus!

-Co jest? - Czerny, który przysiadł na betonowym występie, zerwał się na równe nogi i podniósł karabin. - Co jest?!

-Nie żyje - wyszeptał Jorg.

-Jak „nie żyje”? - Czerny nie ruszał się z miejsca, jakby sparaliżował go strach przed nieznanym. Najwidoczniej nie miał zamiaru podchodzić do Karla.

-Ktoś podciął mu gardło... - niepewnie odezwał się Jorg. -Daj latarkę - obrócił się do Czernego.

-Weź. - Odpiął latarkę z paska i wyciągnął rękę do Jorga. Cały czas rozglądał się dookoła, jakby obawiając się ataku wampirów. Jorg dostrzegł to.

- Daj spokój. Zabił go człowiek, nie duch - powiedział.

Oświetlił latarką zwłoki. Ściana wokół była zbryzgana krwią przyskającą z przeciętnych tętnic. Na twarzy Karla zamarł strach. Oczy miał szeroko otwarte, a usta wykrzywione jakby w ostatnim krzyku. Na przegubach kajdanki pozostawiły krwawe ślady. Musiał się szarpać, widząc nadchodzącego mordercę. Dlaczego? Do tego tunelu mógł wejść tylko ktoś, kogo Karl znał. Widząc nadchodzącego człowieka, powinien się spodziewać uwolnienia, a nie ataku. Był to więc ktoś, kto swoim wyglądem lub zachowaniem wzbudził przerażenie człowieka, którego łatwo nie było przestraszyć.

-Może coś powiesz - Czerny zaczynał się niepokoić. - Ja już mam tego dość! Wychodzę!

-Poczekaj, morderca tu jest. Gdzie się ukrył?

Jorg wyprostował się. Światło latarki przesunęło się po ścianie z plamami krwi i wydobyło napis. Jorg spojrział uważniej. Nieporadne litery, jakby namazane palcem układały się w słowo „Ygg”. Co to mogło znaczyć? Nie chciał się nad tym zastanawiać. Ruszył w głąb korytarza. Uznał, że tam musi być zamaskowane przejście. Czerny, który najwyraźniej nie miał ochoty pozostawać sam, postępował za nim.

W snopie światła rzuconym przez latarkę nie widać było nic szczególnego. Ze wszystkich stron otaczał ich lity beton, bez najmniejszej szpary czy szczeliny. Należało wykluczyć istnienie jakiegokolwiek tajnego przejścia. A jednak morderca musiał przedostać się tędy. Chyba że przejście prowadziło przez komorę ze zwłokami, ale drzwi były dobrze zamknięte.

-Masz pomysł? - Jorg obrócił się do Czernego.

-Mam. Chodźmy stąd! Chyba nic lepszego nie mamy tu do roboty.

-Mamy...

-Co?

-Szukać dalej.

-Dobry pomysł, a przynajmniej wiesz gdzie?

-Tam gdzie stoisz.

Jorg nieco opuścił latarkę i światło padało na posadzkę.

-Z miejsca, w którym stoisz, nie zobaczysz tego, gdyż cień powstaje od mojej strony.

-Możesz jaśniej?

-Prawdopodobnie stoisz na pokrywie wjazdu zamaskowanej żwirów.

Widzę cień, jaki rzuca krawędź.

Jorg przykleknął. Posadzkę w wielu miejscach pokrywał drobny żwir, będący prawdopodobnie pozostałością po betonowaniu. Przesunął dłonią. Kamyczki przetoczyły się za ruchem jego palców, ale w jednym miejscu nie poruszyły się. Były przyklejone do jakiejś powierzchni. Wymacał niewielkie wgłębienie idealnie pasujące do dłoni. Napiął mięśnie. Ciężka, żeliwna pokrywa uniosła się o kilka centymetrów.

-Nie podnoś! — krzyknął Czerny. - Może być zaminowana!

-Nie sądzę. Zabójca Karla tędy przeszedł przed paroma minutami.

Stracił jednak pewność i już z większą ostrożnością uniósł pokrywę, odsłaniając kwadratowy otwór. Odsunął się na bok, obawiając się, że z wnętrza mogą paść strzały. Odczekał tak chwilę i ostrożnie zajrzał do wnętrza. Zobaczył metalowe klamry na ścianie i dno korytarza zalanego wodą. Usiadł na obrzeżu otworu, trzymając pistolet skierowany w głąb, gotów strzelać, gdyby ktoś się tam pojawił. Pomyślał, że jeżeli napastnik chciałby go zaatakować, to musiałby podejść do pionowego kanału, a wówczas usłyszałby jego kroki, gdyż nie dałby raay poruszać się bezgłośnie po wodzie.

Czerny przykląkł z boku, celując w czarny otwór.

- Szkoda, że nie mamy granatów - westchnął. - Znakomicie wyjaśniają takie sytuacje.

Jorg chwycił latarkę w zęby i opuścił się jak mógł najniżej. Wymacał stopą klamrę i oparł tam but. Nasłuchiwał, ale nic nie zakłócało ciszy, w której krople spadające na powierzchnię wody dolnego korytarza brzmiały bardzo wyraźnie. Zszedł kilka klamer niżej i przechylił się. Widział już duży odcinek korytarza, który zakręcał po kilkunastu metrach. Zakładał, że napastnik mógł się tam znaleźć.

- Daj kamień, duży - szepnął do Czernego.

Rzucił go tak, aby odbił się od ściany i wpadł z pluskiem do wody tuż przed zakrętem. Jeżeli napastnik byłby tam, musiałby odskoczyć, bojąc się, że to granat. Ale nic się nie stało.

Jorg ostrożnie zszedł niżej i zanurzył stopę. Poczul mocny grunt. Woda miała tylko kilka centymetrów głębokości. Oparł się bokiem o ścianę i wycelował pistolet w stronę, z której mógł nastąpić atak. Cisza macona jedynie odgłosem spadających kropli działała uspokajająco. Dał znak Czernemu, aby zszedł do niego.

Zakładał, że zabójca Karla, wiedząc, że jest ich dwóch, nie chciał ryzykować starcia i uciekł już daleko. Nie można było jednak odrzucić niebezpieczeństwa, że znając dobrze te podziemia, czekał w ukryciu, aby niespodziewanie zaatakować od tyłu.

- Pokrywa mogła być zaminowana, napastnik czekać na dole z shot gunem i nafaszerować cię śrutem jak zająca, a w tunelu

mógł się unosić gaz. - Czerny stanął po drugiej stronie korytarza. Też był skupiony i gotów do odparcia ataku.

- Mamy jeszcze jedną możliwość: zabłądzimy - mruknął Jorg i zanim Czerny zdołał odpowiedzieć, dodał: - Oslaniaj mnie.

Powoli zbliżał się do zakrętu, nasłuchując, czy nie dobiegnie go niepokojący odgłos. Cisza ośmielała go. Za zakrętem nie było żadnej zasadzki, co sprawiło, że zaczął iść odważniej. Czerny posuwał się pięć metrów z tyłu, po drugiej stronie tunelu, z uniesionym karabinem, gotów strzelać do każdego cienia, który pojawiłby się w polu widzenia.

Nie dostrzegali śladu życia, z wyjątkiem kilku szczurów, które spłoszone przemknęły po murze, jaka biegła nad ich głowami. Nie było też bocznych odgałęzień, co dawało pewność, że zabójca nie ukrył się w nich. Tunel unosił się, wprowadzając ich na suchy grunt. Po kilkudziesięciu krokach doszli do skrzyżowania. W obydwie strony biegła galeria tak wysoka i szeroka, że mogła tam wjechać ciężarówka. Naprzeciw w prostokątnym otworze widać było wielką stalową rurę. Błyszczała jeszcze w świetle latarki, ale w wielu miejscach widniały wielkie plamy rdzy. Najwidoczniej woda wyplukwała konserwujący smar i konstrukcja zaczęła rdzewieć.

Jorg i Czerny przystanęli przed skrzyżowaniem. Rozumieli, że wyjście do dużego tunelu mogłoby być dla nich niebezpieczne. Latarka oświetlała niewielki odcinek, byłiby zaś doskonale widoczni dla napastnika ukrytego w ciemnościach. Uzbrojony w karabin maszynowy mógł otworzyć celny ogień z odległości kilkudziesięciu metrów.

-To chyba doszliśmy do końca -jakby z ulgą wyszeptał Czerny.

-Chyba tak, ale co to może być? - ponownie skierował snop światła na wielką rurę.

-Może doprowadzenie wody - zastanawiał się Czerny.

-Stalową rurą?

-Tak, to bez sensu.

-Widzisz stopnie obok? - Czerny skierował światło latarki tuż obok rury, wydobywając z mroku metalowe stopnie przytwierdzone do betonowej ściany.

-Spróbujemy się po nich wydostać?

-Z góry nie dochodzi światło, więc otwór musi być zamknięty.

- Jorg był wyraźnie sceptycznie nastawiony do pomysłu opuszczenia tuneLu, choć zdawał sobie sprawę, że nie są przygotowani do podziemnej wędrówki, z jedną latarką, w mrokach, w których czaił się bezwzględny napastnik.

-Jest noc - zauważył Czerny.

-Dobrze, kto pierwszy przebiegnie przez tunel? Ty czy ja?

Jorg zgasił latarkę. W całkowitej czerni nie dostrzegali żadnego, najsłabszego nawet promienia światła. Nie mógł jednak świecić, gdyż byłoby za dobrym celem. Wychylił się ostrożnie zza rogu. Ciemność nie pozwalała im się zorientować. Podniósł pistolet, aby być gotowym do strzału, gdyby napastnik włączył reflektor.

- Biegnij! - szepnął przez ramię.

Usłyszał szybkie kroki Czernego, który po omacku przebiegł przez tunel.

- Teraz ty, biegnij na wprost - powiedział Czerny.

Jorg uznał, że od przeciwległej ściany tunelu dzieli go dwanaście długich kroków. Postanowił iść spokojnie, licząc kroki i rozglądając się w ciemnościach. Jego oczy przyzwyczajały się do ogarniającej czerni i powoli zaczynał dostrzegać zarysy betonu, co było widowym znakiem, że do tunelu dostaje się światło. Z ulgą dotknął przeciwległej ściany tunelu.

-Jestem - szepnął do Czernego.

-Z góry wpada światło księżycy - odpowiedział tamten. -W każdym razie tak mi się zdaje.

Dostrzegali już zarysy wnęki, w której biegła rura, i przesunęli się tam. Gdy tylko ściana osłoniła ich przed pociskami, które mogły paść z głębi korytarza, Jorg zapalił latarkę. Nie zmieniło to niczego. Z obydwu stron dobiegała całkowita cisza.

-Rozpłynął się jak duch - mruknął Czerny.

-Jak duch podziemi - dodał Jorg. Wsunął pistolet za pasek i chwycił za kłamerę. Widział, jak Czerny przywarł plecami do ściany, aby osłonić go przed atakiem, który mógł nastąpić w każdej chwili.

Początkowo nie liczył klamer, co okazało się błędem. Były trzydzieści centymetrów jedna od drugiej, a więc bez trudu ustaliłby głębokość szybu. Uznał, że przeszedł dwadzieścia, zanim zajął się

obliczaniem. Cały czas posuwał się szybem, tuż obok rury, spajanej co kilka metrów wielkimi kołnierzami, skręconymi za pomocą bardzo wielu śrub. Gotów był uznać, że był to szyb ratunkowy, w którym biegły instalacje zasilające podziemny system. Nie miał pojęcia o jego przeznaczeniu. Ale to nie był problem, którego rozwiązaniu oddawał się w tej chwili. Czuł świeże powietrze wpadające z góry, co uznawał za znak, że szyb jest otwarty, aczkolwiek przysłonięty tak, że nawet nie wpadało tam światło księżyca. Mimo to za każdym metrem, jaki pokonywał, w szybie robiło się jaśniej. Zaczynał dostrzegać kwadratowy zarys wyjścia, choć wciąż nie wiedział, czy nie jest przysłonięte ażurową klapą. Po trzysetnej klamrze chwycił ręką za obramowanie kwadratowego otworu, podciągnął się i postawił stopę na betonowej posadzce. Znajdował się we wnętrzu niewielkiego ceglanego domku, w którym jedyny otwór zasłonięto drewnianą płytą. Wykonano ją naprędce i niestarannie, gdyż między deskami pozostawiono szpary, przez które wpadało światło księżyca. Przyklęknął i delikatnie popchnął płytę. Uchyliła się z cichym zgrzytem rdzewiejącego zawiasu. Na zewnątrz widział drzewa, gęsto porastające teren wokół domku. Panowała taka sama cisza, jak w podziemnych tunelach. Wrócił do otworu, z którego wyszedł.

- Andrzej, chodź! - krzyknął. Na dole błysnęło światło la tarki. Czerny potwierdzał, że usłyszał jego wołanie i zaczął po dróż w górę.

Jeżeli dobrze oszacował odległości między klamrami, to od tunelu dzieliło go około stu metrów. A szyb biegł jeszcze w dół. Rura, przy której cały czas się wspinał, kończyła się na równi z podłogą domku i zamknięta była solidną pokrywą, przykręconą kilkudziesięcioma śrubami do opasującego ją kołnierza.

Czerny wydostał się po kilku minutach zdyszany z wysiłku, jakiego wymagało pokonanie stumetrowej drabiny. Usiadł na podłodze.

-Pić mi się chce - mruknął.

-Mnie też, ale musimy zaczekać do rana.

-A przynajmniej wiesz, gdzie jesteśmy?

-Nie mam pojęcia. Zaczekamy do świtu.

-Jeżeli to paskudztwo nie wylezie z nory - Czerny wskazał na otwór, z którego wyszli.

-Miał sto okazji, żeby do nas strzelać. Skoro tego nie zrobił, to znaczy, że już go tam nie ma. Lepiej opowiedz mi o tych enkawudzystach przy bożej ścieżce.

-A mogę później? Nie chce mi się gadać.

Czerny oparł się wygodnie o ścianę i zamknął oczy. Zmęczenie i napięcie nieopuszczające ich od kilku godzin ściągały sen.

-Andrzej - odezwał się Jorg.

-Masz coś szczególnie ważnego? - Czerny nie wydawał się zadowolony, że przyjaciel ma ochotę pogadać.

-Na ścianie przy zwłokach Karla...

-Och, nie, tylko nie o tym! - zaprotestował Czerny, ale Jorg nie zwracał na to uwagi.

-...morderca napisał krwią „Ygg” - dokończył. - Co to może znaczyć?

-A skąd ja mogę wiedzieć?

-Początkowo myślałem, że Karl umierając, chciał coś przekazać, ale człowiek z podciętym gardłem tego nie robi. Napisał więc to jego krwią morderca.

-Co, mówisz, napisał? - Czerny podniósł się.

-Ygg, tylko tyle.

-To przydomek Odyna, boga z dynastii Azów - odpowiedział po chwili Czerny. - Najwyższego boga nordyckiego. Boga wojowników. Sprytnego i przebiegłego.

-Co znaczy Ygg?

-Straszliwy. A wiesz co oznacza po angielsku Wednesday?

-Zawsze uważałem, że środa.

-Nie tylko. Oznacza „dzień Odyna”.

-A co dzisiaj mamy?

-Środę.

-Myślisz, że przyszedł po ofiarę?

-Myślę, że dlatego zabił Karla. Być może polował na nas, ale jak zabił tego bandziora, to się nasycił.

-Jego krwią?

-Być może on, być może jeden z jego dwóch wilków.

-Wilków, mówisz - to słowo najwyraźniej przywołało jakieś skojarzenie.

-Tak, Geri i Freki. Żywią się mięsem z talerza Odyna, a co?

- Znałem kiedyś człowieka, który nazywał się Wolf. Oparli się o ścianę, czekając na świt. Ich broń -w dalszym ciągu była skierowana do wylotu szybu.

23 maja, zamek Książ

Globecke przeszedł przez wąski placyk między oficynami zamku Książ i skierował się do wejścia do głównego budynku. W oddali, między stertami desek zwalonego rusztowania, zobaczył, jak z pałacu wychodzi Czyżyków i kilku oficerów radzieckich. Mieli wielkie sztywne pagony, byli bez czapek, najwyraźniej mocno pijani, chociaż dochodziła dziewiąta rano. Żegnali się wylewnie, obejmując za ramiona, ściskając i całując w usta. Często obserwował takie zachowanie u oficerów, których z racji postury, twardości obyczajów i demonstracji męskości przy każdej okazji trudno było nawet podejrzewać o homoseksualizm. Szybko doszedł do wniosku, że to taki wschodni obyczaj, co napawało go obrzydzeniem. Wsiadł do samochodu, który już na nich czekał, i powiewając czapkami oraz wykrzykując podziękowania za gościnę, odjechali, wzbijając tumany pyłu z rozdartych worków cementu, które walały się po dziedzińcu.

Globecke zwolnił kroku. Nie chciał spotykać się z Czyżykowem, który wciąż stał przed wejściem i zapatrzony w odjeżdżających nie dostrzegając go. Globecke pracował tu od miesiąca i z wolna podejrzliwość, z jaką go przyjęto, zanikała. Uznali, że jest tym, za kogo się podaje, niemieckim antyfaszystą i komunistą, który całym sercem chce służyć Stalinowi i jego państwu robotników i chłopów. Nauczył się już tego zwrotu, który tak często powtarzał Czyżyków. Odnosił wrażenie, że hołota, która wypełniła zamek, a w zimne wieczory paliła w kominkach pięknymi meblami i pałacową klepką, uwierzyła, że tak właśnie ma wyglądać wymarzone państwo. Czyżyków do nich nie pasował, aczkolwiek nie odważył się przeciwstawić wandalizmowi. Był wykształconym człowiekiem, pochodzącym z miasta, z pewnym obyciem, który panicznie bał się losu, jaki spotkał wielu

jego kolegów ze służby. Globckego traktował przyzwyczajenie, wykorzystując go głównie jako tłumacza w czasie przesłuchań jeńców, wobec których miał podejrzenia, że mogą cokolwiek powiedzieć o zamku. Nigdy jednak nie zmuszał go, aby asystował przy torturach, jakim wpałacowych podziemiach poddawał opornych. Jakby wstydził się takich metod przed obcym, za jakiego wciąż uważał Globckego, a może nie chciał mieć świadków, którzy kiedyś zeznawaliby przeciwko niemu.

Czyżyków wreszcie zauważył go, ale najwidoczniej nie miał ochoty na spotkanie, bo obrócił się na pięcie i wszedł do pałacu. Globcke skorzystał z okazji i też szybko ruszył do swojego pokoju na parterze, też obok wejścia. Poprzedniego wieczoru otrzymał stertę dokumentów odnalezionych w jednej z pałacowych komnat i miał je jak najszybciej przetłumaczyć. Globcke zdawał sobie sprawę, że Czyżyków wyrywkowo sprawdzał wyniki jego prac, aczkolwiek w miarę jak nabierał zaufania, robił to coraz rzadziej. Przez miesiąc nie skontaktował się z nim nikt z organizacji, co Globcke tłumaczył sobie tym, że generał Kroll pozostawił mu czas na aklimatyzację i nie chciał narażać go na to, że ktoś z Rosjan zwróci uwagę na obc?o. Oznaczało to, że organizacja wyznaczyła mu zadanie długoterminowe. Miał utknąć w Księżu na wiele lat, co najwyraźniej go rjartwiło.

Zamknął drzwi na klucz i włączył lampę nad biurkiem, bo choć za oknem był (kień, do jego pokoju nie docierało wiele światła. Zsunął papiery nahrzeg biurka, aby zrobić miejsce na czajnik, gdy jego wzrok padł na okno. Przed pałacem zatrzymał się czarny samochód osobowy, mocno zabrudzony i pokryty pyłem, co wskazywało, że przebył dłużą drogę. Globcke, który lubił wiedzieć, kto przyjeżdża do zamku, przysunął się do okna, aby po sekundzie odskoczyć tak raptownie jakby zobaczył upiora.

To był upiH Nie miał wątpliwości, kogo widzi. Blondyn, z prostym nosem, ja którym była niewielka poprzeczna blizna, pucolowate policzki i to spojrzenie, wyrażające wyższość i nienawiść wobec wszystkich dookoła. Beer!

- Skąd u liabła się tutaj wziął? - Globcke obserwował go uważnie, jedmześnie gorączkowo zastanawiając się, jak uniknąć konfrontacji, która by go zdradziła. Beer zadbałby, żeby jego

śmierć była długa i bolesna, a Czyżyków nie miałby nic przeciwko temu.

Sięgnął po słuchawkę, nie przerywając obserwacji tego, co działo się przed drzwiami.

- Mówi Krausse, przekażcie towarzyszowi Czyżykowowi, że wyjeżdżam do kwatermistrza po papier i atrament - rzucił do słu chawki.

Mężczyzna, który wysiadł za Beerem, zaskoczył Globckego w równym stopniu. Znał go! To był generał Ohlenrode, człowiek, któremu organizacja wyznaczyła funkcję skarbnika okręgu dolno-śląskiego. W jaki sposób dostał się w ręce Beera? Globcke przez chwilę zastanowił się, czy Ohlenrode cokolwiek o nim wie. Być może Kroll lub Skorzeny przekazali mu informację, że wysyłają swojego człowieka, zasłużonego esesmana, ale wątpliwe, czy podali jego nowe nazwisko.

Na twarzy Ohlenrodego widać było ślady pobicia i to bardzo dotkliwego. Najwyraźniej miał złamany nos. Dłonie, skute kajdan-kami, były owinięte bandażami. Prawdopodobnie Beer go torturo-wał. Co od niego wydobył?

Globcke odczekał, aż weszli do budynku. Słyszał ich kroki, jak przechodzili obok jego drzwi, i gdy tylko ucichły, narzucił kurtkę i wyszedł do korytarza, gdzie zatrzymał się przed biurkiem oficera dyżurnego.

- Meldowałem towarzyszowi pułkownikowi, że jadę do inten- dentury po zaopatrzenie. Wrócę za dwie, trzy godziny.

Oficer dyżurny skinął głową i zapisał coś w zeszycie.

- Ech! - Globcke zatrzymał się, jakby nagle coś sobie przypo- mniał - zajrzę jeszcze do biura, czy nie chcą, żeby im czegoś przy- wieźć.

Poszedł szybko w głąb korytarza, uznając, że Beer oddalił się wystarczająco daleko, aby nie istniało niebezpieczeństwo spotkania się z nim. Tuż za rogiem, gdy oficer nie mógł widzieć, dokąd idzie, otworzył drzwi prowadzące do dolnego korytarza, gdzie gromadzone drwa do dwustu zamkowych kominków. Zbiegł schodami na półpiętro. Zatrzymał się, nasłuchując, czy nikt za nim nie idzie. Nie słysząc żadnych odgłosów, wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył małe drzwi zbite z solidnych desek. W ciasnym długim korytarzu,

używanym jako podręczny składzik dla połamanych, mebli, rozdartych obrazów i wielu innych przedmiotów niepotrzebnych, aczkolwiek takich, które mogły się jeszcze przydać, odsunął gdańską szafę ze zwęglonymi drzwiami. Zmieniła miejsce zadziwiająco lekko, jak na masywny mebel, ujawniając ciemne wnętrze. Zapalił światło i znowu przesunął szafę, maskując wejście. To była jedna z tajemnic zamku Książ, którą kiedyś zdradził mu były szef ochrony Harry Sauer.

Metalowe szafy przytwierdzone do ścian przypominały łącznice telefoniczne, ale ich przeznaczenie było inne. Globcke przekreślił wielki ebonitowy włącznik. Dwie czerwone lampki na samej górze zaświeciły się, potwierdzając, że system zasilania działa bez zarzutu. Odczekał chwilę, aż nagrzej się lampy, których pracę zdradzało ciche buczenie, wetknął końcówkę przewodu słuchawek w gniazdo oznaczone numerem dziesiętnastym i nasłuchiwał przez chwilę. Panowała tam cisza, co go zdziwiło. Uważał bowiem, że Beer zaprowadził Ohlenrodego do biura Czyżykowa, a mikrofony tam zainstalowane powinny przechwycić rozmowę. Globcke pochwalił się kiedyś Sauerowi, że wie wszystko, co dzieje się w zamku Tzschocha, gdyż kazał założyć mikrofony w najważniejszych pomieszczeniach, i Sauer pozazdrościł mu pomysłu. A nawet skłonił dyrektora pobliskiej filii Telefunkena, aby ściągnął dla niego najnowocześniejszy sprzęt podsłuchowy. Globcke musiał uznać, że system Sauera działał skuteczniej. Tylko nigdy nie dowiedział się, dlaczego Sauer kazał założyć podsłuch i w swoich pokojach na pierwszym piętrze. Miał tam trzy duże sale połączone amfiladowo, ale korzystał tylko z jednej, gdzie w szafie, która teraz stała spalona w składziku, było podwójne dno. Sauer trzymał tam swoją największą tajemnicę: kokainę. Globcke poznał ją już po wojnie, gdy przenoszono spaloną szafę i odpadło dno, z którego wysypały się fiolki.

Pomyślał, że Czyżyków, lecząc kaca po nocnej pijatyce z kolegami oficerami, poszedł do swojej kwatery. Urządził ją w pokojach, w których mieszkał Sauer. A może obawiał się, że w jego biurze ktoś może podsłuchiwać rozmowę, i dlatego wolał przejść do prywatnych apartamentów. Globcke wetknął słuchawki w gniazdo numer dwanaście i po chwili usłyszał głos. Nawet gdyby nie widział Beera, poznałby go po głosie. Mówił dyszkantem, niechlujnie, połykając końcówki słów i lekko sepleniąc.

- ...patrol natknął się na niego przypadkowo. Uciekał - relacjonował Beer.

Globckiego zastanowiło, że rozmawiają po niemiecku. Do tej pory uważał, że Czyżyków nie zna niemieckiego. A więc tylko udawał. Mógł w ten sposób kontrolować tłumaczenia, a nawet dowiadywać się wiele z rozmów jeńców, którzy wiedząc, że przesłuchania prowadził tłumacz, chętnie wymieniali się uwagami przy Czyżykowie.

-Prędko uciekał, bo się tak potłukł. - To był głos Czyżykowa.

-Wypadł z samochodu - głos i śmiech Beera - ale go podniosłem.

Potem roześmiał się Czyżyków. Dobrze się bawili.

- Towarzyszu pułkowniku, ja nie po to, aby chwalić się, jak ra towałem obywatela Ohlenrodego. On z radości, że go wyratowałem, wiele mi powiedział. Ale niech sam mówi, żeby nie przekreślić.

Globcke uznał, że rozmawiają po niemiecku, aby Ohlenrode ich rozumiał.

Zapadła cisza. Najwidoczniej Ohlenrode zastanawiał się, co powiedzieć.

-Gadaj! - rozległ się okrzyk Beera. - To co mi powiedziałaś!

-Spotkałem się ze Sturmführerem Skorzenym, gdy był tutaj, to znaczy w zamku Tzschocha. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie uda nam się zatrzymać waszych wojsk i wejście na te tereny. Będziecie szukać. Skorzeny przekazał mi rozkaz odwrócenia waszej uwagi od...

Zapadła cisza.

-Od czego? Gadaj! - Beer już nie krzyczał, lecz półgłosem przywoływał Ohlenrodego do porządku.

-Mogę trochę wody?

Znowu zapadła cisza. Najprawdopodobniej Czyżyków kazał Beerowi podać szklanke. Po chwili Ohlenrode zaczął mówić:

-Odwrócenia uwagi od broni, która tutaj pozostała. Nie wszystko zdążyliśmy wywieźć.

-Jaka to broń? - to był głos Czyżykowa.

-Nie wiem! Prawdę mówię! Nie wiem! - Ohlenrode niemalże krzyczał. Widocznie bał się razów.

-Uspokój się. Wierzę ci - Czyżyków mówił spokojnie.

-Ja nie jestem naukowcem. Nie zajmowałem się uzbrojeniem. Wiem, że chodzi o nową broń o ogromnej sile rażenia.

-Atomową?

-Być może. Nie wiem.

-Pozostała tu i ma być stąd wywieziona?

-Z tego co wiem, jeden egzemplarz wywieziono ze Stadtilm do Norwegii. Drugi przywieziono tutaj do Piirstenberg. Hitler żądał, żeby została użyta. Dalej nie wiem, ale chyba nie pozostawiono jej tutaj.

Zamilkł. Cisza przedłużała się. Globckiego dobiegały tylko pojedyncze słowa wypowiedane półgłosem po rosyjsku. Najwidoczniej Beer i Czyżyków porozumiewali się na boku.

-Wiesz, kto jej pilnuje?*

-Nie! Przysięgam. Moim zadaniem było tylko ściągnięcie waszej uwagi na skarby. Skorzeny zakładał nawet oddanie wam stu milionów dolarów.

-W jaki sposób? - To pytanie zadał Beer.

-Przez ludzi, którzy mieli rozprawdzać sztabki złota, żeby ściągnąć waszą uwagę na ten ślad. Jednym z nich był jubiler z Lau-ban. Nazywał się Stienert.

-Był? - zapytał Czyżyków.

Ohlenrode milczał przez chwilę, rozważając, czy nie powiedzieć prawdy o losie Stienerta, ale uznał, że byłoby to zbyt ryzykowne. Czyżyków mógłby mu nie uwierzyć, a Beer na pewno nie wybaczyłby.

- Tak, był - podjął po chwili - został zamordowany.

Zerknął na Beera. Ten ściągnął brwi. Czekał na słowa, które miały paść.

- Najprawdopodobniej przez rabusiów - wyrzucił szybko Ohlenrode - którzy chcieli zrabować jego złoto. Być może to nawet ludzie z naszej siatki. Wielu postanowiło działać na własną rękę. Chcą się wzbogacić i jak najszybciej stąd uciekać.

Przestał mówić.

- Dobrze, panie Ohlenrode. Widzę, że istnieje szansa na na wiązanie współpracy. Jeżeli będzie pan rozsądny...

Czyżyków zawiesił głos, czekając na reakcję Ohlenrodego. Ten, najwidoczniej widząc możliwość uniknięcia dalszych tortur, skwapliwie potakiwał.

- To dobrze - podjął po chwili Czyżyków. - Zamkniemy pana, opatrzymy, odkarmimy. Nikt nie będzie robił pana krzywdy. Potem pogadamy.

Słysząc było kroki, potem skrzypienie drzwi, jakieś rozkazy wydawane po rosyjsku żołnierzom, którzy weszli do pokoju.

- Jak widzicie, towarzyszu pułkowniku, sprawa jest poważna - odezwał się Beer.

- Nie dla nas - rzekł Czyżyków. - Bronią zajmuje się Zawieniagin. Dość nieudolnie...

Słysząc było jego śmiech.

- W Stassfurcie Amerykanie sprzątnęli mu przed nosa tysiiąc ton rudy uranu. Wyobrażacie sobie? Tysiiąc ton!

Znowu rozległ się śmiech. Globcke pomyślał, że Czyżyków musiał bardzo nie lubić tego Zawieniagina.

- Broń to jego sprawa. My mamy umieścić żądło i robimy to perfekcyjnie.

Jakie żądło? - zastanowił się Globcke. - O czym mówią?

- Co ze Skorzenym? - zapytał Beer.

- Nic. Po prostu nic! Siedzi nadal, a tak był już blisko wolności.

Globcke pochylił się i mocniej przycisnął słuchawki do uszu, aby lepiej słyszeć.

- Wyobrażacie sobie taką sytuację u nas? Na przykład ja organizuję ucieczkę więźnia, obgaduję wszystko, a tu nagle mnie odwołują, przychodzi inny oficer i mówi „nie, nie uciekniesz”. Jak oni tę wojnę wygrali, skoro tacy naiwni. Ale to dobrze, jeszcze niejedyn numer im wytniemy.

Czyżyków był w dobrym humorze, do czego bez wątpienia przyczyniła się pijacka noc. Globcke pomyślał, że załatwił chyba jakieś korzystne interesy.

Słysząc było kroki, potem brzęk szkła.

Czy oni zawsze muszą pić? - pomyślał Globcke.

- Szukałem żądła - podjął Czyżyków. - I mam go! Ohlenrode świetnie się do tego nadaje.

O czym mówią? - zastanowił się Globcke. Już rozumiał, że sprawa żądła ma kluczowe znaczenie.

- Generał wykonał zadanie do końca. Prawdopodobnie dostał sygnał, że może już stąd wyjechać, skoro złapaliśmy go podczas

ucieczki. Jak dotrze do towarzyszy z „Pająka”, to będą darzyli go szacunkiem. Zwłaszcza że poturbowany taki.

- Musimy go jeszcze uwiarygodnić. Nie czyńmy tajemnicy z tego, że został złapany. Złamany nos też będzie dobrze o nim świadczył. Niby wytrzymał tortury. Trzeba będzie mu zorganizować ucieczkę. I pilnować! Ty będziesz pilnować.

Rozmowa Czyżykowa z Beerem stawała się coraz bardziej bełkotliwa.

- Załatwimy ci wycieczkę do Rzymu. Oni wszyscy tam zmierzają, do argentyńskiego biura imigracyjnego.

Głęboko zsunął słuchawki. Ta rozmowa wstrząsnęła nim. Z tego co mówił Czyżyków, wynikało, że wywiad radziecki dużo wie o trasach przetrwania esesmanów. I podsuwa swoich agentów. Nie dość tego, w tak łatwy sposób werbuje nowych, i to wśród najwyższych oficerów. Ohlenrode, zmuszony do współpracy po paru razach, był już całkowicie pod ich kontrolą. Wyślą go do Argentyny i będzie przekazywał wszystkie tajemnice. Jak Rosjanie wykorzystają „Pająka”? Wiedział, że potencjał tej organizacji będzie ogromny. Rosjanie będą więc chcieli obrócić go przeciwko dawnym sojusznikom. Co do tego nie miał wątpliwości. Przeraziła go myśl, że on i jemu podobni, którzy zdecydowali się przystąpić do nazistowskiej maszyny tylko dlatego, iż uważali narodowy socjalizm za mniejsze zło niż bolszewizm zagrażający światu, staną się żołnierzami bolszewizmu!

Wyłączył urządzenie podsłuchowe i wyszedł szybko z tajnego pomieszczenia. Zbiegł schodami na dół do dużego korytarza prowadzącego do jednej z bram. Rosjanie rzadko tu zaglądali. Jeżeli miałby kogoś spotkać, to tylko jeńców niemieckich, którzy zabierali stąd drewno do kominków i roznosili po komnatach. Żołnierze uznali, że to lepsze rozwiązanie niż palenie mebli, które, wysuszone i fornirowane, paliły się zbyt szybko.

Uchylił bramę i wyszedł na podwórze, mijając wartownika, najwyraźniej znudzonego służbą na wewnętrznym dziedzińcu zamku, gdzie nic się nie działo.

Musiał schować się w miejscu, w którym nie było żadnej szansy spotkania z Beerem. Pomyślał tylko z zadowoleniem, że tym razem Beer, jeżeli wykona plan, który mu przedstawił Czyżyków, i dotrze do Genui, na pewno nie wyjedzie stamtąd do Argentyny.

24 maja, wzgórze nad Kwisą

Przeżycia minionej nocy były tak silne i męczące, że obydwaj, czekając na świt, zapadli w krótki sen, przerywany nerwowym nasłuchiowaniem odgłosów z wnętrza szybu. Nic jednak się nie działo. Ygg zniknął na dobre jak duch i w żaden sposób nie dał o sobie znać. Śpiew ptaków, które ocknęły się z pierwszymi promieniami słońca, i ostre światło padające przez szpary zbudziły ich na dobre.

-Czas, żebyśmy dowiedzieli się, gdzie jesteśmy. - Jorg podniósł się obolały z kamiennej podłogi.

-Na pewno na starość będę miał reumatyzm -jęknął Czerny.

-Nie martw się o to, nie dożyjesz.

-Dziękuję ci przyjacielu.

- Przecież obydwaj robimy wszystko, żeby tak się stało.

Jorg stanął przy oknie i lustrował teren. Wyglądało na to, że znajdowali się na szczycie wzniesienia i to trudno dostępnego. Z jednej strony widniało urwisko, po którym trudno się było wspiąć, a jeszcze trudniej zejść. Z drugiej strony stok wydawał się łatwiejszy, ale po kilku metrach przechodził w płytkie siodło, które raptownie się kończyło.

-Jak oni zbudowali ten domek? - Czerny rozglądał się dookoła.

- Wniesienie tutaj cegieł było niezłym wyczynem. O betonie nie wspomnę.

-Prawdopodobnie wysadzili część góry. Tylko po co?

Jorg przykląkł i pochylił się nad podłogą, gdzie widać było bruzdy i biegnące w nich kable.

- Tak jak zrobią to z tym domkiem. To kable do ładunków wybuchowych - dodał.

Poszli w stronę siodła, uznając, że tylko tą drogą uda im się zejść. Po kilkunastu krokach zauważyli betonowy pomost na skraju urwiska, w którym umocowano niską stalową konstrukcję podtrzymującą dwie liny biegnące obok siebie gdzieś na dół. Na nich wisiał drewniany wagonik przystosowany do przewozu materiałów budowlanych. Jeszcze niedawno na podejście obok musiał być silnik elektryczny, który uruchamiał tę kolejkę linową, ale pozostały po nim jedynie kotwy i resztki kabli.

-Wygląda dobrze — Jorg podszedł do wagonika. Miał półtora metra szerokości i dwa metry długości. Podłoga, oparta na metalowych płaskownikach, i wysokie burty były bardzo solidne.

-Nośność osiemset kilogramów - Czerny odczytał tabliczkę, którą podniósł z trawy.

-Miejmy nadzieję, że chodzi o nośność tego wagonika. Wsiadaj!

-Nie zechciałbyś pierwszy pojechać na dół?

-Nie ma jak go tutaj wciągnąć, więc będziesz musiał schodzić po tym zboczu, a tam szanse, że spadniesz, są dużo większe. Wsiadaj!

Jorg chwycił linę i przełożył nogę przez drewnianą burtę wagonika. Po chwili zrobił to Czerny. Liny nośne naprężyły się, bloki zaskrzypiały, ale całość robiła dość solidne wrażenie. Jorg patrzył tylko z niepokojem na zardzewiały hamulec, za pomocą którego miał regulować prędkość opadania. Czerny zauważył jego wahanie.

-Skoro inżynierowie, którzy wybudowali podziemia, zaprojektowali ten wózek, to możemy im wierzyć - stwierdził niezbyt pewnym głosem.

-Sprawdźmy, czy się nie mylisz.

-Znowu na mnie? - zdążył powiedzieć Czerny, gdy Jorg pociągnął za lewar odblokowujący hamulec i wagonik zaczął opadać ze zgrzytem zardzewiałych kół.

Coś musiało nie działać w tej konstrukcji, gdyż prędkość, z jaką zmierzali ku widocznej daleko w dole przystani, wzrastała o wiele za szybko.

Jorg walczący z lewarkiem, który dociskał hamulec do kółek przesuwających się po linie z coraz większą prędkością, patrzył niepokojnie na kamienne zbocza. Skok z wagonika przy prędkości, jaką osiągnęli, nie dawał żadnych szans przeżycia. W najlepszym wypadku połamaliby ręce i nogi, co w leśnym bezludziu oznaczało powolną śmierć z głodu lub szybszą w paszczach dzikich zwierząt. Przerażliwy zgrzyt bloków nasilał się, a Jorg czuł, jak metalowy drążek się nagrzewa, przekazując ciepło rozgrzanego hamulca.

- Ciągnij ze mną! - krzyknął do Czernego, który wpił się ręką mi w obrzeże burt.

Przesunął się, usiadł obok Jorga. Obydwaj chwycili za drążek hamulca i zdwojona siła pozwoliła zmniejszyć prędkość wagonika,

akurat w momencie, gdy koła, do których był podwieszony, najechały na koła wspornika wystającego ze skalnej ściany. Tylko to osłabiło wstrząs na tyle, żeby cały mechanizm, na jakim wisiał wagonik, nie wyskoczył w powietrze. Od tego miejsca lina biegła już bardziej poziomo, a siła, z jaką ciągnęli hamulec, wyraźnie spowolniła bieg. Niemniej wstrząs, z jakim uderzyli w drewniany pomost, był na tyle silny, że Czerny przetoczył się do burty, boleśnie uderzając się w ramię, a Jorg ostatkiem sił pozostał na miejscu, trzymając się dźwigni hamulca. Usiedli obydwaj, oddychając ciężko. Kilka sekund wcześniej widzieli, jak lecą w dół wyrzuceni z rozlatującego się pojazdu, który w żaden sposób nie był przystosowany do przewozu ludzi.

Wreszcie Czerny, jęcząc z bólu, przetoczył się nad burtą i upadł na deski pomostu. Po chwili Jorg, który nie tak boleśnie odczuł zakończenie szaleńczej podróży, usiadł obok niego.

-Próbujemy, próbujemy, a ciągle nam się nie udaje - odezwał się po chwili.

-Raczej udaje - zaprotestował Czerny.

- Nie udaje się zginać, o to mi chodziło. Bark cały?

Czerny delikatnie poruszył ręką, krzywiąc się z bólu.

-Stłuczony, o ile znam się na ośmiuset stłuczeniach, jakie za-fundowałem mojej ręce i barkowi.

-Musisz to lubić. - Jorg wstał i wyciągnął rękę do Czernego, pomagając mu wstać. - A na dodatek nie mam pojęcia, w którą stronę iść.

-Sądząc po słońcu, tam - Czerny wskazał głową, gdyż bał się poruszyć ręką.

-Chodźmy. - Jorg, podtrzymując przyjaciela, ruszył szeroką ścieżką wysypaną żwirem i tłuczniem. Najwyraźniej była to droga, którą podjeżdżały ciężarówki dowożące materiały budowlane do budowy na szczycie wzniesienia. Nie było innej trasy, gdyż po obydwu stronach gęste krzaki mieszanego lasu wskazywały, że wędrówka tamtędy będzie bardzo trudna.

-Powiedz teraz, co się z tobą działo?

-To zatrzymajmy się nad strumieniem - pokazywał widoczny w oddali drewniany most. Jorg zrozumiał, o co mu chodzi. Gdy dotarli, zdjął koszulę, oddał z niej duży kawał, który namoczył

w wodzie, robiąc zimny kompres na opuchnięty bark przyjaciela. Czerny, któremu ból bardzo dokuczał, położył się na trawie.

-Wyruszyłem dwa dni po tobie, takie było założenie „dalekiego wsparcia”. Do Leśnej, jak teraz nazywają Marklisę, dotarłem dwudziestego pierwszego maja. Gładko, prosto, jakbym był na wycieczce. Znalazłem, sobie niezłą kryjówkę i natychmiast zostawiłem ci wiadomość, jak się umawialiśmy, w oknie restauracji „Pod Jeleniem”.

-Nie odnalazłem jej. Co napisałeś?

-Nic poza tym, że „przyjechałem”. Wiedziałeś, że mamy się spotkać przed ratuszem - przerwał na moment i wyciągnął kompres spod barku. - Możesz sanoczyć?

Przyłożył okład do ramienia, czując wyraźną ulgę, jaką dawało zimno ściągające opuchnięte miejsce.

-Gdy szedłem na rynek, zatrzymali mnie milicjanci. Moje papiery, że jestem oficerem Polskich Sił Zbrojnych, tylko ich rozeźliły. A jak zobaczyli odznaczenia, to wpadli we wściekłość. Jeden przywalił mi kolbą, a drugi, niby oficer, wykrzykiwał, że „paniczyków to oni będą stąd wyrzucać”.

-To jednak nie enkawudzistów Bóg postawił przy twojej ścieżce, tylko milicjantów.

-Czekaj. Zabrali mnie na posterunek. Żeby było śmieszniej, urządzone w dawnym budynku gestapo.

-Bili?

-Nie, na szczęście komendant, przedwojenny podoficer, nie pozwolił.

-Jak się wydostałeś?

-Otóż to! Następnego dnia przyjechał cywil. Nie mówił po polsku, trochę po rosyjsku, ale jeden z policjantów znał niemiecki. Zresztą niewiele z nimi rozmawiał. Traktował ich z góry. Nawet dziwiłem się, że sobie na to pozwalają, żeby Niemiec tak nimi pomiatał. Dał jakiś dokument nakazujący natychmiastowe zwolnienie mnie.

-To ci ładną historię dopisał. Andrzej Czerny, agent NKWD! Twoje dzieci się będą wstydzić.

-Daj spokój, nie to mi teraz w głowie. Chcesz wiedzieć, co było dalej?

-Przecież widzę, wypuścił cię.

-Tak. I powiedział: „Jak pan spotka się z kapitanem Jorgiem, to niech pan przekáže mu pozdrowienia od Globckiego. Teraz jesteśmy po tej samej stronie barykady”. Tobie też ładną historię dopisał!

-Najgorsze, że nic z tego nie rozumiem. Globckie zaczął jakąś grę, jak parę miesięcy temu w Czosze. Dlaczego ten łajdak zawsze rozdaje karty?!

Jorg, najwyraźniej wzburzony podniósł się z trawy.

-Skąd wiedział, że tu jesteśmy? - Jorg chciał wybać, ile Czerny wie.

-Powie ci, gdyby nie twoje amory, to by nie wiedział.

-Daj spokój.

-A kto dał ci adres w Koburgu?

-Globckie - niepewnie odpowiedział Jorg.

-I wiedział na sto procent, że tam przyjdiesz. Potem wystarczyło ci śledzić. A przy okazji ja wpadłem.

-Nie narzekaj, wyciągnął cię z milicji. Tak by cię oskarżyli, że jesteś imperialistycznym szpiegiem, i wsadzili na dziesięć lat. Możesz iść? - wyciągnął rękę do Czernego.

Ten podniósł się z wysiłkiem.

-Ty potrafisz wywracać kota ogonem. A gdyby nie ty, siedziałbym spokojnie w sztabie w Londynie. Jak panisko! Ze zdrowym ramieniem i bez takich sensacji jak tam na dole! Oczywiście umarłbym z nudów w wygodnym fotelu...

-...raczej na Syberii. Pamiętasz, kto cię w trzydziestym dziesiątym wyciągnął z niewoli od Rosjan?

-Pamiętam, ale nie przypuszczałem, że będziesz mi to wypoминаł.

Czerny patrzył, jak Jorg robi pętlę z rękawa podartej koszuli. Delikatnie założył Czernemu na szyję i umieścił obolałą rękę na podpórcie.

-Dziękuję, przyjacielu - mruknął Czerny.

-Nie ma sprawy.

-W południe powinniśmy nawiązać łączność. W drogę.

-Jesteś pewny, że w tę stronę?

-To się okaże.

Ruszyli drogą biegnącą w dół, zakładając, że gdy zejdą do doliny, znajdą tam znaki, które umożliwią zorientowanie się, gdzie są.

26 maja, wyrzutnia Mimoyecques

Główna ulica miasteczka Wizernes zakończyła się tak nagle, jak się rozpoczęła. Niskie domy o kolorach wypłowiałych od wiatru wiejącego od morza, z oknami przysłoniętymi żaluzjowymi okiennicami, pozostały w tyle, a przed nimi otworzył się szeroki widok na pagórkowaty krajobraz Pas de Calais, krainy na północy Francji.

Aaron, który zjawił się w domu Joanny równie niespodziewanie jak dwa dni wcześniej Thomas, nie wyjawiał celu wycieczki do krainy odległej o trzysta kilometrów. Przez całą drogę starannie omijał ten temat, a ich rozmowy dotyczyły głównie dawnych czasów, gdy spotykali się w Berlinie, gdzie Aaron mieszkał przed wojną, aż w 1938 roku uznał, że musi stamtąd uciekać.

-To tam - wskazał na drogę biegnącą w prawo w stronę niewielkich wzniesień, niczym niewyróżniających się od otaczającego krajobrazu.

-Wiesz, nigdy tu nie byłam. - Joanna ciekawie wyglądała przez okno samochodu.

-Bo dla większości ludzi Francja kończy się na granicy Paryża - mruknął Aaron.

-Powinam tu przyjechać wcześniej?

-I tak by cię nie wpuścili.

-Aaron, ubóstwiam twoją logikę - Joanna wybuchnęła śmiechem tak radosnym, że Aaron też się uśmiechnął. Po raz pierwszy podczas tej podróży.

Kierowca skręcił w prawo. Droga, choć wciąż o dobrej nawierzchni, zwęziła się.

-Prosiłem, żebyś tutaj przejechała, bo musisz to zobaczyć.

-Aaron zdecydował się wreszcie podjąć główny temat ich wyprawy.

-Prosiłeś? - Joanna uśmiechnęła się ponownie. W istocie Aaron wpadł do jej normandzkiego domu jak bomba i kręcąc się

po kuchni, tonem nieznoszącym sprzeciwu kazał jej spakować niezbędne rzeczy na dwudniowy wyjazd i wsiadać do» samochodu. Co jeszcze dziwniejsze, dowodził, że kierowca, którym był młody Francuz, strasznie się spieszy.

- Widzę, że stałem się rozrywkowym facetem. Cokolwiek bym powiedział, ty wybuchasz śmiechem - powiedział to zrzędlwym to

nem, ale najwyraźniej był zadowolony, że Joanna potrafi rozproszyc jego ponury nastrój. Samochód zaczął zwalniać, gdyż żołnierz brytyjski wstał z rowu, gdzie przysiadł zmęczony słońcem, i podniósł rękę, nakazując zatrzymanie się.

Aaron podał mu przez okno jakiś dokument, najwidoczniej ważny, gdyż żołnierz zasalutował bez słowa i machnął, zezwalając na dalszą podróż.

-Nie pilnują tego miejsca zbyt dobrze - zauważyła Joanna. W pobliżu, oprócz znużonego wartownika, nie było widać innych straży.

-W istocie od kilku dni nie ma czego pilnować. Kilkadziesiąt ton dynamitu zrobiło swoje.

Droga obniżała się, prowadząc do płytkiego wąwozu, najwyraźniej sztucznie utworzonego. Samochód zatrzymał się i Aaron bez słowa wysiadł, co Joanna zrozumiała jako zachętę do uczynienia tego samego.

Za zaporą ze skrzyżowanych drutów kolczastych rozciągniętych na drewnianych palikach, gdzie zachowały się jeszcze niemieckie tablice informujące, że wchodzi do „Zonę C”, widać było wielką jamę wykutą w zboczu góry, lecz w części zasypaną skalnymi odłamkami, które osunęły się z wierzchołka wzniesienia.

-To wjazd do podziemnego systemu - wyjaśnił Aaron.

-Duży. - Joanna patrzyła na wielkie wrota, przez które mógł przejechać pociąg.

-Był większy, przed wysadzeniem.

Kilka kroków od wejścia ogarnął ich wilgotny chłód podziemi. Tunel musiał być przygotowany do wjazdu pociągu, gdyż po obydwu stronach biegły betonowe rampy wysokie na metr, a więc sięgające do brzegu drzwi wagonu towarowego. Beczkowe sklepienie nie zostało wybetonowane, choć w wielu miejscach widoczne były szalunki, przygotowane do wiania tam betonu.

Po kilkudziesięciu metrach doszli do skrzyżowania, z którego w obydwie strony odbiegały krótsze i niższe tunele. Każdy miał sklepienie i ściany wzmocnione kilkudziesięciocentymetrową warstwą żelbetu.

-Chodźmy tam - Aaron, który szedł pół kroku z tyłu, jakby zagubiony w swoich myślach, wskazał na niższy tunel. Joanna zatrzymała się.

-Pójdę, gdzie wskażesz, ale najpierw parę pytań - powiedziała tonem, z którego wynikało, że spełni swą groźbę, jeżeli Aaron jej nie odpowie.

-Pytaj - zgodził się niechętnie.

-Wygląda jakby wybuch nastąpił przed kilkoma dniami. Brytyjczycy to wysadzili?

Aaron oparł się o brzeg rampy.

-We wrześniu 1944 roku zajęły to wojska kanadyjskie, a potem przejęli Brytyjczycy i są tutaj od tego czasu. Kilkanaście dni temu założyli ładunki o wadze trzydziestu kilku ton i wysadzili główne elementy konstrukcji tego obiektu, czyniąc go niezdatnym do użytku.

-A to dlaczego? - Joanna była wyraźnie zdziwiona.

-Churchill nie chciał oddać Francuzom.

-A to dlaczego?

-Bał się, ale wyjaśnię ci za chwilę, gdy pokażę inne ciekawostki. Następne pytanie...

-To miejsce robi na tobie dziwne wrażenie. Przygnębia cię. Czuję to. Dlaczego?

Aaron spojrział w bok, jakby chciał ukryć, że do oczu napłynęły mu łzy. Potem gwałtownie opuścił głowę.

- Przepraszam - powiedziała cicho Joanna, czując, że dotknęła nadzwyczaj wrażliwego punktu. - To już chodźmy.

Nie czekając na Aarona, skrzyła do niższego tunelu, oświetlonego lampami przyczepionymi pośrodku sklepienia, który po kilkudziesięciu metrach doprowadził ich do dużej galerii biegnącej równoległe do głównego tunelu kolejowego. Na jego końcu widać było skalne rumowisko. Podchodząc do prowizorycznej bariery z desek, można było zajrzeć do wybetonowanej sztolni, zasypanej do połowy głębokości odłamkami skał. Kanał biegł do góry, a tam

kilkanaście metrów wyżej widniał kwadratowy otwór, przez który wpadało dzienne światło. Ze skalnego rumowiska wystawała stalowa rura, łączona co kilka metrów kołnierzami skręcanymi wieloma śrubami. Co trzy metry przyłączono do niej pod kątem czterdziestu pięciu stopni krótsze rury. Wszystko wyglądało jak instalacja hydrauliczna, której przeznaczenia nie sposób było ustalić.

-Co to? - Joanna oparła dłonie o rurę bariery, która, niepomalowana, pokryła się już rdzą.

-Działo o kalibrze 150 milimetrów - odpowiedział Aaron.

-Działo?

-Tak, a właściwie lufa długości 136 metrów. Oglądasz szyb, w którym było pięć takich luf. To pierwszy szyb, a dalej są dwa takie.

-A to? - Joanna wskazała na krótkie rury dołączone do lufy.

-Dopalacze. Pocisk ładowany był do lufy tam na dole, 136 metrów niżej...

-Możemy to zobaczyć?

-Nie, słuchaj dalej! - Aaron wydawał się rozdrażniony. - Pocisk miał trzy metry długości. Po załadowaniu do lufy odpalano główny ładunek, który zaczynał pchać go do góry. Gdy pocisk przesunął się o trzy metry i mijał boczne rury, eksplodowały w nich ładunki, nadając pociskowi dodatkową energię. I tak co trzy metry, aż u wylotu lufy pocisk uzyskiwał energię pozwalającą pokonać odległość sześćdziesięciu kilometrów.

-Londyn znalazł się w zasięgu tych pocisków...

-Tak. W tym szybie było pięć dział, w następnych dziesięć. Każdej doby, godzina po godzinie, piętnaście dział miotałoby pociski na Londyn.

-I po kilku tygodniach miasto zamieniłoby się w ruinę.

-Otóż nie! Zanim wystrzeliło pierwsze działo stało się to, co musiało się stać! Przyleciały bombowce RAF-u. Chodźmy na powietrze. Nie lubię podziemi.

Aaron odwrócił się i nie czekając na Joannę, ruszył w stronę wyjścia.

Ciepło majowego dnia owiało ich, gdy tylko opuścili mroczny tunel. Aaron szedł szybko wąską ścieżką wśród krzaków, prowadzącą na szczyt wzniesienia. Pochyłość nie była duża i po kilku

minutach stanęli na szczycie pagórka, gdzie widać było potężne kęsy betonu wyrwane wybuchem.

- To resztki wielkiej betonowej płyty, w której były otwory szybów z działami. Początkowo miało być pięć szybów, ostatecz nie Niemcy zdecydowali się na trzy. Oczywiście takie roboty nie mogły ująć uwagi brytyjskiego wywiadu, który dość szybko ustalił, że Niemcy budują tu podziemne wyrzutnie rakiet lub wielkie moździerze. RAF zaczął bombardowania w listopadzie 1943 roku i zrzucił bomby do sierpnia 1944 roku. W tym pięćciopółtonowe Tallboy. To było straszne...

Aaron usiadł na brzegu betonowego bloku. Milczał przez chwilę, jakby wspomnienie dramatycznych chwil ścisnęło go za gardło.

-Po wybuchu skały pod nogami kołysały się i pękały, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi...

-Byłeś tu?

Aaron milcząco skinął głową.

- Gdy nadlatywały samoloty, Niemcy zwozili więźniów do tu nelu położonego najniżej, tam gdzie miały być lądowane działa. Wybuch jednej z bomb Tallboy spowodował tak wielki wstrząs, że tunel zawalił się. Zginęło ośmiuset więźniów. Wciąż tam są...

Znowu zamilkł, a Joanna, czując, że związana jest z tym jego osobista tragedia, nie odzywała się.

- Wiesz, czasami myślę, że niektórzy mogli przeżyć - odezwał się po chwili. - Mogły utworzyć się szczeliny, przez które dochodzi powietrze. Ze skał płynie woda...

Znowu zamilkł, gdyż uznał, że wzruszenie jest zbyt widoczne w jego słowach. Rozwahał coś, wreszcie wyrzucił to z siebie.

- Dobrze, Joanno - powiedział uroczystym tonem zwiastującym, że podjął ważną decyzję. - Powiem ci. Wyjaśnię, co się tutaj ze mną dzieje.

Nabrał oddechu.

- Tam była moja żona Ester. Ja zostałem na górze, bo nie zdążyli mnie zapakować do wagoniku windy. Myślę... mam nadzieję, że przeżyła. I czeka tam na mnie, woła mnie... żyje...

Wtulił głowę w ramiona. Już nie ukrywał łez, które pociekły mu po policzkach. Joanna podeszła i ukucnęła przed nim. Objęła go za szyję i położyła mu głowę na ramieniu. Tak bardzo rozumiała

jego stratę. Kiedyś tak samo ludziła się, że jej mąż, aresztowany przez gestapo, przeżył. Aż przyszedł admirał Canaris, żeby ją poinformować, że Herberta zamęczono na torturach. Ale nawet wtedy nie uwierzyła w jego śmierć.

- Zapytasz, co tu robiłem. - Aaron podniósł głowę i roztarł dłoń nia łzy na policzkach. - Znamy się tyle lat. Winien ci jestem to wyjaśnienie.

Ponownie przesunął dłonią po policzku.

-Ester i ja uciekliśmy z Niemiec do Francji w 1938 roku. Potem, kiedy weszli tam Niemcy, wyjechaliśmy do Londynu. Wtedy zgodziłem się na współpracę z brytyjskim wywiadem. Zostałem doradcą naukowym, ale nie wystarczało mi to. Chciałem walczyć. W 1942 roku przerwali mnie do Francji. Przypadkowo spotkałem jednego z niemieckich naukowców, z którym pracowałem w latach trzydziestych. Załatwił mi pracę w instytucie w Paryżu.

-Niemcy zaakceptowali ciebie, Żyda?

-Tak, Hitler już zrozumiał, że wyrządził ogromne szkody niemieckim wysiłkom zbrojeniowym, zgadzając się na emigrację lub odsuwając od pracy najwybitniejszych naukowców takich jak Einstein czy Lise Meitner. Zaczęli, niechętnie, akceptować Żydów w swoich instytucjach naukowych. Moja działalność nie trwała długo. Wykryli moją siatkę, aresztowali mnie. Torturowali. Strasznie męczyli...

Spojrzał na swoje okaleczone dłonie.

- Nie wytrzymałem... Załamałem się. Wydałem trzech ludzi. Zginęli.

Zacisnął dłonie i siedział w milczeniu z opuszczoną głową. Widać było, jak bardzo bolesne przeżycia ujawnia. Jak głęboko wdarły się w jego jaźń.

- Liczyłem, że mnie zabiją, bo tylko w ten sposób mógłbym odkupić moją winę. Modliłem się o śmierć, ale jak widzisz, oszczędzili mnie. Uznali, że bardziej przydam im się żywy niż martwy. Tym bardziej że mieli zakładniczkę, moją Ester. Wysłali nas tutaj, do Mimoyecques. Zginęła przeze mnie, bo to ja przekazałem Angli kom informację o tym, co tu budowali. Było to szóstego lipca 1944 roku, gdy zrzucili siedem bomb Tallboy.

Zamilkł. Żal ścisnął mu gardło. Więc wstał i przeszedł parę kroków, aż opanował się i wrócił do Joanny.

- Co za broń tutaj budowano? - zapytała Joanna zdecydowana skierować jego uwagę w inną stronę.

-Czytałaś *Z Ziemi na Księżyc* Juliusza Verne'a?

Joanna potrząsnęła głową.

-Nie, widocznie była to lektura obowiązkowa dla chłopców.

-Otóż, mylisz się! - Aaron zareagował, jakby żart Joanny dotknął go osobiście. - To genialna powieść genialnego człowieka. Wiesz, co on wymyślił?

-Nie wiem, nie czytałam, ale przeczytam, słowo!

-Działo, które nazwał Kolumbiada, kalibru ponad dwa i pół metra, z lufą długości sześćdziesięciu jeden metrów. Ładunek stu dwudziestu dwóch ton prochu strzelniczego miał wyrzucić pocisk wykonany z aluminium o grubości ścian trzydzieści centymetrów. Wewnątrz było trzech pasażerów.

-Przeżyli wystrzelenie z tej armaty?

-W pocisku były urządzenia łagodzące wstrząs. Wylatywał z lufy z prędkością ponad szesnastu kilometrów na godzinę. Prędkość spadała w czasie przejścia przez atmosferę, ale pozostawała wystarczająco duża, aby opuścić Ziemię i dotrzeć do Księżyca!

Joanna patrzyła, jak na policzkach Aarona rozlewają się rumieńce. Wracał do swojej pasji i zdawał się zapominać o najbardziej tragicznych przeżyciach. Chyba dostrzegł cień niedowierzania czy też zdziwienia w jej oczach, gdyż przerwał relację z podróży na Księżyc.

-Słuchaj, jestem naukowcem, a nie fantastą. Podszedłem do pomysłu Verne'a bardzo analitycznie i krytycznie. Oświadczam ci, że możliwe jest wystrzelenie pocisku, który opuści Ziemię. Oczywiście nie z ludźmi w środku. I nad tym pracowałem przed wojną. Dlatego Niemcy nie zabili mnie, ale przysłali tutaj.

-Budowali działa kosmiczne?

-Nie kosmiczne, ale dalekosiężne. Te, które tutaj wstawili, miały być tylko egzemplarzami testowymi. W tych szybach - wskazał na otwór zięjący w betonie - można było zamontować lufy o znacznie większym kalibrze. Zresztą prawie to zrobili.

-Były tu inne działa?

-Byli już gotowi do wstawienia luf działa „Schlanke Berta”, o kalibrze powiększonym do trzystu dziesięciu milimetrów, a ich pociski miały raketowe wspomaganie.

-Dobrze, Aaron, to wszystko bardzo ciekawe, ale teraz powiedz, po co mnie tu przywiozłeś?

-Bo dwa dni temu przekazałaś mi meldunek od Jorga.

- Dotarł do bunkra z szybem o głębokości ponad stu metrów...

Joanna przerwała.

-Tak, dobrze myślisz. Wiesz, umieszczenie tej wyrzutni tutaj na brzegu kanału La Manche było wielkim błędem jej twórców. Francuski ruch oporu działał na pełnych obrotach, szpiegów takich jak ja było wielu, a angielskie samoloty bezustannie krążyły nad głowami. Tej wyrzutni nie dało się ukryć ani zabezpieczyć przed bombardowaniem. Musiała zostać zniszczona.

-A jest takie miejsce, gdzie nic by im nie zagrażało...

-Tak, góry, które łatwo drażyć, ze względu na właściwości skał, miękkich a jednocześnie spoistych, poza zasięgiem alianckich samolotów obserwacyjnych i bombowców, w przyjaznym środowisku niemieckiej społeczności.

-Jorg to odkrył?

-Tak.

-Ale działa umieszczone na Dolnym Śląsku miałyby za mały zasięg, aby zagrozić aliantom.

-Jeżeli będziemy szacować ich zasięg w poziomie, a nie w pionie.

-Wybacz, nie rozumiem. Zasięg to odległość, a nie wysokość.

-Zadaniem tych dział nie byłoby wystrzelenie pocisku na odległość kilkuset kilometrów, lecz na wysokość, powiedzmy, trzystu kilometrów. Pocisk stałby się satelitą Ziemi i mógłby z orbity zaatakować każdy punkt na kuli ziemskiej.

-Przerażasz mnie...

-Nie wiem, co Niemcy osiągnęli w tej dziedzinie. Obawiam się jednak, że parę takich wyrzutni pozostało w dolnośląskich górach, oczywiście doskonale zamaskowanych, czekających, aż ta kraina powróci do Niemiec.

-To mam przekazać Jorgowi?

-Tak.

Aaron wstał z betonowego bloku, zerwał kwiatek wyrastający spod kamienia i wrzucił go do otworu szybu. Stał z pochyloną głową, jakby modlił się nad grobem bliskiej osoby. Joanna nie śmiała się odezwać. Czekala, aż podniesie głowę i obróci się.

- Aaron, jeszcze jedno pytanie.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

-Tam w bunkrze, gdzie byli Jorg i Czerny, został zabity człowiek, a zabójca na ścianie napisał krwią „Ygg”. Sądzą, że chodzi o przydomek nordyckiego boga Odyna.

-Chyba raczej o jego włócznię Gungnir. Przynosiła zwycięstwo wojownikowi, który ją miał. Przekaż Jorgowi, że naprzeciw niego stanął strażnik tej włóczni. To groźne. Bardzo groźne.

Zaczęli ostrożnie schodzić ścieżką prowadzącą na plac przed wejściem do tunelu. Joanna pomyślała, że Aaron przywiózł ją tutaj także z innego powodu. Dla niego były to jakby odwiedziny grobu żony, za której śmierć się winił. Być może świadomość, że odkrył właściwe przeznaczenie tej budowli, poligonu strasznej, zagrażającej światu broni, pozwoli mu wybaczyć sobie, że kiedyś, w wyniku jego informacji, nadleciały samoloty i zrzuciły bomby, które zabiły Ester.

Szła za nim, więc widziała tylko tył jego głowy, ale odnosiła wrażenie, że był spokojniejszy, jakby zrzucił z siebie straszne poczucie winy.

Stanęli przed wielką jamą prowadzącą do podziemi. Góra kryjąca wyrzutnie wydawała się Joannie jeszcze większa niż godzinę wcześniej, gdy przybyli do tego miejsca.

-Myślisz, że łatwiej byłoby wysłać samoloty z bombami, niż budować takie gigantyczne działa? - odezwał się niespodziewanie Aaron, jakby słyszał myśli Joanny.

-Tak... - spojrzała na niego zaskoczona, że odgadł jej myśli.

-Niemcy nie mieli bombowców dalekiego zasięgu.

-A Ju 390? - przypomniała sobie raporty wywiadowcze, jakie otrzymywała na temat tego samolotu.

-Prototyp, w dodatku transportowiec. Testowany w ostatnich miesiącach wojny. Nie było szans, żeby zdołali go wykorzystać w najbliższym czasie. Poza tym mieli świadomość, że to alianci panują w powietrzu i samolot zostanie strącony, zanim doleci do celu. A przed tym działem nie było obrony.

Aaron spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta, więc mieli szansę na powrót do normandzkiego domu Joanny jeszcze tego dnia. On jednak najwyraźniej nie miał na to ochoty. Chciał pozostać

z nią, jakby czując, że rozmowa oczyszcza go z niedających mu spokoju wyrzutów za śmierć trzech współtowarzysza których zdradził, oraz ukochanej żony.

-Wiesz, czytam raporty o rejsie okrętu podwodnego U-234...

-Został przechwycony przez Amerykanów.

-Tak, ale czy wcześniej nie wyładował czegoś w jakimś porcie w Afryce czy w Ameryce Południowej, albo na środku Atlantyku?

-Załoga nic nie mówi na ten temat.

-Bo ich nie pytają. Proponowałem, aby wyjaśnili tę sprawę, ale znasz Amerykanów, oni są najmądrzejsi.

-Sądziś, że gdzieś jest ukryta ta broń?

-Tak.

-Ale jej użycie wymaga takich wielkich budowli!

-Jest wiele państw, które chętnie wybudują takie działa. A w przyszłości będzie ich jeszcze więcej.

Aaron spojrzał na zegarek.

-Joanno, zgłodziłem, niedaleko w Wizernes jest dobra knajpka. Zapraszam cię na obiad.

-Pod warunkiem że nie mają tylko ślimaków - Joanna zgodziła się szybko. Czuli, że Aaron będzie chciał jeszcze z nią rozmawiać o minionych strasznych czasach.

26 maja, Łubianka

Zarubin przetarł dłonie o sukno marynarki. Pocił się. Najchętniej rozpiąłby kołnierzyk koszuli, ale dyplomatyczne przeszkolenie powstrzymywało go przed sięgnięciem do guzika pod szyją. Zawsze odczuwał strach, gdy nadchodziło wezwanie od Berii. Wtedy tłumaczył sobie, że nie spotka go nic złego, bo NKWD inaczej załatwiało sprawy z ludźmi, których chciało się pozbyć. Tym bardziej że wraz z zakończeniem wojny mówiło się o schyłku potężnego Berii.

Nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu. Ponownie poczuł falę niepokoju. Beria patrzył na niego znad okularów, co nadawało jego wzrokowi nieprzyjazny wyraz. Tak, najwyraźniej był niezadowolony.

-Melduję się... - zaczął Zarubin, ale Beria przerwał mu gestem, nakazując, żeby podszedł i usiadł na jednym z dwóch skórzanych foteli dosuniętych do frontowej strony biurka. Usiadł posłusznie, podciągając nogawki.

-Otrzymałem wasz pełny raport. - Beria podniósł papiery leżące przed nim, ale natychmiast opuścił je na blat. - Niepokojący...

-Co w nim niepokojącego, towarzyszu komisarzu? - zaczął niepewnie Zarubin. Nie mógł się zorientować, czy Beria uważa dokument za zbyt ogólnikowy, czy też ma zastrzeżenia do prawdziwości zawartych tam ustaleń. Potwierdzały się jego najgorsze przeczucia. Już wtedy gdy kończył pracę nad meldunkami z Dolnego Śląska, uważał, że przełożeni nie będą zadowoleni. Napisał w konkluzji, że Niemcom udało się skonstruować bombę atomową małej mocy, którą pod nosem wojsk radzieckich oblegających Wrocław wywieźli na Zachód lub ukryli. Włączył też do raportu doniesienia „Toma” o przechwyceniu przez US Navy niemieckiego okrętu podwodnego U-234, na którego pokładzie były materiały radioaktywne i urządzenia do skonstruowania reaktora.

-Otrzymuję same złe wieści - podjął Beria. - Amerykanie weszli do Nordhausen w Turynii i zabrali wszystko z fabryki rakiet. Ale nam też zostawili, wiecie co? - nie czekał na odpowiedź i natychmiast dodał - gówno! I to tylko po to, żeby nas zezłościć. W Stassfurcie, też w naszej strefie okupacyjnej, Zawieniagin dotarł do fabryki, skąd Amerykanie wywieźli ponad tysiąc ton rudy uranu! Zdajecie sobie sprawę!

Przerwał i wstał zza biurka. Zarubin też usiłował się podnieść, ale Beria, który obszedł biurko, położył mu rękę na ramieniu. To był bardzo przyjacielski gest, który Zarubin przyjął z wdzięcznością psa głaskanego po łbie. Już wiedział, że Beria nie miał mu niczego za złe, raczej zaniepokoiła go sytuacja i chciał się naradzić.

- Nie to jest najgorsze - podjął Beria. - Odkrywacie, że na Dolnym Śląsku była bomba atomowa...

Zarubin skinął głową. Taka była konkluzja jego raportu.

- Była! - powiedział z naciskiem Beria. - Czyli znowu nam sprzątnęli sprzed nosa. Tym razem Niemcy. To znaczy, że my jesteście śmy niezguły! Tak?

- No, nie, nie powiedziałbym - Zarubin uznał, że powinien za protestować. - Towarzysze z...

Beria nie chciał jednak tego słuchać. Wrócił na swoje miejsce za biurkiem i podniósł ołówek. Machał nim jak batutą, wyznaczając rytm swoich słów.

- Nie pójdę z tym do Stalina! - wskazał na raport. - To nie miałyby sensu. Po co mówić Gospodarzowi o tym, co było, czego nie udało się znaleźć, co nam zabrali sprzed nosa. Tylko go zdenerwu je, zgadzacie się?

Zarubin szybko skinął głową.

- Też uważam, że towarzysz Stalin ma wiele innych...

Beria znowu mu przerwał. Najwyraźniej nie interesowało go, co ma Zarubin do powiedzenia.

- Nasze osiągnięcia w atomistyce są bardzo duże. Również dzięki wam towarzyszu.

Zarubin uśmiechnął się. Miło mu było słyszeć słowa uznania za wiele lat pracy w Ameryce, gdzie stworzył potężną siatkę wywiadowczą, przed którą nie było tajemnic. Każdego miesiąca wysyłali setki depech o działaniach amerykańskich naukowców konstruujących bombę atomową w Los Alamos.

-W Niemczech też sporo zyskaliśmy, chociaż między nami czekistami możemy sobie powiedzieć, że Amerykanie w wielu miejscach nas ubiegli.

-Bo łamali sojusznicze porozumienia! Wdarli się do Nordhausen, gdzie ich nie powinno być! - rzucił szybko Zarubin, co wyraźnie spodobało się Berii.

-Tak, łamali, ale ja nie o tym - podjął Beria. - Wysyłam was na Dolny Śląsk. Musimy zatrzeć ślady ich broni atomowej. Na nic to nam! Urządzenia, które pozostały - wywieźć. Rury, kable, drzwi pancerne -na złom! Nasze huty potrzebują złomu. Tym razem dla pokoju.

-Tak jest!

-Te ziemie przejmują Polacy. Wydałem rozkaz, że w ciągu trzech miesięcy nie może tam pozostać jakiegokolwiek ślad!

-Tak jest!

Beria musiał dostrzec zaskoczenie na twarzy Zarubina, ale nie zamierzał wyjaśniać swoich decyzji. Uważał, że NKWD przekazało radzieckim atomistom dość wiedzy o konstrukcji amerykańskiej

bomby uranowej i plutonowej, aby zajmować się analizą działań naukowców niemieckich. Nie sądził, aby oni mogli pójść dalej niż Amerykanie. Dla niego, człowieka odpowiedzialnego za wyprodukowanie radzieckiej bomby, w tej dziedzinie najważniejsze były już działania organizacyjne: produkcja czystego grafitu, z czym były ogromne kłopoty, wzbogacanie uranu, dostarczenie energii elektrycznej, a przede wszystkim zachowanie tajemnicy. Pod tym względem nie wierzył naukowcom. Byli krnąbrni i zdawali się nie rozumieć, może poza Kurczatowem, że muszą pracować w oderwaniu od naukowego świata. Był jeszcze jeden powód, dla którego chciał zatrzeć wszelkie ślady na Dolnym Śląsku. Przez co najmniej trzy lata Niemcy budowali tam gigantyczne podziemne systemy, zatrudniając przy tym dziesiątki tysięcy więźniów, inżynierów z Organizacji Todta i techników. Zwozili miliony ton stali i betonu. A kierowany przez niego wywiad nic o tym nie wiedział! To był wystarczający powód, dla którego Stalin mógł wystąpić przed Prezydium Komitetu Centralnego i powiedzieć: „Towarzysz Beria nie sprostął zadaniu!”. I na dowód pokazałby zdjęcia betonowych tuneli przecinających góry, nowych linii kolejowych, bram tak wielkich, że mogły tam wjeżdżać pociągi. „Kto, towarzysze, jest za odwołaniem towarzysza Berii ze stanowiska, któremu nie sprostął?”. Już widział ręce podnoszące się do góry. Niemal każdy miał mu coś za złe. Chruszczow, Kaganowicz, Malenkow. Każdy wbiłby mu nóż. Nie! Ślady w dolnośląskich górach musiały zostać zatarte, a uwaga Stalina utrzymana przy projekcie „Żądło”, który sam wymyślił. Poza tym miał wszelkie podstawy, aby przyjąć, że właśnie tam wypłynie tajemnica dolnośląskich budowli.

- Towarzysz Stalin, osobiście, zainteresowany jest projektem inwigilacji esesmańskich organizacji. I w tej dziedzinie mamy wielkie osiągnięcia... - Beria zawiesił głos, dając wreszcie Zarubinowi szansę pochwalenia się osiągnięciami.

- Tak jest. Uniemożliwiliśmy ucieczkę Skorzenego, a powiem więcej. Nasz agent jest przy nim i w odpowiednim momencie może tę ucieczkę zorganizować.

-Kto to jest?

-Porucznik Wheelis. Pracujemy teraz nad uwiarygodnieniem go w środowisku esesmańskim.

-Coś bliżej na jego temat...

-Oficer amerykański, komunista. Pracuje dla nas ze względów ideologicznych. Był przy śmierci Himmlera.

-Ach, to ten - Beria przypomniał sobie agenta, o którym mówił Zarubin. - Czytałem jego raport. Ciekawy.

Wheelis zauważył, że na policzku człowieka, który popełnił samobójstwo w Luneburgu, nie było niewielkiej blizny, którą miał Himmler. Dlatego uznał, że truciznę połknął sobowtór, a nie szef SS. Nie udało mu się ustalić, gdzie pochowano zwłoki człowieka zmarłego w Luneburgu.

-Mam jeszcze inne pomysły - mówił Zarubin.

-No, jakie?

-Udało nam się wprowadzić go do zespołu przygotowującego proces zbrodniarzy przed międzynarodowym trybunałem.

-Oddelegowaliśmy tam prokuratora Rudenkę.

-Wheelis będzie z nim w kontakcie. Ale co najważniejsze, to nawiąże znajomości z najważniejszymi faszystami. To będzie jego legitymacja otwierająca każde drzwi w powojennym świecie.

Beria kiwał zadowolony głową. Podobały mu się pomysły Zarubina. I nagle pomyślał, że niewiele brakowało, aby po oskarżeniach Markowa wydał rozkaz rozstrzelania tego człowieka. A tu, okazuje się, może się jeszcze przydać.

Zarubin otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach, i wydobył kartkę. Podsunął ją Berii.

- To jest lista naszych agentów, których umieściliśmy w środowisku esesmańskim. Na pierwszym miejscu Gruppenführer Ohlenrode. Szycha!

Zarubin zerknął na Berię, czy ma dostarczyć więcej informacji, ale ten najwidoczniej wiedział, kim jest Ohlenrode.

-Wysyłamy go do Genui, gdzie wsiądzie na argentyński statek.

Ale wcześniej będzie w Watykanie... - zawiesił głos. Wiedział, że Beria musi na to zareagować.

-Ciekawe - Beria podniósł głowę.

TO był as w rękawie, z którym Zarubin przyszedł do tego gabinetu. Jego koło ratunkowe. Zakładał, że rozmowa może przebiec źle, a wówczas zamierzał pochwalić się wiedzą na temat Watykanu.

-Ustaliliśmy przebieg tras przerzutowych esesmanów. Główna prowadzi przez Watykan. Tam zaopatrywani są w fałszywe paszporty i pieniądze. Mają też bezpieczne schronienia, w których czekają na załatwienie formalności imigracyjnych.

-Papież pomaga zbrodniarzom? - zdziwił się Beria.

-Chyba o tym nie wie. Z naszych ustaleń wynika, że to prywatna sprawa dwóch biskupów...

Znowu zajrzał do swojej teczki i wyjął dwie fiszki ze zdjęciami.

- Główny to biskup Alois Hudal - podjął, gdy Beria przyjrzał się zdjęciom. - Uważa esesmanów za rycerzy Chrystusa! Takich co to chronią cywilizację przed bezbożnikami bolszewikami. Dlatego im pomaga. Mamy doniesienia, że dzięki jego wstawiennictwu i po mocy uciekło wielu zbrodniarzy.

Zarubin mówił szybko, żeby się pochwalić szeroką wiedzą na temat watykańskich kanałów. Najważniejszą informację wciąż trzymał w zanadru. Odczekał chwilę i wtedy wyrzucił z siebie.

-Wprowadziliśmy naszego agenta do jego otoczenia...

-Ooo... - Beria podniósł brwi. Doceniał tę informację. W operacji „Żądło” miała swoją wagę.

-...i już wiemy, że pan biskup jest pedofilem! Szczególnie lubi jasnowłosych chłopców! Namierzyliśmy trzech! Nie wywinie się!

Zarubin mówił to coraz bardziej szczęśliwy. Czuł, jak Beria chłonie jego sensacje.

-Innymi słowy już bardzo dokładnie będziemy mogli kontrolować przepływ esesmanów przez Włochy. Za pośrednictwem Hu-dala chcę wprowadzić agenta do argentyńskiego biura imigracyjnego. Będziemy znali nową tożsamość esesmanów wsiadających na statki w Genui.

-Dobrze, Wasiliju Michajłowiczu. Dobrze. - Beria był wyraźnie zadowolony.

-To nam rozwiąże wiele innych problemów. Pozwolimy Ohlenrodemu uciec, ale szybko znowu trafi do naszej sieci w Watykanie u biskupa. Tyle że nie będzie nic o tym wiedział. Jeszcze muszę dopracować sprawę Skorzenego.

-Jak go chcecie wykorzystać?

-Na razie zablokowaliśmy próbę ucieczki, ale trafił do dobrze strzeżonego więzienia w Norymberdze. Pracuję nad tym.

-Pamiętajcie, to jest nasza główna operacja. Poświęćcie temu wszystkie siły, gdyż jej znaczenie jest równie wielkie, jak wydarcie imperialistom tajemnicy broni atomowej.

-Tak jest!

Zarubin schował kartkę do teczki i podniósł się z fotela. Uznał, że rozmowa jest skończona. Stał na baczność i skinął głową. Widząc gest przyzwalający oddalić się, ruszył rażno do drzwi. Był zadowolony. Bardzo zadowolony. Beria pamiętał o jego zasługach w Ameryce i powierzał operację, którą, jak stwierdził, osobiście interesuje się towarzysz Stalin! A może towarzysz Stalin sam wymyślił tę operację!

Zamknął za sobą drzwi ostrożnie, żeby nie narobić hałasu.

- Jelizawietto Iwanowna - zwrócił się do sekretarki, która niechętnie podniosła głowę. Nie lubiła, jak goście szefa coś do niej mieli. Nie dla nich tu siedziała. Patrzyła pytająco.

- Mam do was gorącą prośbę. Szef wysłał mnie na Dolny Śląsk. Tam działa pułkownik Czyżyków. Zawiadomcie go proszę o takiej decyzji towarzysza Berii.

Skinęła głową potakująco i wróciła do układania papierów, których każdego dnia przybywało. Nie miała zamiaru wykonać tej prośby. Do czego by doszło, gdyby zajmowała się prośbami każdego wychodzącego od Berii!

- Jak wrócę stamtąd, to przywiozę wam podarek - dodał Zarubin. - Jesteście dla mnie zawsze taka miła, że muszę wam przywieźć coś ślicznego. Coś takiego, co księżniczki nosiły. Na przykład w Fürstenberg, dokąd jadę, była taka Daisy. Piękna, jak wy.

Jelizawietta Iwanowna rozpromieniła się. Poprawiła kok załotnym gestem, co przy jej urodzie wyglądało, jakby ropucha mało wała rzęsy.

- Jakie tam podarki, Wasiliju Michajłowiczu, nie trzeba.

Zawsze zwracała się do niego „towarzyszu Zarubin”, a teraz tak

po, niemalże po imieniu. No proszę, jak łatwo podejść komunistkę. Widział ich tyle w Nowym Jorku. Żony dyplomatów, handlowców. Jak przyjeżdżały, to do razu do sklepów. Takich najtańszych, żeby tylko kolorowe fatałaszki kupić. A w pracy albo na zebraniu organizacji partyjnej krzyczały: „Trzeba wyzwolić się od niskich pragnień konsumpcji!”.

- Szybko wróć - dodał z uśmiechem, mówiącym, że sekretarka może spodziewać się prawdziwych skarbów, jakie dla niej przywiezie z opuszczonych dolnośląskich pałaców, i zniknął za drzwiami. Już był pewien, że Jelizawietta Iwanowna wyśle odpowiednie pismo do Czyżykowa, co sprawi, że tamten nie będzie mu przeszkadzał, wiedząc, że za plecami Zarubina stoi sam Ławrientij Beria.

27 maja, bunkier

Trzy dni spędzili w kwaterze, którą wynalazł Czerny, a było to najgorsze miejsce, jeżeli chciało się myśleć o wygodzie. Niewielka piwnica w spalonym domu była duszna, pozbawiona okien i wilgotna. Prawdopodobnie dawny właściciel obawiając się wojny i zbliżających wojsk radzieckich, wykopał ją i zamaskował, aby znaleźć tam bezpieczne schronienie i przeczekać najgorszy czas. Dlatego w szafie zgromadził trochę zapasów w dużych metalowych puszkach po kawie i landrynkach. Kiedyś wypełnione cukrem i mąką, stały równo na półkach, ale były już puste. Nie wiadomo było, co stało się z zapobiegliwymi ludźmi. Prawdopodobnie żołnierze zaskoczyli ich we śnie i dlatego nie zdążyli schronić się w tym bunkrze, a potem w pośpiechu zabierali najbardziej wartościowe rzeczy, nie myśląc o tajnej piwniczce. A może ich zabito?

Wchodziło się przez wąskie drzwiczki zamaskowane stertą cegieł i gruzu, która wyglądała tak, jakby gospodarz nie zdążył jej wywieźć na wysypisko śmieci. Niewielkie było zagrożenie, że przesładowcy bez psa odkryją to pomieszczenie.

Oświetlała je lampa naftowa wisząca na ścianie, choć używali jej rzadko, gdyż zapas nafty był niewielki, a bali się, że płomień wypali powietrze. Budowniczy schronu przewidział to i doprowadził dwa kanały wentylacyjne, ale zostały zasypane podczas pożaru domu. Pod ścianami stały dwie duże prycze przykryte kocami, a obok nich dwie małe, z całą pewnością przygotowane dla dzieci. W rogu, obok metalowej szafy z żywnością, był duży baniak na sto litrów wody, stolik z miednicą, obok stały talerze i kubki. Na

drugim stoliku, gdzie stała druga lampa naftowa i metalowy pojemnik z resztką nafty, leżało kilka książek. Czerny stawiał tam radiostację, ale żeby nadawać, prznosił się na strych, gdzie skrawek ocalałego dachu chronił go przed deszczem. Wszystko to wskazywało, że budowniczy tego schronu zakładał, iż on z rodziną będą przebywać tam przez wiele dni, nie wychodząc na zewnątrz, aby bezpiecznie przeczekać najgorszy czas.

Czernemu to miejsce wskazał przewodnik, który przeprowadził go przez granicę, co wskazywałoby, że czasami używano tej kryjówki dla przemycanych ludzi i towarów. Piwniczka miała jeszcze jedną zaletę. Pod drewnianą klapą pośrodku betonowej podłogi było niewielkie wgłębienie, w którym zawinięte w naoliwiony papier leżały dwa pistolety maszynowe Schmeisser, kilkanaście magazynków i cztery granaty trzonkowe. Były też dwie prostokątne latarki z dużymi odbłyśnikami i kilka płaskich baterii. Najwidoczniej gospodarz zamierzał używać ich podczas nocnych wycieczek na podwórze dla nabrania wody lub wypróżniania wiadra, które miało służyć za toaletę.

- Przyda się ten arsenał - mruknął Jorg. Leżał na plecach, wpatrując się w ciemność.

Zapadła cisza. Słyszał było postękiwanie Czernego, który podnosił się z posłania, odgłos zapalniczki pocieranej o draskę i wreszcie błysnął płomień lampy naftowej.

-Po co? Chcesz iść na wojnę? - Czerny wydawał się zaniepokojony słowami przyjaciela.

-A po co leżymy w tej norze?

-No, po co? -jak echo powtórzył pytanie Czerny.

-Czekamy, aż twoje ramię odzyska sprawność.

-Odzyskało, choć boli. I co?

-To dobrze. Ruszamy.

Czerny uniósł się gwałtownie. Zbyt gwałtownie jak na stan jego ramienia. Krzyknął z bólu i opadł na posłanie.

-Unikaj gwałtownych ruchów - doradził Jorg.

-Chcesz wracać do tych trupów i paskudnego wampira mordującego skutych więźniów?!

-A ty nie?

-Proszę cię, nie żartuj. Nie mam ochoty!

- Odebrałeś wiadomość od Aarona? Wiesz więc, czego szukamy!

Czerny nie odzywał się. Naprawdę nie miał ochoty wchodzić do strasznych podziemi.

-Uważam, że jesteśmy bardzo blisko. Chcesz, żeby Rosjanie nas wyprzedzili?

-Dobrze - powiedział wreszcie Czerny. - Kiedy?

-Jak tylko będziesz mógł utrzymać broń.

-Już mogę - odpowiedział ponuro.

-To jutro.

Czerny już nie odpowiedział. Przeraziła go myśl powrotu do podziemi, w których panował straszliwy odór. Nie to było najstraszniejsze. Wyobraźnia podsuwała mu obraz przegranej walki z upiorem podziemi, który wrzucił ich do tej komory, skazując na powolną śmierć wśród rozkładających się szczątków. Ilu ludzi miał upiór? Nie wiedzieli tego. A oni byliby tylko dwaj, uzbrojeni w pistolety maszynowe i parę granatów. Trochę mało, żeby wygrać podziemną bitwę. W dodatku mieli niewielkie pojęcie o podziemiach, które tak dobrze znał ich wróg. Mógł pojawiać się niespodziewanie, atakować z zasadzki, zająć od tyłu i pozbawić przytomności, uderzając w potylicę, lub zrzucić do jakiegoś kanału, w którym leżeliby jak dzikie zwierzęta w wilczym dole.

-Aaron czeka na informacje o średnicy rury, jej długości i sposobie zamontowania. Tak? - Jorg jakby wiedział o czym rozmyśla Czerny.

-Tak - przyznał niechętnie.

-To jak chcesz to zdobyć, nie wchodząc tam?

-Dobrze, już się zgodziłem. Przestań zrzędzić!

-Ostatecznie mogę pójść sam, ale do końca życia nie pozbędiesz się wyrzutów sumienia.

-Jasne, lepiej trafić na upiora. Koniec życia, jakkolwiek by był, nadejdzie szybciej, ale bez wyrzutów sumienia, za to w poczuciu...

-Andrzej! Przestań gadać, a pomóż mi - burknął Jorg. Otworzył kłapę do schowka pod podłogą i wyciągnął dwa schmeissery. Sprawdził, jak działa zamek i naboje w magazynku. Dwa inne wsunął do kieszeni. Drugi pistolet podał Czernemu.

-Dzisiaj idę do Marklissy.

-Po co?

-Może Luge da nam coś do zjedzenia, a i muszę się z nim pożegnać.

-Jakie to piękne - mruknął Czerny. - Ale wróć.

Mimo wczesnej godziny Lugego nie było w domu. Stał na podwórzu restauracji i polewał wodą wybetonowaną powierzchnię. Wyraźnie ucieszył go widok Jorga.

-Bałem się, że pana zabili. Bo przecież ostrzegałem przed tym Karlem.

-Panie Luge, już muszę stąd odejść. Przyszedłem się pożegnać.

-No cóż, jak pan musi... - W głosie Lugego wyczuł nutkę żalu.

- Dam panu coś na drogę, bo długa.

-Dziękuję, ale nie mam czym zapłacić.

Luge machnął ręką i wbiegł do składziku obok tylnego wejścia do restauracji. Wyszedł po chwili, niosąc kielbasę zawiniętą w przetłuszczony papier.

-Niech pan schowa. - Sięgnął do torby, którą Jorg miał przezuconą przez ramię i wepchnął tam kielbasę. - Niedużo, ale życie może uratować.

-Panie Luge, spotkamy się? - Jorg podał mu rękę i uściśnął serdecznie.

-Ja będę czekać, ale co do pana to mam wątpliwości.

-A to czemu?

-Za bardzo lubi pan głowę nadstawiać, panie Martin. - Objął Jorga. - Nikt już mi nie pozostał. To niech pan wraca szybko.

Ucałował go w obydwie policzki i szybko wrócił do drzwi, jakby chcąc ukryć wzruszenie.

Jorg rozejrzał się po podwórku. Z tym miejscem łączyło się tyle wspomnień. Kątem oka dostrzegł, że w bramie ktoś stanął. Odwrócił się w jego stronę. Chłopak najwyraźniej na niego czekał. Jorg podszedł do niego.

- Kapitanie Jorg, czy pan mnie poznaje? - Chłopak wydawał się zadowolony ze spotkania.

Jorg przyjrzał mu się uważnie. Miał szesnaście, siedemnaście lat, proste krótko podstrzyżone blond włosy i dość pospolitą twarz. Ubrany w krótką wojskową kurtkę, podtrzymywał plecak.

- Hans Luft, byłem w Hirschbergu, kiedy pan tam miał służbę. W styczniu stamtąd pan wyjechał.

To nie była informacja, która mogła cokolwiek wyjaśnić. W ośrodku Pers Z w Hirschbergu kręciło się dużo takich młokosów. Byli łącznikami, sprzętacami albo technikami, którzy zajmowali się konserwacją urządzeń. Nie mógł ich pamiętać. Uśmiechnął się.

-Być może. Co teraz robisz?

-Szukam zajęcia. Może pan coś ma dla mnie?

Było coś niepokojącego w jego twarzy. Czyżby? Lekko przymrużone, jakby kryjące nienawiść. Co chwila zerkał w bok. Sprawdzał? Obawiał się czegoś? A może przygotowywał atak?

- Nie, już stąd wyjeżdżam.

W drzwiach stanął Luge. Przyglądał się scenie na podwórzu.

-To powodzenia - powiedział Jorg. Machnął ręką na pożegnanie i odwrócił się. Nie chciał dłużej rozmawiać z tym chłopakiem, gdyż pomyślał, że mógł go nasłać Globcke. To wyjaśnialoby, skąd wiedział, że w styczniu wyjechał z Hirschbergu do Tzschochy.

-Do zobaczenia, panie kapitanie - usłyszał, jak chłopak woła za nim.

Jorg wyszedł z bramy i skręcił w uliczkę prowadzącą do ratusza. Obejrzał się, ale nie zauważył chłopaka. Obszedł niewielki budynek i wszedł do sieni najbliższego domu. W kilku susach pokonał schody prowadzące na piętro i stanął przy oknie. Czekał kilka minut, aż dostrzegł, że chłopak stanął przy słupie ogłoszeniowym. Było to naturalne. Może szukał oferty pracy, jakie naklejano obok ważnych obwieszczeń nowych władz. Mijał czas, a on wciąż stał w jednym miejscu. Za długo jak na przejrzanie kilkunastu naklejonych kartek. Czekał na kogoś, czy może rozglądał się za Jorgiem, który nagle zniknął z pola widzenia. Po chwili odszedł od słupa i usiadł na parapecie sklepowej wystawy.

Jorg uznał, że nie ma co dłużej czekać. Zastanawiało go zachowanie Hansa Lufta. Jeżeli go śledził, to dlaczego podszedł i się przedstawił? Nie powinien zwracać na siebie uwagi człowieka, za którym miał podążać. A może miał inny plan i nagłe pojawienie się Lugego uniemożliwiło mu zrealizowanie zamysłu.

Zbiegł na parter i zakręcił do drzwi prowadzących na podwórze. Było niewielkie, obramowane szeregiem niskich komórek. Wspiął

się na dach jednej z nich i zeskoczył na drugą stronę. Przeszedł przez niewielkie zaorane poletko i zatrzymał się przed drewnianym płotem, zza którego mógł obserwować drogę, pozostając niezauważalny. Było pusto. Chłopak stracił jego ślad i być może wciąż siedział na rynku, spodziewając się, że Jorg się tam pojawi.

Przeskoczył przez płot i oglądając się co chwila, szybkim krokiem oddalał się od Leśnej.

Czerny był na stryszku, skąd nadał meldunek do Aarona o ich wyprawie, co uważał za niepotrzebne, ale konieczne zabezpieczenie. Wiedział, że Aaron nie ma żadnej możliwości, żeby im pomóc, ale przynajmniej będzie wiedział, gdzie jest ich grób. Potem zapakował radiostację do plecaka, obok zapasowych baterii i granatów.

Jorg nie opowiedział mu o spotkaniu na podwórzu. Uznał, że mają poważniejsze problemy niż zastanawianie się, czego chciał siedemnastoletni chłopak.

Wieczorem wyruszyli. Powietrze niesło zapach rozkwitającej przyrody, co czuli szczególnie mocno po dniach i nocach spędzanych w dusznej piwnicy. Analiza wydarzeń sprzed kilku dni pozwoliła im odtworzyć drogę do podziemi i dotarli tam po trzech godzinach intensywnego marszu, gdy na dobre zrobił się dzień.

Na wyboistej drodze prowadzącej w bok głównej szosy co krok były ustawione ostrzeżenia o minach, co musiało skutecznie powstrzymać ciekawskich. Oni wiedzieli, że droga nie jest zaminowana, ale nie odważyli się zejść na jej pobocze, gdzie takie niebezpieczeństwo było już bardzo realne.

Samochód, którym kilka dni wcześniej Jorg przyjechał z Karlem i Łysym, stał na swoim miejscu. Dookoła nic nie wskazywało na straszny charakter tego miejsca. Chwasty, które bujnie zwisały z ziemi pokrywającej dach bunkra, rozkwitły kolorowymi kwiatuskami, nad którymi unosiły się roje owadów.

- Cholera, tak tu pięknie - odezwał się melancholijnie Czerny. - Aż chciałoby się położyć na słońcu i poopalać.

Czerny ukląkł obok samochodu i Jorg miał przez chwilę wrażenie, że przyjaciel rzeczywiście wprowadzi swój zamysł w czyn i położy się. Jednakże Czerny tylko badawczo przyglądał się ziemi pod samochodem.

- Ktoś tu majstrował - po-wiedział po chwili.

Jorg pochylił się. Dopiero wtedy dostrzegł, że ziemia przy jednym z kół została wzruszona i przykryta zeschniętą trawą, jakby ktoś chciał zamaskować efekt pracy, jaką tam wykonał. Czerny delikatnie, końcami palców, rozsunał żdziłła trawy, a potem drobne kamyczki. Spośród nich wyłonił się koniec metalowego pręta, a po chwili drugi.

-Mina S-35 - powiedział Jorg. - Wyskakuje draństwo na półtora metra i dopiero wtedy wybucha. Jak widzisz, Upiór nie ma ochoty nas wciągać do swoich tuneli, tylko zamierzał nas wysadzić.

-Tak czy inaczej chce, nas zabić. - Czerny rozgarniał kamienie, aż ukazał się cały zapalnik.

-Dlatego jak byliśmy w podziemiach, to dał nam spokój, a przybiegł tutaj, żeby wkopać i zamaskować minę. Uważał, że nie pójdziemy w głąb bunkra, lecz wrócimy do auta. Sprytny.

-Myślisz, że on tam cały czas jest? - Czerny wyprostował się i otrzepał ręce.

Jorg wzruszył ramionami, jakby chciał zademonstrować, że to oczywiste. Przeladował schmeissera, potem wyciągnął pistolet zza paska i sprawdził magazynek. Po chwili to samo zrobił Czerny, który jednak nie wziął schmeissera, lecz swój karabinek Grand. Uważał, że w walce w tunelu z pojedynczym wrogiem ta broń będzie skuteczniejsza.

Wślizgnęli się do wnętrza, gdzie od progu poczuli przenikliwe zimno i nieznośny fetor. Nie zapalali lamp, aby nie alarmować Upióra, jak nazwali tajemniczego mieszkańca podziemi. W świetle latarek podziemny tunel wyglądał jeszcze straszniej. Zacieki na ścianach układały się w niezwykle płamy, które zdawały się poruszać, gdy prześlizgiwało się przez nie światło, a z daleka dobiegał ich miarowy stukot.

-Co to może być? - Czerny zatrzymał się.

-Brzmi jak pompy tłokowe usuwające wodę.

-Myślisz, że jeszcze pracują?

-Upiór mógł je uruchomić, żeby chronić podziemia przed zalaniem.

-A skąd tu, do cholery, prąd!

-Nie widzę w tym nic dziwnego. Elektrownie pracują.

Jorg wysunął się do przodu. Szybko przeszli obok drzwi zamykających masowy grób i doszli do końca korytarza, gdzie drobne kamienie maskowały kanał prowadzący na dół. Pomni zaminowanego samochodu ostrożnie podnieśli klapę, sprawdzając, czy Upiór nie dołączył do niej miny. Nie dostrzegłszy żadnej zasadzki, szybko i cicho zsunęli się na dół. Poruszali się po dobrze znanej trasie do skrzyżowania, aby sprawdzić, czy po klamrach biegnących obok lufy uda się zejść na dół. Nie zamierzali jednak tego robić, dopóki nie sprawdzą, co dzieje się z Upiorem. Jeżeli bowiem jeden po drugim zeszliby do wąskiego kanału i podążali z karabinami na plecach, trzymając się metalowych szczebli, byłiby łatwym celem. Zakładali, że Upiór wybrał jedno z pomieszczeń w głównym korytarzu na swoje legowisko, którego sprawdzenie pozwoliłoby wiele wyjaśnić.

Kilka metrów przed skrzyżowaniem zgasili latarki, aby światło nie zdradziło ich obecności w miejscu widocznym z wielu stron. Było coś niesamowitego w całkowitej ciemności, która ich ogarnęła. Słyszeli plusk kropel spadających ze stropu i odległy, jakby dobiegający spod ich stóp stukot tłoków. Wodząc dłońmi po wilgotnym betonie, dotarli do skrzyżowania. Zatrzymali się.

- Dobrze byłoby przeskoczyć na drugą stronę bez światła - szepnął Jorg.

- Wyrzę - odpowiedział również szepem Czerny.

Wychylił się zza załomu betonu, zrazu nie mogąc nic dostrzec w całkowitej ciemności panującej w tunelu biegnącym w obydwie strony od miejsca, w którym stał. Odczekał chwilę, gdyż wydało mu się, że oczy przyzwyczajając się do ciemności, zaczynają dostrzegać coś, co mogło być słabą i odległą plamą świetlną.

- Widzę coś - szepnął do Jorga, który stanął za jego plecami.

Po następnych kilku minutach źrenice rozszerzyły się tak, iż nie mieli już wątpliwości: w odległości kilkudziesięciu metrów widniało światelko.

Czerny zsunął parciany pasek karabinka z ramienia i ujął broń mocno w dłonie.

- Idziemy tam. Ja po lewej stronie, ty po prawej - szepnął i czując klepnięcie w ramię, którym Jorg potwierdził, że przyjmuje ten sposób działania, ruszył ostrożnie tuż przy ścianie.

W prawej trzymał karabinek, lewą wyciągnął jak ślepiec. Obawiał się, że ze ściany wystają pręty zbrojeniowe, a zderzenie z kawałkiem metalu mogło być groźne.

Zbliżali się do światła, które nabierało kształtów. Po kilkudziesięciu krokach dostrzegali już, że światło, najpewniej niewielkiej lampy elektrycznej, wydobywało się spoza uchylonych drzwi. Było go wystarczająco dużo, aby oświetlić cały tunel w promieniu kilku metrów. Zauważyli, że na przeciwległej ścianie była wnęka, taka sama, jaką wydostali się na wierzchołek wzniesienia, ale nie było w niej stalowej rury. Dalej korytarz tonął w mroku.

Czerny zatrzymał się, na granicy oświetlonego miejsca. Po chwili to samo zrobił Jorg. W przeraźliwej ciszy, jaka ich ogarniała, słyszeli własne oddechy, przyspieszone z emocji. Ciemność, która panowała za nimi, dopiero teraz ujawniła swą groźę. Wydawało im się, że tam ktoś się czai, przygotowując się do ataku.

Jorg, dbając, aby poruszać się bezgłośnie, przeszedł na stronę Czernego.

- Uważaj - szepnął.

Przesunął się tuż przy ścianie do szpary drzwi i ostrożnie zajrzał do środka. Zdawał sobie sprawę, że gdy otworzy drzwi, znajda się w dobrze oświetlonym miejscu, doskonale widoczni dla Upiora ukrytego w ciemnościach.

Ciężkie pancerne drzwi cicho skrzypnęły. Jorg zamarł w bezruchu, oczekując jakiegokolwiek znaku życia. Mijały sekundy, ale nic się nie wydarzyło. Znowu pchnął drzwi, które otwały się o kilka centymetrów. Znowu nic. Wreszcie szarpnął za klamkę i wsunął się do wnętrza. Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że to był najniebezpieczniejszy moment. Światło oślepiło go na chwilę, więc natychmiast odsunął się pod ścianę, aby nie stanowić łatwego celu. Zarysy pomieszczenia szybko nabierały realnych kształtów. Było puste.

Stał w bezruchu, wodząc dookoła lufą schmeissera, jakby wybierając cel, dopóki ostatecznie nie przekonał się, że nie ma tu drugich drzwi ani żadnego zakamarka, w którym ktokolwiek mógłby się ukryć.

- W porządku - powiedział cicho do Czernego, który zerkał zza futryny. - Wejdz i zamknij drzwi.

Uderzenie pancерnej płyty o futrynę sprawiło, że po raz pierwszy od wejścia do podziemi poczuli się bezpiecznie, co Czerny skwitował głośnym westchnieniem ulgi.

Znaleźli się w pomieszczeniu technicznym, przez które biegły wiązki kabli i kilka żeliwnych rur z węzłami zaworów uruchamianych okazałymi pokrętłami. Trzy z nich były pomalowane na niebiesko, a z metalowych tabliczek można było wyczytać, że są to rury pomp próżniowych, których przeznaczenie w podziemnym kompleksie wydawało się całkowicie nieznane. Czerny podszedł do kabli. Między grubymi w czarnych bawełnianych koszulkach biegly cieńsze, w igielitowej izolacji.

-Lonty detonacyjne - powiedział Czerny. Wiódł palcami po jednej z wiązek, aż wyszedł, że prowadzi do wnęki w ścianie. Wsunął tam rękę i wydobył dużą, owiniętą w szary papier paczkę. Do niej wchodził jeden z kabli, które uznał za lonty detonacyjne. Wyciągnął go. Na końcu widać było metalową skuwkę.

-Mówiłem, że lont detonacyjny. To wszystko jest zaminowane i gotowe do wysadzenia.

-Miejmy nadzieję, że nie w tej chwili.

-Chyba nie, ale ciekawe, dlaczego Niemcy uchodząc stąd, nie wysadzili schronu?

Jorg podszedł bliżej. Głuchy odgłos świadczył, że stanął na metalowej pokrywie. Uniósł ją ostrożnie, otwierając przejście do dolnego poziomu. Metalowa drabinka prowadziła do niewielkiego pustego pomieszczenia, w którym były jedne drzwi. Jorg zsunął się na dół i stanął pośrodku. Czerny, który pozostał na górze, wychylił się, wysuwając lufę karabinka, gotów strzelać, gdyby tylko drzwi się otworzyły. Jorg, przesuając się plecami przy ścianie, zbliżył się do drzwi i otworzył je ostrożnie. Wewnątrz panowała ciemność, ale łatwo wymacał włącznik światła na ścianie i przekręcił go. Jednakże bez efektu. Z jakiegoś powodu oświetlenie w tym pokoju nie działało.

Włączył latarkę i skierował wąski snop światła do środka. Zobaczył tam metalowe piętrowe łóżka przykryte szarymi wojskowymi pledami. Najwyraźniej było to pomieszczenie techników obsługujących znajdujące się w pobliżu urządzenia. Obok stały odrapane metalowe szafki, a na jednej z nich leżała gazeta,

zapomniana przez kogoś, kto ją przeglądał, zanim dostał rozkaz opuszczenia podziemi.

Jorg cofnął się o krok. Czerny w dalszym ciągu wychylał się z włazu, czekając na informację.

- Zejdz, tu nikogo nie ma, ale warto to sprawdzić - powiedział Jorg.

Ponownie oświetlił salę. Osiem piętrowych łóżek stało po cztery z każdej strony przejścia. Jeżeli stosowano tutaj metodę tak zwanego ciepłego łoża, co oznaczało, że z tej samej przyczyny w ciągu doby koryzystało kolejno trzech ludzi, to w tej salce przebywało dwudziestu czterech techników. Stanowczo za dużo, jak na kilka pokręteł, które widzieli w komorze powyżej. Musiały więc być inne urządzenia.

- Tam coś powinno być. - Czerny skierował światło latarki na drzwi widoczne na końcu sypialni. Ruszyli w tamtą stronę, gdy na gle Czerny zatrzymał się. Światło padło na jedną z prycz, obok której leżała gazeta. Koc wydawał się pomięty, gdy inne łóżka były równo zasłane. Poza tym tylko na tej przyczynie była poduszka.

Czerny podszedł ostrożnie i pochylił się. Dopiero wtedy zobaczył wymalowany na ścianie nad łóżkiem celtycki krzyż.

-To mamy Odyna - szepnął. - On tutaj się ukrywa.

-Upiór? - Jorg zbliżył się do łóżka.

-Bardzo realny człowiek. Miejmy nadzieję, że jeden.

Czekali w bezruchu, ale żaden odgłos, poza stukotem pracujących pomp, nie zakłócał ciszy, więc poszli dalej do metalowych drzwi. Kłamka ustąpiła pod naciskiem dłoni i drzwi otworzyły się bezgłośnie. Za nimi biegł metalowy pomost, zawieszony na stalowych linach zaczepionych na hakach w stropie, przecinający na wysokości dwóch metrów dość dużą salę. Pod nim stały maszyny, które wyglądały na generatory dostarczające energię do podziemnego kompleksu. W nikłym świetle kilku lamp przytwierdzonych do ścian poniżej pomostu zobaczyli, że drugi, identyczny, biegnie obok. Prawdopodobnie obydwa pomosty wykorzystywali technicy nadzorujący pracę maszyn, które teraz nie działały. Po obydwu stronach były metalowe drabinki, po których schodziło się na dół, aby dostać się do każdej z maszyn.

Pomost prowadził do drzwi na końcu. Takie same zauważyli na dole pod nimi. Jorg, idący pierwszy, odwrócił głowę do Czernego.

- Schodzimy na dół?

Nagle zobaczył przerażenie na twarzy przyjaciela, który uniósł karabinek i, jakby zdając sobie sprawę, że nie ma czasu na złożenie się do strzału, nacisnął spust. W tej samej chwili zabrzmiał drugi wystrzał i Czerny osunął się na pomost.

Jorg zaczął strzelać, zanim w pełni odwrócił się w stronę, z której zostali zaatakowani. Długa seria z jego schmeissera złała się w jeden grzmot. Pociski odbijały się od ścian, odrywając drobne kawałki betonu i wznecając snopy iskier, gdy trafiały w metal maszyn lub pomostu. Zwolnił spust, gdy zamek opadł na pustą komorę nabojoową. Wyrzucił magazynek i natychmiast wsunął na jego miejsce nowy. Pociągnął suwadło i przykląkł gotów do otwarcia ognia. Długa wystrzelona na oślep seria spełniła swoje zadanie, gdyż napastnik, w obawie przed gradem pocisków, schował się gdzieś, nie dając znaku życia.

Jorg z uniesionym pistoletem maszynowym cofał się powoli w stronę Czernego, który leżał nieprzytomny na stalowej kracie pomostu. Całą twarz miał zalaną krwią, co świadczyło, że pierwszy pocisk trafił go w głowę. Jorg schwycił go lewą ręką za bluzę i zaczął ciągnąć w stronę drzwi, z których wyszli, gotów w każdej chwili strzelać do napastnika, gdyby się pojawił. Ten jednak czekał na odpowiednią okazję, pozostając w ukryciu i, bez wątpienia, obserwując ich. Jorg uznał, że strzały padły z równoległego pomostu, który kończył się ciemną wnęką. Stwierdził jednak, że ostrzeliwanie na oślep niewidocznego celu to jedynie marnowanie amunicji, której nie miał dużo. Po chwili usłyszał tupot butów po metalowej powierzchni. Dochodził z dołu, a więc napastnik zbiegł z pomostu i przemieszczał się w nieznanym kierunku. Na chwilę przestał być groźny, gdyż odgłos butów dobiegał z dużej odległości, a po chwili ucichł w dali. Wyglądało tak, jakby Upiór, przestraszony siłą ognia, uciekł z pola walki, w co jednak Jorg nie bardzo wierzył.

Dociągnął Czernego do drzwi i pchnął je tyłem, nie chcąc się odwracać od pomostu, który uważał za miejsce najbardziej niebezpieczne.

Nagle zabrzmiał strzał. Przez moment Jorg nie mógł zorientować się, skąd padł. Echo odbiło jego odgłos w różnych miejscach, a nie widział ognika wychodzącego z lufy karabinu. Pochylił się, aby

stanowić jak najmniejszy cel, gdy znowu usłyszał odgłos strzału. W tym samym momencie piekący ból przeszył mu bok, potem drugi i trzeci. Dłoń, w wyniku porażenia nerwów, bezwiednie otworzyła się i pistolet maszynowy -wypadł mu z ręki. Od"bił się o metal pomostu i z łoskotem spadł na posadzkę. Jorg poleciał do przodu, twarzą na dół. Ból zabrał mu przytomność, ale tylko na kilka sekund. Ocknął się szybko, czując lepłą krew spływającą mu po ręce. Usiłował się podnieść, ale był na to za słaby. Mięśnie nie chciały mu służyć i opadł ponownie na kratę pomostu. Wiedział, że musi jak najszybciej odczołgać się z tego miejsca, gdzie wciąż był dobrym celem dla niewidocznego strzelca. Pomyślał przez chwilę, że nie starczy mu sił, aby odciągnąć Czernego, chociaż błysnęła straszna świadomość, że przyjaciel, trafiony w głowę jest już trupem.

Pomost zakółsał się pod rytmem kroków. Jorg z wysiłkiem podniósł głowę. Z przeciwnej strony nadchodził mężczyzna w esesmańskim mundurze. W jednej ręce trzymał hełm, który uznał już za niepotrzebny i zdjął z głowy, a w drugiej niósł szturmowy karabin spadochroniarzy. Zatrzymał się o krok od Jorga. Przez chwilę obserwował go, oceniając, jak groźne rany zadał. Doszedł do wniosku, że są zbyt poważne, aby Jorg mógł jeszcze się bronić, i przewrócił go na plecy.

-Nie wierzę własnym oczom - powiedział wyraźnie zdziwiony.

- Hauptmann Jorg. Znamy się.

-Wolf- szepnął z niedowierzaniem Jorg.

-Tak, Sturbannführer SS Sebastian Wolf. W swoim ziemskim wcieleniu.

Czuł się bezpiecznie. Odstawił karabin, opierając go o balustradę, i założył ręce na piersiach. Stał wyprostowany, najwyraźniej sycąc się widokiem pokonanych.

- Jestem strażnikiem włóczni Odyna. A kto ją ma, ten panuje nad światem. Chcieliście poznać jej tajemnicę? To poznaliście, ale musicie umrzeć.

Pochylił się nad Jorgiem, aby ocenić rany.

- Ten już umarł, a ty za chwilę. Tak kończą ci, którzy podnoszą rękę przeciw Odynowi.

Jorg czuł, jak wraz z upływem krwi ogrania go słabość tak wielka, że leżał jak skępowany, niezdolny wykonać żadnego ruchu. Nic

nie czuł. Nawet nie bał się śmierci. Pomyślał, że może kula uszkodziła kręgosłup. Obraz Wolfa stojącego wciąż nad nim zamazywał się. Poruszył ręką.

Wolf wciąż mówił.

- Bóg wyznaczył mi misję i ja ją spełniam...

Jorg wyczuł końcami palców pistolet, który trzymał za pasem. Wsunął kciuk za rękojeść. Wolf tego nie widział. Napawał się zwycięstwem i możliwością egzekucji, jaką miał wykonać za chwilę. Skończył przemawiać i cofnął się, aby sięgnąć po karabin. Uniósł go i odciągnął suwadło. Jorg chwycił za rękojeść. Myślał tylko, czy starczy mu siły, aby wyszarpnąć broń zza paska, unieść i nacisnąć spust.

Suwadło w karabinie Wolfa opadło z głuchym trzaskiem. Jego obraz znowu odpływał, a Jorg tak chciał pozostać przytomny do końca.

Położył palec na spuście i wysunął pistolet zza paska. Unosił rękę. Zbyt wolno, ale nie miał siły zrobić tego szybciej. Widział, jak Wolf podnosi karabin do ramienia, aby starannie wycelować w głowę. Był tak pewien zwycięstwa, że nie zwracał na nic uwagi.

Padł strzał. Kula przeszła bok Jorga. Zwinął się, jednocześnie naciskając spust. Gwałtowny piekący ból zabierał mu świadomość. Słyszał huk wystrzałów, jakby zza grubej zastony. Odchodziły w dal. Niczego nie czuł.

Czy tak wygląda śmierć? - pomyślał. Nie czuł strachu. Widział, jak ogarnia go ciemność, która zabrała świadomość.

27 maja, Norymberga

- Gdzie oni, do cholery, się ukryli?!

Hollan uczepiony uchwyty na desce rozdzielczej jeepa rozglądał się po ruinach domów ciągnących się po obydwu stronach jezdni uprzątanej przez szeregi jeńców. Norymberga, po dewastujących nalotach amerykańskich samolotów, była miastem umarłym, w którym bomby oszczędziły tylko fragmenty zabytkowego centrum.

Po dwóch godzinach szybkiej jazdy z Koburga stracili drugie tyle, kręcąc się po ulicach Norymbergi w poszukiwaniu dowództwa amerykańskich wojsk lotniczych, które niedawno założyło swoją kwaterę w mieście tak skutecznie niszczone. Hollan zaczynał się niepokoić. Podświadomie czuł, że każda minuta może zadecydować o życiu Jorga.

-Spokojnie, panie pułkowniku - odezwał się kierowca, Joe Lemming, młody chłopak, który znakomicie prowadził samochód. - Byłem już tam. Znajdziemy. To niedaleko, tylko musimy jechać objazdem.

-Jak można znaleźć cokolwiek w tym morzu ruin? - Hollan, niewyspany i zdenerwowany, daleki był od spokojnego obserwowania-niadrogi i cierpliwego oczekiwania, aż uda im się odnaleźć przecnicę.

- Zasłużyli sobie - głucho powiedział Joe. - Był pan w Dachau? Hollan spojrział na niego zdziwiony.

- Zasłużyli sobie - powtórzył Joe. Skręcił gwałtownie, aby ominąć ciężarówkę, która nagle wytoczyła się z wąskiej uliczki.

Jechali wzdłuż murów, które najmniej ucierpiały od amerykańskich bomb, wypatrując drogowskazu kierującego do dowództwa wojsk lotniczych. Hollan mógł sprawę załatwić przez telefon, ale obawiał się, że jeżeli nie znajdzie zrozumienia u nowego dowódcy eskadry specjalnej, to nie wybaczy sobie, że nie zrobił wszystkiego. Nie znał tego człowieka, a mówiono o nim, że był doskonałym lotnikiem, ale fatalnym oficerem i jeszcze gorszym dowódcą, całkowicie aieradzającym sobie z pracą sztabową.

-Jest! - Joe wskazał na tablicę przytwierdzoną na słupie trakcji tramwajowej, informującą, że od dowództwa wojsk lotniczych USAir Force dzieli ich pięćset metrów.

-Naciskaj gaz, dostaniesz dwa dni wolnego - krzyknął Hollan.

Wszystko zaczęło się poprzedniego dnia wieczorem, gdy odebrał telefon od kapitana Fairbanka z jego korpusu kontrwywiadu. Kilka dni wcześniej wysłał go na inspekcję do obozów jenieckich na Dolnym Śląsku, gdzie przesłuchiowano zwalnianych jeńców, aby wytawić dokumenty tożsamości i zorganizować transport do ojczyzn] W Górlitz, w którego okolicach był jeden z obozów jenieckich, podszedł do niego lotnik, zestrzelony nad Polską w 1943 roku.

Powiedział, że na dworcu, dokąd poszedł, aby rozejrzeć się za pociągami jadącymi na zachód, spotkał obozowego strażnika, porządnego człowieka, który pomagał jeńcom. Lotnik uważał, że nie było to przypadkowe spotkanie, lecz strażnik został przysłany, aby przekazać wiadomość. Powiedział: „Zamelduj u swoich, żeby przysłali samolot po Jorga. Jak najszybciej! Niech ląduje dwa kilometry na północ od Tzschochy. Tam jest kawałek dobrej łąki. Zresztą wiecie, kogo spytać o okolice zamku. Spiesz się, człowieku. Spiesz!". I zniknął w tłumie. W tym spotkaniu było coś tak niezwykłego, że lotnik natychmiast wrócił do obozu i zameldował kapitanowi. Ten na dźwięk „zamek Tzschocha" nie zastanawiał się ani chwili i natychmiast zadzwonił do Koburga. Hollan był zbyt doświadczonym oficerem kontrwywiadu, aby zlekceważyć taką sytuację. Tajemniczy strażnik podał nazwisko Jorga i wskazał na Tzschochę. Musiał więc zostać przysłany przez kogoś, kto dobrze orientował się w sytuacji. Wiedział o przesłuchaniach prowadzonych wśród jeńców i o tym, że taka informacja szybko dotrze do właściwego człowieka, który podejmie działanie. W pewnym momencie Hollan pomyślał o Globckem. Czyżby ten esesman, którego spotkał w Rosenheim, gdy ujawnił, gdzie ukrył „Aparat", a potem zniknął, chciał pomóc Jorgowi? Było to bardzo mało prawdopodobne. Spodziewał się raczej prowokacji. Hollan uznał jednak, że nie powinien siedzieć w nowym gabinecie w Koburgu i rozważać ten problem, lecz działać tak, jak mu nakazywało sumienie.

- Na miejscu! - Joe zahamował z piskiem tuż przed wejściem do budynku dowództwa z taką fantazją, że wartownik spojrzął na nich groźnie.

Dowódca eskadry specjalnej, kapitan Nathan Spagujević, siedział za wielkim biurkiem i bez wątpienia udawał kogoś ważniejszego niż w rzeczywistości był.

- Anonsowano pana przyjazd, panie pułkowniku. - Zerwał się z miejsca na widok wchodzącego Hollana i stanął na baczność.

Dobrze się zaczyna - pomyślał Hollan i od razu powiedział:

- Wyśle pan samolot po moich ludzi do Tzschochy?

-Gdzie to jest?

-Na Dolnym Śląsku. - Hollan usiadł w fotelu naprzeciw biurka i wyciągnął papierosy. Wiedział, że nie wolno mu okazać

zdenerwowania. Mógł liczyć tylko na to, że Spagujević, od niedawna na dowódczym stanowisku, ugnie się przed jego pewnością siebie.

Kapitan odwrócił się do mapy, choć nie musiał sprawdzać, gdzie jest Dolny Śląsk.

-To u Rosjan - powiedział dobitnie z wyraźnie wyczuwalnym wyrzutem w głosie, jakby chciał napomnieć pułkownika, że myśli o akcji na tyłach sojusznika.

-Wiem, dlatego przychodzę do pana, dowódcy eskadry specjalnej, a nie do transportu.

-Niech mi pan przedstawi szczegóły misji. - Spagujević odwrócił się. Po jego minie widać było niezadowolenie, iż Hollan przyszedł do niego z taką sprawą, i szukał pretekstu, aby go spławić.

-Lądowanie na łące dwa kilometry na północ od Tzschochy...

-Czyli w nieznanym terenie - przerwał mu Spagujević. - Co wiemy bliższego o lądowisku?

-Na razie nic. Kazałem przywieźć tutaj osobę, która dobrze zna okolicę.

Spagujević podniósł brwi ze zdziwieniem, już zamierzał o coś zapytać, ale Hollan nie dopuścił go do głosu.

- Tutaj - powtórzył z naciskiem. - Bo ja, panie kapitanie, nie wyjdę stąd bez zapewnienia, że za pół godziny wysyła pan samolot.

Spagujević najwyraźniej przestraszył się tonu, jakim Hollan do niego mówił. Rozejrzał się niepewnie, najwidoczniej zły, że tego dnia przyszedł do gabinetu, a nie poleciał gdzieś daleko, unikając kłótni z aroganckim pułkownikiem. A tak, szykowały się kłopoty i to duże, a on nie miał pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Obawiał się, że gdy odmówi, pułkownik uda się do przełożonych i popsuje mu opinię, na której świeżo upieczonemu dowódcy bardzo zależało. Uznał bowiem, że czas szaleńczych wyczynów się skończył i należało zacząć myśleć o karierze, choć do końca nie był przekonany, czy to dobre założenie. Usiadł za biurkiem, najwidoczniej by dodać sobie powagi, i natychmiast zapytał:

- A wiemy chociaż, jak duże jest to lądowisko?

Uznał, że musi wciągnąć natręta na swoje pole i znaleźć argumenty wskazujące jednoznacznie, że misja jest niemożliwa do wykonania.

Hollan doskonale rozumiał jego taktykę. Wiedział, że za chwilę padną pytania o twardość gruntu i odległość od radzieckiej jednostki wojskowej. Nie odpowiedziałby na żadne, więc kapitan rozłożyłby ręce i odesłał go do diabła. I miałby rację. Musiał zaatakować.

- Panie kapitanie... - Wstał z fotela i pochylił się nad biurkiem. Jego głowa znalazła się tuż nad głową Spagujevicia. - Jak bym nie wiedział, kim pan jest, to bym tutaj nie przyjeżdżał. Ale ja wiem, że jest pan dzielny, wspaniałym lotnikiem, któremu popie przyło się w głowie, jak go zrobili dowódcą...

Spagujević usiłował zaprotestować, ale Hollan położył mu rękę na ramieniu. Mimo nieprzyjaznego tonu w tym geście było coś bardzo ojcowskiego.

- Niech pan się nie złości, bo wiem, co pan potrafi. Znam raporty z pana wyczynów w Jugosławii. Żeby ratować kobietę w ciąży, lądował pan jakimś rozklekotanym dwupłatem na szczycie góry i startował, staczając się w przepaść, licząc, że akurat dmuchnie wiatr, który uniesie pana samolot. Tak było?

Kapitan siedział w milczeniu.

- A zrzut broni dla oddziału partyzanckiego pod Srebrenicą? Przeleciał pan pod mostem, aby uniknąć ognia przeciwlotniczego, i przemknął się przez wąwóz tak wąski, że od końcówek skrzydeł do skał było kilkanaście centymetrów. Tak było? Uratował pan wielu ludzi. Mówić dalej? Przypomnieć panu, co robił pan nad Sutjeską? Sam Tito mówił o panu jako o bohaterze, który nie zna strachu...

Kapitan uśmiechnął się. Nie sądził, że ktokolwiek pamięta jego wyczyny.

-Panie pułkowniku, zgadza się, ale wtedy ryzykowałem tylko swoje życie. Teraz oczekuje pan, że wyślę na stracenie co najmniej dwóch ludzi.

-To niech pan leci do Tzschochy. Dobrze panu zrobi. Inaczej zakwitnie pan za tym biurkiem.

Spagujević przeciągnął ręką po włosach. Zastanawiał się.

-Wygrał pan! - powiedział. I można było wyczuć w jego głosie radość. - Muszę jednak powtórzyć pytanie o lądowisko. Wie pan chociaż, czy jest odpowiednio długie, żeby posadzić tam samolot?

-Tak, tylko tyle wiem - z rozbijającą otwartością odpowiedział Hollan.

-Poradzimy sobie, lysander ląduje nawet na gumnie w stodole - mówił o angielskim samolocie znanym z krótkiego startu i lądowania. - Łąka wielkości piłkarskiego boiska wystarczy. Kogo mam zabrać?

-Z panem polecą ktoś, kto dobrze zna teren. Ryzyko, że wpadnie pan w ręce Rosjan, jest za duże. Musicie zabrać lekarza. A tam, na Śląsku, będzie czekać na was dwóch ludzi. Mogą być ciężko ranni. Obawiam się, że ścigają ich Rosjanie.

-Pięć osób to dużo jak na ten samolot. Wymontujemy uzbrojenie, dodatkowy zbiornik paliwa wyrzucę po wylądowaniu. Dam radę.

Hollan wyciągnął rękę i z radością uściśnął dłoń Spaguje-vicia. Nie powiedział mu, że bardzo niewiele wie o celu tej wyprawy, a jedynie kieruje się przeczuciem, że Jorg i Czerny znaleźli się w opałach, a on jest jedynym człowiekiem, który może ich z tego wyciągnąć.

27 maja, Książ

Wasilij Zarubin dotarł do zamku Książ późnym popołudniem. Droga z Wrocławia, gdzie wylądował specjalny samolot z Warszawy, stacji przesiadkowej w jego podróży z Moskwy, przebiegła bez większych zakłóceń, ale może dlatego, że za jego czarnym horchem jechał jeep z eskortą. Zarubin, którego natura szpiega działającego zawsze skrycie nie znosiła takich manifestacji, tym razem był zadowolony. Choć odważny, a nawet skłonny do brawury, nigdy nie był żołnierzem i bał się miejsc, w których mogła działać niemiecka partyzantka.

Przed pałacem stał Czyżyków, przygotowany na przyjęcie gościa, o czym wcześniej uprzedzono go specjalną depeszą z sekretariatu samego Ławrientija Berii.

- Jaka sytuacja? - Zarubin chciał stworzyć wrażenie człowieka, który nie lubi tracić czasu, więc wyciągając rękę na powitanie, od razu zaczął zadawać pytania.

-Generalnie spokój, ale mamy sygnały, że „sojusznicy” - słowo to wypowiedział z wyraźną pogardą - nasilają akcje przeciwko nam.

-Co przez to rozumiecie? - Zarubin przerwał rozglądanie się po placu i zwrócił się do Czyżykowa.

-Właśnie zameldowano o przelocie samolotu. Prawdopodobnie lądował gdzieś w okolicy.

-A nie zrzucił skoczków lub zaopatrzenia dla sabotażystów?

-Prawdopodobnie nie. Zidentyfikowano go jako lysander, typowy w działaniach sabotażowych.

-Szukacie, gdzie lądował?

-Oczywiście, choć teren wielki, a ludzi wciąż mało.

-Będę śledzić na bieżąco przebieg tej akcji - powiedział Zarubin wyłącznie po to, aby podkreślić swą ważność.

-Oczywiście - odparł Czyżyków i natychmiast dodał: - Przygotowaliśmy kwatery dla was, najlepszą.

-Dobrze, to później, najpierw chciałbym z wami porozmawiać o sprawach niecierpiących zwłoki.

-Tak jest - w głosie Czyżykowa powróciła nuta uległości, co Zarubin przyjął z zadowoleniem. Pomyślał, że depesza wysłana przez sekretarkę Berii to był strzał w dziesiątkę.

Zarubin rozejrzał się ponownie. Pałac i jego otoczenie robiły na nim duże wrażenie.

-A co tu taki plac budowy? - wskazał na pozostałości rusztowań, sterty desek i maszyny ustawione tuż przed wejściem do pałacu.

-Niemcy drążyli szyb. Prawdopodobnie dla windy.

-Taki wielki. - Zarubin patrzył zdziwiony rozmiarami szybu.

-Według zeznań jeńców w zamku miała być kwatera Hitlera. Pod ziemią budowano schron. Tam - wskazał na szyb - Hitler mógłby zjechać windą do podziemi, nie wysiadając z samochodu.

-Ciekawe - Zarubin ruszył do wejścia.

Minęli szybko hol i weszli na pierwsze piętro, gdzie w dużej sali stał stół przygotowany do kolacji.

- Pomyślałem, że będziecie głodni po tak długiej drodze, więc porozmawiamy po kolacji. Wskażę wam kwatery.

Specjalnie nie użył słowa apartament, gdyż już spotkał się z zarzutem, że zaczyna się zachowywać jakby był właścicielem tego pałacu.

-To później, później - Zarubin nie wypadł z roli. - Chodźmy do was do biura, żeby od razu, tak na roboczo, pogadać.

-Tak jest.

Czyżyków poprowadził Zarubina z powrotem na parter, a potem długim korytarzem do pokoju na końcu, gdzie urządził swoje biuro.

-Kawy chociaż? - zapytał, gdy weszli do dużego pokoju, z którego okien rozlegał się piękny widok na okoliczne lasy.

-A tak, dajcie. - Zarubin usiadł wygodnie na kanapie.

Gdy tylko Czyżyków wrócił, Zarubin wskazał ręką miejsce obok siebie.

- Podłuchu tu nie macie? - zapytał i natychmiast dodał: - Ja tak na wszelki wypadek. Rozumiecie?

Czyżyków skinął głową. Nie wiedział, że jego niemiecki poprzednik Harry Sauer zamontował mikrofony. Tak bardzo tego nie podejrzewał, że nie kazał przeszukać pomieszczeń. Miał tylko własny sprzęt nagrywający, aby w odpowiednich sytuacjach włączać magnetofon ukryty w wielkim biurku ustawionym na środku pokoju. Ten piękny mebel, sprowadzony z Wrocławia, miał jeszcze jedną tajemnicę. Pod blatem były zamontowane dwa karabiny maszynowe wycelowane w drzwi. Niemieccy konstruktorzy zrobili to perfekcyjnie. Wystarczyło lewym kolaniem nacisnąć listwę, która blokowała karabiny, a prawym drugą, będącą spustem, a obydwa karabiny rozpoczynały ogień, którego nikt, kto chciałby wedrzeć się do pokoju, by nie przeżył.

-Ohlenrodego macie - ni to zapytał, ni stwierdził Zarubin.

-Tak, meldowałem. Po... pewnej perswazji zdecydował się współpracować.

-Za wcześniej - machnął Zarubin. - Później.

-Co to znaczy?

-Towarzysz Beria docenia wasze zasługi w tej dziedzinie, ale inaczej to poprowadzimy.

Czyżyków, który w pierwszych słowach Zarubina doszukiwał się nagany, słysząc o uznaniu Berii, rozpromienił się.

-Wypuścimy go - mówił dalej Zarubin - ale jeżeli posłalibyśmy go z zadaniem, to mógłby się, mimo woli, wydać.

-Nie rozumiem...

-On nie powinien grać. On musi uciec! Tak, naprawdę. Musi być przekonany, po prostu wierzyć, że nam zwiął. Dotrze do Watykanu i będzie sobą. Niczego nie udając. To łatwiej jemu uwierzą.

-Mam zorganizować ucieczkę.

-Tak, odbicie przez Werwolf.

-Tu nie ma Werwolfu.

-Ale on o tym nie wie. Chodzi o to, żeby mieć pewność, że dotrze do Włoch. Ludzie, którzy go odbiją, potem będą eskortować go do granicy, a może i dalej. Macie takich?

-Mam paru Niemców, którzy przystali na współpracę... - mówił powoli, zastanawiając się, komu mógłby zlecić takie zadanie.

-No i jest dowódca - dodał po chwili.

-Kto taki?

-Antyfaszysta, komunista. Był więziony w Dachau. Sam przyszedł do nas. Sprawdziłem go. Można mu ufać. Jeśli Niemcowi można ufać - dodał szybko.

-Przygotujcie go możliwie najszybciej. A gdybyście wiedzieli - pochylił się do Czyżykowa i zniżył głos - komu na takiej akcji zależy...

Czyżyków skinął głową, potwierdzając, że rozumie, o kim mówi Zarubin.

-Jest jeszcze Feliks Stiepanycz, on zmusił Ohlenrodego do mówienia.

-To dzielny oficer. Poślemy go na Zachód inną drogą. Za rok może. Będzie rozpoznawał kanały przerzutowe esesmanów. Na razie niech odpoczywa. A druga sprawa, to przygotujcie dla mnie pokój do pracy i dajcie wszystkie informacje o zidentyfikowanych tajnych obiektach. Rozumiecie: schrony podziemne, tunele, fabryki i tak dalej.

-Ach! - Czyżyków zaczął się śmiać - żebyście wiedzieli, ile tu tego. Nawet tutaj siedzimy nad wielką budowlą!

-Mam swoje dyrektywy. - Zarubin nie podzielał rozbawienia Czyżykowa. - Powiedziałem, przygotujcie. Gdy tylko skończymy z tym Ohlenrodem, to zabieramy się do inwentaryzacji. Cel poznacie później...

Zapadła cisza. Zarubin zaczął odczuwać zmęczenie podróżą, więc usnął, że nadszedł czas na kolację. Klepnął dłońmi w kolana i wstał.

-No, to chodźcie na tę wieczerzę w pałacu.

-Wydam rozporządzenia. - Czyżyków zniknął za drzwiami, a Zarubin podszedł do okna, aby podziwiać krajobraz. Pomyślał, że nie powinien tak się spieszyć. Okolica piękna, na pewno rzeki pełne ryb, a on był zapalonym wędkarzem. Czemu nie zostać dłużej? Należał mu się solidny wypoczynek po nerwowej pracy w Stanach Zjednoczonych, a potem strachu o życie w Moskwie.

Łoskot drzewa spadającego ze stromego zbocza przeraził kierowcę wielkiego osobowego opla. Wdepnął pedał hamulca z taką siłą, że samochód obrócił się i zjechał do rowu, ścinając młody klon. Jadący z tyłu jeep hamował równie mocno, ale widać nie miał tak dobrych hamulców, gdyż minął opla i wbił się w wielką kłodę, jaka stoczyła się na drogę i całkowicie ją zatarasowała. Z trzech żołnierzy jadących w jeepie jeden wypadł na bok i musiał silnie uderzyć o jezdnię, gdyż stracił przytomność. Dwaj utrzymali się na swoich miejscach i gdy tylko otrząsnęli się z szoku, zaczęli niezgrabnie wychodzić, wciąż nie zastanawiając się, co się stało. Wielkie drzewa, jak buk, który zsunął się z góry, nie spadają same. Ktoś je musiał zepchnąć. Zanim ta świadomość do nich dotarła, gdzieś spomiędzy drzew rozległa się seria z karabinu maszynowego. Ścięła kierowcę i powaliła siedzącego na tylnym fotelu jeepa żołnierza, który ledwie zdążył unieść pepeszę. Pociski przeorały jezdnię i przecięły leżącego na niej żołnierza. Strzelanina ucichła równie nagle jak się rozpoczęła. Najwidoczniej napastnicy czekali na oznaki życia lub próby obrony przed niespodziewanym atakiem.

Drzwi opla otworzyły się i wysiadł kierowca. Młody żołnierz w furazerce podniósł wysoko ręce nad głowę. Nie miał broni, więc jedyne co mógł zrobić, to poddać się i liczyć na zmiłowanie wroga. Szedł chwiejnym krokiem, gdyż zjeżdżając do rowu, uderzył głową o kierownicę. Doszedł do jezdni i stanął niezdecydowany. Z góry schodził niemiecki żołnierz z MG 42 zawieszonym na pasku. Siedemnastoletni chłopak, blondyn krótko ostrzyżony. Był już blisko kierowcy, gdy nacisnął spust. Nie musiał tak blisko podchodzić. Pociski uderzyły z taką siłą, że Rosjanin zgiął się wpół i wpadł tyłem do rowu. Przedśmiertne drgawki ustały szybko i żołnierz

z karabinem maszynowym nawet nie musiał sprawdzać efektu strzałów. Obrócił się, biorąc na cel opla. Stamtąd doleciał krzyk:

- Nie strzelać, jestem Niemcem! Nie strzelać!

W tym samym momencie oficer schodzący z góry krzyknął do strzelca z karabinem maszynowym.

- Hans, stój!

Jakby obawiał się, że ten w ferworze walki ponownie naciśnie na spust swojego MG 42. Może i ten okrzyk był potrzebny, gdyż chłopak, słysząc rozkaz, opuścił broń, acz nie zdejmował palca ze spustu.

Z samochodu powoli wysiadł mężczyzna w cywilnym ubraniu. Podniósł ręce skute kajdankami i stanął bezradny.

- Jestem Niemcem. Nazywam się Ohlenrode - powtórzył. - Nie strzelajcie!

Obrócił się i skinął głową, dając znać, że w samochodzie jest jeszcze ktoś. Hans uśmiechnął się. Zerknął na oficera, a skoro tamten nie zabronił mu strzelać, wykonał lufą ruch nakazujący Ohlenrodemu odsunąć się od samochodu i ponownie nacisnął spust. Pociski, zrazu mierzony za wysoko, wybiły okna, ale po chwili zaczęły dziurawić karoserię, aż trafiły w zbiornik z benzyną. Kula ognia dmuchnęła żarem na stojących na drodze tak niespodziewanie, że Ohlenrode upadł na jezdnię, a skute ręce uniemożliwiły mu osłonięcie się, więc uderzył się dotkliwie w ramię.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko huk ognia, jaki ogarnął samochód.

Strzelec odwrócił się. Globcke stojący na wzniesieniu skinął głową, dając znać, że akcja jest skończona. Potem podszedł do Ohlenrodego. Stanął przed nim na baczność i podniósł rękę, salutując.

- Obersturmbannführer Hans-Jacob Globcke - zameldował się. - Zostałem przysłany w misji ratowniczej. Oberführer, jest pan wolny.

Ohlenrode, jeszcze zaszokowany, nie wiedząc, co ma dalej zrobić, z wolna odzyskiwał animusz. Znowu był wśród swoich.

- Rozkujcie mnie! - krzyknął.

Globcke kiwnął na jednego z żołnierzy, który zdjął kajdanki Ohlenrodemu.

-Skąd wiedzieliście? - Ofilenrode zaczął rozcierać nadgarstki.
-Oberführer, przepraszam, ale czas nagli. Strzelanina była dobrze słyszalna daleko stąd. Wyruszy pościg. Musimy ująć obławie.
Ohlenrode podszedł bliżej.
-Chcę wiedzieć, skąd się tutaj wzięliście?
Globcke zniżył głos
-„Pająk”...
- A, rozumiem. - To wyjaśnienie całkowicie wystarczyło. Zerknął na bok, gdzie żołnierze przeszukiwali mundury zabitych, za bierając amunicję i dokumenty.
Tak, bez wątplenia oddział partyzancki - pomyślał Ohlenrode.
- W drogę - powiedział ochoczo.
Szybko, idąc jeden za drugim, zniknęli w krzakach porastających zbocze.
Pół godziny później Zarubin otrzymał meldunek o zdradzieckim ataku na konwój NKWD przewożący więźnia. Wydał natychmiast rozkaz rozpoczęcia obławy za uchodzącymi napastnikami. Nakazał, aby ścigano ich na północ od miejsca ataku, co wydało się dziwne oficerowi, który miał akcją dowodzić. Zarubin przeciął próbę dyskusji, nakazując rozpocząć poszukiwania w rejonie, który wskazał.

28 maja, łądowisko w okolicy Czochoy

Twarz, która wypłynęła z ciemności, wydawała się Jorgowi sennym majaczeniem. Przez tę sekundę przeblysku świadomości słyszał głos Anny Marii, a nawet jej śmiech, radosny jak śmiech dziecka nieznającego kłopotów życia. Ułuda była tym silniejsza, że na moment błysnęła twarz Czernego, co wywołało bolesne uczucie straty. Chciał powiedzieć „kocham was”, ale niemoc wtrąciła go ponownie w nieokreśloną otchłań.

- Stracił dużo krwi - powiedział mężczyzna w lotniczym kombinezonie pochylający się nad Jorgiem. Z metalowego pudełka

wyjął strzykawkę przygotowaną do zrobienia zastrzyku i wbił igłę w przedramię.

-To go wzmocni - dodał. Unikał wzroku Anny Marii, która nie śmiała zadać pytania o przyszłość.

-A myślałem, że ze mną gorzej - odezwał się Czerny. Leżał z boku, podpierając się na łokciu zdrowej ręki. Najwyraźniej ta pozycja, lepiej pozwalająca obserwować otoczenie, była zbyt męcząca, gdyż po chwili opadł na murawę.

Lekarz skończył bandażować tors Jorga. Podniósł głowę, jakby słysząc pytanie, którego Anna Maria nie miała odwagi zadać.

- Stan jest ciężki. Kula przeszła przez ramię. To wydaje się niegroźne, ale nie wiem, co z kością. Gorzej, że dwie kule przeszły bok. Nie powinny naruszyć żadnego z ważniejszych organów we wewnętrznych, choć boję się o wątrobę. Poza tym stracił dużo krwi. Tylko tyle mogę ci powiedzieć teraz.

- Możemy go zabrać? - szepnęła Anna Maria.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Oczywiście nie! Wpychanie go do kabiny może spowodować krwotok, ale jak go tutaj zostawimy, to na pewno zginie. Nie mamy wyboru. Zbierajmy się.

Odwrócił się do Czernego, który leżał na wznak z obandażowaną głową. Z lewej strony przebijała się plama krwi, której długie strugi zaschły na policzku.

-Może pan wstać? - zwrócił się do niego, na co Czerny odpowiedział grymasem, który można było uznać za potwierdzenie.

-Z panem nie jest tak źle. Miał pan szczęście.

-Nic o tym nie wiem. - Czerny obrócił głowę w jego stronę.

-Kula zsunęła się po czaszce. Ogłuszyło pana i popłynęło wiele krwi, ale w sumie nic groźnego. Rana nad obojczykiem też nie jest poważna, choć kula przeszła o pół centymetra od aorty szyjnej. Obydwaj mieliście dużo szczęścia, że przeżyliście.

-Chciałbym kiedyś się dowiedzieć, jak to się stało - mruknął Czerny.

Lekarz podniósł się, żeby lepiej widzieć samolot. Wysłuchony, choć doskonale nadający się do tego zadania lysander stał dwieście metrów od nich, na początku łąki lekko opadającej w stronę jeziora. Spagujević, który skończył inspekcję podwozia po twardym

lądowaniu w nieznanym terenie, stanął obok skrzydła, najwyraźniej czekając, aż załadują rannych. Niepokoiła go bliskość radzieckiego garnizonu. Przelot musiał zaalarmować żołnierzy. Co prawda lecieli nisko, tuż nad czubkami drzew, jednak choćby po odgłosie silnika Rosjanie mogli się zorientować, w jakim rejonie wylądował samolot.

Widząc, że lekarz skończył opatrywać rannych, podszedł do nich.

-Spieszcie się! Rosjanie nas szukają. Liczę, że mamy piętnaście minut, potem może być gorąco.

-Pomóż mi - lekarz zjrócił się do niego. Rozłożył dużą pelerynę obok nieprzytomnego Jorga. - Uniosę go, a ty podsuń to.

Ostrożnie przesunęli Jorga, tak że znalazł się na pelerynie, która miała zastąpić nosze. Tylko w ten sposób mogli przetransportować go do samolotu. Rana na rękę uniemożliwiała uchwycenie go pod ramionami. Powoli, aby przypadkowy kamień lub wyrwa nie uraziły rannego, ciągnęli go do samolotu, co nie było szczególnie trudne. Dopiero umieszczenie go na podłodze kabiny zajęło najwięcej czasu. Pilot rozglądał się zaniepokojony, rozumiejąc, że radzieckie patrole już ich szukają.

Odległy warkot samochodowych silników dobiegł ich w chwili, gdy ułożyli Jorga w kabinie, a Czerny zaczął niezbornie wspinać się po drabince dostawionej do kadłuba.

- Są jakiś kilometr stąd - ocenił pilot. - Na razie nas nie widzą. Gorzej będzie, gdy uruchomimy silnik.

Po chwili wszyscy zajęli miejsca i pilot uruchomił silnik. Huk niosący się po łące i spaliny zwiewane przez wiatr w stronę drogi stały się wyraźnym sygnałem dla patrolu, gdyż nad drzewami uniósł się kurz wzniesiany przez samochody, które skręciły w ich stronę.

- Niedaleko są! - krzyknął lekarz. - Widzę ich między drzewami.

Spagujević nie odpowiedział zajęty przygotowaniem do startu. Jego pewność zdawała się uspokajać lęk, jaki wywołały radzieckie samochody.

Zwolnił hamulce i lysander, mocno już zużyty w wojennej służbie, zaczął toczyć się, podskakując na nierównościach łąki.

Silnik pracował już pełną mocą i z sekundy na sekundę nabierali prędkości.

Nie słyszeli strzału. Tuż nad głową Anny Marii pojawił się w poszyciu kadłuba niewielki otwór. Po chwili drugi.

- Strzelają - lekarz patrzył przez boczne okienko. Jeep z ra dzieckimi żołnierzami wyjechał zza drzew. Widzieli, że są za daleko, aby dopaść do samolotu, więc zaczęli strzelać. Na szczęście nie za trzymali się, więc ogień z jadącego po wybojach samochodu nie mógł być celny.

Wstrząsy ustały, co oznaczało, że koła podniosły się i nie doty- kały już ziemi. Samolot wznosił się, nabierając prędkości. Po chwili, jeszcze nisko nad drzewami, lekko przechylił się na skrzydło, aby jak najszybciej ująć z pola ostrzału.

Na łące radziecki samochód zatrzymał się. Jeden z żołnierzy stanął przy karabinie maszynowym umocowanym na wsporniku pośrodku jeepa. Drugi wyjął z pudełka taśmę z nabojami.

Samolot przemknął nad drzewami i wtedy Rosjanie rozpoczęli ostrzał z browninga. Świetliste smugi pocisków leciały dużo za ni- sko, aby im zagrozić, choć istniało niebezpieczeństwo, że Rosjanin naprawi błąd i kolejne serie będą celniejsze.

-Gdybym miał mojego lysandra - krzyknął pilot, kładąc sa- molot w ciasny zakręt.

-A to nie lysander? - Lekarz spojrział na niego zdziwiony.

-Tak, ale nie mój...

Pilot przerwał na moment, gdyż wyprowadzał samolot z ma- newru, co wymagało trochę siły.

-Miałem taką samą sytuację we Francji - podjął po chwili -w czterdziestym czwartym. Wylądowałem z transportem dla par- tyzantów, gdy zaskoczyli nas Niemcy. Tak jak teraz Rosjanie. Zdążyłem wystartować, ale daleko nie odleciałem. W moim samolocie były dwa karabiny maszynowe. To była walka!

-Strzelał pan do Niemców, wrogów, a tam na dole są sojusznicy! - krzyknął lekarz.

-Sojusznicy? I strzelają do nas?

Smugi pocisków przemknęły obok kadłuba, ale byli już tak da- leko, że strzały z karabinów żołnierzy, którzy wjechali na polanę, nie stanowiły większego zagrożenie.

Anna Maria kurczowo ścisnęła dłoń Jorga. Wydawało jej się, że na moment otworzył oczy, odzyskując przytomność, ale było to chyba złudzenie. Oddychał ciężko, nierówno, czasami z trudem łapiąc powietrze.

Szukała go tak długo, że nie mogła uwierzyć, iż jest obok niej. Kilka tygodni temu minęli się na ulicy w Rosenheim. Przemknął jeepem, nie zauważając jej wśród tłumu, a potem warkot przejeżdżających studebackerów zagłuszył jej wołania. Pomyślała wówczas, że takie jest zrządzenie losu, które zamknęło wojenny rozdział jej życia, nie pozwalając spotkać ukochanego. Aż do dnia, w którym otrzymała wiadomość, że Jorg żyje, choć znalazł się w niebezpieczeństwie. Wszystko to było takie dziwne, ale nie miała nawet czasu, aby zastanowić się, jak to się stało, że wiadomość o Jorgu do niej dotarła, i kto dał jej szansę, żeby po niego polecieć. Bez wątplenia chodziło o to, że była jedyną osobą tak dobrze znającą okolice Czochoy. Bez niej pilot nie znalazłby łąki ani nie wylądował tam.

Zataczali duży krąg nad zamkiem, nad którym powiewała czerwona flaga. Przypomniała sobie słowa Jorga: „Ten zamek przetrwał sześćset albo siedemset lat. Przetrwa i wojnę, i to co po niej będzie”.

Przemknęli nad zaporą na Kwisie wystarczająco wysoko, aby pociski wystrzelwane z pistoletów maszynowych wartowników nie mogły do nich dolecieć.

- Jak dotąd mamy szczęście - odezwał się pilot. - Teraz dobrze byłoby dolecieć, nie spotykając rosyjskich myśliwców. A mogą już być w powietrzu.

Wciąż zwiększali wysokość, aż po chwili znaleźli się w chmurach.

- To pudło w najlepszych czasach wyciągało trzysta na go dzinę. Teraz już przy dwustu się trzęsie.

Spagujević najwidoczniej nie lubił starego samolotu, choć był to jedyny w jego eskadrze, jakim mógł wylądować w nieznanym terenie.

Wbrew obawom pilota dalszy lot przebiegł bez zakłóceń. Najwidoczniej radzieckie radary nie wykryły ich lub system obrony przeciwniczej nie był jeszcze wystarczająco sprawny, aby przechwycić samotny samolot.

Czerny przez całą drogę się nie odzywał. Wszystko, co się stało, wydawało mu się koszmarnym snem. I równie nielogicznym. Trafiony przez Upióra stracił przytomność na krótko. Ocknął się, gdy Jorg włókł go po siatce pomostu. Słyszał strzały i czuł, jak uścisk dłoni Jorga rozluźnia się, a on sam osuwa się na pomost. Niewiele widział, gdyż krew zalewała mu oczy. Słyszał, jak Jorg mówi coś o Wolfie. Potem znowu rozległy się strzały. Tuż obok nich. Był przekonany, że Upiór dobił Jorga i za chwilę dobije jego. Słabł. Pomyslał wtedy, że to dobrze, gdyż śmierć przyjdzie spokojnie. Ale nie przychodziła. Zapadła cisza. Wolf nie dobił Jorga. Słyszał jego ciężki oddech, a więc wciąż żył, choć musiał być ranny. I kroki na pomoście. Ktoś nadchodził. Pamiętał, jak podniósł rękę, aby przetrzeć oczy. Później już wszystko odeszło w nicłość. Aż ocknął się na trawie, gdy lekarz bandażował mu rękę, a Anna Maria zmywała zakrzepłą krew z twarzy. I płakała.

- Anioły płaczą? Nie wiedziałem - to były jego pierwsze słowa. Tak naprawdę, to nie wiedział, czy są to halucynacje, czyjego koszmarny sen zamienił się w coś pięknego. Wolał się nie odzywać, aż rzeczywistość stała się bardzo realna. Kto go wyniósł z podziemi? Nie mógł tego zrobić Jorg, gdyż sam leżał bez przytomności. Kto opatrzył im rany, tamując upływ krwi? Był zbyt słaby i zmęczony, aby o tym myśleć.

Samolot uderzył o płyty lotniska nieco za mocno, co Czerny odczuł w zranionym ramieniu.

Wytracali szybkość, aż pilot wcisnął hamulce i zjechał z pasa lotniska. Zsunął słuchawki z uszu i odwrócił się do pasażerów.

- Nie chciałem was martwić, ale dolecieliśmy na resztkach paliwa.

Z boku dwa ambulanse jechały na sygnale w stronę samolotu. Jorg poruszył głową, na co natychmiast zareagowała Anna Maria.

Uznała, że to przeblysłk świadomości.

- Wyjdzie z tego. Tylko niech pani nie pozwala mi wracać do tej twierdzy. Najwyraźniej mu nie służy... - powiedział Spagujewi. Był tak szczęśliwy, że postanowił, iż następnego dnia napisze rezygnację ze stanowiska dowódcy. Nie nadawał się do biurowej roboty.

Obudził go promień światła. Nagła jasność pod powiekami kazała Jorgowi otworzyć oczy. Oślepiająca plama po chwili zaczęła przybierać kształty. Okno, jasne ściany z lamperią biegnącą dookoła, białe szpitalne łóżko, które nieomylnie poznaje się po tablicy z wykresem temperatury zawieszanej u stóp.

Z trudem odwrócił głowę, wyczuwając raczej, niż widząc, że ktoś jest w pokoju.

Anna Maria spała, oparłszy głowę o nocną szafkę. Musiało być jej bardzo niewygodnie, ale długie czuwanie w szpitalnej izolatce zmogło ją. Miał nieodpartą chęć krzyknąć, aby ją zbudzić, ale pomyślał, że nie powinien przerywać jej snu.

Poruszył ręką, do której biegł wężyk kroplówki.

Jak długo tu jestem? - pomyślał. Po raz pierwszy w życiu nie potrafił określić, ile czasu minęło od ostatniej sceny, jaką zapamiętał: stający nad nim Wolf. To wspomnienie natychmiast nasunęło pytanie, skąd się tutaj wziął? Ktoś musiał wywlec go z podziemi. Kto? A gdzie jest Czerny? Zginął?

Anna Maria poruszyła się. Podświadomie wyczuwała, że Jorg odzyskał przytomność, i otworzyła oczy. Nie podnosząc głowy, patrzyła na niego, czując jak przepelniają radość.

-Żyjesz - powiedziała cicho.

-Mhm - mruknął odwracając głowę w jej stronę.

-Już cię nigdzie nie puszczę. Od czasu jak wyjechałam z zamku, co chwile ktoś do ciebie strzela.

Pogładziła go po włosach. Uśmiechnął się.

-Mhm...

-I to coraz gorzej - obróciła się i pochyliła nad nim. Przesunęła palcami po jego czole. Bała się go dotknąć, żeby nie urazić. Sięgnęła po szklanekę z wodą, widząc, że ma spieczone usta. Wypił kilka łyków, ale uniesienie głowy sprawiało mu trudność. Opadł na poduszkę, jakby po wielkim wysiłku.

-Bardzo źle ze mną?

-Nie, rany nie są groźne, ale straciłeś wiele krwi.

-Długo tu leżę?

-Dwa dni. Zrobili transfuzję. Będzie coraz lepiej.

-A skąd się wziąłem?

-Przywieźliśmy cię samolotem spod zamku.

-Nie byliśmy w bunkrze? - Jorg usiłował się podnieść, ale zbyt gwałtowny ruch wywołał przeszywający ból, więc natychmiast opadł na poduszkę.

-Nie, znaleźliśmy was zabandażowanych na łące, pod krzakami.

-Jakim cudem?

-Nie wiem.

-Czerny? Zginął?

-Nie. Był tutaj przed kilkoma minutami. Jest w lepszym stanie niż ty - położyła mu palec na ustach. - Dość już pytań. Nie mów tyle.

Zamknął oczy i poruszył głową, potwierdzając, że zastosuje się do jej polecenia.

- Dobrze, to ty opowiedz wszystko. Ja tylko będę słuchał...

Położył rękę na jej dłoni. To wszystko wydawało mu się tak nierealne, że miał wrażenie, iż śni.

-Po kapitulacji przyjechałam z matką do Koburga. Gdy poszłam się zameldować do gminy, zastałam tam wiadomość, że mam zgłosić się do siedziby korpusu kontrwywiadu. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale musiałam pójść. Spotkałam tam pułkownika... - przerwała, poszukując w pamięci jego nazwiska.

-Hollana - podsunął Jorg.

-Tak, Hollana. Powiedział, że poszukiwali mnie w związku z twoim wyjazdem, ale nie powiedział dokąd. Zdziwiło mnie to, ale nie chciał wyjaśnić. Mówił, że mogę być potrzebna ze względu na znajomość zamku i okolicy. Trzy dni temu znowu mnie wezwał i kazał jechać na lotnisko do Norymbergi. Dopiero w samolocie dowiedziałam się, że lecimy po ciebie i Czernego. I to wszystko...

Jorg zamknął oczy. Chwile świadomości wyczerpały go. Anna Maria poprawiła koc i usiadła ponownie na twardym krześle przy nocnej szafce.

-Wiesz, jestem szczęśliwy - powiedział tak cicho, że ledwie usłyszała jego słowa.

-Ja też.

27 lipca 1948 r., obóz w Darmstadt

W korytarzu ciągnącym się przez całą długość baraku „M” w obozie w Darmstadt panował półmrok, mimo że lipcowy dzień 1948 roku był słoneczny i upalny. Małe zakratowane okna pod sufitem przepuszczały niewiele światła, z czego osadzeni tam więźniowie byli zadowoleni, gdyż męczący upał nie docierał tu z siłą, która utrudniała życie wszystkim.

Drzwi do celi na końcu korytarza były otwarte, a obecność strażnika zapowiadała, że osadzony tam więzień zaraz wyjdzie, by zostać wyprowadzony gdzieś poza barak. O tej porze dnia, długo po porannym spacerze, powód wyjścia z celi mógł być tylko jeden: przesłuchanie przed sądem denazyfikacyjnym, usiłującym ustalić, czy ludzie osadzeni w obozie splamili się aktywnym działaniem na rzecz narodowego socjalizmu, czy też spadło na nich niesłuszne podejście.

- Więzień Skorzeny, wyjść, na przesłuchanie! - strażnik, w bia

łym hełmie Military Police, trzymając w lewej dłoni krótką białą pałkę, wygłosił regulaminową formułę.

Cofnął się o krok, gdy z celi wyszedł więzień. Najwyraźniej obyty z regulaminem, nie czekając na polecenie, odwrócił się i oparł rękami o ścianę, wysoko nad głową, szeroko rozstawiając nogi, aby strażnik mógł sprawdzić, czy nie ma przy sobie niebezpiecznego narzędzia, jakim mógłby zagrozić sędziom.

Po chwili opuścił ręce, odczekał, aż strażnik zamknie drzwi do celi, przekręcając w zamku wielki klucz, i posłusznie ruszył przodem. Wyglądali śmiesznie, gdyż zwałisty Skorzeny przewyższał swojego dozorcę o dobre dwie głowy. Szli pustym korytarzem, mimowolnie, jak dwaj żołnierze, równając krok.

- Panie kapralu, proszę o pozwolenie udania się tam - powie działo nagle więzień, gdy zbliżali się do drzwi ubikacji.

Strażnik zerknął na zegarek, który, nie wiedzieć czemu, nosił na prawym przegubie. Była to wielka złota doxa, jakiej zapewne skromny kapral z Alabamy nie przywiózł z domu. Uznając, że mają wystarczająco dużo czasu, skinął głową, ale natychmiast zerknął na bok, co wydawało się dziwnym zachowaniem na pustym korytarzu. Powinien pójść za więźniem, lecz pozostał przy drzwiach.

Naruszenie obozowego regulaminu nie powinno mieć poważniejszych następstw, gdyż w toalecie było jedno wąskie okno, wysoko pod sufitem, zbyt wysoko, aby dało się go dosięgnąć bez drabiny, a w dodatku zakratowane od zewnątrz i przysłonięte metalową siatką od wewnątrz. Można więc było uznać, że strażnik postanowił zaoszczędzić sobie wachania kloacznego smrodu zmieszanego z wyziewami lizolu.

Drzwi do trzech kabin były otwarte. Przy wysokim emaliowanym pisuarze stał oficer, który słysząc wchodzącego, odwrócił głowę i odczekał, aż strażnik zamknie drzwi.

-Wyrok nie zapadnie wcześniej niż w 1949 roku - powiedział do Skorzenego. Zapiął rozpiętkę i odwrócił się. - To znaczy, że będzie pan tu siedział jeszcze co najmniej rok.

-To od pana dostałem gryps, że mamy się tutaj spotkać? - zapytał Skorzeny, przyglądając się uważnie kapitanowi, którego widział po raz pierwszy.

-Tak - mruknął oficer.

Szczupły, o okrągłej twarzy z wąsikami a la Clark Gable, gładko zaczesany, z idealnie równym przedziałkiem po lewej stronie, sprawiał wrażenie karcianego oszusta, a nie oficera zwycięskiej armii. Jeszcze dziwniejsze było to, że mówił płynnie po niemiecku, co rzadko zdarzało się wśród amerykańskich oficerów.

- Skąd pewność, że będę tu jeszcze siedział przez rok? - powtórzył Skorzeny, opierając się o otwarte drzwi kabiny.

Zachowywał się z nonszalancją, aby nie dać poznać nieznajomemu, że podjął szczególnie ważny temat. Od czasu, gdy w Bawarii oddał się w ręce żołnierzy amerykańskich, minęło ponad trzy lata. Przez ten czas więziono go w Dachau i Norymberdze, dopóki nie przewieziono do obozu w Darmstadt. Został oczyszczony ze wszystkich zarzutów popełnienia zbrodni wojennych. Nawet żądania władz Danii i Czechosłowacji wydania go jako odpowiedzialnego za zbrodnicze czyny na terytorium tych państw okazały się bezpodstawne. Liczył więc, że lada dzień zostanie zwolniony. Nagła informacja, że będzie tkwił w celi jeszcze przez rok, uderzyła go, choć zdawał sobie sprawę, że nie może dać tego po sobie poznać.

- Rosjanie mają dowody, że popełnił pan zbrodnie na ich terytorium w 1942 roku.

-Bzdura!

-Może i bzdura, ale wie pan, że mogą mieć setki świadków, którzy pana zidentyfikują, dokumenty, niepodważalne dowody. Rozważanie rosyjskiego żądania będzie trwało co najmniej przez rok... - zawiesił głos.

-Domyślam się, że ma pan dla mnie jakąś propozycję?

-Tak - kapitan skinął głową.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, będące znakiem, że za długo przebywają w toalecie.

- Powinien pan uciec - dodał szybko kapitan. - Pogadamy później.

Odwrócił się i szybko wyszedł.

Skorzeny przemył twarz wodą, myśląc, że chętnie obejrzałby się w lustrze, ale nad długą umywalką z wieloma kranami, której kształt przypominał koryto, ze zrozumiałych względów była tylko ciemnozielona lamperia.

Kapitan pojawił się niespodziewanie jeszcze tego samego dnia, gdy Skorzeny wyszedł po przesłuchaniu i strażnik kazał mu usiąść na ławce w korytarzu. Sam stanął kilka kroków dalej.

-Nazywam się James Wheelis - powiedział kapitan, podsuwając Skorzenemu złotą papierośnicę.

-Nic mi to nie mówi - burknął Skorzeny. Denerwował go ten oficerek, aczkolwiek wyczuwał, że ma coś ważnego do przekazania.

-Nie musi. Chodzi o to, co mam zrobić dla pana. - Wheelis podał mu zapałki.

-A co ma pan zrobić?

-Zorganizować pana ucieczkę. - Wheelis powiedział to tak lekko, jakby chodziło o spacer po lesie.

-I myśli pan, że dam się na to nabrać?

-Tak, chyba że woli pan pojechać do rosyjskiego więzienia.

-Nie wolę, ale nie chciałbym być zastrzelony podczas próby ucieczki.

Wheelis nie odpowiedział. Ponownie sięgnął do kieszeni i wyjął złotą papierośnicę.

-Widział ją pan, prawda?

Otworzył papierośnicę.

-Niech pan przeczyta...

Na wewnętrznej stronie wieka widniał wygrawerowany napis: „Kochanemu Hermannowi - Emma, 1937 rok”. Skorzeny wciąż patrzył zaskoczony, czekając, aż oficer wyjaśni, o co mu chodzi.

-Tak, to papierośnica marszałka Hermanna Góringa. Prezent od żony na rocznicę ślubu.

-Skąd pan to ma?

-Góring podarował mi ją w więzieniu w Norymberdze. W dowód wdzięczności za przysługę... - zawiesił głos dla lepszego efektu.

-Samobójstwo?

-Tak - potwierdził Wheelis. - W jego bagażu przechowywanym w więzieniu była łuska z ampułką z cyjankiem. Wydobyłem ją ze skrytki w torbie i zaniósłem, aby oszczędzić marszałkowi Rzeszy upokorzenia na szafocie. Zasłużył na śmierć, ale honorową, a nie jak bandzior.

Wheelis osiągnął cel. Już po minie Skorzenego mógł się zorientować, że wyznanie to zrobiło na nim duże wrażenie. Nie poruszał się przez chwilę, rozważając słowa, które usłyszał.

-Dlaczego mnie chce pan pomóc?

-Pewnego dnia przyjdę do pana, żeby to wyjaśnić. Teraz nie mogę. Musi mi pan uwierzyć. To wszystko.

Skorzeny skinął głową. Uznał, że większym ryzykiem byłoby pozostanie w więzieniu i trafienie w ręce Rosjan niż zaufanie oficerowi w amerykańskim mundurze, który wciąż trzymał w palcach papierośnicę podarowaną przez Góringa. Dla marszałka musiał to być cenny przedmiot, a jeżeli oddał go człowiekowi, który umożliwił mu honorową śmierć, to jakby chciał potwierdzić jego wiarygodność.

- Dobrze, że się porozumieliśmy. - Wheelis z ulgą schował papierośnicę do kieszeni. - Jutro rano, gdy będzie pan na spacerze, proszę skrócić do bocznego wyjścia. Prowadzi do garaży. Schowa się pan w bagażniku samochodu komendanta.

Skorzeny pokręcił głową. Nie podobał mu się ten plan.

- Ważę ponad sto kilo, kierowca od razu zorientuje się, że ma duży ciężar w bagażniku.

Wheelis uśmiechnął się.

- Nie zorientuje się, niech mi pan wierzy - powiedział z taką pewnością, że Skorzeny porzucił dałsze zastrzeżenia.

Wheelis wstał i dał znać strażnikowi, aby odprowadził Skorzenego do celi, gdzie miał spędzić ostatnią noc w niewoli.

Odczekał, aż zniknął za rogiem korytarza, i ruszył w drugą stronę. Zbiegł po schodach prowadzących do wyjścia i po chwili stanął na ulicy. Mężczyzna na przystanku, czytający gazetę, podniósł głowę. Ich oczy spotkały się. Wheelis poprawił czapkę i niezauważalnie skinął głową. Mężczyzna na przystanku na moment zamknął oczy, potwierdzając, że odebrał sygnał, schował gazetę do kieszeni, zerknął na zegarek, jak człowiek, który za dużo czasu stracił, i odszedł szybkim krokiem.

10 września 1948 r., przełęcz Brenner

- Panie majorze, już czas!

Jorg otworzył oczy. Zasnął na krótko, pół godziny, ale senny koszmar zabrał mu poczucie czasu. Był znowu w tym strasznym bunkrze, gdzieś koło Czochy. Szedł długim korytarzem biegnącym pod dnem jeziora, ale z sufitu spadały krople gęstej cieczy, a nie wody. Może była to krew? Ten koszmar często powracał. Potrząsnął głową, jakby chciał spędzić resztki snu i jak najszybciej wrócić do rzeczywistości. Było to tym trudniejsze, że w pokoju panowała ciemność. Po chwili przypomniał sobie, że major Sebastriani oddał mu swój gabinet na posterunku granicznym na przełęczy Brenner, aby mógł wypocząć. Nawet wyjaśniał, że to pokój szczególny, gdyż przebywał w nim Benito Mussolini, gdy otwierał w 1938 roku ten posterunek.

Jorg przyjechał poprzedniego wieczoru, gdy uznano, że może się przydać w akcji. Wywiad włoski wykrył, że grupa byłych esesmanów ma przekroczyć granicę niemiecko-włoską o świcie dziesiątego września. Nie powiedziano mu jednak, na czym będzie polegało jego zadanie. Dopiero po przyjeździe major Sebastriani wyjaśnił, że w grupie może być jeden lub dwóch ludzi, których zna. Miał ich zidentyfikować na miejscu.

Sebastriani wciąż pochylał się nad nim, czekając, aż Jorg pozbędzie się resztek głębokiego snu. Widząc, że tak się dzieje, podszedł do stołu, na którym postawił kubki z kawą.

-Ruszamy za kwadrans - wyjaśnił.

-Która godzina? - zapytał Jorg, uznając, że dopiero łyk kawy orzeźwi go na tyle, że zacznie normalnie żyć.

-Trzecia piętnaście - Sebastriani spojrzał uważnie na pół-przytomnego Polaka i natychmiast dodał z uśmiechem - w nocy.

Jorg przeniósł się na krzesło i sięgnął po kubek.

-Mamy informację, że jest ich czterech. Mogą być uzbrojeni - mówił Sebastriani.

-Wiemy coś więcej?

-Podejrzewamy, że będą się starali dotrzeć do Genui. Tam czeka na nich ojciec Edoardo Dómóter z kościoła San Antonio.

-Kto to?

-Bliski współpracownik biskupa Hudala. Jego prawa ręka. Rozdaje paszporty, przechowuje byłych esesmanów do czasu odejścia statku, daje pieniądze i tak dalej. Jednym słowem dobry duch złych duchów.

-Nie możecie sobie z nim poradzić? Sebastriani uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

-Niech pan pije, musimy się spieszyć.

Jorg dopił szybko kawę, narzucił kurtkę i wsunął pistolet do kabury.

Przed budynkiem stała ciężarówka, w której miejsca zajęło sześciu żołnierzy, oraz jeep, do którego wsiedli Jorg i Sebastriani.

Świtało, gdy zatrzymali się tuż za tunelem, przez który biegła wąska brukowana droga. Żołnierze zeskoczyli z ciężarówki, najwidoczniej doświadczeni w niejednej akcji tego typu, i szybko rozpierzchli się do kryjówek na zboczu góry.

-Nie obstawiacie drugiej strony? - Jorg wskazał na skraj jezdni biegnący tuż nad krawędzią zbocza.

-Tam przepaść - wzruszył ramionami Sebastriani.

-Tędy będą jechać? - Jorg rozglądał się wokół. - Droga?

-Tak. Nie mają przewodnika, więc nie ryzykowaliby przejścia przez góry. To byłoby bezpieczniejsze, ale dużo trudniejsze. Poza tym nie muszą się ukrywać.

-Mają dobre papiery?

-Tak, włoskie wydane przez gminę w Termeno.

Jorg patrzył z zainteresowaniem na majora, który podniósł lornetkę i lustrował zbocze, u którego stóp wiła się jedyna droga biegnąca do Niemiec. Chętnie zapytałby go, w jaki sposób włoski wywiad zdobywa tak dokładne informacje, a to oznaczało, że wiele wie o esesmanach, którzy uciekali z Europy południowym szlakiem prowadzącym przez Włochy. A może nawet kontroluje ich podróż i decyduje, kto może opuścić kontynent a kto nie. Ci, którzy zbliżali się do nich, mieli zostać schwytani.

-Tam zajmiemy miejsce - Sebastriani wskazywał na skalny występ tuż obok wlotu do 'tunelu. Zrobił kilka kroków w stronę jeepa i wy dobył garanda.

-Niech pan to weźmie - podał karabin Jorgowi. - Tak na wszelki wypadek.

Jorg przerzucił pasek karabinu przez ramię i zaczął wspinać się na strome zbocze, z którego mógł dostać się do miejsca wskazanego przez Sebastrianiego. Ten podążał za nim, aż znaleźli się na skalnej półce, gdzie krzewy i młody świerk dobrze ich zamaskowały. Na dole pozostało tylko dwóch żołnierzy, którzy przysiedli na wielkim kamieniu na poboczu i wyjęli kanapki. Wyglądali jak karabinierzy, którzy znudzeni długą służbą postanowili odpocząć nieco. Nikt, widząc ich spokojnie posiłkujących się na poboczu drogi, nie sądziłby, że są częścią oddziału, który przygotował zasadzkę.

Na drodze było już zupełnie jasno, gdyż z za gór padały pierwsze promienie słońca. I wtedy z oddali dobiegł warkot samochodu, dobrze słyszalny w porannej ciszy. Po kilku minutach z za zakrętu wyłoniła się półciężarówka Fiat 508 o charakterystycznej spadzistej masce i obłych błotnikach. Wysłuzony samochód, który ledwo przetrwał wojskową służbę, o czym świadczyły plamy wojskowego kamuflażu, dobrze widoczne między licznymi zaprawkami, z trudem pokonywał górską drogę. Słup pary buchał z rozgrzanej chłodnicy. W skrzyni ładunkowej siedziało kilku mężczyzn, najwyraźniej zmarzniętych po nocnej jeździe przez góry.

-To oni - szepnął Sebastriani, podając Jorgowi lornetkę. -Niech im się pan przyjrzy uważnie.

-Kogo szukamy? - Jorg podniósł lornetkę do oczu.

- Mogą tam być pana znajomi z tego zamku.

Jorg nastawił ostrość. Samochód był jeszcze z;byt daleko, aby dostrzec rysy podróźnych, ale natychmiast skupił swą uwagę na jednym z mężczyzn. Nie widział jego twarzy zasłoniętej szalikiem zawiązanym dookoła szyi w ochronie przed porannym chłodem. Tyrolski kapelusz przesunął na czoło i wcisnął ręce w rękawy. W tych warunkach trudno było mówić o pewności, ale Jorg zdawał się jej nabierać.

-Coś wiadomo? - spytał Sebastriani.

-Za daleko - mruknął Jorg. Wciąż trzymał lornetkę przy oczach, wpatrując się w mężczyznę, który zwrócił jego uwagę. Czekał, aż ten odsłoni twarz.

Żołnierze podnieśli się z kamienia. Jeden z nich uniósł duży lizak, nakazując kierowcy ciężarówki zatrzymanie się. Próba ucieczki w rozklekotanym samochodzie skazana była na niepowodzenie. Mężczyźni siedzący z tyłu samochodu wyraźnie się ożywili.

Jorg widział, jak kierowca podał żołnierzowi dokumenty. O czymś rozmawiali. Drugi żołnierz podszedł do skrzyni. Pytał o coś podróźnych. Nie wydawali się przejęci kontrolą. Najwidoczniej uznali, że to przypadkowe spotkanie na drodze.

Żołnierz przy szoferce otworzył drzwi i kazał kierowcy wysiąść. Ten zaczął gestykulować. Mężczyźni rozglądali się nerwowo. Sytuacja rozwijała się nie po ich myśli. Kierowca wciąż protestował. Wskazywał na drogę i machał rękami. Żołnierz schwycił go za ramię i szarpnął tak mocno, że ten wypadł z szoferki. Mężczyźni podnieśli się, na co drugi żołnierz uniósł karabin. Ruchem lufy nakazywał im zejście na jezdnię. I wtedy stojący najbliżej skoczył na niego. W tym samym momencie kierowca podciął nogi pierwszemu żołnierzowi.

Jorg przeniósł lornetkę na zbocze, gdzie ukryli się pozostali żołnierze. Dostrzegł, jak podnoszą się i z bronią w ręku zbliżają się do samochodu. Podróźni jeden po drugim zeskoczyli na jezdnię i razem zaczęli biec w stronę lasu, aby tam zniknąć między drzewami. Nie widzieli jeszcze żołnierzy, którzy szli w ich stronę. Tylko jeden wybrał przeciwny kierunek ucieczki. Zrobił kilka kroków w stronę przepaści. Zatrzymał się na skraju jezdni, oceniając sytuację, ale najwidoczniej dostrzegł możliwość ucieczki tą drogą, gdyż osunął

się i zniknął Jorgowi z oczu. Żołnierze nie zauważyli go. Zajęli się kierowcą i trzema innymi, którzy, gdy dostrzegli obławę, zrezygnowali z ucieczki i stanęli z rękami podniesionymi do góry.

Jorg odrzucił karabin i zsunął się ze skały, z której obserwował • sytuację na drodze. Lina rozpięta na zboczu, pozostawiona przez robotników remontujących tunel, umożliwiła mu szybkie przejście na drugą stronę. Stąd dostrzegł uciekiniera, który po gzymsie skalnym, tak wąskim, że z trudem mieściła się na nim stopa, przesuwając się w stronę tunelu, aż doszedł do klamer wbitych w zbocze. Wspiął się po nich i nisko pochylony, trzymając się blisko ściany, wsunął się do tunelu. Jorg ruszył w stronę wyjścia z tunelu. Uznał, że zdąży tam dojść przed uciekającym, gdyż ten musiał zatrzymać się w środku, aby złapać oddech i zorientować się w sytuacji. Jorg zeskoczył z kamiennego murka na jezdnię dokładnie w tym samym momencie, w którym mężczyzna, oglądając się, czy nie ścigają go żołnierze, wyszedł z tunelu. Nie przypuszczał, że atak może nadejść z tej strony.

Jorg schwycił go za rękę, w której tamten trzymał pistolet, i uderzył mocno w przegub. Mężczyzna z okrzykiem bólu wypuścił broń i odwrócił się w momencie, gdy Jorg schwycił go za kłapy, zakładając duszący chwyt, który miał obezwładnić uciekiniera. Krzyknęli równocześnie.

-Jorg!

-Globcke!

Jorg powalił Globckego na ziemię i przycisnął kolanem.

-Góra z górą, panie Globcke - zacisnął mocniej dłonie, dusząc Globckego.

-Puść!

Nie zamierzał poluzować uścisku. Globcke był w jego rękach i za chwilę miał przekazać go Włochom. Walka, którą prowadził z tym człowiekiem od czasu, gdy przyjechał do zamku, dobiegła końca.

-Puść! - krzyknął Globcke - Wolf... Jorg

zwolnił chwyt.

-Co wiesz?

- Wtedy w bunkrze. To ja cię uratowałem. I twojego kolegę też... Puść!

Globcke łapał z trudem powietrze. Jorg wyprostował się. Odszedł parę kroków, aby podnieść pistolet Globckiego. Ten wstawał powoli.

-Dlaczego? - Odwrócił się do Globckiego, który wstawał z klęczek.

-,„Pająk" został opanowany przez Rosjan. - Otrzepał upodnie. -

Chciałem ci to powiedzieć wtedy w Marklissie. Nie chciałeś mnie słuchać. - Podszedł do niego tak blisko, że stanęli twarzą w twarz. -

Dlatego musiałem wyeliminować Wolfa. Mógł zdradzić Rosjanom wiele tajemnic, które by ich wzmocniły. Za bardzo - dodał Globcke.

-Dlaczego mnie uratowałeś?

-Może z sentymentu.

Globcke uśmiechnął się, wyciągnął rękę po pistolet, który Jorg po chwili wahania mu podał. Po czym odwrócił się plecami i ruszył w stronę tunelu. Zatrzymał się po paru krokach.

-Dziękuję.

-Nie ma sprawy. Uważaj na siebie.

Globcke wsunął pistolet za pasek i zaczął biec w stronę wąskiej ścieżki prowadzącej pod górę. Jorg patrzył za nim, aż zniknął wśród drzew.

Grudzień 1989 r., TelAwiw

Grube drzwi prowadzące do niewielkiej salki konferencyjnej w podziemiach willi na przedmieściach Tel Awiwu rozsunęły się bezszelestnie. Młody mężczyzna w dwurzędowym czarnym garniturze podszedł do siedzącego na honorowym miejscu przy dużym owalnym stole Nahuma Admoniego i pochylił się, aby szeptem przekazać jakąś wiadomość. Admoni skinął głową i wstał z fotela. Poprawił marynarkę i zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Pozostałych pięciu mężczyzn siedzących za stołem powiodło za nim wzrokiem. Zza otwartych drzwi dobiegł szum windy i po chwili na wózku wjechał siwy mężczyzna. Pomimo panującego na zewnątrz

upału na kolana miał narzucony lekki pled, pod którym trzymał obydwie ręce. Mężczyźni wstali.

- Aaron, to radość widzieć cię, przyjacielu - powiedział Admoni po polsku. Szef Mosadu urodził się co prawda w Jerozolimie w 1929 roku, ale jego rodzice byli polskimi Żydami i matka, jak w dobrej polskiej rodzinie, zadbała, aby syn poznał rodzimy język.

Pochylił się nad Aaronem i objął go serdecznie.

-Ja też się cieszę, Nahumie - odpowiedział Aaron. -Ale skończmy nasze polskie pogawędki, bo twoi współpracownicy chyba nas nie rozumieją.

-Nie muszą wiedzieć, jak wielką darzymy się przyjaźnią. No, nie wszyscy.

Admoni obszedł wózek z tyłu i chwyciwszy za rączki, zawiózł Aarona do stołu tuż po swojej prawej ręce.

- Panowie, pan Aaron Schweich, legenda wywiadu, jest wśród nas.

W sali rozległy się oklaski, co najwyraźniej speszyło Aarona.

- A ja myślałem, że zaprosiliście mnie tutaj, gdyż wstydziście się pokazać mnie w centrum.

Odpowiedział mu krótki śmiech. Willa pod miastem należąca do jednego z izraelskich biznesmenów pozostawała najbezpieczniejszym miejscem w stolicy. O jej istnieniu wiedziała garstka wtajemniczonych. Żaden z obcych wywiadów nie wykrył, że w istocie należy do Mosadu, nie istniało niebezpieczeństwo, że prowadzone tam rozmowy będą podsłuchiwane, a ludzie, którzy przybywali na tajne spotkania, zostaną sfotografowani choćby przez satelity, które wyostrzyły obiektywy na oficjalną siedzibę wywiadu.

-Zaprosiliśmy cię, aby sięgnąć do twojej wiedzy - zaczął Admoni.

-Moja wiedza dotyczy historii, a nie współczesności - odparł Aaron.

Admoni dał znak, po którym na przeciwległej ścianie zjechał ekran, i po chwili pojawiło się na nim zdjęcie pięćdziesięcioletniego mężczyzny o okrągłej twarzy i kręconych włosach.

\

- To doktor Gerald Buli. Kanadyjczyk pracujący od dawna nad artylerią dalekosiężną. W 1981 roku przyjął zamówienie od Sadda - ma Husajna na budowę wielkiego działa...

/

Na znak Admoniego ktoś, niewidoczny dla zebranych, zmienił slajd i na ekranie pojawiło się zdjęcie długiej rury.

- Skonstruował działo o długości 156 metrów i kalibrze jednego metra. Całość waży ponad dwa tysiące ton. Miota pociski o wadze dwóch ton każdy. Tyle wiemy. Pozostaje pytanie o skalę zagrożenia dla naszego państwa, gdy działo to zostanie zamontowane w Iraku.

Generał lotnictwa siedzący po lewej stronie Admoniego pochylił się nad stołem.

- Powiedziałeś, że waży ponad dwa tysiące ton. To załatwia wszystko. Oznacza bowiem, że tę kolubrynę można ustawić w jednym miejscu, pod jednym kątem. A my, wysyłając dwa samoloty, zniszczymy ją tak, jak dziewięć lat temu iracki reaktor atomowy. Zagrożenie jest równe zeru.

Aaron siedział z pochyloną głową. Zdjęcia działa przypomniały mu wyrzutnię w Mimoyecques. Nie słuchał dyskusji, która dotyczyła zagrożenia, jakie działo to stwarzało dla Izraela. Z zadumy wyrwał go dopiero głos Admoniego. Spojrzał roztargniony. Najwidoczniej wszyscy czekali na jego ocenę.

- W 1945 roku Niemcy skonstruowali pocisk, który nazwali Gungnir. To włócznie boga Odyna przynosząca zwycięstwo temu, który ją ma. W pocisku była głowica nuklearna o mocy dziesięciu kiloton, a więc wystarczająca, aby zniszczyć Tel Awiw. Wystrzeliwana z takiego działa, była wspomagana przez niewielkie silniki rakietowe, a więc miała ogromny zasięg. Uważam, że ktoś odnalazł ten pocisk ukryty przez Niemców na Dolnym Śląsku. Zapewne w podziemiach jednego z zamków.

Aaron mówił powoli, ale w ciszy panującej w sali, gdzie słychać było jedynie cichy szum klimatyzacji, jego słowa brzmiały wyraźnie i dobitnie.

- Być może pan Buli otrzymał te plany. Od kogo? Powiem, co uważam: od „Pająka”!

Cichy szmer przebiegł przez salę.

-Wiele ogniw tej organizacji zlikwidowaliśmy, ale wiele przetrwało i tworzy swoją siłę w oparciu o arabskich terrorystów -powiedział któryś z mężczyzn siedzących przy stole.

-Gotowi są zawrzeć pakt z diabłem, żeby nas zniszczyć - podjął Aaron. - Działo nie musi być wybudowane w Iraku. Może zostać

ustawione w dowolnym punkcie ziemi. Dlatego mówię: to wielkie niebezpieczeństwo. Nie tylko dla nas. Dla całego cywilizowanego świata, który stanie się zakładnikiem, terrorystów. Niszczcie to! •

Odchylił głowę. Najwyraźniej mówienie go męczyło.

Admoni odczekał chwilę, aż zorientował się, że Aaron skończył.

-Czy oznacza to, że Niemcy ukryli plany tej broni?

-Sądzę, że wysłali je w ładowniach okrętu podwodnego U-234. Został przechwycony przez Amerykanów, ale ja uważam, że zanim to się stało, przekazał część ładunku. Planów należy szukać w Argentynie.

Admoni spojrział na mężczyznę^v obok, który skinął głową, rozumiejąc, że jest to polecenie pilnego zajęcia się tą sprawą.

- Nic więcej nie wiem - dodał Aaron. - I choć zaszczytem dla mnie jest przebywać tutaj, to pozwólcie, że wrócę do domu.

Admoni wstał, żeby odwieźć gościa, ale ten pokręcił głową.

- To co naprawdę mnie męczy, to nie mówienie, ale wspomnienia. Wróciły właśnie...

Doktor Gerald Buli, konstruktor superdziała o nazwie „Wielki Babilon”, zginął zastrzelony 22 marca 1990 roku pięcioma strzałami w kark, gdy otwierał drzwi do swojego domu w Brukseli. Kilkanaście dni później celnicy brytyjscy odkryli w porcie Teesport kontener, którym przewożono kilka części lufy. W Grecji i Turcji zatrzymano ciężarówki transportujące elementy działa. „Wielki Babilon” nigdy dotąd nie wystrzelił.

Drogi Czytelniku!

Tamten czas, ostatnie dni drugiej wojny światowej, pozostawił niewyobrażalnie wiele tajemnic. Ocieramy się o nie, patrzymy i nęka nas ciekawość. Czemu miały służyć betonowe tunele pod zamkiem Książ? Po co tysiące więźniów drążyło podziemne korytarze w rejonie Walimia? Można tam pojechać, zobaczyć wielkie podziemne komory i długie chodniki. Co przewoził podwodny okręt U-234? Co stało się z generałem Hansem Kammlerem, który z ramienia SS nadzorował prace nad tajną bronią i w maju 1945 roku zniknął; razem z nim zniknął trzeci prototyp samolotu Ju 390, zadziwiający ogromnym zasięgiem. Czy nigdy nie poznamy prawdy o tajemnicach końca wojny? Wielu świadków wciąż milczy, inni, którzy spisali swoje wspomnienia i relacje, zezwolili na publikację dopiero za wiele lat. W archiwach amerykańskich, brytyjskich, rosyjskich są tysiące tomów dokumentów, których ujawnienie odkryłoby prawdę. Ale wciąż pozostają niedostępne.

A jednak mijający czas rozluźnia szczelne zamknięcia. Pojawiają się informacje, które szokują. Niedawno dowiedzieliśmy się o istnieniu niemieckiej maszyny łamiącej radzieckie szyfry jednorazowe, którą wywiad aliancki nazwał „*Ryba miecz*” i zdobył 12 kwietnia 1945 roku w Rosenheim. Ujawniono część dokumentów zawierających wykaz przedmiotów przewożonych przez okręt U-234, ale jeszcze wiele pozostało utajnionych. Zdjęto klauzulę tajności z protokołu z przesłuchania niemieckiego eksperta do spraw rakiet przeciwlotniczych Zinssera, który relacjonował przebieg próby nuklearnej w Niemczech w październiku 1944 roku.

Nieznane, niewyjaśnione wydarzenia zaczynają wychodzić na jaw, ale jeszcze bardzo wiele pozostaje w głębokim cieniu. Tam, gdzie prawdy jeszcze nie poznaliśmy, uruchamia się wyobraźnia. I na tym polega istota tej książki, będącej hipotezą, próbą zrozumienia niepojętych faktów z przeszłości; znalezienia ich najbardziej prawdopodobnego wyjaśnienia. Tylko tyle można teraz zrobić.

Miną lata i może ta próba okaże się nie tak odległa od faktów, które, miejmy nadzieję, kiedyś poznamy.